

Brian W. Aldiss

Zima Helikonii

Przełożył: Tomasz Wyżyński

Patrzaj — oto i ziemia, i morze, co ją chłodzi,
i wiatr miły, i upał gorący, rzeczy owe,
Którym ziemia zawdzięcza treść swoją i budowę,
Skoro ze śmiertelnego są utworzone ciała,
Musi mieć takie samo ciało natura cała. (...)
Dalej, jako że wszystko, co ziemia żywi i tuczy,
Musi w tej samej mierze znowu do ziemi wrócić,
Że ziemia dla wszystkiego, co kiedyś się z niej urodziło
Jak ze wspólnej matki, będzie też wspólną mogiłą,
Więc raz się wyczerpuje ziemia, a raz odnawia.

Lukrecjusz O naturze wszechrzeczy, 55 p.n.e.
W przekładzie Edwarda Szymańskiego, PWN, 1957 (Księga V, 235—239, 256—260).

PROLOG

Luterin wyzdrowiał. Tajemnicza choroba minęła. Pozwolono mu wychodzić na dwór. Łoże pod oknem, bezruch, siwowłosy preceptor przychodzący dzień w dzień należeli już do przeszłości. Żył i z rozkoszą wdychał chłodne powietrze.

Z góry Shivenink dał lodowaty wicher zdzierający korę z północnej strony drzew.

Mróz orzeźwił Luterina. Zaróżowiły mu się policzki, ciało zaś wczuło się w ruchy wierzchowca, na którym przemierzał włości ojca. Wydał gromki okrzyk i wbił ostrogi w boki mustanga, zmuszając go do galopu. Zostawiwszy za plecami cichnący głos dzwonu we dworze, gdzie spędził jak w więzieniu cały rok, pognął drogą przez pole zwane nadal Winnicą. Upajał go pęd, wiatr, gorączkowy szum własnej krwi. Wokół rozciągał się majątek ojca, surowa północna posiadłość, mikro-kosmos bagien, gór, dolin, wartkich potoków, mgieł, śniegów, borów, wodospadów — lecz Luterin starał się nie myśleć o wodospadzie. Żyły tu miriady dzikich zwierząt, których nie przetrzebiły nawet ciągle wyprawy łowieckie ojca. W górach myszkowały fagory. Niebo przesłaniały stada wędrownych ptaków.

Niebawem, za przykładem rodzica, sam wybierze się na polowanie. Zamarłe życie rozbudziło się na nowo. Powinien się radować i zapomnieć o mroku czającym się na krańcach świadomości. Przegalopował koło półnagich niewolników, którzy ujeżdżali jajaki w Winnicy, uczepieni rozpaczliwie uzd. Spod kopyt zwierząt pryskały kretowiska.

Luterin Shokerandit wspominał krety z sympatią. Nie zważały one na kaprysy obydwu słońc. Polowały i rozmnażały się o każdej porze roku. Po śmierci pożerali je pobratymcy. Ich życie było nie kończącym się tunelem, gdzie samce poszukiwały pożywienia i samic. Zapomniał o nich, gdy chorował.

— Królestwo kretów! — wykrzyknął, podskakując w siodle i stając w strzemionach. Pod kaftanem ze skóry aranga poruszyły mu się na ciele wiotkie fałdy tłuszczu.

Przyśpieszył biegu. Potrzebował ćwiczeń, by odzyskać sprawność bojową. Już dziś, na pierwszej przejażdżce od małego roku, pozbywał się nadwagi. Zmarnował w łożu swoje dwunaste urodziny. Leżał ponad czterysta dni, przez większość czasu sparaliżowany i niemy. Poślanie, komnata, dwór rodziców, wielka posepna rezydencja Dzierzyciela Koła, stały się jego grobowcem. Teraz należało to do przeszłości. Luterin czerpał siły z wierzchowca, z drzew umykających do tyłu, z własnych zasobów wewnętrznych. Ze sceny świata usunęła go niszczycielska siła, której natury nie pojmował. Teraz powrócił i zamierzał odegrać swoją ulotną rolę.

Zanim dotarł do dwuskrzydłowej bramy wjazdowej, otworzył ją przed nim niewolnik. Luterin pogalopował naprzód, nie zwalniając biegu ani nie spoglądając na boki. Świst wiatru w uszach przypominał wycie ogara. W dali ucichły znajome dźwięki dworskiego dzwonu. Słyszał tylko dzwoneczki uprząży i tętent kopyt.

Nad południowym horyzontem świeciły nisko Bataliksa i Freyr. Duże i małe słońce wśród pni drzew. Dotarłszy do wiejskiego gościńca, Luterin zwrócił się do nich plecami. Rok po roku Freyr zniżał się na niebie Sibornalu, doprowadzając ludzi do szaleństwa. Nadchodził kres znajomego świata.

Pot na jego piersi stygł błyskawicznie. Luterin odzyskał siły i zamierzał nadrobić stracony czas, oddając się zalotom i łowom niczym krety. Mógł dotrzeć na muslangu na skraj nieprzebytego boru kaspiańców, sięgającego do najdalszych zakamarków gór. Niedługo zapuści się w owe lasy, utonie w nich, rozkoszując się własną podstępnością, jak zwierzę wśród zwierząt. Ale najpierw utonie w objęciach Insil Esikananzi.

Roześmiał się.

— Masz w sobie coś dzikiego, chłopcze — rzekł ongiś ojciec, gdy Luterin coś zbroił. Patrzył na syna właściwym sobie chłodnym wzrokiem, położywszy mu dłoń na ramieniu, jakby chciał oszacować miarę dzikości w jego ciele.

Luterin spuścił oczy, nie mogąc znieść tego spojrzenia. Czyż można kochać syna, który boi się odezwać przed obliczem ojca?

Między nagimi drzewami ukazały się w dali szare dachy klasztorów. Nie opodal znajdowała się brama majątku Esikananzich. Wyczuwając, że musłang opada z sił, Luterin pozwolił mu przejść w kłus. Zwierzę szykowało się do snu zimowego. Musłangi staną się wnet bezużyteczne jako wierzchowce. Pora ujeżdżać odporne, lecz wytrzymałe jajaki. Kiedy niewolnik otworzył bramę, musłang przeszedł przez nią stępa. Z przodu dobiegał znajomy głos dzwonu Esikananzich, ledwo słyszalny w porywach wiatru.

Luterin modlił się do Boga Azoiaxica, by ojciec nie dowiedział się o jego stosunkach z samicami Ondodów, o wszeteczeństwach, jakich się dopuścił na krótko przed chorobą. Ondodki dawały mu to, czego odmawiała jak dotąd Insil.

Musi oprzeć się pokusie. Jest mężczyzną. Na skraju puszczy stały obskurne chaty, dokąd chodził wraz z kolegami ze szkoły, między innymi z Umatem Esikananzim, by zadawać się z bezwstydnymi ośmiopalczystymi wiedźmami przybyłymi z samego serca boru. Mówiono, że sypiają również z samcami fagorów. Cóż, więcej się to nie powtórzy. Należy to do przeszłości, podobnie jak śmierć brata. I podobnie jak o śmierci brata, trzeba o tym zapomnieć.

Dwór Esikananzich nie odznaczał się urodą. Cechowała go przede wszystkim toporność. Wzniesiono go, by opierał się brutalnym atakom północnego klimatu. Podstawę stanowił rząd ślepych łuków i dopiero na pierwszym piętrze zaczynały się wąskie prześwity zamknięte ciężkimi okiennicami. Budynek miał kształt ściętej piramidy. Dzwon brzmiał niewyraźnie, jakby dochodził z granitowego serca gmachu.

Luterin zsiadł z musłanga, wszedł po schodach i pociągnął za dzwonek u drzwi.

Był barczystym młodzieńcem odznaczającym się wysokim wzrostem właściwym Sibornalczykom. Jego okrągła twarz wydawała się stworzona do wesołości, choć teraz, przed spotkaniem z Insil, zmarszczył brwi i zacisnął wargi. Napięcie malujące się na jego twarzy upodobniło go do ojca, mimo że oczy, szare i przejrzyste, różniły się bardzo od ciemnych nieprzeniknionych źrenic rodzica.

Jasnoruda kędzierzawa czupryna opadająca na szyję kontrastowała wyraźnie ze schludną fryzurą ciemnowłosej dziewczyny, przed której oblicze go zaprowadzono.

Insil Esikananzi była urodzoną arystokratką. Przemawiała ostro i wyniośle. Szydliła. Kłamała. Udawała bezbronną, lecz stawiała się władczą, jeśli miała z tego korzyść. Jej chłodny uśmiech nie wyrażał uczuć, lecz stanowił raczej ustępstwo na rzecz dobrych manier. Z nieprzeniknionej twarzy spoglądały fiołkowe oczy.

Szła korytarzem z dzbanem wody w dłoniach. Zbliżywszy się do Luterina, uniosła pytająco podbródek, jakby coś ją zdumiało. Kapryśny charakter Insil wydawał się Luterinowi niezmiernie pociągający.

Byli zaręczeni zgodnie z umową zawartą przez ich ojców w chwili narodzin Insil, by scementować sojusz dwóch najpotężniejszych rodów w okolicy.

Kiedy znaleźli się sam na sam, Luterina omotała natychmiast dawna sieć sekretów, pajęczyna melancholii, jaką snuła wokół siebie Insil.

— O, Luterinie, widzę, że stanąłeś na nogi. Jak cudownie! I niczym wytworny narzeczony uperfumowałeś się aromatem musłangów, nim złożyłeś wizytę przyszłej małżonce. Urosłeś leżąc w łożu, zwłaszcza w talii.

Chciał ją objąć, lecz zasłoniła się dzbanem. Otoczył ramieniem jej smukłą kibić, a ona poprowadziła go olbrzymimi ponurymi schodami, gdzie wisiały portrety antenatów rodu. Skurczeni ze starości, patrzyli przed siebie martwym wzrokiem.

— Nie drwij ze mnie, Sil. Niedługo znów zeszcupleje. Jak dobrze wrócić do zdrowia!

Na każdym stopniu dźwięczał lekko jej dzwoneczek.

— Mama jest taka słaba... Ciągle choruje. Moja szczupłość to oznaka choroby, nie zdrowia. Masz szczęście, że przyjechałeś, gdy moi nudni rodzice i równie nudni bracia, wraz z twoim druhem Umatem, uczestniczą w jakiejś nudnej ceremonii. Pewnie się spodziewasz, że ci się oddam? Oczywiście podejrzewasz, że w czasie twojego rocznego snu zimowego gziłam się na sianie z chłopcami stajennymi, synami niewolników.

Poprowadziła go korytarzem wyłożonym wytartymi madyjskimi dywanami, pod którymi skrzypiała podłoga. Szła blisko, nieziemska w szarym świetle wpadającym przez szpary w okiennicach.

— Czemu dręczysz moje serce, Insil, skoro należy do ciebie?

— Nie potrzebuję twojego serca, tylko duszy. — Roześmiała się. — Nie trać otuchy. Uderz mnie, jak to robi ojciec. Czemu nie? Czyż kara nie jest istotą życia?

— Kara?! — spytał gorąco. — Posłuchaj, pobierzemy się i uczynię cię szczęśliwą. Pojedziemy razem na łowy. Nic nas nie rozłączy. Zapijemy się w najbliższe ostępy...

— Wiesz, że bardziej od lasów interesują mnie komnaty. Przystanęła z dłonią na klamce, uśmiechając się prowokująco, wysuwając ku Luterinowi drobne piersi zakryte płótnem i koronkami.

— Świat nie jest taki zły, Sil. Nie śmieję się. Czemu traktujesz mnie jak głupca? Znam cierpienie równie dobrze jak ty. Cały mój rok spędzony w łożu, czyż to nie najgorsza kara, jaką można sobie wyobrazić?

Insil przyłożyła mu palec do podbródka i przesunęła ku górnej wardze.

— Twój paraliż pozwolił ci sprytnie uniknąć czegoś jeszcze gorszego: życia pod władzą naszych autokratycznych rodziców, w naszym autokratycznym społeczeństwie, gdzie ty na przykład musisz spółkować z nieлюдźmi, by znaleźć zaspokojenie...

Uśmiechnęła się, widząc rumieniec Luterina, i ciągnęła słodziutko:

— Nie rozumiesz, dlaczego cierpisz? Zarzucałeś mi często, że cię nie kocham, i może to prawda, ale czyż nie troszczę się o ciebie bardziej niż ty sam?

Rozmowa z Insil stanowiła udrękę.

— O co ci chodzi?

— Twój ojciec jest w domu czy na łowach?

— Jest we dworze.

— O ile pamiętam, wrócił z polowania zaledwie dwa dni przed śmiercią twojego brata. Dlaczego Favin popełnił samobójstwo? Podejrzewam, że wiedział coś, czego ty nie chcesz wiedzieć.

Nie spuszczać z Luterina ciemnych oczu, otworzyła drzwi za swoimi plecami. Stali na progu w promieniach słońca, bliscy, a jednak dalecy. Luterin porwał Insil w ramiona, drżąc na myśl, że jest mu równie potrzebna jak zawsze i równie tajemnicza.

— Co wiedział Favin? Co powinienem wiedzieć ja?

Oznaką władzy Insil nad Luterinem było to, że stale zadawał jej pytania.

— Twój paraliż wywołało właśnie to, co wiedział twój brat, a nie jego samobójstwo, jak się wszystkim wydaje.

Miała dwanaście lat i kwadrę i do niedawna była jeszcze dzieckiem, choć napięcie w jej gestach czyniło ją na pozór znacznie starszą. Uniosła brwi na widok zdumienia Luterina.

Wszedł za nią do komnaty. Chciał zadawać dalsze pytania, lecz milczał onieśmielony.

— Skąd to wiesz, Insil? Wymyśliłaś to wszystko, żeby się wydawać tajemniczą. Wiecznie zamknięta w tych komnatach...

Postawiła dzban na stole, na którym leżał bukiet zebranych wcześniej białych kwiatów. Ich kielichy odbijały się niewyraźnie w politurze blatu.

— Postaram się tak cię wychować, żebyś nie wyrósł na jednego z nich... — rzekła jakby do siebie.

Podeszła do okna obramowanego ciężkimi brązowymi draperiami sięgającymi od sufitu do podłogi. Chociaż odwróciła się plecami, Luterin czuł, że nie patrzy na dwór. Światło dwóch słońc, padające z różnych stron, czyniło ją zwiewną, nieziemską, a jej cienie na posadzce wydawały się bardziej materialne od niej. Znowu miał przed sobą nieuchwytną Insil.

Nigdy przedtem tu nie wchodził. Była to typowa komnata Esikananzich, przeładowana ciężkimi meblami. Unosił się w niej dziwny odpychający zapach. Może był to tylko skład mebli na czas zimy Weyra, gdy nikt nie będzie wyrabiał mebli? W pokoju stała zielona kanapa z rzeźbionymi poręczami i olbrzymia szafa. Wszystkie meble pochodziły z zagranicy: Luterin poznał to po stylu.

Zamknął drzwi i patrzył w zadumie na Insil. Zapomniałszy na pozór o jego istnieniu, napełniła wazon wodą z dzbana i jąła układać bukiet, niedbale przesuwając łądźki smukłymi palcami.

— Moja matka też stale choruje, biedaczka — westchnął Luterin. — Dzień w dzień zapada w pauk i łączy się z duchami swoich rodziców. Insil spojrzała na niego ostro.

— A ty, leżąc w łóżu, nie nabrałeś tego zwyczaju?

— Nie. Mylisz się. Ojciec mi zabronił. Poza tym... poza tym jest coś jeszcze...

Insil przyłożyła ręce do skroni.

— Pauk to rozrywka gminu. Zabobon. Wpadać w trans i schodzić do świata cieni, gdzie gniją ohydne trupy... Brr, to wstrętne. Na pewno tego nie robisz?

— Nigdy. Myślę, że pauk to przyczyna choroby matki.

— A niech cię! Ja uprawiam pauk codziennie. Całuję babkę w usta pełne robaków... — Parsknęła śmiechem. — Nie rób takiej głupiej miny, żartowałam. Brzydzę się trupami i rada jestem, że się z nimi nie zadajesz.

Spojrzała na bukiet.

— Te śnieżniki to znak śmierci świata, nie sądzisz? Zostały już tylko białe pąki, niewidoczne na śniegu. Kiedyś, jak podają kroniki, w Kharnabharze kwitły różnobarwne kwiaty.

Z rezygnacją odsunęła wazon. W głębi białych kielichów widać było złociste cienie, które zmieniały się na pręcikach w szkarłatne kropki, symbol znikającego słońca.

Luterin podszedł do Insil po wzorzystej posadzce.

— Usiądź koło mnie na kanapie i porozmawiajmy o czymś przyjemnym.

— Masz zapewne na myśli klimat: pogarsza się tak szybko, że nasze wnuki, jeśli przyjdą na świat, spędzą życie w półmroku odziane w skóry zwierzęce. Będą pewnie warczeć jak niedźwiedzie... Miły temat, nie powiem.

— Ależ nonsensy opowiadasz!

Luterin skoczył ze śmiechem ku Insil i chwycił ją w ramiona. Gorączkowo wypowiadał pieszczotliwe słowa, a ona pozwalała mu ciągnąć się w stronę kanapy.

— Oczywiście nie wolno ci mnie pościć, Luterinie. Możesz mnie obmacywać jak poprzednio, lecz nic ponadto. Chyba nigdy nie pozwolę, żebyś poszedł ze mną do łóżka. Gdybym się na to zgodziła, nasyciłbyś żądze i przestałabym cię interesować.

— To kłamstwo, kłamstwo...

— Przyjmijmy to za prawdę, jeśli mamy być szczęśliwi w małżeństwie. Nie wyjdę za mężczyznę zaspokojonego.

— Nigdy się tobą nie znudzę...

Kiedy to mówił, jego dłoń zapuszczała się coraz głębiej w szaty Insil.

— Najazd obcych wojsk — westchnęła, całując Luterina i wsuwając mu do ust czubek języka.

W tejże chwili otworzyła się gwałtownie szafa i wyskoczył z niej młodzieniec o ciemnej karnacji Insil. Jego furia dorównywała bierności siostry. Był to Umat, który wywijał mieczem i krzyczał:

— Siostrze, siostrze! Nadchodzi odsiecz! Oto twój wybawca, który ocali od hańby nasz ród! Co to za potwór?! Czy nie wystarcza mu rok w łóżu?! Czy zaraz po wstaniu musi szukać najbliższej kanapy?! Szelma! Gwałciciel!

— Ty przebiegły szczurze! — zawołał Luterin. Podbiegł z furią do Umata, wytrącił mu z ręki drewniany miecz i zaczęli się wściekle mocować. W czasie długiej choroby Luterin stracił siły i przyjaciel powalił go na ziemię. Kiedy Luterin się podniósł, Insil zdążyła już opuścić komnatę.

Podbiegł do drzwi. Zniknęła w ciemnych zakamarkach dworu. W czasie walki wazon spadł na posadzkę i stłukł się.

Dopiero jadąc stępa w stronę gościńca, przygnębiony Luterin pomyślał, że to Insil mogła zaaranżować całą scenę. Opuściwszy majątek Esikananzich, skręcił w prawo i zamiast jechać do dworu, ruszył do wioski napić się czegoś w gospodzie Icen.

Kiedy Luterin zdążył do domu, wiedziony żałobnymi dźwiękami dzwonu Shokeranditów, Bataliksa wisiała nisko nad horyzontem. Padał śnieg. Szary świat opustoszał. W zajeździe słyszało się głównie żarty i utyskiwania na ostatnie edykty Oligarchy, takie jak godzina policyjna. Dekrety te miały przygotować ludność Sibornalu do nadchodzącej zimy.

Banalne rozmowy mierziły Luterina. Ojciec nie mówiłby nigdy o takich rzeczach, przynajmniej nie w obecności jedyne go żyjącego syna.

Długą sień dworu oświetlały lampy gazowe. Kiedy Luterin odpinał od pasa swój dzwoneczek, podszedł doń niewolnik, który skłonił się i oznajmił, że pragnie się z nim zobaczyć sekretarz ojca.

— A gdzie jest rodzic? --- spytał Luterin. Dzierżyciel Shokerandit wyjechał, paniczu.

Luterin popędził gniewnie schodami i otworzył drzwi do pokoju sekretarza, który był jednym z domowników. Krogulczy nos, proste brwi, niskie czoło i zmierzwione włosy czyniły go podobnym do kraka. Jego gniazdo stanowiła wąska komnata wyłożona boazerią z szufladkami, gdzie leżały setki tajnych dokumentów. Biegły stąd niezliczone sekretne nici, których natury Luterin nawet się nie domyślał.

— Wasz rodzic wyruszył na łowy, paniczu — oznajmiło upiorne ptaszysko tonem, w którym czołobitność mieszała się z wyrzutem. — Ponieważ nie można było was znaleźć, musiał wyjechać bez pożegnania.

— Czemu nie pozwolił mi sobie towarzyszyć? Wie, że kocham polowania. Może zdołam go dogonić. Dokąd podążył jego poczet?

— Powierzył mi list do was, paniczu. Lepiej, byście go przeczytali, nim odjedziecie.

Sekretarz wyjął dużą kopertę. Luterin wyrwał mu ją ze szponów, rozdarł i przeczytał list napisany dużym, starannym charakterem ojca:

Drogi Synu!

Może się zdarzyć, iż w przyszłości obejmiesz po mnie urząd Dzierżyciela Koła. Jak Ci wiadomo, łączy on w sobie obowiązki świeckie i duchowne.

Kiedy przyszedłeś na świat, zawieziono Cię do Rivenjk, gdzie pobłogosławił Cię najwyższy kapłan Kościoła Krwawego Pokoju. Ufam, że umocniło to bogobojną stronę Twojej natury. Okazałeś się posłusznym synem, w którym znalazłem ukontentowanie.

Nadeszła pora umocnić stronę świecką. Jak przystoi starszym synom, Twój brat uzyskał patent oficerski w armii. Powinieneś pójść w jego ślady, zwłaszcza że w perspektywie ogólnościatowej (o której nie masz jak dotąd pojęcia) dzieje Sibornalu zbliżają się do punktu zwrotnego.

W związku z tym powierzyłem sekretarzowi pewną sumę pieniędzy, która zostanie ci wręczona. Udasz się do Askitosh, stolicy naszego dumnego kontynentu, gdzie wstąpisz do wojska w randze porucznika. Zamelduj się u arcykapłana wojny Asperamanki, który zna Twoją sytuację.

Wydałem rozkaz, aby przed Twym odjazdem wystawiono maskę na Twoją cześć.

Masz wyruszyć nie zwlekając i okryć chwałą ród Shokeranditów.

Twój ojciec

Luterin oblał się rumieńcem czytając rzadkie pochwały rodzica. Chociaż miał liczne wady, ojciec był zeń zadowolony i raczył uhonorować go maską!...

Szczyście przygasło, gdy przypomniał sobie, że ojciec nie będzie obecny na przedstawieniu. Nieważne. Wstąpi do armii i wykona każdy rozkaz. Rodzic będzie zeń dumny.

Chwale wojennej może nie oprzeć się nawet Insil.

Maskę wystawiono w sali balowej dworu Shokeranditów w wigilię odjazdu Luterina na południe.

Majestatyczne postacie we wspinających kostiumach odgrywały z góry określone role. Przedstawiano znaną opowieść o niewinności i zbrodni, o żądzy posiadania, o dwuznacznej roli wiary w życiu człowieka. Niektórym bohaterom przypadło w udziale dobro, innym zło. Wszyscy podlegali potężnym prawom, na które nie mieli wpływu. Muzykanci, pochyleni nad instrumentami, podkreślali matematyczne prawidłowości rządzące światem.

Orkiestra stwarzała klimat surowego miłosierdzia, skłaniający do interpretowania spraw ludzkich w oderwaniu od potocznych kategorii optymizmu i pesymizmu. W motywach muzycznych towarzyszących opowieści o kobiecie, którą zmuszono, by oddała się zniechęconemu władcy, oraz o mężczyźnie nie potrafiącym opanować swoich niskich instynktów, wrażliwsza część widzów wyczuwała fatalistyczne przekonanie, że nawet najsilniejsze indywidualności są tworem środowiska, podobnie jak pojedyncze nuty stanowią część nadrzędnej harmonii. Interpretację tę podkreślała koturnowa gra aktorów.

Publiczność witała niektórych uprzejmymi oklaskami, innych śledziła bez specjalnego zainteresowania. Znali dobrze swoje role, lecz nie dorównywali widzom pod względem dostojności.

Mężowie stanu, arystokraci, dygnitarze kościelni, fagory, monstra, alegorie miłości, nienawiści, zła, namiętności, strachu i czystości odegrali swoje role i zniknęli.

Scena opustoszała. Zapadła ciemność. Muzyka ucichła.

Jednakże dramat Luterina Shokerandita dopiero się zaczynał.

I. OSTATNIA BITWA

Trawa rosła pomimo wiatru, gdyż taką miała naturę. Trawa kłaniała się wiatrom. Jej korzenie rozrastały się pod ziemią, umacniając glebę i nie pozwalając się rozkrzewić innym roślinom. Trawa rosła zawsze. To lodowaty wicher pojawił się niedawno.

Po niebie płynęły ławice szarych i czarnych obłoków, przygnane przez potężne powiewy z północy. Nad odległymi górami padał z nich deszcz i śnieg. 'Tutaj, na stepach Chalce, chmury po prostu powlekały niebo. Jego szarość współgrała z szarością krajobrazu.

Aż po horyzont ciągnęły się rzędy falistych wzgórz. Widać było tylko rozkołysane trawy. Na niektórych kępach rosły żółtawe kwiatki falujące na wietrze niczym futro leżącego zwierzęcia. Jedyny drogowskaz stanowiły nieliczne kamienne słupy milowe. Od południa porastał je czasem szarozółty mech. Tylko bystre oczy zdołałyby dostrzec w trawie niewidoczne tropy zwierząt, które wychodziły z kryjówek nocą lub w okresie szarówki, gdy nad horyzontem świeciło tylko jedno słońce. Pustką w ciągu dnia tłumaczyła obecność samotnych jastrzębi kołujących na nieboskłonie na nieruchomych skrzydłach. Główny szlak przez stepy stanowiła rzeka płynąca na południe ku odległemu morzu. Głęboka i powolna, wydawała się wręcz zastygła. Miała barwę wyblakłego nieba.

Z północnej części owej niegościennej krainy przybyło stado arangów. Długonogie zwierzęta, pokrewne kozicom, podążały leniwie wzdłuż krętej rzeki. Stada pilnowało sześć psów z zakręconymi rogami. Nad zapracowanymi asokinami sprawowało pieczę sześciu pasterzy na mustangach. Od czasu do czasu stawali w strzemionach, by urozmaicić sobie drogę. Odziani byli w skóry zwierzęce przepasane rzemieniami.

Jeźdźcy oglądali się często za siebie, jakby obawiali się pogoni. Podróżowali wolno, porozumiewając się z asokinami za pomocą okrzyków i gwizdów, które rozchodziły się daleko po stepie, dobrze słyszalne wśród meczenia arangów. Pasterze zerkali do tyłu, jednakże posępny północny horyzont pozostawał pusty.

Z przodu, w zakolu rzeki, pojawiły się ruiny osady ludzkiej, skupisko kamiennych chat bez dachów. Największy budynek przypominał pustą skorupę. Wśród kamieni rosły poplątane chwasty, które wyglądały z oczodołów okien.

Pasterze ominęli ruiny z daleka w obawie moru. Rzeka, skręcająca łagodnie, rozdzielała nieopodal terytoria, o które toczono odwieczne spory. Zaczynała się tu kraina zwana Hazzizem, najbardziej na północ wysunięta część równinnego Kampanlatu. Psy pognały arangi drogą wzdłuż brzegu rzeki. Zwierzęta dreptały prędko gęsiego.

Po pewnym czasie dotarły do szerokiego, solidnego mostu, którego łuki spinały pomarszczoną toń. Dwie mile dalej, na północnym brzegu, znajdowała się kolista osada zwana Isturiachą.

Dźwięk trąbki oznajmił pasterzom, że ich dostrzeżono. Osady strzegły czarne armaty Sibornalu.

— Witajcie! — zawołali wartownicy. — Co widzieliście na północy? Czy spotkaliście wojsko?

Pasterze zagnali arangi do przygotowanych zagród.

Kamienne chaty i stodoły tworzyły kolistą pierścień obronny, chroniący gospodarstwa, gdzie uprawiano rolę i hodowano bydło. Pośrodku stała wysoka świątynia, otoczona przez koszarowe budynki

administracyjne. W Isturiachy panował nieustanny harmider, który jeszcze się powiększył, gdy pasterzy zaprowadzono do jednego ze środkowych budynków, by pokrzepili się po podróży przez stepy.

Po południowej stronie mostu rzeźba terenu stawała się bardziej urozmaicona. Rosnące tu i ówdzie drzewa świadczyły o większej liczbie opadów. Ziemia usiana była białymi odłamkami przypominającymi z dala okruchy wapienia. Przy bliższym przyjrzeniu okazywały się one fragmentami kości. Rzadko były dłuższe niż sześć cali. Nieliczne zęby lub żuchwy zdradzały, iż są to szczątki ludzi i fagorów. Owe pozostałości dawnych bojów pokrywały wielkie połacie równiny.

Po nieruchomym, posępnym stepie kłusował na jajaku mężczyzna, zbliżając się do mostu od południa. W pewnej odległości za nim podążało dwóch innych. Wszyscy trzej nosili mundury i byli uzbrojeni.

Pierwszy jeździec, niski mężczyzna o ostrych rysach, zatrzymał się w znacznej odległości od mostu i zsiadł z wierzchowca. Sprowadził zwierzę do zagłębienia w ziemi i przywiązał do pnia karłowatego wrzośca. Następnie wspiął się do krawędzi dołu i zaczął oglądać nieprzyjacielską osadę przez lunetę.

Niebawem dołączyli doń dwaj pozostali jeźdźcy. Zsiadli z jajaków i przywiązali je do korzeni uschłej radzababy. Jako starsi rangą stanęli w pewnej odległości od zwiadowcy.

— Isturiachą — rzekł żołnierz, wskazując osadę. Szarże nie odezwały się do niego. One także zlustrowały Isturiachę przez lunetę, rozmawiając ściszymi głosami. Dokonano pobieżnego rekonesansu. Jeden z oficerów, artylerzysta, pozostał w dole na czatach. Jego towarzysz pogalopował ze zwiadowcą, by przekazać informacje armii nadciągającej z południa.

W ciągu dnia równina zarośla się od pieszych, jezdnych, armat i taborów. Wozy ciągnięte były przez jajaki i mniej wytrzymałe musłangi. Kolumny żołnierzy maszerowały w ordynku, w przeciwieństwie do markietanek i ciur obozowych idących bez ładu i składu. Nad niektórymi oddziałami powiewały sztandary Pannowalu, miasta u podnóża gór, i proporce o znaczeniu religijnym.

Dalej jechały wozy szpitalne, kuchnie polowe oraz zapasy furazu i paszy dla zwierząt biorących udział w wyprawie.

Chociaż tysiące żołnierzy stanowiły tylko tryby w maszynie wojennej, każdy z nich przeżywał niepowtarzalne wydarzenia, patrząc na rzeczywistość przez pryzmat swoich przygód.

Jedna z takich przygód przytrafiła się artylerzyście czekającemu wraz z rumakiem koło złamanej radzababy. Leżał w milczeniu, obserwując przedpole, gdy nagle rzenie jajaka kazało mu odwrócić głowę. Do uwiązanego zwierzęcia zbliżyły się cztery drobne postacie sięgające oficerowi zaledwie do piersi. Wynurzywszy się z dziury w ziemi u podstawy martwego drzewa, najwyraźniej nie zauważyły artylerzysty.

Istoty te przypominały ludzi o cienkich nogach i drobnych ramionach. Ich ciała porastała rudawa sierść, która wydłużała się na nadgarstkach, zakrywając ośmiopalczaste dłonie. Pyski stworów były podobne do psich.

— Nondadzi! — wykrzyknął oficer. Natychmiast ich poznał, choć widywał ich tylko w niewoli. Przerażony jajak zaczął wierzgać. Kiedy dwaj Nondadzi rzucili się zwierzęciu do gardła, oficer wyciągnął dwulufowy pistolet i zamarł.

Spomiędzy prastarych korzeni wynurzyła się głowa nowej postaci, która wysunęła ramiona nad ziemię, wygramoliła się na powierzchnię, otrząsnęła pył z gęstego futra i ryknęła.

Fagor był wyższy od Nondadów. Na szczycie jego ogromnego kwadratowego łba sterczały dwa cienkie rogi skierowane do tyłu. Wyswobodziwszy tułów z podziemnej jamy, poruszył tępy pyskiem i wbił ślepia w skulonego oficera. Trwał przez chwilę w bezruchu, zastrzygł uchem, a później pochylił łeb i rzucił się w stronę człowieka.

Artylerzysta przewrócił się na wznak, ujął pistolet obiema rękami i wypalił z obydwu luf prosto w brzuch bestii. Na sierści wykwitła nieregularna plama złocistej krwi, jednakże fagor szarżował dalej. Otworzywszy ohydny pysk, obnażył żółtawe ostre zęby osadzone w żółtych dziąsłach. Kiedy oficer zrywał się na nogi, fagor zderzył się z nim z pełną siłą. Toporne trójpalczaste łapy zacisnęły się wokół ciała człowieka.

Artylerzysta walił bez końca kolbą w grubą czaszkę.

Uchwyt zelżał. Beczkowate cielsko stoczyło się na bok. Pysk uderzył w ziemię, bestia wstała z potwornym wysiłkiem i zaryczała. Wreszcie runęła ponownie na trawę.

Oficer ukląkł, chwytając ustami powietrze i dławiąc się ciężkim, mlecznym odorem dwurożca. Musiał się oprzeć o bark fagora. Po grubym futrze pokrywającym ciało bestii skakały kleszcze, przeżywające własne przygody. Niektóre uczepliły się rękawa oficera.

Udało mu się wstać. Dygotał. Nie opodal dygotał jego wierzchowiec, krwawiący z zadrapań na szyi. Nondadzi zniknęli: uciekli do swoich podziemnych nor, do krainy zwanej Osiemdziesięciu Mrokami. Artylerzysta przyszedł po chwili do siebie i wsiadł na jajaka. Słyszał o sojuszu fagorów z Nondadami, lecz nie spodziewał się, że przekona się o nim na własnej skórze. Pod ziemią mogło się kryć więcej potworów...

Krztusząc się odjechał, by odnaleźć swój oddział.

Armia Pannowalu, do której należał, prowadziła działania wojenne od dłuższego czasu. Niszczyła osady Sibornalczyków położone na terenach uważanych za pannowalskie. Przeprowadziła już szereg udanych wypadów, poczynwszy od zdobycia Roonsmoor. Po zrównaniu z ziemią wrogiej osady żołnierze maszerowali dalej na północ. Czekali ich już tylko oblężenie Isturiachy. Należało ją zniszczyć przed końcem małego lata.

Osiedla, zamieszkane przez zaściankowe społeczności rolnicze, rzadko udzielały sobie pomocy. Zakładały je różne plemiona Sibornalu, toteż padały one po kolei łupem najeźdźców. Rozproszone oddziały pannowalskie mogły się obawiać jedynie fagorów, które pojawiały się coraz liczniej w miarę ochładzania się klimatu. Przygoda artylerzysty nie była niczym nadzwyczajnym.

Kiedy oficer dołączył do swoich towarzyszy, spomiędzy pędzących obłoków wyrzało wyblakłe słońce, które zaszło wśród krwawej łuny. Chociaż zniknęło za horyzontem, świat nie pograżył się w mroku. Nisko na południu płonęło drugie słońce, Freyr. Kiedy błyskało wśród ławic chmur, ludzie rzucali ostre cienie jak palce wskazujące na północ.

Odwieczni wrogowie przygotowywali się z wolna do bitwy. Daleko za armią sunącą mozolnie po równinie leżał na południowym zachodzie Pannowal, metropolia, skąd wyruszyło wojsko. Pannowal znajdował się w paśmie wapiennych gór Quzint przecinających tropikalny kontynent Kampanlatu.

Wiele plemion Kampanlatu uznawało zwierzchność Pannowalu wskutek więzów dynastycznych lub religijnych. Jednakże jedność była zawsze tymczasowa, pokój kruchy, plemiona zaś toczyły ze sobą ciągłe wojny. Stąd miano Barbarii, jakie nadali Kampanlatowi wrogowie zewnętrzni.

Głównym wrogiem Kampanlatu był Sibornal, kraina położona na północy. Surowość klimatu powodowała, że plemiona Sibornalu zachowały spoistość. Rywalizowano w ukryciu. W ciągu wieków Sibornalczyki podążali przesmykiem Chalce na południe ku żyznym łąkom Barbarii.

Na południu leżał jeszcze trzeci kontynent, Hespagorat. Strefę umiarkowaną pokrywały oceany. Oceany i kontynenty składały się na planetę Helikonię, czyli Hrl-Ichor-Yhar, jak nazwali ją pierwotni mieszkańcy, dwurożce, określane także mianem ancypitów.

Kiedy armie Kampanlatu i Sibornalu przygotowywały się do rozstrzygającej bitwy pod Isturiachą, na Helikonii zbliżała się zima.

Helikonja, planeta układu gwiazd podwójnych, obiegała swoje słońce macierzyste, Bataliksę, w ciągu czterystu osiemdziesięciu dni. Jednakże sama Bataliksa krążyła wokół znacznie większej gwiazdy, Freyra, głównego elementu układu. Bataliksa oddalała się właśnie po eliptycznej orbicie od Freyra. Od dwu wieków trwała jesień planetarna. Nadchodzące stulecia miały przynieść mrok, mrozy i milczenie.

Nawet najędźniejszy chłop zdawał sobie sprawę, że klimat stopniowo się pogarsza. Świadczyła o tym nie tylko pogoda. Znowu szerzyła się zaraza zwana tłustą śmiercią. Dwurożce, zwane pospolicie fagorami, wyczuły zbliżanie się sprzyjającej pory, gdy warunki upodobiły się do pierwotnych. Wiosną i latem nieszczęsne stwory żyły pod butem człowieka; teraz, w chłodnym schyłku Wielkiego Roku, gdy ludzie zaczęli wymierać, zamierzały odzyskać utraconą władzę — chyba że zjednoczona ludzkość zdoła je powstrzymać.

Na planecie istnieli ludzie obdarzeni potężną wolą, którzy potrafiliby wyrwać masy z apatii. Jeden z nich panował w Pannowalu, drugi, okrutniejszy, w Askitosh, stolicy Sibornalu. Jednakże na razie prowadzili oni ze sobą wojnę.

Dlatego Sibornalczyki mieszkający w Istni Kichy przygotowywali się do oblężenia, wyglądając odsiecz z północy. Dlatego w osadę wycelowano armaty Pannowalu i jego sojuszników.

Zarówno w awangardzie, jak i ariergardzie mieszanej armii Pannowalu panowało rozprężenie. Zgrzybiały marszałek sprawujący dowództwo nie potrafił powstrzymać oddziałów, które splądrowały inne osady Sibornalczyków, od powrotu z łupami do domu. Wezwano inne jednostki, by zastąpiły dezertersów. Działa Isturiachy otworzyły tymczasem ogień do Pannowalczyków.

Bum. Bum. Bum. Między żołnierzami z Randonanu w południowej części Barbarii jęły pękać kartacze.

Armia Pannowalu składała się z wielu plemion. Byli tam dzicy harcownicy z Kace, maszerujący, śpiący i walczący wraz z fagorami o odpiłowanych rogach; rośli mężowie o kamiennych twarzach, przybyli w spódniczkach z Brasterl w Barrierach Zachodnich; plemiona z Mordriat ze swymi jaskrawymi totemami; a także silny oddział z Borldoranu, połączonego królestwa Oldorando i Borlien, najpotężniejszego sojusznika Pannowalu. Tusza niektórych żołnierzy świadczyła, że przeżyli oni tustą śmierć.

Aby walczyć u boku towarzyszy, Borldorańczycy przeszli wysokie, wietrzne przełęcz gór Quzint. Niektórzy zachorowali i wrócili do kraju. Reszta chorągwi, śmiertelnie znużona, nie mogła napić wierzchowców, gdyż dostęp do rzeki zablokowały jednostki przybyłe wcześniej.

Kłótnia nabierała gwałtowności, a tymczasem nie opodał rozrywały się kartacze Isturiachy. Pułkownik Borldorańczyków udał się na skargę do marszałka. Był zuchwałym młodym człowiekiem, który niedawno objął dowództwo; miał sumiaste wąsy starego wiarusa i przygarbione plecy. Nazywał się Bandal Eith Lahl.

Sandałowi Eithowi Lahlowi towarzyszyła urodziwa młoda żona, Toress Lahl. Była lekarką i chciała zwrócić uwagę na brud wśród żołnierzy. Szła dyskretnie kilka kroków za mężem, a jej suknie wlokły się po ziemi.

Zameldowali się w namiocie marszałka. Wyszedł stamtąd zatroskany adiutant.

— Marszałek jest niedysponowany, pułkowniku. Dziś nie może pana, niestety, przyjąć, lecz ma nadzieję wysłuchać pańskiej skargi jutro.

— Jutro?! — wykrzyknęła Toress Lahl. — Czy tak przemawia żołnierz na polu bitwy?!

— Proszę powiedzieć marszałkowi, że pod takim dowództwem nasza armia może nie doczekać jutra — rzekł Bandal Eith Lahl.

Szarpnąwszy gniewnie wąs, wrócił z żoną do oddziału, gdzie przekonał się, że Borldorańczycy także znaleźli się pod ogniem z Isturiachy. Toress Lahl spostrzegła, że nad równiną zaczynają się gromadzić złowieszce kraki.

Plemiona Kampanlatu nie posiadały umiejętności organizacyjnych Sibornalczyków ani ich karności. Mimo to wyprawę przygotowano dobrze. Oficerowie i żołnierze wyruszyli w drogę pełni otuchy, przekonani o słuszności sprawy. Południowy kontynent należało uwolnić od najeźdźców z północy.

Obecnie zapął nieco ostygł. Ci, co mieli ze sobą kobiety, kochali się z nimi w obawie, że to ostatnia po temu okazja. Inni pili na umór. Oficerowie także stracili entuzjazm do słusznej sprawy. Isturiacha nie była miastem wartym zdobywania: łupy ograniczą się do niewolników, grubych bab wiejskich i narzędzi rolniczych.

Sztab również nie był w dobrym nastroju. Marszałek otrzymał wiadomość, iż z Nyktryhku, wielkiego skupiska łańcuchów górskich, nadciągają hordy dzikich fagorów zamierzające opanować równinę. W rezultacie głównodowodzący doznał ataku duszniczy bolesnej.

Panowała powszechna opinia, że Isturiachę należy zdobyć jak najszybciej i przy jak najmniejszym ryzyku. Później armia może powrócić bezpiecznie do kraju.

Tyle o powszechnych opiniach. Znów weszło mniejsze słońce, Bataliksa, a przedmioty zaczęły rzucać złowrogie cienie.

Z północy nadciągała armia Sibornalu.

Bandal Eith Lahl wskoczył na wóz i spojrział przez lunetę na dalekie zastępy nieprzyjaciół, słabo widoczne w świetle dnia.

Zawołał posłańca.

— Pędź co tchu do marszałka. Obudź go za wszelką cenę. Powiedz mu, że musimy zdobyć Isturiachę, nim nadejdzie odsiecz.

Isturiacha leżała na południowym krańcu wielkiego przesmyku Chalce, łączącego równikowy Kampannlat z podbiegunowym Sibornalem. Wzdłuż wschodniego brzegu Chalce wznosił się łańcuch górski. Chcąc się przedostać z kontynentu na kontynent, należało przejechać suchy step rozciągający się od dżdżystej, lecz bezpiecznej Koriantury na północy, aż do zdradliwej Isturiachy.

Tradycyjne uprawy rolne Kampannlatu nie udawały się na stepie, toteż nie zadomowili się tam także południowi bogowie. Cokolwiek rodziło się w owym chłodnym regionie, nie służyło Barbarii.

Kiedy świeży poranny wiatr rozproszył mgłę, można było policzyć zastępy żołnierzy. Maszerowali oni falistymi wzgórzami na północ od osady, podążając nadrzeczną drogą, którą poprzedniego dnia przyjechali pasterze arangów. Kraki krążące nad armią Pannowalu mogłyby znaleźć się nad przybyszami w ciągu kilku minut, gdyby zechciały zmienić o włos nachylenie skrzydeł.

Słabowity marszałek wyszedł z namiotu wsparty na ramieniu adiutanta i spojrzął na północ. Chłodny wiatr szczypał go w oczy; głównodowodzący ocierał z roztargnieniem łzy, obserwując zbliżającego się nieprzyjaciela i wydając ochryplym szeptem rozkazy ponuremu podkomendnemu.

Oddziały wroga cechowała karność niespotykana w wojskach Barbarii. Piechotę sibornalską ubezpieczała kawaleria jadąca stępą. Widać było zaprzęgi ciągnące armaty. Za działami turkotały jaszczyki. Ariergardę stanowiły tabory i kuchnie polowe. Monotonny krajobraz wypełniały coraz to nowe kolumny, które skręcały na południe, jakby naśladowały leniwą rzekę. Żaden z zaniepokojonych żołnierzy Kampannlatu nie miał wątpliwości, skąd przybyły i dokąd zmierzały.

Adiutant zgrzybiałego marszałka wydał pierwszy rozkaz. Żołnierze i ciury obozowe, niezależnie od wyznania, mieli odprawić modły za zwycięstwo Kampannlatu w nadchodzącej bitwie. Przeznaczono na to cztery minuty.

Pannowal był ongiś nie tylko potężnym miastem, lecz także ośrodkiem religijnym, którego CSarr panował nad większością kontynentu, narzucając swoją wiarę państwu ościennym. Jednakże czterysta siedemdziesiąt osiem lat przed bitwą pod Isturiachą Wielki Bóg Akhanaba został pokonany w legendarnym pojedynku i opuścił świat w słupie ognia, zabierając ze sobą ówczesnego króla Oldorando i ostatniego CSarra, Kilandara Dziewiątego.

Religia rozpadła się później na masę drobnych sekt. W tysiąc trzysta ósmym roku kalendarza Sibornalu Pannowal zwano krainą tysiąca kultów. Ludzie przestali rozumieć swój świat. W godzinie próby wzywali niezliczonych bogów, a każdy modlił się o własne ocalenie.

Wydano kubki ognistego napitku. Szarże jęły szykować oddziały do boju.

W południowej części równiny zabrzmiały nierówne głosy trąbek. Wydano rozkaz natychmiastowego szturmu na Isturiachę i zdobycia jej przed nadejściem odsieczy. Nie zważając na ogień kartaczy, przez most zaczęła się przeprawiać z dużą wprawą brygada strzelców.

Poborowi z Kampannlatu wieźli ze sobą całe rodziny. Obok żołnierzy kroczyły kobiety z niemowlętami, którym wyrzynały się ząbki. Marsowemu szczękowi mieczy i łańcuchów towarzyszył brzęk rondli, a piski dzieci mieszały się z jękami rannych. Deptano trawę i kości.

Modlący się ruszyli do boju wraz z tymi, co gardzili modłami. Wybiła godzina walki. Panowało napięcie. Żołnierze bali się śmierci, lecz urodzili się przypadkiem, toteż szczęśliwy przypadek mógł ich także ocalić. Szczęście i przebiegłość.

Tymczasem armia z północy maszerowała spiesznie na południe. Armia trzymana żelazną ręką, z dobrze opłacanymi oficerami i wyćwiczonymi żołnierzami. Rozległy się trąbki, a tempo marszu wyznaczał bęben. Rozwinięto sztandary różnych plemion Sibornalu.

Szły oddziały Loraju i Bribahru, plemiona z Karkampan i barbarzyńcy z Górnego Hazzizu, którzy podczas marszu zatykali sobie wszystkie otwory ciała, by nie opętały ich złe duchy stepów; święty korpus z Shivenink, zarośnięci górale z Kuj-Juvec, a także wiele jednostek z Uskutoshk. Przewodził im ciemnowłosa, śniady Devit Asperamanka, sławny arcykapłan wojny, skupiający w swoim ręku władzę świecką i duchowną.

Wraz z ludźmi szły posępne oddziały fagorów, krzepkie, rogate, zbrojne, podzielone na plutony.

Armia Sibornalu liczyła około jedenastu tysięcy wojowników. Przekroczyła stopy leżące niczym pofałdowana mata u progu Kampanlatu. Dyspozycje wydane w Askitosh nakazywały wesprzeć osady rolnicze oraz pokonać odwiecznego południowego wroga. Zgromadzono w tym celu nieliczne oddziały i doborowe armaty.

Zanim zebrano wojsko, upłynął mały rok. Chociaż Sibornal był z pozoru monolitem, krajem wstrząsały bunty, właśnie plemienne i niepokoje. Niezdecydowanie przejawiało się nawet w wyborze głównodowodzącego. Zmieniał się on kilkakrotnie, nim w końcu mianowano Asperamanę — rzekomo z rozkazu samego Oligarchy. Osiedla, które armia miała wesprzeć, padły tymczasem łupem Pannowalczyków.

Forpoczty wojsk Sibornalu znajdowały się około mili od kolistych murów Isturiachy, gdy przedarła się przez nie pierwsza fala piechoty pannowalskiej. Rolnicy byli zbyt ubodzy, by utrzymywać regularny garnizon, toteż musieli bronić się sami. Szybkie zwycięstwo wojsk Kampanlatu wydawało się pewne. Na nieszczęście najpierw musiały one przepłynąć się przez rzekę.

Na południowym brzegu wybuchł tumult. Dwa rywalizujące oddziały i szwadron kawalerii z Randonanu usiłował przejść jednocześnie przez most. Doszło do sporu o pierwszeństwo. Wywiązała się walka. Jajak ześliznął się wraz z jeźdźcem do wody. Dwuręczne miecze barbarzyńców z Kace szczękały o koncerze Randonńczyków. Rozległy się strzały.

Inne jednostki usiłowały przepłynąć się przy użyciu lin, lecz pokonał je wartki głęboki nurt.

Uczestników tumultu na moście ogarnął niepokój, może z wyjątkiem górali z Kace, którzy przed bitwą wprawiali się w stan odurzenia pabowrem, zdradliwym trunkiem plemiennym. Ogólna niepewność spowodowała kilka nieszczęśliwych wypadków. Wybuch armaty zabił dwóch kanonierów. Zraniony jajak wpadł w szal i ranił porucznika z Matrassyl. Oficer artylerii spadł z wierzchowca do wody, a kiedy go wyłowiono, wystąpiły u niego powszechnie znane straszliwe objawy.

— Mór! — krzyczano wokół. — Tłusta śmierć!...

Wszyscy uczestnicy walki przeżywali nowe, groźne przygody, lecz północny kraniec Kampanlatu już przedtem stanowił arenę podobnych wydarzeń.

Tak jak poprzednio, nic nie przebiegło zgodnie z planem. Isturiacha nie wpadła w ręce oblegających w oznaczonym czasie. Sojusznicy z armii Pannowalu wadzili się między sobą. Siły szturmujące osadę stały się przedmiotem ataku i rozpoczęła się chaotyczna bitwa. Świszczały kule i błyskały ostrza.

Nadciągająca armia Sibornalu także nie potrafiła zachować wojskowej karności, z której słynęła. Młodzi junacy popędzili do przodu, chcąc ocalić Isturiachę za wszelką cenę. Działa, ciągnięte przez pustkowiec przeszło dwieście mil, by bombardować miasta pannowalskie, pozostały bezużyteczne z tyłu, gdyż ostrzeliwałyby zarówno wrogów, jak i swoich.

Wywiązała się dzika walka. Wiał wicher, mijały godziny, ginęli żołnierze, jajaki i bijajaki ślizgały się we własnej krwi. Rzeź narastała. Oddział jazdy sibornalskiej zdołał przebić się przez nieprzyjaciół i zdobyć most, odcinając odwrót piechocie, która wdarła się do Isturiachy.

Najbardziej do przodu wysunęły się trzy kontyngenty plemienne Sibornalu: potężny pułk Uskutyjczyków, korpus z Shivenink i oddział sławnej piechoty z Bribahru. We wszystkich trzech jednostkach służyły fagory.

W awangardzie Uskutyjczyków jechał sam arcykapłan wojny Asperamanka. Głównodowodzący prezentował się wspaniale. Miał na sobie kubrak z błękitnej skóry z ciężkim kołnierzem i pasem oraz czarne wysokie buty. Był wysokim, nieco niezgrabnym mężczyzną, który jak głosiła fama, mówił łagodnie i przebiegle, chyba że wydawał rozkazy. Budził powszechną trwogę.

Niektórzy uważali go za szpetnego. To prawda, miał wielką kanciastą głowę i twarz. Jego najbardziej charakterystyczną cechą stanowił groźny mars na czole, nosie i powiekach osłaniających wiecznie czujne oczy. Każde słowo Asperamanki wyrażało gniew, kojarzący się z ostrą przyprawą. Brano go niekiedy za gniew Boga.

Asperamanka nosił szerokoskrzydły czarny kapelusz, nad którym powiewał proporzec Kościoła Boga Azoiaxica.

Do bitwy włączyły się oddziały z Shivenink i Bribahru. Arcykapłan wojny, który zorientował się, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę Sibornalu, skinął na dowódcę Uskutyczyków.

— Odczekać dziesięć minut i ruszyć do ataku — rzekł. Dowódca zaprotestował niecierpliwie, lecz Asperamanka nie zmienił rozkazu.

— Wstrzymać natarcie — rzucił. Wskazał czarną rękawicą piechotę z Bribahru, która posuwała się naprzód, oddając regularne salwy z muszkietów. — Niechaj się trochę wykrwawią.

Bribahr współzawodniczył z Uskutoshk o supremację wśród plemion północy. Bribahrczyzy zwarli się na śmierć i życie z nieprzyjacielem, a pułk Uskutyczyków nadal zwlekał.

Do bitwy włączył się oddział z Shivenink. Mieszkańcy owej rzadko zaludnionej krainy mieli opinię najbardziej pokojowo nastawionego plemienia północy. W Shivenink znajdowało się Wielkie Koło Kharnabharu, a tamtejsi żołnierze nie okryli się dotąd chwałą wojenną.

Połączonym oddziałem jazdy i fagorów z Shivenink dowodził Luterin Shokerandit. Prezentował się wspaniale, wyróżniając się nawet wśród wielu barwnych postaci.

Luterin miał już trzynaście lat i trzy kwadry. Upłynął przeszło rok od czasu, gdy pożegnał przyszłą żonę, Insil, i wyruszył z Kharnabharu, by wstąpić w Askitosh do armii.

Ćwiczenia wojskowe sprawiły, że zrzucił tłuszcz, którym obrósł w okresie choroby. Wysoki i smukły, miał w sobie coś zuchwałego i pokornego zarazem.

Owe dwa elementy nieustannie walczyły w nim o lepsze, zdradzając wahanie, które starał się ukryć.

Niektórzy utrzymywali, iż młodego Shokerandita mianowano dowódcą tylko dlatego, że jego ojciec sprawował urząd Dzierżyciela Koła. Nawet Umat Esikananzi, inny porucznik, zastanawiał się, jak zachowa się przyjaciel na polu bitwy. Coś w sposobie bycia Luterina — może jeden ze skutków choroby po samobójstwie brata? — oddalało go od przyjaciół. Jednakże w siodle wydawał się wcieleniem pewności siebie.

Urosły mu włosy. Miał szczupłą, jastrzębią twarz i przenikliwy wzrok. Na swoim w połowie ogolonym jajaku przypominał chłopca, a nie oficera, lecz podniecenie ściągające mu rysy czyniło go naturalnym przywódcą.

Pędząc w kierunku mostu, o który toczono walkę, Luterin usłyszał słowa głównodowodzącego: "Niechaj się trochę wykrwawią".

Perfidia Asperamanki ukłuła go boleśniej niż ostry dźwięk trąbki. Wysunął się na czoło, wbił ostrogi w boki rumaka i uniósł dłoń obleczoną w rękawicę.

— Naprzód! — ryknął.

Machnął ręką w stronę wroga. Liliowobiały sztandar Kharnabharu przedstawiał wielki emblemat Koła, którego wewnętrzne i zewnętrzne kręgi połączono falistymi liniami. Rozwinięty proporzec sunął nad wojskiem, które śmigało ku nieprzyjacielowi.

Później, po bitwie, szarżę korpusu Shokerandita uznano za jeden z momentów przełomowych.

Jednakże zwycięstwo było jeszcze daleko. Zbliżał się wieczór, a walka toczyła się nadal. Artyleria pannowska uszykowała się wreszcie do bitwy i jęła ostrzeliwać tyły wojsk Sibornalu, zadając ciężkie straty. Bombardowanie nie pozwoliło Asperamance podciągnąć dział naprzód. Kilku kanonierów zachorowało na zarazę.

Nie wszyscy mieszkańcy Isturiachy strzelali do Pannowalczyków. Żony i córki rolników, równie wytrwałe jak mężczyźni, rozbierały stodoły.

Przed kolejnym wschodem Bataliksy zbudowały dwa drewniane mosty przez rzekę. Sibornalczycy wznieśli radosny okrzyk. Grzmiąc podkutymi kopytami, północna kawaleria jajacka pogalopowała na drugi brzeg i uderzyła na Pannowalczyków. Taborycy, którzy jeszcze godzinę temu czuli się zupełnie bezpieczni, rzucili się do ucieczki. Dziesiątkowano ich.

Sibornalczycy rozsypali się po równinie, poszerzając stopniowo front. Szlak ich natarcia znaczyły stosy trupów i konających.

Kiedy Bataliksa skryła się znów za horyzontem, bitwa była nadal nie rozstrzygnięta. Zaszedł Freyr i nastąpiły trzy godziny ciemności. Chociaż oficerowie obydwu armii usiłowali prowadzić walkę dalej, żołnierze padli na ziemię i zasnęli, niekiedy o rzut włócznią od nieprzyjaciół.

Nad polem bitwy płonęły gdzieś po drodze pochodnie, których iskry porywał chłodny wiatr. Wielu rannych wyzionęło ducha. Z podziemnych nor wypełzli Nondadzi, by obdzierać trupy. Między zwłokami żerowały gryzonie. Żuki ciągnęły do gniazd części ludzkich trzewi, by częstować swoje larwy niespodziewanymi smakołykami.

Znów wzeszło mniejsze słońce. Po poboju krążyli sanitariusze i markie-tanki, roznosząc żołnierzom prowiant i dodając im ducha. Mówiono ściszone głosami. Każdy rozumiał, że bój niebawem się rozstrzygnie. Tylko fagory stały z boku, czochrając się łapami, wlepiwszy wiśniowe ślepią we wschodzące słońce. Nie odczuwały niepokoju ani lęku.

Nad polem bitwy unosił się ohydny odór. Kiedy do walki ruszyły świeże oddziały, żołnierze brodzili po kostki we krwi i ekskrementach. Wykorzystywano każde zagłębienie w ziemi, każdy garb, każde karłowate drzewko. Znów rozległy się strzały. Bitwa rozgorzała na nowo, leniwie, bez wigoru z poprzedniego dnia. Płynęła czerwona krew ludzi i złocista fagorów.

Owego dnia doszło do trzech głównych potyczek. Trwał szturm na Isturiachę, a najeźdźcy z Pannowalu zdołali zająć i utrzymać część osiedla, odpierając osadników i oddział z Loradzu. Szarża Uskutyjczyków, którzy pragnęli odzyskać dobre imię nadszarpnięte poprzedniego dnia, została zatrzymana na południe od mostu, gdzie starły się główne siły obu armii: długie linie żołnierzy czołgały się i ostrzeliwały, nim doszło do walki wręcz. Trwały także rozpaczliwe boje na tyłach armii Kampannlatu, między taborami. Prym wiódł tutaj oddział Luterina Shokerandita.

W oddziale z Shwenink fagory walczyły ramieniem z ludźmi. Biły się zarówno bykuny, jak fildy, często wraz z potomstwem. Samce i samice ginęły razem.

Luterin okrywał swój ród chwałą. Żądza walki uczyniła go lekkomyślnym i na pozór niewrażliwym na ciosy. Przyjaciele walczący u jego boku spostrzegli ów straszliwy czar i nabrali otuchy. Bez lęku i litości wdarli się w szeregi Pannowalczyków, aż nieprzyjaciel ustąpił, początkowo stawiając twardy opór, później rzucając się do ucieczki. Żołnierze z Shivenink puścili się w pogoń, na jajakach i pieszo. Ścinali uciekających w biegu, aż omdlewały im okrwawione ramiona.

Był to początek klęski Barbarii.

Zanim zaczęły się cofać siły samego Pannowalu, opuścili go fałszywi sprzymierzeńcy. Ustępujący z pola oddział Borldorańczyków znalazł się przypadkiem na drodze Shokerandita. Doszło do starcia. Bandal Eith Lahl, dowódca, dzielnie wydał rozkaz walki. Borldorańczycy skryli się za wozami, skąd zaczęli się ostrzeliwać.

Atakujący zdołali podpalić kilka wozów. Zabito wielu Borldorańczyków. Palba nieco przycichła, a do uszu żołnierzy dotarł zgiełk innych potyczek. Nad poboju unosiły się dymy porywane przez wichurę.

Luterin dostrzegł w lot okazję. Wzniósł gromki okrzyk i z Umatem Esikananzi u boku poprowadził szarżę na obóz Borldorańczyków.

W swojej dzikiej ojczyźnie Luterin jeździł często na samotne łowy w sercu puszczy. Od wczesnego dzieciństwa znał intuicyjną więź między myśliwym a zwierzyną. Jego umysł potrafił jednoczyć się z umysłem jelenia albo kozicy górskiej, najtrudniejszej do upolowania. Znał poczucie tryumfu, gdy w ciele zwierzęcia utkwiała strzała, oraz mieszaninę radości i odrazy po jego śmierci, ostrą jak orgazm, raniącą serce.

O ileż wspanialsze to perwersyjne uczucie, gdy zwierzyną jest człowiek! Przesadziwszy wał trupów, Luterin stanął twarzą w twarz z Bandalem Eithem Lahlem. Ich spojrzenia się spotkały. Znów to poczucie zjednoczenia! Luterin strzelił pierwszy. Dowódca Borldorańczyków upuścił muszkiet i zgiął się w pół, chwytając swoje trzewia, które wypłynęły z brzucha. Padł martwy na ziemię.

Opór Borldorańczyków załamał się po jego śmierci. Młoda żona Lahla została wraz z cennymi łupami branką Luterina. Umat i inni towarzysze uściskali go, wznosząc radosne okrzyki, i rozpierchli się plądrować tabory.

Większą część zdobyczy stanowiły zapasy furazu, w tym siano dla zwierząt, które powinno ułatwić powrót oddziału w odległe góry Shivenink.

Wojska Kampannlatu ponosiły porażki na całym polu. Żołnierze walczyli po odniesieniu ran i gdy nie było już żadnej nadziei. Nie brakowało im odwagi, lecz łaski niezliczonych bogów, w których wierzyli.

Do klęski Pannowalu przyczyniły się długotrwałe niepokoje społeczne. W okresie stopniowego pogarszania się klimatu, gdy życie stało się surowsze, w krainie tysiąca kultów narastały właśnie plemienne, a poszczególne sekty zaczęły ze sobą konkurować.

Pannowal potrafił utrzymać w ryzach tylko fanatyczny korpus Poborców. Owo zaprzysiężone bractwo żyło w najodleglejszych zakątkach gór Quzint i nadal czciło starożytnego Boga Akhanabę.

Surowa dyscyplina Poborców przeszła w ciągu stuleci do legendy, a ich obecność na polu bitwy mogłaby odwrócić bieg wydarzeń. Jednakże w owych niespokojnych czasach woleli oni nie opuszczać kraju.

Pod koniec owego posępnego dnia nadal wiał wicher, nadal grzmiąły działa, nadal toczyła się walka. Watahy dezertorów podążały na południe ku azyłowi gór Quzint. Znajdowali się wśród nich chłopci, którzy nigdy dotąd nie mieli w ręku muszkietu. Sibornalczycy byli zbyt znużeni, by ścigać pokonanych nieprzyjaciół. Rozpalili ogniska i zapadli w niespokojną drzemkę.

Nocą rozlegały się pojedyncze krzyki i słychać było skrzyp wozów ciągnących na południe. Ale nawet uciekinierów podążających do odległego Pannowalu czekały nowe niebezpieczeństwa, nowe cierpienia.

Ludzie, zajęci własnymi sprawami, uważali równinę jedynie za teatr wojny. Nie postrzegali jej jako sieci wzajemnych powiązań, zawilego systemu, którego obecny kształt stanowi efekt nieustannych, wielowiekowych zmian. Stepy północnego Pannowalu porastało około sześciuset gatunków trawy; pod wpływem zmian klimatycznych rozszerzały one bądź zwężały swój zasięg, wpływając na losy zwierząt i owadów, które się nimi żywiły.

Duża ilość krzemionki w trawie wymagała zębów pokrytych twardym szkliwem. Chociaż równina wydawała się na pozór uboga, nasiona traw były na tyle pożywne, by dostarczyć pokarmu liczным gryzoniom i innym małym ssakom. Ssakami tymi żywiły się z kolei większe drapieżniki. Na szczycie łańcucha pokarmowego znajdowała się istota, której wszystkożerność uczyniła ją niegdyś władczą planety. Fagory żywiły się wszystkim, zarówno mięsem, jak i trawą.

Teraz, gdy klimat stawał się bardziej sprzyjający, schodziły one na równinę. We wschodniej części kontynentu równikowego leżał potężny masyw Nyktryhku. Góry te stanowiły nie tylko granicę pomiędzy równinami a Oceanem Lawy. Ciągi gigantycznych tarasowatych płaskowyży, powikłany system gór i dolin tworzyły świat sam w sobie. Puszcze ustępowały miejsca wyżynnej tundrze, a ta z kolei nagim kanionom i lodowcom. Na szczycie, dziewięć mil nad poziomem morza, rozciągał się najwyższy płaskowyż skąpany w stratosferze.

Fagory, które przeżyły długie wieki Wielkiego Lata bezpieczne przed ludźmi na górzystych pustkowiach, schodziły niżej, gdyż ich kryjówek zaczęła zagrażać szalejąca zima. Rozmnażały się w labiryncie wzgórz u podnóża Nyktryhku.

Niektóre grupy zapuszczały się na tereny odwiedzane przez ludzi.

Pod osłoną ciemności na pole bitwy przedostał się oddział fagorów złożony z szesnastu bykunów, gild oraz potomstwa. Jechały na rudych kaidawach, z małymi wczepionymi w sierść rodziców, na pół zaduszonymi. Dorosłe osobniki ścisnęły włócznie w topornych łapach. Niektóre bykuny wplotły sobie ciernie między rogi. W chłodnym nocnym powietrzu leciały nad nimi kraki.

Maruderzy ci stanowili pierwszą grupę, jaka zapuściła się między zdziesiątkowane armie. W niewielkiej odległości podążały następne.

Jeden z wozów powracających do Pannowalu utknął w krętym pasie roślinności, który przecinał równinę ze wschodu na zachód. Chociaż był on nie tak bujny jak w okresie letniego rozkwitu, nadal stanowił przeszkodę trudną do przebycia i młode drzewka zaklinowały się między osiami.

Klnąc głośno, woźnica okładał batem mustangi, by zmusić je do podjęcia dodatkowego wysiłku.

W wozie jechało jedenastu żołnierzy, w tym sześciu rannych, oraz stajenny i dwie dziewczki wiejskie, które warzyły strawę i spełniały inne posługi. Za zaprzęgiem maszerował niewolnik fagor z

odpiłowanymi rogami. Pasażerowie byli tak zmęczeni, że pozasypiali jeden na drugim, w wozie lub obok. Nieszczęsne musłangi pozostawiono w dyszlach.

Kaidawy i fagory nadjechały nocą, posuwając się gęsiego wzdłuż krętej linii zarośli. Dotarłszy do wozu, zbiły się w ciaśniejszą grupę. Kraki wylądowały w trawie i zbiły się z gulgotem w ciasną gromadkę, jakby wyczekiwały rozwoju wydarzeń.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Na śpiących rzuciły się zniemacka ogromne postacie. Niektóre fagory zsiadły z kaidawów, inne kłuły włóczniami z siodeł.

“Ratunku!” — wrzasnęła jedna z dziewczek, lecz uciszono ją natychmiast pchnięciem w szyję. Dwóch żołnierzy śpiących pod wozem obudziło się i próbowało uciekać, lecz ogłuszono ich od tyłu. Bezrogi fagor zaczął błagać w rodzimym języku, lecz jego także zabito bez litości. Jeden z rannych zdążył strzelić przed śmiercią.

Napastnicy zabrali z wozu żelazny sagan i worek prowiantu. Wzięli musłangi na arkany. Jeden z dwuroźców przegryzł gardło woźnicy, który zdradzał jeszcze oznaki życia. Następnie odjechali na swych olbrzymich wierzchowcach.

Chociaż krzyki i strzały słyszało wielu ludzi, żaden z obecnych na ogromnym poboju nie pośpieszył napadniętym z pomocą. Wszyscy dziękowali bogom, że sami nie są w niebezpieczeństwie, i zapadli w niespokojną drzemkę.

O świcie, gdy zaczęto rozpalać ogień i odkryto trupy, zapanowała trwoga. Fagory były już daleko, lecz przegryzione gardło woźnicy zdradziło sprawców mordu. Wieść podawano sobie z ust do ust. Ożyła starożytna zgroza: rogaty fagor dosiadający rogatego kaidawa. Nie było wątpliwości: nadchodziła zima, a przerażające legendy nabierały realnych kształtów.

Była jeszcze inna straszliwa postać, równie starożytna, budząca jeszcze większy lęk. Nie opuściła ona poboju. Przeciwnie, kwitła w warunkach wojny, jakby żywiła się prochem i ekskrementami. Coraz liczniejsi żołnierze zdradzali potworne objawy tłustej śmierci. Mór powrócił, całując rozpalonymi wargami świeże rany.

A jednak był to poranek dnia zwycięstwa.

II. MILCZĄCY CIEŃ

W duszy Luterina Shokerandita tryumf mieszał się z wieloma innymi emocjami. Na myśl, że stał się mężczyzną, bohaterem, którego odwaga nie ulega dla nikogo wątpliwości, czuł dumę podobną do ostrego dźwięku trąbki. Towarzyszyła temu ekscytująca świadomość, że ma w swojej mocy piękną bezbronną kobietę. A jednak nie zniknął podskórny niepokój dręczący stale Luterina. Wiązał się on z obowiązkami wobec rodziców, obyczajami panującymi w domu, tajemniczą śmiercią brata, rokiem straconym w łożu. Wątpliwości nie zagłuszyło nawet poczucie tryumfu. Tak przedstawiał się świat trzynastoletniego Shokerandita. Prześladowała go niepewność, którą na przemian łagodził i wzmacniał głos i zapach Toress Lahl. Nie miał się komu zwierzyć, toteż starał się zachowywać, jakby nic się nie stało.

O świcie znów rzucił się ochoczo w wir walki. Odkrył, że niebezpieczeństwo to środek odurzający.

— Ostatnie natarcie i zwyciężymy — rzekł arcykapłan wojny Asperamanka. Jego gniewne oblicze krążyło wśród tysięcy ponurych twarzy o wysuszonych wargach. Wojska gotowały się do bitwy.

Wydano rozkazy, uszykowano fagory, napojono jajaki. Zająwszy miejsca w siodłach, kawalerzyści spluwali na ziemię. Nad poboju zaświeciła Bataliksa i rzeź ponownie nabrała rozmachu. Większe słońce wschodziło wolniej: słabnący Freyr nie wspinał się wysoko nad horyzontem.

— Naprzód!

Ruszyła stępa jazda, za nią piechota. Rozległy się strzały. Zachwiali się i padli pierwsi żołnierze.

Natarcie wojsk Sibornalu trwało zaledwie godzinę. Morale Pannowalczyków słabło z każdą minutą. Ich armia zaczęła stopniowo ustępować. Korpus z Shivenink pod wodzą Luterina rzucił się w

pościg, lecz musiał zawrócić. Asperamanka nie życzył sobie, by młody dowódca okrył się jeszcze większą chwałą. Wojska Sibornalu wycofały się na północny brzeg rzeki. Rannych przewieziono do Isturiachy, do lazaretu polowego mieszczącego się w kilku stodołach. Krew żołnierzy zabarwiła siano na czerwono.

Kiedy armie zeszyły z pola, widać było wyraźnie cenę bitwy. Blade ciała rozrzucone na poboju wyglądały niczym ofiary gigantycznej katastrofy morskiej. Tu i ówdzie płonął przewrócony wóz, a nad brudną ziemią snuły się cienkie pasemka dymu.

Między poległymi krążyły cienie. Jednym z nich był artylerzysta z Pannowalu, prawie nie do rozpoznania. Obwąchwawszy trupa niczym pies, pociągnął go za kubrak, aż oderwał rękaw. Następnie zaczął pożerać nagie ramię. Jadł łapczywie, z wykrzywioną twarzą, podnosząc po każdym kęsie głowę i rozglądając się na boki.

Gdy żuł, zbliżył się do niego żołnierz z muszkietem w ręku. Podniósł broń i strzelił z bliskiej odległości. Artylerzysta upadł na wznak i zamarł z rozrzuconymi ramionami. Strzelec, wraz z innymi odkomenderowanymi do tego zadania, krążył po polu bitwy, zabijając pożeraczy trupów. Były to nieszczęsne ofiary tłustej śmierci, które zjadały poległych, dręczone niezaspokojonym głodem. Przypadki moru odnotowano w obydwu armiach.

Cofające się bezładnie wojska Pannowalu pozostawiły za sobą drużynę budowniczych pomników.

Nie odniesiono zwycięstwa, które mogliby oni upamiętnić. Mimo tu musieli wykorzystać swoje umiejętności. Po powrocie do Pannowalu pokonani dowódcy zamierzali przypisać sobie zwycięstwo. Tutaj, na kresach kontynentu, należało uwiecznić je w kamieniu.

Na równinie nie było kamieniołomów, lecz budowniczowie znaleźli nie opodal zrujnowany pomnik. Rozebrali go i przewieźli w częściach bliżej mostu na posępnej rzece.

Rzemieślnicy byli dumni ze swej sztuki. Wzniesli z pietyzmem pomnik na nowym miejscu. Ich mistrz wyrzył na piedestale nazwę miejscowości oraz datę, po czym dodał większymi literami imię sędziwego marszałka.

Budowniczowie odstąpili do tyłu i spoglądali z dumą na swoje dzieło, a następnie wrócili do wozu. Żaden z uczestników podniosłej ceremonii nie zdawał sobie sprawy, że rozebrano pomnik upamiętniający podobną bitwę stoczoną w tymże miejscu wieki temu.

Wychudzeni Sibornalczyki patrzyli z satysfakcją na pokonaną armię cofającą się na południe. Ponieśli ciężkie straty i zdawali sobie jasno sprawę, że planowany marsz naprzód nie ma sensu: pozostałe osiedla starto z powierzchni ziemi, jak donieśli uchodźcy, którzy schronili się w Isturiachy.

Ocaleli uczestnicy bitwy czuli ulgę na myśl o zakończeniu walk. Jednakże w pewnych kręgach panowała opinia, że bitwa okazała się nieudana, a nawet haniebna, wzięwszy pod uwagę miesiące ćwiczeń i przygotowań, jakie ją poprzedziły. Po co ją podjęto? Żeby zdobyć tereny, z których trzeba się natychmiast wycofać? A może dla chwały?

Chcąc rozproszyć wątpliwości, Asperamanka zapowiedział na wieczór ucztę na cześć zwycięstwa. Strawę stanowić miały arangi przygnane niedawno do Isturiachy oraz zapasy zdobyte na nieprzyjaciółach. Racje prowiantu potrzebne na powrót do kraju pozostaną nie tknięte.

Przygotowania do uczty trwały nawet w trakcie pogrzebu poległych, których chowano na pośpiesznie poświęconym cmentarzu polowym. Groby leżały w wielkiej płaskiej kotlinie pod bezkresnym niebem, a nad trupami unosiły się wonie potraw.

Kiedy osadnicy ciężko pracowali, armia zażywała odpoczynku. Między żołnierzami leżały fagory bojowe. Był to dzień pokrzepiającego snu. Opatrywano rany, naprawiano mundury, buty, uprzęż. Wojska wyruszą wnet w drogę powrotną. Nie mogą pozostać w Isturiachy. Brak tam żywności dla beczynnej armii.

Pod wieczór woń dymu i pieczystego zagłuszyła trupi odór poboju. Intonowano hymny dziękczynne do Boga Azoiacica. Szczere głosy żołnierzy wyciskały łzy z oczu chłopek z Isturiachy, które zostały ocalone przez śpiewających. W razie zwycięstwa Pannowalczyków czekałyby je gwałt i niewola. Dzieci, zamknięte podczas bitwy w Świątyni Krwawego Pokoju, wybiegły teraz na dwór. Ich radosne okrzyki rozjaśniły ponury wieczór. Dzieciarnia tłoczyła się wśród żołnierzy naśmiewając się z ich prób upicia się cienkim piwem z Isturiachy.

Uczta rozpoczęła się zgodnie z obyczajem, gdy świat pograżył się w półmroku. Rzucono się na pieczone arangi, aż zostały z nich tylko osmolone szkielety. Święcono kolejne wspaniałe zwycięstwo.

Po uczcie starszyzna Isturiachy zbliżyła się z namaszczeniem do arcykapłana wojny i złożyła mu ukłon. Nie wymieniono uścisków dłoni, gdyż szlachetnie urodzeni Sibornalczycy nie dopuszczali do kontaktu fizycznego z gminem.

Starszyzna podziękowała Asperamance za ocalenie osady, a naczelnik oznajmił uroczyscie:

— Pojmujesz, Wasza Dostojność, iż ostatnią forpoczta Sibornalu na południu jesteście. W głębi Kampannatu istniały ongi inne osiedla, sięgające aż do Roonsmoor. Zdobyła je po kolei hołota z Barbarii. Dlatego zanim armia Waszej Dostojności do kraju powróci, błagamy w imieniu wszystkich mieszkańców Isturiachy o pozostawienie silnego garnizonu, abyśmy losu sąsiadów uniknęli.

Członkowie starszyny mieli rzadkie siwe włosy. Ich nosy lśniły w świetle lamp oliwnych. Przemawiali archaicznym dialektem pełnym rzadko spotykanych zwrotów, a arcykapłan wojny, unikając ich wzroku, odpowiedział tym samym językiem:

— Czcigodni bracia, wątpię, byście garnizon wojskowy wykarmić zdołali. Chociaż lato małego roku panuje i pogoda sprzyja, wasze zbiory są liche, bydło zaś wygłodzone.

Kiedy Asperamanka mówił, na jego czole pojawił się groźny mars. Starcy spojrzeli po sobie. Później odezwało się jednocześnie trzech.

— Moc Pannowalu ponownie na nas uderzy.

— Co dzień wnosimy modły o poprawę pogody.

— Bez garnizonu zginiem.

Asperamanka skrzywił się, może usłyszawszy archaiczny czas przyszły wyrażający fatalistyczną konieczność. Jego kanciasta twarz skurczyła się. Spojrzał na stół z zaciśniętymi wargami i pokiwał głową, jakby zawarł sam ze sobą przebiegły pakt.

Z rozkazu arcykapłana wojny po jego prawicy zasiadał młody porucznik Luterin Shokerandit, którego chwała miała spływać także na głównodowodzącego. Asperamanka zwrócił głowę ku Luterinowi i spytał:

— Jakiej odpowiedzi udzieliłbyś na prośbę starszyny, poruczniku? Shokerandit zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa kryjącego się w pytaniu.

— Ponieważ nie jest to prośba trzech starców, lecz wszystkich mieszkańców Isturiachy, sprawa jest zbyt doniosła, abym mógł ją rozstrzygnąć. Stosowną odpowiedź może podyktować tylko doświadczenie Waszej Dostojności.

Arcykapłan wojny skierował spojrzenie ku długim cieniom rzucanym przez belki pułapu i podrapał się po brodzie.

— Zaiste, decyzja do mnie należy, gdyż w imieniu Oligarchii przemawiam. Jednakowoż decyzję podjął już Bóg. Azoiaxic mówi mi, że Isturiachy ani innych osiedli na północy nie da się dłużej utrzymać.

— Wasza Dostojność...

Asperamanka uniósł trójkątną brew, po czym przemówił do starszyny:

— Pomimo waszych modłów plony pogarszają się z roku na rok. To rzecz znana. W południowych regionach Sibornalu uprawiano niegdyś winorośl. Dziś z trudem zbieracie proso i nędzne kartofle. Isturiacha przestała być naszą chlubą i zaczęła przysparzać kłopotów. Najlepiej opuścić osiedle. Za dwa dni, kiedy armia odmaszeruje, mieszkańcy powinni odejść razem z nią. Inaczej wymrą z głodu lub popadną w niewolę Pannowalu.

Dwóch starców musiało wesprzeć trzeciego. Wśród słuchaczy zapanowała konsternacja. Do arcykapłana wojny podbiegła kobieta i objęła jego ubłocone buty. Szlochała, że urodziła się w Isturiachy i że ona ani jej siostry nie wyobrażają sobie opuszczenia rodzinnego domu.

Asperamanka wstał i zastukał w stół, by uspokoić zebranych. Zapadła cisza.

— Chcę, by wszyscy dobrze mnie zrozumieli. Pamiętajcie, iż mój urząd uprawnia mnie do przemawiania zarówno w imieniu państwa, jak i kościoła. Nie wolno ulegać złudzeniom. Jesteśmy ludem pragmatycznym, toteż wiem, że uznacie słuszność moich racji. Nasz Bóg, który istniał przed czasem i wokół którego obraca się wszelkie życie, przeznaczył temu pokoleniu ciernistą ścieżkę. Niechaj tak będzie. Podążymy nią z ochotą, gdyż taka jest Jego wola.

Odważni żołnierze świętujący dziś razem z wami, dzielni przedstawiciele naszych szlacheńskich plemion muszą natychmiast wyruszyć z powrotem na północ. Jeśli tego nie zrobią, zginą z głodu wskutek braku żywności. Jeśli pozostaniecie w Isturiachy, głód spadnie i na was. Rozumiecie to dobrze jako rolnicy. To prawo Boga i natury. Z początku zamierzaliśmy podbić Pannowal, jak nakazał Oligarcha. Zamiast tego za dwa dni wyruszymy z powrotem do kraju.

— Skąd ta nagle zmiana planów, arcykapłanie wojny, skoro odniosłeś zwycięstwo? — spytał jeden z członków starszyny.

Na prostokątnej twarzy arcykapłana pojawił się uśmiech. Asperamanka rozejrzał się po zgromadzonych, których tłuste oblicza lśniły w ogniu, gdy czekali w napięciu na jego słowa, i odpowiedział z wycuciem urodzonego kaznodziei:

— Zaiste, zwyciężyliśmy, chwała Azoiaxicowi, jednakże przyszłość nie należy do nas. Mamy przeciw sobie naturę. Osiedla na południu, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć wsparcie i żywność, zniszczyli barbarzyńcy. Pogoda pogarsza się szybciej, niż oczekiwaliśmy. Sami widzicie, że Freyr ledwo wstaje ze swego łoża. Pannowal, gniazdo pogan, leży zbyt daleko, by ich pokonać, lecz dostatecznie blisko, by zadali nam klęskę. Jeśli tam podążymy, nie wróci żaden z nas.

Od południa rozszerza się tłusta śmierć. Jest między nami. Moru lęka się najdzielniejszy wojownik. Nikt nie rusza z takim towarzyszem do boju.

Toteż złożymy pokłon naturze i wrócimy do ojczyzny, by donieść Oligarsze w Askitosh o zwycięstwie. Jak powiedziałem, wymaszerujemy za dwie doby. Wykorzystajcie ten czas, osadnicy, wykorzystajcie dobrze. Ci, co zdecydują się wrócić ze swymi rodzinami do Sibornalu, mogą podążyć na północ pod opieką mojej armii.

Ci, co chcą zostać, mogą umrzeć w Isturiachy. Wojska Sibornalu nie powrócą więcej w te strony. Macie dwie doby na decyzję. Niechaj was Bóg błogosławi.

Isturiacha liczyła dwa tysiące mieszkańców, z których większość przyszła na świat w osadzie i znała tylko surowe życie rolników. Nieliczni, bardziej uprzywilejowani, parali się myślistwem. Osadnicy bali się opuścić swoje domostwa, przerażała ich długa droga do Sibornalu, lękali się nawet tego, jak zostaną przyjęci na granicy.

Mimo to, gdy starszyna przedstawiła im sytuację na wiecu w świątyni, większość postanowiła odejść. Pogoda pogarszała się od niepamiętnych czasów, z krótkimi okresami poprawy. Związki z ojczyzną stawały się rok po roku luźniejsze, a zagrożenie z południa narastało.

W obozie rozległy się szluchy i lamenty. Nadszedł koniec świata. Osadnicy musieli porzucić wszystko, co zbudowali.

Natychmiast po wjeździe Bataliksy wysłano w pole niewolników, by zebrali plony, a tymczasem mieszkańcy pakowali dobytek. Ci, co postanowili odejść, pokłócili się z grupką, która chciała pozostać za wszelką cenę i domagała się głośno swojej części zbiorów.

Na polach pracowały trzy rodzaje niewolników: bezrogie fagory stanowiące coś pośredniego między niewolnikiem a zwierzęciem pociągowym, niewolnicy ludzie oraz niewolnicy pochodzenia nieludzkiego — Madisi, zwani rzadziej Driatami. Zarówno ludzi, jak nieludzi uważano za pozbawionych czci. Byli jak martwi.

Posiadanie niewolników stanowiło oznakę wysokiej pozycji społecznej, która rosła wprost proporcjonalnie do ich liczby. Sibornalczyki nie mający niewolników patrzyli z zazdrością na ich właścicieli i mieli ambicję nabycia przynajmniej jednego fagora. W okresach cieplejszych w miastach Sibornalu spotykało się niewolników żyjących w nieróbstwie niczym pieski pokojowe, jednakże na wsi pracowali oni ramię w ramię z panami. W miarę jak czasy stawały się coraz cięższe, stosunek właścicieli do nich ulegał zmianie. Zmuszano ich często do pracy ponad siły. Kiedy niewolnicy z osady wracali z pól, kazano im budować wozy lub powierzano inne zadania przekraczające ich umiejętności.

Kiedy minęły dwa dni wyznaczone przez arcykapłana wojny, rozległy się trąbki wzywające osadników poza mury Isturiachy.

Służby prowiantowe armii rozstawiły piekarnie polowe i piekły placki na drogę powrotną. Żywności brakowało. Sztab, który zebrał się na naradę, ogłosił, iż w celu zmniejszenia liczby gąb do

wyżywienia osadnicy podążający na północ muszą zastrzelić swoich niewolników bądź ich wyzwolić. Rozkaz nie obejmował dwurożców, które mogły ciągnąć wozy i same zdobywać żywność po drodze.

— Łaski! — zawołali zarówno niewolnicy, jak i panowie. Ancipici stali bez ruchu.

— Zabijcie fagory — mówili niektórzy z goryczą. Inni, pamiętający starodawne legendy, odpowiadali:

— Były niegdyś naszymi panami...

W osadzie rządziło już prawo wojenne. Ludzie protestowali na próżno. Bez niewolników nie mogli zabrać całego swojego dobytku, a mimo to musieli się ich pozbyć. Niewolnicy przestali być użyteczni.

W starorzeczu nie opodal osiedla wymordowano przeszło tysiąc niewolników. Trupy zostały pogrzebane byle jak przez dwurożce, a tymczasem nadleciały stada kraków, które usiadły na pobliskich ogrodzeniach, czekając na swoją porę. Wiał wicher.

Krzyki ucichły. Zapadło straszliwe milczenie.

Asperamanka obserwował rzeź. Kiedy jedna z chłopek przechodziła obok niego z płaczem, ogarnęła go litość i położył jej rękę na ramieniu.

— Nie smuć się, córko. Niechaj cię Bóg błogosławi. Spojrzała nań bez gniewu, z twarzą wykrzywioną płaczem.

— Kochałam swojego niewolnika Yuliego. Czyż żal nie jest rzeczą ludzką?

Pomimo rozkazu właściciele oszczędzili wielu niewolników, zwłaszcza młodych. Ukrywano ich lub przebierano za chłopów. Luterin Shokerandit w obawie o swoją branżę kazał jej założyć spodnie i futrzaną czapkę. Toress Lahl bez słowa upięła pod nią swoje długie kasztanowate włosy i wzięła za uzdę jajaka Luterina.

Zaczęto formować kolumny marszowe.

Kiedy ładowano wozy i zajmowano się rannymi, od armii odłączyło się ukradkiem sześciu pasterzy arangów. Przeszli przez mur i pojechali z psami na równinę. Czekają ich dzikie wolne życie.

Asperamanka stał samotnie koło swego czarnego jajaka, snując ponure myśli. Rozkazał adiutantowi wezwać Shokerandita.

Onieśmielony Luterin wyglądał wręcz na niedorostka.

— Poruczniku Shokerandicie, czy masz w swoim oddziale dwóch zaufanych żołnierzy na dobrych wierzchowcach, którzy będą szybkimi posłańcami? Chciałbym, by wieść o naszym zwycięstwie dotarła jak najszybciej do Oligarchy. Nim dowie się o nim z innych źródeł.

— Tak, mam dwóch takich ludzi. Mieszkańcy Kharnabharu to znakomici jeźdźcy.

Asperamanka zmarszczył brwi, jakby sprawiło mu to przykrość. Wyjął z zanadru skórzany pugilares i włożył sobie pod pachę.

— Twoi zaufani powinni zawieźć to pismo do pogranicznego miasta Koriantura i przekazać mojemu agentowi, który dostarczy je osobiście Oligarsze. Obowiązki posłańców kończą się w Korianturze, rozumiano? Zameldujcie się u mnie, gdy wszystko będzie gotowe.

— Tak jest, Wasza Dostojność.

Dłoń obleczona w błękitną rękawicę wręczyła Luterinowi pugilares. Znajdująca się w środku koperta nosiła pieczęć arcykapłana wojny i zaadresowana była do Najwyższego Oligarchy Sibornalu, Torkerkanzłaga Drugiego, w As-kitosh, stolicy Uskutoshk.

Shokerandit wybrał dwóch zaufanych młodzieńców, dobrze mu znanych jeszcze w Shivenink i kochających się jak bracia. Dosiedli oni dwóch przystrzyżonych jajaków, które objuczono tylko prowiantem i bukłakami z wodą. Po godzinie ruszyli w step, wioząc na północ posłanie do straszliwego Oligarchy.

Jednakże Oligarcha Sibornalu, panujący nad ogromnym ponurym kontynentem, miał wszędzie szpiegów. Jego zaufany, członek świty Asperamanki, wyruszył już z wieścią o zwycięstwie, albowiem władca szczególnie interesował się rozszerzaniem moru na północ.

Nadeszła pora pożegnań. Marsz rozpoczął się nieco chaotycznie. W skład każdego oddziału wchodziły wozy, zwierzęta pociągowe, fagory i armaty. Na równinie zapanował zgiełk. Żołnierze wracali szlakiem przebytnym zaledwie kilka dni wcześniej. Osadnicy z Isturiachy, często opuszczający strony

rodzinne pierwszy raz w życiu, kroczyli bez ładu i składu, niosąc dzieci i cenny dobytek, który nie zmieścił się na przeładowanych wozach.

Pozdrawiano łzawymi okrzykami tych, co postanowili pozostać. Sztywni i wyprostowani, tkwili oni przed osadą ze wzniesionymi rękoma. Ich gesty wyrażały dumne poczucie swojej roli: rzucili wyzwanie losowi i coraz groźniejszym żywiołom. Odtąd mogą liczyć tylko na Azoiaxica oraz na własne siły.

Na czele oddziału z Shivenink jechał Luterin Shokerandit. Czuł, że jego pozycja zmieniła się od czasu, gdy zdążył w przeciwną stronę. Stał się bohaterem. Tuż za nim, trzymając się jego pasa, siedziała branka, Toress Lahl, przebrana w czapkę i bryczesy. Nadal dręczyła ją myśl o śmierci męża, toteż milczała.

Toress, pogrążona w żałobie, nie okazywała lęku przed jajakiem, zwierzęciem łagodnym, choć groźnie wyglądającym. Na kudłatym łbie sterczały zakręcone rogi, a oczy, osłonięte włochatymi powiekami, nadawały pyskowi baczny wyraz. Wywinięta mięsista dolna warga sugerowała, że jajak ma ludzi w bezbrzeżnej pogardzie.

Osada zniknęła za horyzontem. Przed wojskiem rozciągał się bezkresny, falisty step. Wiał wiatr. Szumiały trawy.

Nad maszerującymi kolumnami zaległa cisza. Jednakże jeden z członków starszyny, człowiek gadatliwy, przynaglił rumaka, aż zrównał się z Shokeran-ditem i jego towarzyszami, próbując skracać czas rozmową. Luterin miał niewiele do powiedzenia. Rozmyślał o najbliższej przyszłości i długiej drodze powrotnej do dworu rodzica.

— Myślę, że to Najwyższy Oligarcha wydał rozkaz opuszczenia Isturiachy — rzekł starzec.

Żadnej odpowiedzi. Gadatliwy osadnik podjął kolejną próbę.

— Powiadają, że Oligarcha to okrutny despota rządzący Sibornalem żelazną ręką.

— Zima będzie sroższa — rzucił ze śmiechem jeden z poruczników.

— Coś mi się zdaje, że wy, młodzi, nie przepadacie za Asperamanką — oznajmił konfidencko starzec po przejechaniu kolejnej mili. — Jestem pewien, że na jego miejscu Wasza Jasność pozostawiłby garnizon w Isturiachy.

— Decyzja nie należała do mnie — odrzekł Luterin.

Starzec pokiwał z uśmiechem głową, ukazując nieliczne pieńki zębów.

— Ba, widziałem wyraz twarzy Waszej Wielmożności, gdy Asperamanką wydał rozkaz, i pomyślałem sobie (a nawet powiedziałem innym): "Oto młodzian pełen miłosierdzia, istny święty".

— Idź precz, starcze. Oszczędzaj sił na drogę.

— Ale żeby tak brutalnie podzielić osadę na dwa obozy... Dawnymi czasy wysyłaliśmy nadwyżkę żywności do Uskutoshk. Tak podzielić osadę... Myślę, że Oligarcha będzie kontent. Wszyscy jesteście Sibornalczykami, panie. Nie zaprzeczysz, prawda?

Kiedy Shokerandit nie zaprzeczył, starzec otarł usta wierzchem dłoni i spytał:

— Czy Wasza Wielmożność uważa, że postąpiłem roztropnie? Opuściłem w końcu własny dom. Może powinienem był zostać? Może za kilka lat przybędzie do Isturiachy armia Oligarchy dowodzona przez kogoś łaskawszego wobec rodaków? Ba, gorzki to dzień, tyle tylko mogę powiedzieć... Ściągnął wodze i zamierzał odjechać, gdy Shokerandit chwycił go nagle za kołnierz płaszcza, omal nie wyrzucając starca z siodła.

— Nie znasz zupełnie świata, skoro nie zdołałeś niczego zrozumieć! Nieważne, co sądzę o arcykapłanie wojny. Podjął jedyną sensowną decyzję. Zastanów się nad tym, zamiast gderać. Widzisz, ilu nas jest? Przed świtem rozciągniemy się od widnokregu do widnokregu. Piechota, jazda, tłum głodomorów. Pogoda coraz bardziej się pogarsza. Dobrze się nad tym zastanów, starcze!

Wskazał maszerujące rzesze: szare, czarne i brązowe plecy żołnierzy z tornistrami zawierającymi trzydniową rację sucharów oraz nie wykorzystaną amunicję. Wszyscy zwróceni byli tyłem na południe, ku błademu słońcu. Pochód rozciągał się coraz szerzej, pozostawiając więcej miejsca skrzypiącym wozom. Kroki odbijały się głuchym echem od płaskich wzgórz.

Pomiędzy jeźdźcami kroczyli piesi, często trzymając się strzemion. Niektóre wozy wiozły ekwipunek, inne rannych pojękujących na każdej nierówności terenu. Koło swoich panów szły objuczone

dwurożce ze zgiętymi grzbietami i ślepiami wbitymi w ziemię. W pewnej odległości od reszty armii maszerowały swoim dziwnym elastycznym krokiem kolumny fagorów bojowych.

Kiedy wojsko zatrzymało się wieczorem na nocleg, zapanował chaos. Dyscypliny nie zdołały przywrócić nawet wykrzykiwane rozkazy i głosy trąbek. Oddziały biwakowały gdzie popadło, rozbijając namioty i rozpalając ogniska w miejscach, które zamierzali zająć inni. Należało nakarmić i napić zwierzęta, toteż wysłano w różne strony beczkowsy, by szukały po ciemku strumieni płynących ze wzgórz. Przez całą krótką noc słychać było gwar ludzkich głosów i niespokojne ruchy zwierząt. Niebo rozchmurzyło się. Zrobiło się zimniej.

Oddział z Shivenink stanowił zwartą grupę. Większość młodych ludzi skupiła się wokół Luterina Shokerandita, by spędzić noc na pijaństwie. Ich manierki zawierały rubinowoczerwony trunek zwany bełtelem, produkt fermentacji wodorostów morskich. Świętowali niedawne zwycięstwo i bohaterstwo Luterina. Podniecał ich pobyt na równinie, z dala od rodzinnych gór, i cieszyli się z tego, że żyją. Niebawem zaczęli śpiewać, nie zważając na gniewne krzyki tych, co próbowali zasnąć.

Jednakże bełtel nie skłonił Luterina do śpiewu. Dowódca siedział z dala od towarzyszy, rozmyślając o swojej urodzivej brance. Chociaż była zameżna i pewna siebie, wątpił, czy jest jego rówieśnicą. Kobiety z Barbarii wychodziły młodo za mąż.

Pragnął ją posiąść. Pamiętał jednak o narzeczonej w Kharnabharze. Czy to ważne, co uczyni tutaj, na dzikich stepach Chalce? Przyjaciele uśmieliby się z jego skrupułów.

Przypomniał sobie noc, zanim armia Sibornalu wymaszerowała z Korian-tury na południe. Oddział w Shivenink otrzymał przepustki. Umat próbował namówić Luterina na hulankę, lecz odmawiał on z głupim uporem.

Kiedy reszta Kharnabharczyków oddawała się pijaństwu i rozpuście, Luterin spacerował samotnie brukowanymi ulicami. Wszedł do sklepiku wróżbity na placu koło starego teatru.

Wróżbita pokazał mu wiele osobliwości, między innymi niewielką bransoletę pochodzącą rzekomo z innego świata oraz tasiemca długości stu cali, wywabionego z trzewi pewnej szlachetnie urodzonej damy za pomocą maleńkiego zaczarowanego srebrnego fletu, który właściciel skłonny był sprzedać za specjalną cenę.

— Czy okażę odwagę w bitwie? — spytał Luterin.

Starzec zmierzył czaszkę Luterina cyrklami i innymi narzędziami, po czym stwierdził:

— Jesteś albo świętym, albo grzesznikiem, panie.

— Nie o to pytałem. Chcę wiedzieć, czy jestem odważny, czy tchórzliwy.

— Pytałeś właśnie o to. Świętość wymaga odwagi.

— A grzech nie? — odparował Luterin, przypomniawszy sobie, że nie ośmielił się dołączyć do przyjaciół. Starzec długo kiwał siwą głową.

— To także wymaga odwagi. Wszystko wymaga odwagi. Nawet ten tasiemiec musiał być odważny. Czy chciałbyś przeżyć życie w cudzych trzewiach? Nawet w trzewiach pięknej damy? Czy byłbyś szczęśliwy, gdybym ci oznajmił, że czeka cię taki los?

— Czy zamierzasz udzielić mi wreszcie odpowiedzi? — spytał zniecierpliwiony Luterin.

— Niebawem sam ją poznasz. Powiem ci tylko, że okażesz wielką odwagę, młody człowieku...

— Ale?...

Wróżbita uśmiechnął się przepaszająco.

— Masz dwoistą naturę, panie. Będiesz zarówno świętym, jak grzesznikiem. Okażesz się bohaterem i postąpisz nikczemnie.

Luterin wspominał ową rozmowę (i tasiemca) podczas długiego marszu do Isturiachy. Został już bohaterem; czy zdobędzie się teraz na nikczemność?

Kiedy tak siedział, pijąc, ale nie śpiewając, chwycił go za but Umat Esikananzi i przyciągnął do ogniska.

— Nie spuszczaaj nosa na kwintę, chłopie. Żyjemy i jesteśmy bohaterami, zwłaszcza ty, i niedługo wrócimy do domu. — Wielka nalana gęba Umata, podobna do oblicza jego ojca, promieniała. — Świat jest piekielnie pusty, więc śpiewamy, żeby go wypełnić przynajmniej hałasem, ale ty dumasz o czymś innym.

— Masz najbardziej melodyjny głos, jaki kiedykolwiek słyszałem wśród sępów, Umacie, ale ja zamierzam iść spać. Umat pogroził Luterinowi palcem.

— Tak właśnie myślałem! Twoja piękna branka! Pokaż jej, co potrafisz?! Nic nie powiem Insil, obiecuję.

Luterin kopnął przyjaciela w goleń.

— Nie mam pojęcia, jak to się stało, że Insil ma za brata takiego oczajduszę! Umat wypił kolejny łyk bełtelu i rzekł beztrąsko:

— Insil to gorąca dziewczucha. Prawdę mówiąc, byłaby mi wdzięczna, gdybym cię wziął za kark i zmusił, żebyś trochę poćwiczył.

Zebrani ryknęli śmiechem.

Shokerandit wstał życząc wszystkim dobrej nocy. Z pewnym wysiłkiem wrócił do plandeki rozwieszanej koło wozu. Chociaż na niebie świeciły gwiazdy, było ciemno choć oko wykol. Na równinach nie pojawiała się zorza polarna tak często widoczna w Kharnabharze.

Przyciskając do piersi bukłak, Luterin osunął się wzdłuż boku jajaka uwiązane do palika wbitego w ziemię za dziurę wypaloną w lewym uchu. Wpełził na czworakach pod plandekę, gdzie czekała niewolnica.

Toress leżała skulona, obejmując kolana rękami. Popatrzyła w milczeniu na Luterina. W mroku widać było jej bladą twarz. W oczach dziewczyny odbijały się roje gwiazd.

Luterin chwycił ją za ramię i wcisnął jej do rąk bukłak.

— Napij się bełtelu.

Zdecydowanym ruchem pokręciła głową. Uderzył ją w policzek i cisnął jej bukłak w twarz.

— Pij, dziwko, jak ci każę! Nabierzesz odwagi.

Znów potrząsnęła głową, lecz chwycił ją za ramię i wykręcił, aż krzyknęła z bólu. Wzięła bukłak i wypila łyk ognistego trunku.

— Dobrze ci to robi. Pij jeszcze.

Kasłała i krztusiła się, opluwając policzki Shokerandita, który pocałował ją siłą w usta.

— Litości, błagam cię! Nie jesteś przecież barbarzyńcą. Mówiła dość dobrze po sibijsku, choć z wyraźnym akcentem, który podobał się Luterinowi.

— Jesteś moją niewolnicą, kobieto. Żadnych fochów. Kimkolwiek byłaś, należysz teraz do mnie, jesteś częścią łupu. Nawet arcykapłan by tak z tobą postąpił, gdyby był na moim miejscu.

Luterin wypił łyk bełtelu, westchnął i usiadł ciężko koło dziewczyny. Leżała napięta, a później wyczuła jego bezwład i przemówiła. Kiedy nie płakała, miała niski, melodyjny głos, jakby w jej krtani szemrał mały strumyczek.

— Pamiętasz starca, z którym rozmawiałeś dziś po południu? Został niewolnikiem tak jak ja. Co miałeś na myśli mówiąc, że arcykapłan wydał jedyny możliwy rozkaz?

Luterin leżał w milczeniu, zmagając się z odurzeniem, zmagając się z pytaniem, zmagając się z chęcią zbicia dziewczyny za bezczelną próbę odwrócenia jego uwagi. Zapanowała cisza, a w jego duszy pojawiło się coś mroczniejszego niż pragnienie zgwałcenia Toress, świadomość nieubłaganego fatum. Wypił trochę bełtelu i owo poczucie przybrało na sile.

Położył się na boku, by jego słowa dotarły lepiej do dziewczyny.

— Rozkaz, mówisz, kobieto? Rozkazy wydaje Azoiaxic albo Oligarcha, a nie jakiś nędzny klecha, co chętnie wykrwawiłby armię dla własnej korzyści. — Wskazał przyjaciół pijących wokół ogniska. — Widzisz tych błaznów? Przybyli z Shivenink po drugiej stronie globu, podobnie jak ja. Do granicy Uskutoshk jest dwieście mil. Mamy mnóstwo rynsztunku i musimy zdobywać prowiant po drodze, toteż posuwamy się naprzód nie więcej niż dziesięć mil dziennie. Czym się żywimy o tej porze roku, jak panienka myśli?!

Potrząsnął nią, aż zadzwoniły jej zęby, a ona przywarła doń, pytając z przerażeniem:

— Wiezecie żywność, prawda? Widzę wozy prowiantowe i zwierzęta pasące się na stepie. Zaśmiał się.

— Żywność, dobre sobie! Ciekawe, jaką?! Ilu naszych znajduje się w tej chwili na równinie, jak myślisz? Otóż około dziesięciu tysięcy, a do tego siedem tysięcy jajaków i innych zwierząt, w tym

wierzchowce kawalerii. Każdy żołnierz potrzebuje dwóch funtów chleba i funt innego prowiantu dziennie, w tym rację beltelu. Razem daje to trzynaście i pół tony.

Żołnierzy można głodzić. Możemy iść o pustym brzuchu. Ale nie karmione zwierzęta padają. Jajak zjada dwadzieścia funtów paszy dziennie, więc siedem tysięcy jajaków zżera przeszło sześćdziesiąt dwie tony. Potrzebujemy codziennie około siedemdziesięciu pięciu ton żywności, a wieziemy tylko dziewięć.

Zamilkł, jakby chciał znów wszystko przeliczyć.

— Skąd wziąć brakujący furaz? Trzeba go zdobyć po drodze. Można dokonywać rekwizycji w wioskach na szlaku, tyle że w przesmyku Chalce nie ma wiosek. Musimy wobec tego radzić sobie sami. Już sam problem chleba... Aby wypiec dwufuntowy bochenek, potrzeba siedemdziesięciu dwóch uncji mąki. Znaczy to, że zużywamy sześć i pół tony na dzień.

Ale to nic w porównaniu z tym, co zjadają zwierzęta. Pięćdziesiąt jajaków i mustangów potrzebuje akra pastwisk.

Toress rozplakała się. Shokreandit wsparł się na łokciu i popatrzył na obozowisko. W mroku płonęły setki ognisk, ciągle zasłanianych przez poruszające się postacie. Niektórzy żołnierze śpiewali, inni porozumiewali się z duchami zmarłych.

— Założmy, że dotrzemy do Koriantury w ciągu dwudziestu dni. Nasze zwierzęta będą w tym czasie potrzebowały dwóch tysięcy ośmiuset akrów pastwisk. Twój martwy mąż musiał robić podobne obliczenia, co?

Każdego dnia marnujemy wiele godzin na zaprowiantowanie armii. Mielemy zboże na chleb, a na tych terenach rosną tylko dzikie trawy. Wysyłamy podjazdy, które ścinają drzewa na opał dla naszych piekarń. Wypasamy i poimy jajaki. Czy zaczynasz rozumieć, dlaczego należało opuścić Isturiachę? Mamy przeciw sobie naturę.

— Nic mnie to nie obchodzi — odrzekła Toress. — Czy jestem bydlęciem, że mówisz mi tyle o paszy? Możecie zdechnąć z głodu, wszyscy co do jednego. Najpierw upiłeś się krwią, a teraz beltelom.

— Myśleli, że jestem tchórzem, więc mianowali mnie w Korianturze kwatermistrzem od paszy — odparł cicho Luterin. — To zniewaga dla syna Dzierzyciela Koła! Musiałem się nauczyć tych liczb, dziewczyno, ale pojąłem ich znaczenie. Każdego roku okres wegetacji skraca się o dwa dni. Tego lata zbiory były nieudane. W przesmyku Chalce panuje głód, sama się jeszcze przekonasz. Asperamanka wie o tym wszystkim. Cokolwiek o nim myśleć, nie jest głupcem. Żadna armia złożona z jedenastu tysięcy żołnierzy nie zdoła w przyszłości dotrzeć do Isturiachy.

— Więc mój biedny kraj jest nareszcie bezpieczny przed najezdami ohydnych Sibornalczyków. Luterin roześmiał się.

— Pokój ma swoją cenę. Maszerująca armia przypomina stado szarańczy i zdycha, gdy nie znajdzie pożywienia. Isturiacha będzie wkrótce odcięta. Czekaj ją zagłada.

Świat staje się coraz drapieźniej szy, a my marnujemy resztki tego, co nam pozostało...

Luterin leżał koło sztywnego ciała dziewczyny, zatopiwszy twarz w dłoniach. Nim uległ senności i trunkowi, podniósł głowę i spytał, ile ma lat. Nie chciała powiedzieć. Uderzył ją mocno w twarz. Przyznała się z płaczem do trzynastu i kwadry. Była od niego o dwie kwadry młodsza.

— Młoda wdówka — mlasnął z rozkoszą. — Nie myśl, że jutro wieczorem tak łatwo się wymigasz. Już nie jestem kwatermistrzem od paszy. Jutro nie będzie pogaduszek, dziewczyno...

Toress milczała. Czuwała bez ruchu, spoglądając załóżnie na gwiazdy. Tuż przed świtem Bataliksy niebo zachmurzyło się. W obozie słychać było jęki konających. W ciągu nocy na zarazę zmarło kolejnych dwunastu ludzi.

Jednakże ci, co przeżyli, wstali rankiem jak zwykle w dobrych humorach; przeciągali się i dowcipkowali, czekając przy wozach prowiantowych na swoje racje. Każdy otrzymywał dwufuntowy bochenek chleba, przypomniawszy sobie gorzko Toress Lahl.

Żaden z żołnierzy nie przyznałby się do tego, że długi marsz do kraju sprawia mu przyjemność. Mimo to rozbijanie i zwijanie obozu, koleżeństwo, świadomość posuwania się do przodu, ciągle zmiany krajobrazu dawały wszystkim pewną satysfakcję. Gaszenie ognisk i rozpalać nowych, obserwowanie, jak płomienie pożerają gałązki i trawę, miały w sobie coś fascynującego.

Radość wywoływana przez owe czynności była równie stara jak ludzkość, a nawet jeszcze starsza, gdyż człowiek ukształtował się ostatecznie jako istota rozumna podczas pierwszej długiej wędrówki z Hespagorat na wschód, gdy uwolnił się spod władzy fagorów i przestał być zwierzęciem domowym. Chociaż z północy, z podbiegunowych regionów Sibornalu, wiał lodowaty wichur, żołnierze z rozkoszą wciągali powietrze w płuca, krocząc sprężysto naprzód.

Oficerowie byli mniej beztroscy. Prostemu żołnierzowi wystarczało, że przeżył bitwę i wracał do kraju, cokolwiek go tam czekało. Dla tych, co sięgali myślą dalej, sprawa była bardziej skomplikowana. Niepokoił ich coraz surowszy reżim panujący w Sibornalu. Zastanawiali się nad własnym zwycięstwem. Chociaż dowódcy, poczynając od Asperamanki, mówili bez ustanku o tryumfie, straszliwy, nieubłagany, nieustający proces przekształcania się rzeczy we własne przeciwieństwa czynił z tryumfu klęskę, po której zostały tylko blizny, spisy poległych i dodatkowe gęby do wyżywienia.

I zawsze, podkreślając przygnębiające poczucie fiaska, towarzyszyła żołnierzom tłusta śmierć, dotrzymująca kroku nawet najszybszym.

Wiosną Wielkiego Roku szalała gorączka kości, która dziesiątkowała ludność, czyniąc z ocalałych istne szkielety. Jesienią Wielkiego Roku pojawiała się tłusta śmierć, znów zbierająca straszliwe żniwo i powodująca tycie tych, co wyzdrowieli. Były to fakty znane i przyjmowane z fatalistyczną pokorą. Mimo to na sam dźwięk słowa "mór" ogarniała ludzi zgroza. W takich chwilach nie ufano nawet sąsiadom.

Czwartego dnia forpoczty armii natknęły się na jednego z dwóch gońców Shokerandita. Leżał w wąwozie twarzą do ziemi. Jego tułów był nadzarty jakby przez dzikie zwierzę.

Żołnierze obchodzili trupa z daleka, lecz nie potrafili oderwać od niego oczu. Kiedy wezwano Asperamankę, on także spoglądał długo na straszliwy widok, po czym odezwał się do Luterina:

— Towarzyszy nam milczący cień. Nie ulega wątpliwości, iż ową straszliwą plagę roznoszą dwurożce. To kara Azoiaxica za to, że się z nimi zadajemy. Odpokutujemy swój grzech dopiero, jak wyrzniemy wszystkich ancipitów, których mamy ze sobą.

— Czyż nie przelano już dosyć krwi, Wasza Dostojność? Czy nie można ich po prostu wypędzić?

— I pozwolić im się pienieć i rosnąć w siłę? Wybacz, ale to ja decyduję o losach armii, młody bohaterze. — Asperamanka zmarszczył się surowo i rzekł: — Zawiadomienie o wszystkim Oligarchy jest teraz jeszcze pilniejsze. Musimy otrzymać pomoc tak szybko, jak to tylko możliwe. Rozkazuję ci przeto wyruszyć osobiście z zaufanym towarzyszem do Koriantury, by przekazać władcy me posłanie. Czy jesteś gotów?

Shokerandit wbił wzrok w ziemię jak w obecności rodzica. Przywykł słuchać rozkazów.

— Mogę wyjechać za godzinę, panie.

Arcykapłan wojny spojrzął na podwładnego. Zapłonęły mu oczy, a na jego czole pojawił się srogi mars.

— Zważ, poruczniku, że powierzając ci tę misję, ocalam ci być może życie. Z drugiej strony może się tak zdarzyć, że przejedziesz szmat drogi po to, by odkryć, że milczący cień czeka na ciebie w Korianturze.

Odszedł, uniósłszy urękawiczoną dłoń i nakreśliwszy sobie na czole znak Koła.

III. O POMNIEJSZENIU ŚCISKU W DOMOSTWACH DECRETUM

Koriantura była miastem zamożnym i wspaniałym. Jej pałace miały szczerozłote posadzki, a teatry majolikowe kopyły.

Główna świątynia Krwawego Pokoju, zwrócona ku portowi, który przyczynił się do rozkwitu miasta, odznaczała się barokowym przepychem całkowicie sprzecznym z naturą surowego boga. "W Askitosh nigdy by nie stworzono czegoś tak pięknego" — lubili mawiać mieszkańcy Koriantury.

Nawet w mniej eleganckich dzielnicach miasta, które rozciągało się aż do podnóży gór, zwracały uwagę ciekawe motywy architektoniczne. Zamiłowanie do ozdób rzucało wyzwanie biedzie i manifestowało się

w niezwykłym kształcie hakowych drzwi, rzeźbionej fontannie na ciasnym dziedzińcu, ciągu balkonów z kutego żelaza, które zachwyciłyby nawet prostaka.

Nie da się zaprzeczyć, iż w Korianturze istniały te same różnice społeczne co wszędzie indziej. Przejawiały się one choćby w tym, jak przyjmowano plakaty z drukarń Oligarchy, które zalewały obecnie miasta Uskutoshk. Mieszkańcy bogatszych dzielnic mówili: "Zaiste, cóż za mądry edykt!", natomiast na drugim krańcu miasta słyszało się tylko: "Popatrz no, co też wymyśliły te gnojki!".

Miasta pograniczne to z reguły ponure dziury, gdzie mieszkają się najgorsze elementy dwóch kultur. Koriantura stanowiła pod tym względem wyjątek. Choć zwoano ją ongiś Utoshki, nie była nigdy miastem czysto uskutytjskim. Napłynęły tutaj egzotyczne ludy ze wschodu, zwłaszcza z Górnego Hazzizu i Kuj-Juvecu za zatoką Chalce, nadając miastu orientalny charakter nie spotykany w innych rejonach Sibornalu i wyciskając piętno na architekturze i sztuce.

"W Korianturze chleb jest drogi — mawiano — bo bilety operowe są tanie".

Koriantura leżała także na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych. Biegła tędy droga na południe, ku Barbarii, i czy toczyła się wojna, czy panował pokój, miejscowi kupcy żeglowali bez przeszkód do portów takich jak Dorrdal w Pannowalu. Kończył się tu również ważny szlak morski z dalekiego Shivenink oraz żyznych równin Karkampanu i Bribahru.

Miasto powstało ponadto w zamierzchłych czasach, a jego więzy z historią nie uległy zerwaniu. W bocznych zaułkach nadal można było kupić u antykwariuszy manuskrypty i księgi opisujące w zapomnianych językach minione dzieje. Każda ulica zdawała się biec w przeszłość. Koriantura uniknęła wielu nieszczęść, jakie spadają na miasta pograniczne. Leżała u stóp gór, które piętrzyły się coraz wyżej aż do bieguna, gdzie szalały lodowate wichry. Od północy oblewało ją morze, a po przeciwnej stronie chroniła ją stroma skarpa, na którą musieli się wspiąć ci, co przybyli z ugorów Chalce. Skarpy tej nie zdobyła nigdy żadna armia Kampannlatu, wyczerpana marszem przez stepy.

Koriantura nie mogła się bronić tylko przed nadchodzącą zimą.

Choć stacjonowało tu wielu żołnierzy, nigdy nie udało im się przekształcić Koriantury w miasto garnizonowe. Kwitł pokojowy handel oraz sztuki piękne, którym handel składał niechętnie hołdy. Właśnie dlatego mieszkała tu rodzina Odimów.

Firma Odimów mieściła się przy jednym z nabrzeży portowych nad zatoką Kliment. Nie opodal, w dzielnicy, która nie była ani najelegantsza, ani najbrzydsza, stał dom rodzinny. Zakończywszy pracę, Eedap Mun Odim, jedyny żywiciel swych licznych krewnych, zwolnił personel, sprawdził, czy piece garncarskie są wygaszone, a okiennice zaryglowane, po czym wyszedł bocznymi drzwiami w towarzystwie swojej pierwszej nałożnicy.

Była to żywa dziewczyna imieniem Besi Besamitikahl. Trzymała w obu rękach pakunki, a tymczasem Odim starannie zamykał drzwi. Skończywszy zwrócił się do Besi z łagodnym uśmiechem.

— Teraz się rozstaniemy i spotkamy niebawem w domu.

— Tak, panie.

— Nie trać czasu. Uważaj po drodze na żołnierzy.

Besi czekał tylko krótki spacer, gdyż dom znajdował się tuż za rogiem przy Ulicy Górskiej. Eedap ruszył w przeciwną stronę, ku miejscowej świątyni.

Eedap Mun Odim był sprężystym mężczyzną w kwiecie wieku. Wsunął długą brodę za klapy zamszowego płaszcza. Kroczył niezwykle godnie, co rzucało się w oczy mimo wiatru. Jak każdego wieczoru po zakończeniu pracy, znalazł się w świątyni w porze nabożeństwa. Później, wraz z innymi pobożnymi Uskutytjczykami, korzył się przed Bogiem Azoiaxicem. Nabożeństwo trwało krótko.

Tymczasem Besi Besamitikahl dotarła do domu i zapukała do drzwi, by wpuścić ją stróż.

Pięciopiętrowy dom Odimów leżał tuż nad zatoką Kliment. Z górnych okien rozciągał się piękny widok na port i Morze Pannowalskie. Budynek wzniesli dwa wieki wcześniej zamożni kupcy z Kuj-Juvecu. Dla uniknięcia wysokiego podatku gruntowego obowiązującego w Korianturze zbudowano go w kształcie odwróconej piramidy. Poddasze, skąd rozciągał się najpiękniejszy widok, było bardzo przestronne, natomiast na parterze znajdowała się jedynie sień oraz kłitka ponurego odźwiernego i jego psa. Na górę wiodły wąskie spiralne schody. W niezliczonych pokojach na drugim, trzecim i czwartym piętrze gnieździły się rzesze krewnych kupca. Ostatnie piętro zajmował wyłącznie Odim wraz z żoną i

dziećmi. Eedap Mun Odim pochodził z Kuj-Juvecu, choć przyszedł na świat w murach domu. Pochodzenia Besi nie dawało się ustalić.

Besi była sierotą i nie pamiętała swoich rodziców, chociaż krążyły pogłoski, że jest córką niewolnicy z Dimariam. Utrzymywano, iż jej matka towarzyszyła swojemu panu w pielgrzymce do Świętego Kharnabharu, lecz wyrzucił ją on na bruk, gdy odkrył, że jest brzemienna. Historia ta, prawdziwa czy fałszywa (mawiała beztróska Besi), brzmiała wiarygodnie. Takie rzeczy się zdarzały.

Besi spędziła dzieciństwo tańcząc na ulicach, na które wygnano jej matkę. Pewnego dnia zwróciła na siebie uwagę dygnitarza podążającego na dwór Oligarchy w Askitosh. Doznawszy z jego rąk wielu okrutnych cierpień, zdołała uciec z domu, gdzie więziono ją wraz z innymi dziewczętami. Schowała się w pustej beczce po tranie morsa.

Z beczki wyciągnął ją bratanek Eedapa Muna Odima, który reprezentował w Askitosh firmę stryja. Kiedy Besi sięgnęła po swój główny atut i zatańczyła przed wrażliwym młodzieńcem, tak go oczarowała, że postanowił ją poślubić. Jednakże idylla trwała krótko. Cztery kwadry po ślubie mąż spadł z dachu magazynu i skręcił kark.

Besi, sierota, była tancerka, niewolnica i nie wiadomo co jeszcze, nie mogła liczyć na szacunek porządnych Uskutyjczyków.

Jednakże Odim pochodził z Kuj-Juvecu i był zwykłym kupcem. Przygarnął Besi, chroniąc ją przed pogardą nowej rodziny, po czym odkrył, że zalety dziewczyny nie ograniczają się tylko do urody. Besi potrafiła myśleć. Ponieważ była nadal piękna, uczynił ją swoją pierwszą nałożnicą.

Besi była mu wdzięczna. Nieco przytyła, starała się zachowywać mniej kokieteryjnie i zaczęła pomagać Odimowi w kantorku. Po pewnym czasie nauczyła się prowadzić jego skomplikowane interesy: zamawiać towary i sprawdzać faktury. Dwór Oligarchy i beczka po tranie morsa należały już do przeszłości.

Zamieniwszy kilka słów ze stróżem, dziewczyna wspięła się krętymi schodami do swego pokoju.

Zatrzymała się na chwilę w malutkiej kuchni na drugim piętrze, gdzie jedna z babć przygotowywała wraz ze służącą kolację. Staruszka pozdrowiła Besi i zajęła się ponownie przyrządzaniem pierożków.

Lampy gazowe oświetlały białe i złociste foremki, proste misy i dzbany, łyżki, przetaki i pękate worki z mąką. Staruszka wałkowała ciasto, aż stawało się cienkie jak opłatek: jej plamiste dłonie poruszały się nad nieregularnymi plackami. O ścianę opierała się młoda służąca, spoglądając pustym wzrokiem w przestrzeń i przygryzając dolną wargę. Na kuchni węglowej bulgotała woda w garnku. W klatce śpiewała pecubea.

Odim nie mógł mówić prawdy. Życie codzienne w Korianturze nie było zagrożone. Zręczne dłonie babki tak pięknie formowały sierpowate placuszki, każdy z fantazyjnym brzegiem i zakrętasem ciasta na końcu. Smakowite pierożki świadczyły o szczęściu rodzinnym, które nie mogło ulec zamąceniu. Odim martwił się niepotrzebnie. Nic się nie stanie.

Tego wieczoru Besi myślała nie tylko o Odimie. W domu kwaterował tajemniczy oficer, którego widziała przelotnie rano.

Wszystkie niższe i gorsze pokoje, tworzące niemalże odrębne osiedle, zajmowała liczna rodzina Odima. Besi odzywała się tylko do wiekowej babki, gdyż drażnił ją bezwstyd, z jakim krewni wykorzystywali dobre serce pana domu. Przechodziła przez ich kwatery z zadartym nosem, zwracając go to w prawo, to w lewo, by sprawdzić, co się dzieje.

Wylegiwały się tu dalekie praprababki potwornie roztyte ze starości, matrony o pełnych kształtach, które wydały na świat niezliczone potomstwo, smukłe krostopate podlotki otoczone wonią zaldalskich perfum i blade wskutek ciągłego przebywania w domu. Były też chmary dzieciaków odzianych w krzykliwe sukienki i sukieneczki, tak że chłopców nie można było odróżnić od dziewczynek. Maleństwa biegały, siusiały, beczały, paplały, jadły, wrzeszczały, grymasiły lub spały.

Tu i tam, rozrzuconych poduchy, zagubieni wśród roju kobiet, tkwili osobnicy płci męskiej. Zniewieściali wskutek zależności od Eedapa Muna Odima, na próżno zapuszczali brody, ćmili fajki i manifestowali swoją wyższość, wykrzykując rozkazy, których nikt nie słuchał. Żółtawa cera, pusty wzrok i podwójne podbródki zdradzały wrodzoną skłonność do otyłości, gnuśności i senności. Podobieństwo rodzinne było tak wyraźne, że Besi, pełna odrazy, prawie ich nie rozróżniała.

Mimo to Odimowie przestrzegali ścisłych zasad. Choć było ich mnóstwo, każdy trzymał się zawsze swojego terytorium, plotkując w kącie lub wylegując się na dywanie. Wszystkie pomieszczenia domu podzielono na części, a dziecko, które ośmieliło się zapuścić na obcy teren, choćby należący do własnej ciotki, mogło się spodziewać bezceremonialnego klapsa. Dwaj bracia spali nocą w całkowitym, zazdrośnie strzeżonym odosobnieniu o dwie stopy od swoich bujnych bratowych. Granice malutkich posiadłości oznaczano wstążkami, dywanikami lub draperiami wiszącymi na sznurkach. Każdego jarda kwadratowego broniono z zaciekłością, z jaką walczy się o królestwa.

Besi patrzyła na owe porządki krzywym okiem. Liczna rodzina pana brudziła freski na murach: same wyziewy ich tłustych ciał odbierały świeżość delikatnym kolorom. Freski przedstawiały żyzną krainę oświetloną dwoma złocistymi słońcami. Wśród wysokich zielonych traw hasały jelenie, a młodzi ludzie obojga płci wylegiwali się na łąkach między stadami gołębi, tańczyli lub dęli sugestywnie we flety. Sielanki te, namalowane dwa wieki temu, gdy dom był nowy, przedstawiały zaginione doliny Kuj-Juvecu w porze jesieni.

Myśl o zbliżającej się zagładzie malowideł zaniepokoiła Besi, jednakże teraz szukała ona przede wszystkim miejsca, gdzie mogłaby posiedzieć spokojnie z dala od pana. Kiedy coraz bardziej niezadowolona kończyła obchód, usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych i ostre szczekanie psa. Podbiegła do poręczy i spojrzała w dół schodów.

Eedap Mun Odim, wracający z nabożeństwa, stawiał właśnie nogę na najniższym stopniu. Besi zobaczyła w perspektywnym skrócie futrzaną czapkę, zamszowy płaszcz, lśniące buty, wydatny nos i długą brodę. W odróżnieniu od swoich krewnych Eedap był mężczyzną szczupłym i sprężystym, a praca oraz interesy uchroniły go przed nadmierną tuszą. Od czasu do czasu pozwalał sobie jedynie na przyjemności łoża i, jak wiedziała, opisywał je w raptularzu z kupiecką drobiazgowością.

Stała bez ruchu, nie wiedząc, co robić. Zrównawszy się z nią, Odim obrzucił ją wzrokiem, skinął głową i uśmiechnął się lekko.

— Nie przeszkadzaj mi — rzekł przechodząc. — Nie będę cię potrzebował dziś wieczorem.

— Jak sobie życzysz, panie — odparła Besi, posługując się utartym zwrotem. Wiedziała, co go dręczy. Eedap Mun Odim był jednym z czołowych eksporterów porcelany, a handel porcelaną zaczął podupadać.

Odim wszedł na najwyższe piętro i zamknął drzwi. Jego żona przygotowała kolację, której zapach przenikał cały dom, docierając do niższych rejonów, gdzie jedzenie było mniej obfite.

Besi stała w półmroku na schodach, wśród tysiąca ludzkich woni, słuchając jednym uchem otaczających ją dźwięków. Na dworze dudniły podkute buty żołnierzy maszerujących nabrzeżem. Palce Besi, nadal wysmukłe, wystukiwały na poręczy niesłyszalną melodię.

Stała tak, niewidoczna z niższych pięter, gdy nagle spostrzegła stróża, który wyszedłszy ze swojej komórki, rozejrzał się ukradkiem i wymknął przez bramę. Może chciał sprawdzić, dokąd zdążają żołdacy Oligarchy? Choć Besi roztropnie zaprzyjaźniła się z nim dawno temu, dobrze wiedziała, że nie śmiałyby wypuścić jej z domu bez pozwolenia Odima.

Po chwili drzwi uchyliły się znowu. Do sieni wszedł mężczyzna żołnierskiej postawy, z sumiastymi wąsami, które zgrabnie dzieliły jego twarz na dwie części. Był to człowiek, który skłonił Besi do dokonania obchodu swego królestwa: kapitan Harbin Fashnalgid, nowy lokator Odimów.

Z komórki wybiegł pies stróża i zaczął ujadać. Ale Besi już zbiegała szybko schodami niczym pulchna kozica pędząca zreżnym po stromym zboczu.

— Cicho, cicho! — zawołała. Pies spojrzał na nią, pokręcił czarnym pyskiem i podbiegł radośnie do schodów. Wysunął język i polizał dłoń Besi, nie zmieniając groźnej miny.

— Leżeć — powiedziała Besi. — Dobry pies.

Kapitan przeszedł przez sieni i chwycił dziewczynę za rękę. Spojrzał na nią niepokojąco siwymi oczyma. Wysoki i smukły, był prawdziwym Uskutyjczykiem czystej krwi, zupełnie różnym od tłustych Odimów. Wskutek ruchów wojsk Oligarchy zakwaterowano go poprzedniego dnia w domu, a Eedap niechętnie odstąpił mu jeden z pokoiów na najwyższym piętrze. Ujrzawszy oficera, Besi natychmiast się w nim zakochała, gdyż odezwała się w niej wrażliwa natura, dzięki której wyszła cało z wielu niebezpieczeństw.

Wnet obmyśliła stosowny plan.

— Chodźmy na spacer — powiedziała. — Stróża nie ma. Kapitan objął ją jeszcze mocniej.

— Na dworze jest zimno.

Besi skinęła wyniośle głową. Poszli razem do drzwi, rozglądając się ukradkiem po mrocznej klatce schodowej. Ale Odim siedział w swoim pokoju, słuchając którejś z kobiet śpiewającej przy akompaniamencie binnadurii stare pieśni o zaginionych zamczyskach Kuj-Juvecu, zdradzonych dziewczicach i białych rękawiczkach upuszczonych na ziemię pewnego fatalnego ranka i przechowywanych po wsze czasy jako najcenniejszy skarb.

Kapitan Fashnalgid kopnął ciężkim butem w pierś psa, który wyraźnie chciał im towarzyszyć, po czym porwał Besi Besamitikahl ze sobą. W sferze miłości odznaczał się zdecydowaniem. Ujął ją mocno za ramię i powiódł przez dziedziniec i bramę, w której płonęła lampa oliwna.

Skręcili w prawo i ruszyli pod górę brukowaną ulicą.

— Chodźmy do świątyni — powiedział. Milczeli, gdyż wiał im w twarz lodowaty wichur polarny.

W krętym głębokim wąwozie między kamienicami rósł szpaler białych rachitycznych psiodrzewów. Ich korony szumiały na wietrze. Po przeciwnej stronie maszerowali gęsiego ze spuszczoneymi głowami okutani żołnierze, których kroki odbijały się echem od murów. Wodniścieszare niebo udzielało swego koloru całemu miastu.

W świątyni płonęły światła. Grupa wiernych uczestniczyła w nabożeństwie wieczornym. Ponieważ miejsce to nie cieszyło się dobrą sławą, Odim nigdy tam nie zaglądał. Na zewnątrz stały szeregi kamiennych słupów wysokości człowieka; upamiętniały tych, co odeszli z tego świata. Kochankowie przeszli ukradkiem między stelarni i skryli się w mroku pod ścianą. Besi objęła kapitana za szyję.

Rozmawiali szeptem przez jakiś czas, a później Fashnalgid wsunął dłoń pod futro i sukienkę Besi. Wzdrygnęła się, czując jego chłodny dotyk. Kiedy poszła za jego przykładem, wzdrygnął się z kolei kapitan. Przytulali się do siebie coraz mocniej, a ich ciała zdawały się na przemian lodem i ogniem. Besi spostrzegła z aprobatą, że kapitan jest zadowolony i zbytnio się nie śpieszy. Miłość jest taka prosta, pomyślała i -szepnęła mu do ucha:

— To takie proste... — Dłonie oficera zapuściły się jeszcze głębiej. Kiedy się połączyli, przycisnął ją mocno do ściany. Odchyliła głowę, opierając ją o szorstkie głązy, i wykrzyknęła jego imię, które tak niedawno poznała. Później oparli się razem o mur, a Fashnalgid rzekł trzeźwo:

— Dobrze było. Jesteś szczęśliwa ze swoim panem?

— Czemu pytasz?

— Mam zamiar dojść do czegoś. Może cię kupię, jak wygrzebię się z tarapatów...

Przytuliła się do niego bez słowa. Życie w wojsku było niepewne. Gdyby została kochanicą byle kapitana, straciłaby swoją obecną bezpieczną pozycję.

Oficer wyciągnął z kieszeni płaską butelkę i wypił głęboki łyk. Poczula odór alkoholu i pomyślała: Chwała Bogu, że Odim nie pije. Wszyscy wojskowi to ochlapusy...

Fashnalgid głęboko wciągnął oddech.

— Zdaję sobie sprawę, że nie jestem najlepszą partią. Musisz wiedzieć, dziewczyno, że dostałem okropne zadanie. Mój pieprzony regiment wylądował w gównie. Chyba zwariuję.

— Nie pochodzisz z Koriantury, prawda?

— Jestem z Askitosh. Słuchasz mnie?

— Zimno. Lepiej wracajmy.

Ruszył za nią z ociąganiem. Na ulicy wziął ją pod rękę, tak że poczuła się na chwilę wolną kobietą.

— Czy słyszałaś o arcykapłanie wojny Asperamance?

Wiał wiatr, toteż skinęła tylko głową. Nie był tak romantyczny, jak sobie wyobrażała. Ale zaledwie miesiąc temu była na kazaniu arcykapłana, który odprawiał nabożeństwo na jednym z placów miejskich. Mówił tak ładnie. Miał miły głos i podobał się Besi. Co za wspaniała postawa! Później przyglądała się razem z Odimem, jak jedzie na czele armii ku Bramie Wschodniej. Dudniły armaty. I ci wszyscy dzielni młodzieńcy...

— Gdy awansowano mnie na kapitana, arcykapłan odebrał ode mnie przysięgę wierności Oligarsze. Było to dawno temu. — Fashnalgid podkręcił węża. — A teraz wpadłem w tarapaty. Abro Hakmo Astab!

Usłyszawszy owo przekleństwo, Besi poczuła głęboki niesmak. Używali go tylko pariasi i desperaci. Wyrwała się i przyśpieszyła kroku.

— Asperamanka odniósł wielkie zwycięstwo nad Pannowalem. Dowiedzieliśmy się o tym w kasynie w Askitosh. Ale to tajemnica. Ciągłe tylko tajemnice... W Sibornału są same kurewskie tajemnice. Czemu tak jest, jak myślisz?

— Czy mógłbyś dać coś stróżowi, żeby nie narobił hałasu? Kiedy doszli do bramy, Besi zatrzymała się. Na murze wisiał nowy plakat. Nie mogła odczytać go w ciemności, a zresztą nie miała ochoty. Szukając w kieszeni drobnych, Fashnalgid rzekł stanowczo:

— Odkomenderowano nas do Koriantury, byśmy urządzili zasadzkę na armię arcykapłana wojny, gdy powróci z Chalce. Mamy rozkaz zabić wszystkich co do jednego, nie wyłączając Asperamanki. Czy coś z tego rozumiesz?

— To okropne — odparła Besi. — Lepiej wejść pierwsza, żeby nikt nas nie nakrył.

Nazajutrz wiatr ucichł, a Korianturę spowiła miękka szara mgiełka, przez którą świeciły dwa słońca. Besi patrzyła na szczupłego, zasuszonego Eedapa Muna Odima spożywającego śniadanie. Mogła zacząć jeść dopiero, gdy skończył. Nie odzywał się, lecz wiedziała, że jest jak zwykle pełen stoickiej pogody ducha. Chociaż pamiętała rozkosze, jakich dostarczył jej kapitan Fashnalgid, czuła, że mimo wszystko lubi Odima.

Jakby chcąc wystawić na próbę swój dobry nastrój, zaprosił on na górę pociotka podającego się za poetę.

— Napisałem nowy wiersz, kuzynie. Nosi on tytuł "Oda do dziejów" — powiedział krewny, złożywszy ukłon. Następnie zaczął deklamować:

Do kogóż me życie należy? Czyż dzieje
To własność ich twórców jedynie?
Czyż moja wyobraźnia nie może ich złożyć
W serca mego krainie
I kształtować historii, jak kształtuje mnie ona?
Dalszy ciąg wiersza brzmiał podobnie.

— Doskonały utwór — rzekł Odim, wstając i ocierając brodę jedwabną serwetką. — Ciekawe idee wyrażone w piękny sposób. Muszę teraz zejść do kantorku, więc wybacz mi. Twoje poezje cudownie mnie orzeźwiły.

— Czuję się zaszczycony — rzekł pociołek i oddalił się. Odim wypił kolejny łyk herbaty. Nigdy nie tykał alkoholu.

Skinął na Besi, włożył płaszcz podany przez służącego i ruszył powoli schodami na dół. Besi posłusznie kroczyła nieco z tyłu, a tymczasem na Odima nacierały tłumy krewnych. Ćwierkali oni na każdym piętrze niczym wróble, prosili, lecz nie zebrali, potrącali kupca, lecz go nie popychali, dotykali, lecz nie uderzali, wołali, lecz nie krzyczeli, podnosili do góry malutkie Odimki odziane w kaftaniki, aby mógł je obejrzeć, lecz w zasadzie nie ciskali mu ich w twarz. Ranna wędrowka spiralnymi schodami powtarzała się dzień w dzień.

— Wujku, mały Ghufła nauczył się dodawać...

— Wujku, muszę ci opowiedzieć o nowej zdradzie, gdy będziemy sami...

— Kochany wuju, zatrzymaj się na chwilę! Miałam dziś w nocy straszliwy sen, w którym pojawił się smok zięjący ogniem i pożarł nas wszystkich...

— Czy podoba ci się moja nowa suknia? Czy mogę w niej przed tobą zatańczyć?...

— Czy masz już jakieś wiadomości od mojego wierzyciela?...

— Pomimo twojego zakazu Kenigg kopie mnie, targa za włosy i uprzykrza rai życie, wujku. Proszę, uwolnij mnie od niego i pozwól mi być twoim sługą...

— Kochany Eedapie, zapominasz o darzących cię miłością. Błagamy cię, chroń nas przed nędzą...

— Jakże szlachetnie i pięknie dziś wyglądasz, wuju...

Ustawiczne prośby nie niecierpliwiły kupca, a wymuszone komplementy nie sprawiały mu przyjemności.

Przepychając się z wolna przez stłoczonych krewnych, wdychał woń potu i perfum, wypowiadał tu i ówdzie kilka słów, uśmiechał się, w pewnej chwili pozwolił sobie na pieszczotliwe ściśnięcie bujnej piersi podsunętej mu pod nos przez jedną z siostrzenic, a kilka razy wsunął nawet srebrną monetę w najdalej wyciągnięte ręce. Zachowywał się tak, jakby uważał (co nie miało się zresztą 7. prawdą), iż należy znosić pokornie cierpienia, ofiarowując innym jak najmniej, lecz mimo to pozostając człowiekiem, by nie stracić szacunku dla samego siebie.

Okazał zdenerwowanie dopiero na dworze, gdy Besi zamknęła za nim bramę. Na murze wisiały dwa plakaty. Odim szarpnął gwałtownie brodę.

Pierwszy ostrzegał przed morem zagrażającym życiu mieszkańców Usku-toshk. Szerzył się on szczególnie w portach, zwłaszcza w słynnym i starożytnym mieście Korianturze. W związku z tym wprowadzono ścisły zakaz zgromadzeń publicznych. Każdych czterech mieszkańców przebywających w jednym miejscu czeka surowa kara.

Niebawem zostaną wydane inne edykty zapobiegające rozprzestrzenianiu się tłustej śmierci. Z rozkazu Oligarchy.

Odim przeczytał plakat dwukrotnie z bardzo poważną miną. Później spojrzał na następny.

“O pomniejszeniu ścisłości w domostwach decretum”. Po kilku zdaniach w języku urzędowym rzucał się w oczy następujący fragment:

Zakazy owe tyczą się zwłaszcza domostw, chat, dworów, zajazdów, kwater i innych pomieszczeń, których właściciele nie są Uskutyczykami czystej krwi. Doświadczenie uczy, iż szczególnie łatwo roznoszą oni zarazę. Odtąd przeto w ich domostwach na każdego mieszkańca przypadać musi co najmniej dwa metry kwadratowe powierzchni mieszkalnej. Z rozkazu Oligarchy.

Edykt nie był niespodzianką i miał na celu likwidację gęściej zaludnionych dzielnic miasta, gdzie Oligarcha nie cieszył się sympatią. Odima uprzedzili o nim przyjaciele z rady miejskiej.

Uskutyczycy znów demonstrowali swoje uprzedzenia rasowe, które władza zρέcznie wykorzystywała. W miastach Sibornalu dawno temu zabroniono fagorom poruszać się bez opiekunów.

To, że przodkowie Odima mieszkali w Korianturze od stuleci, niczego nie zmieniało. Nowy dekret uniemożliwiał kupcowi dalsze opiekowanie się rodziną.

Rozejrzawszy się szybko dokoła, Odim zerwał plakat ze ściany, zwinął w rulon i wsunął pod zamszowy płaszcz.

Zaniepokoiło to Besi równie mocno jak przekleństwo kapitana zeszłego wieczoru. Pierwszy raz w życiu widziała, by Odim naruszył prawo. Jego drobiazgowość była powszechnie znana. Wciągnęła głęboko oddech i spojrzała nań z otwartymi ustami.

— Nadchodzi zima — powiedział tylko. Na jego twarzy pojawił się gorzki grymas.

— Weź mnie pod rękę, dziewczyno — rzucił szorstko. — Mamy coś do zrobienia...

Port, w którym kołysał się las masztów, spowijała szaro sina mgiełka. Morze było zupełnie spokojne. Nie skrzyphiał nawet takielunek.

Odim nie tracił czasu na podziwianie krajobrazów. Przeszedł pod solidnym łukiem, nad którym widniał szyld “Porcelana zamorska Odima”, minął kłaniających się urzędników i podążył wraz z Besi do kantorku.

Po wejściu stanął jak wryty.

Do biura wdarli się nieznani ludzie. Przy kominku grzał się oficer, dłubiąc w zębach zapałką. Nie opodał stało dwóch szeregowych o kamiennych twarzach.

Ujrzawszy Odima, major wypluł zapałkę na podłogę i założył ręce do tyłu. Był postawnym szpakowatym mężczyzną w ciężkim płaszczu. Grube wystające wargi sugerowały, iż oficer, przepojony niezłomnym duchem bojowym, pogryzie za chwilę cywila.

— Czyż mogę służyć? — spytał Odim.

— Jestem major Gardeterark z Pierwszego Regimentu Gwardii Oligarchy — przedstawił się wojskowy szczerząc zęby. — Wszyscy nas znają, nikt nie lubi. Przyszedłem po kompletną listę statków, którymi wysyłasz towary z Koriantury w przyszłym tygodniu.

Mówił głębokim głosem, jednak akcentując każdą sylabę, jakby słowa były krokami stawianymi ciężko podczas defilady.

— W tej chwili. Czy pan major nie zechciałby usiąść i napić się herbaty? Oficer wyszczerzył się jeszcze bardziej.

— Potrzebuję wyłącznie listy.

— Słucham, panie majorze. Proszę się rozgościć, a tymczasem mój dependent...

— Już się rozgościłem. Nie zatrzymuj mnie. Czekam na ciebie od sześciu minut. Lista, ale już!

Pomimo swoich wad Sibornał północny miał nieprzebrane zasoby kopalin. Występowały tam również rozmaite rodzaje gliny.

Podczas gdy księżęta Barbarii chleptali piwo z drewnianych czarek, w Korianturze posługiwano się na co dzień pucharami z porcelany i szkła. Już wiosną Wielkiego Roku garncarze z odległego Karkampanu i Uskutoshk wypalali porcelanę w temperaturze do tysiąca czterystu stopni. W ciągu wieków wyroby te stawały się coraz bardziej poszukiwane na rynku kolekcjonerskim.

Eedap Mun Odim nie produkował porcelany, choć na terenie jego zakładu znajdowało się kilka pieców. Zajmował się przede wszystkim handlem. Miejscową porcelanę z Koriantury, ciesząc się dobrą marką, wysyłał do Shivenink i Bribahru, a zwłaszcza do portów Kampanlatu, gdzie jako potomka przybyszów z Kuj-Juvecu ceniono go bardziej niż konkurujących z nim kupców z Sibornału. Nie był właścicielem żaglowców przewożących towary. Zajmował się głównie pośrednictwem oraz lichwą. Pożyczał pieniądze z zyskiem nawet konkurentom.

Większość jego bogactw pochodziła z portów na północnych wybrzeżach Barbarii: z Yaynnwosh, Dorrdalu, Dowwelu, a nawet odległego Powachetu i Popevinu, gdzie nie docierali inni kupcy. Właśnie ryzykowna natura interesów Odima spowodowała, że zadrzała mu dłoń, gdy wręczał majorowi listę. Wiedział, że oficerowi nie spodobają się obce nazwy.

Spojrzenie majora, sine i mgliste jak poranek na dworze, przesunęło się po zapisanej stronie.

— Wysyłasz towary do cudzoziemskich portów — rzekł w końcu martwym głosem. — Szaleje w nich tłusta śmierć. Nasz wielki Oligarcha (niechaj go Azoiaxic zachowa!) chce ocalić swój lud przed morem pochodzącym z Barbarii. Do Kampanlatu nie popłynie odtąd ani jeden statek.

— Ani jeden?! Ależ pan major nie może...

— Mogę. Ani jeden statek, powtarzam. Aż do odwołania.

— Ale mój handel, moje interesy...

— Ważniejsze od twojego handlu jest życie kobiet i dzieci. Jesteś cudzoziemcem, prawda?

— Nie, nie jestem. Moja rodzina mieszka w Uskutoshk od trzech pokoleń.

— Nie jesteś Uskutyjczykiem. Świadczą o tym twój wygląd i imię.

— Moi odlegli przodkowie pochodzili z Kuj-Juvecu, panie majorze.

— Od dzisiaj w mieście panuje stan wyjątkowy. Masz słuchać rozkazów, zrozumiano? Jeśli naruszysz prawo i wyślesz swoje towary do cudzoziemskiego portu, staniesz przed trybunałem wojennym i zostaniesz skazany...

Major urwał, po czym dokończył teatralnie:

— Na karę śmierci.

— Oznacza to ruinę dla mnie i mojej rodziny — odrzekł Odim z wymuszonym uśmiechem.

Oficer skinął na jednego z szeregowych, który wyciągnął z kieszeni dokument.

Major cisnął go na stół.

— Masz tu wszystko czarno na białym. Podpisz na dowód, że zrozumiałeś. — Wietrzył sobie zęby, patrząc na Odima składającego po omacku podpis, po czym dodał: — Jako cudzoziemiec masz meldować się codziennie rano u komendanta portu. Niedawno zaczął urzędować w sąsiednim magazynie, więc nie nadwerężysz sobie nóg.

— Nie jestem cudzoziemcem, panie majorze. Urodziłem się w Korianturze. Jestem przewodniczącym miejscowej gildii kupieckiej. Proszę zasięgnąć o mnie informacji.

Kiedy Odim składał błagalnie dłonie, spod płaszcza wypadł mu zwinięty plakat. Besi wysunęła się do przodu i wrzuciła go w ogień. Podobnie jak podczas całej rozmowy, oficer nie zwrócił na nią uwagi. Wsadził w zamyśleniu język między zęby a górną wargę, jakby zastanawiał się nad bezczelnością Odima, po czym rzekł:

— Masz meldować się co rano u mojego podkomendnego, kapitana Fashnalgida, który urzęduje po drugiej stronie ulicy.

Usłyszawszy nazwisko kapitana, Besi pochyliła się nad ogniem. Jej przelotny rumieniec był z pewnością odbiciem płomieni.

Kiedy major Gardeterark i towarzyszący mu żołnierze wyszli, Odim zamknął drzwi do pakowni i usiadł przy kominku. Schylił się powoli, podniósł z dywanu przeżutą zapałkę i cisnął ją w ogień. Besi uklękła i wzięła go za rękę. Długo milczeli.

— No cóż, kochanie, mamy kłopoty — rzekł w końcu Odim, siląc się na beztroskę. — Jak im zaradzić? Gdzie możemy mieszkać? Może tutaj. Moglibyśmy zrezygnować z pieca, którego rzadko używamy, i ulokować w nim kilku krewnych. Można by upiększyć ten pokój... Ale jak nie będzie mi wolno handlować, czeka nas ruina. Te łotry dobrze o tym wiedzą. Uskutyczycy chętnie zrobiliby z nas niewolników...

— Czy nie wyglądał okropnie? Te oczy, zęby... jak u kraba. Odim wyprostował się na krześle i strzelił z palców.

— Mimo to mamy szczęście. Najpierw musimy się skontaktować z kapitanem Fashnalgidem w sąsiednim magazynie. Tak się składa, że kwateruje właśnie w naszym domu. Widziałaś go? Czyta książki i wygląda na człowieka kulturalnego. A moja żona dobrze go karmi. Może zdołamy go namówić, by nam pomógł...

Uniósł brodę Besi, tak że musiała spojrzeć mu w oczy.

— Zawsze można coś zrobić, moje kurczątko. Idź do tego miłego kapitana Fashnalgida i zaproś go tutaj. Powiedz mu, że mam dla niego podarek. Na pewno okaże się dla nas wyrozumiały. Jest co prawda szpetny jak diabeł górski, ale zapomnij o tym, Besi... Bądź dla niego bardzo słodka, co, kurczątko? Tak słodka, jak tylko ty potrafisz, czyli bardzo, bardzo słodka... A nawet nieco kusząca... Wiesz, co mam na myśli? Nawet gdybyś się musiała posunąć bardzo daleko. Zależy od tego nasze życie.

Popukał się palcem po wydatnym nosie i uśmiechnął przymilnie.

— Leć, gołąbeczko. I pamiętaj: zrób wszystko, by go zjednać.

IV. ZAWÓD: OFICER

“O pomniejszeniu ścisku w domostwach decretum” spotkało się z mieszanym przyjęciem, z jakim zwykle witano edykty Oligarchy. W zamożniejszych dzielnicach miasta kiwano głowami i wzdychano: “Jakie to mądre! Cóż za znakomity pomysł!” W okolicach portu słyszało się: “Więc to tak! To takie świństwo wymyślili!”

Wróciwszy do swojego zatłoczonego pięciopiętrowego domu Eedap Mun Odim nie pokazał po sobie lęku. Wiedział, że niebawem odwiedzi go policja, by zwrócić mu uwagę, że łamie nowe zarządzenie.

Wieczorem pogłaskał dzieci po główkach, położył się koło śpiącej żony i przygotował się psychicznie do rozmowy z duchami. Nie podzielił się niepokojem ze swoją bujną połowicą, gdyż zdawał sobie sprawę, że w niczym nie pomogą mu gwałtowne oznaki trwogi, bieganie w kółko po pokoju ani histeryczne pocałunki składane na czołach trójki dzieci. Kiedy oddech tęgiej damy zaczął przypominać balsamiczne powiewy jesiennego wietrzyku w górach Kuj-Juvecu, Odim zebrał siły wewnętrzne i zapadł w stan pozornej śmierci będący wstępem do pauku.

Pauk, stanowiący od wiek wieków ucieczkę ubogich, zrozpaczonych i prześladowanych, pozwalał porozumieć się z martwymi przodkami. Krainą umarłych nie rządziło państwo ani kościoły. W świecie cieni nie było ścisłości ani nie panował Bóg Azoiaxic. Przebywały tam jedynie mamiki i nieco bardziej mgliste mamuny, podążające ku przyćmionej światłości Pramacierzy, która przyjmowała na swoje łono wszystko, co żywe.

Drżąca dusza Eedapa Muna Odima odpłynęła w zaświaty, by porozumieć się z mamikiem niedawno zmarłego ojca.

Przypominał on lichy skleconą pozłacaną klatkę. Obsydian niebytu nie pozwalał dobrze widzieć, lecz kupiec złożył stosowny ukłon, a duch błysnął lekko w odpowiedzi. Odime przedstawił mu swoje troski.

Mamik słuchał, wyrażając współczucie przeraźliwymi podmuchami złościstego pyłu, a następnie porozumiał się z zastępami antenatów w dole. W końcu udzielił Odimowi rady.

— Ukochany synu, przodkowie szanują cię za troskę o nasz ród. Krewni muszą się trzymać razem, ponieważ władcy nie rozumieją więzów pokrewieństwa. Twój dobry brat Odirin Nań mieszka daleko, lecz podobnie jak ty kocha naszą biedną rodzinę. Jedź do niego. Jedź do Odirina Nana. Bezcielesny głos rozplątał się. Odime odrzekł cicho, że kocha swojego brata Odirina, lecz mieszka on w dalekim Shivenink. Czy nie należy raczej przeprowić się przez góry i wrócić do dolin Kuj-Juvecu, gdzie ciągle żyje odległa gałąź rodziny?

— Ci z nas, którzy mogą się nadal posługiwać głosem, odradzają powrót do Kuj-Juvecu. Jak twierdzą nowo przybyli, droga przez góry jest coraz niebezpieczniejsza. — Smukły szkielet zadrżał. — Oprócz tego doliny stają się kamieniste, a stada bydła chudną. Płyn na zachód do brata, ukochany synu. Oto nasza rada.

— Miło jest być posłusznym muzyce twego głosu, ojczyste.

Wymieniono czułe słowa pożegnania, a dusza Odima popłynęła ku górze przez obsydian niczym rozżarzony węgielek dryfujący w gwiazdzistej pustce. Zastępy umarłych zniknęły z pola widzenia. Kupiec odnalazł swoje słabe ludzkie ciało leżące bezwładnie na łóżku i z bólem szukał do niego drogi.

Odime powrócił do swojej śmiertelnej powłoki, osłabiony fizycznie, lecz pokrzepiony duchowo mądrością ojca. Obok, śpiąc snem sprawiedliwego, oddychała równo jego tęga małżonka. Objął ją ramieniem i przytulił się do niej niczym dziecko do matki.

Kiedy Odime zapadał w sen, zrywali się z łóżek miłośnicy tajemnic. Miłośnicy ciemności wstawali przed świtem, by wyprzedzić innych. Miłośnicy chłodu szczególnie lubili wczesny poranek, gdy opór bliźnich jest najslabszy.

Kiedy wybiła trzecia rano, major Gardeterark przywdział skórzane spodnie i zaczął się golić, śledząc uważnie swoje odbicie w lustrze. Gardeterark nie trwonił czasu na pauk. Zgodnie z tradycją swego rodu uważał się za racjonalistę. Chociaż paradne nabożeństwa wojskowe sprawiały mu przyjemność, nie wierzył w Azoiaxica, a pauk wydawał mu się nonsensem. Nie przyszłoby mu nigdy do głowy, że skazuje się w ten sposób na wegetację w świecie żywego obsydianu, przez który nie przenika światłość. Golił się przeraźliwie ostrą brzytwą, rozmyślając, jak uprzykrzyć życie mieszkańcom Koriantury oraz swojemu podkomendnemu, kapitanowi Harbinowi Fashnalgidowi. Gardeterark sądził, iż posiada racjonalne motywy, by nienawidzić Fashnalgida, któremu zarzucał nieudolność. A był wszakże racjonalistą.

Niegdyś, przed ostatnią zimą Weyra, Sibornalem władał potężny król Denniss. Jego stolica znajdowała się w Askitosh, a on sam mieszkał w ogromnych budowlach zwanych Pałacami Jesiennymi. Tak głosiły legendy.

Król Denniss wezwał na dwór uczonych ze wszystkich zakątków globu. Wielki monarcha pragnął, by Sibornal przetrwał ponure stulecie zimy Weyra. Wyprawił za morze armadę, która najechała Pannowal.

Nadwornicy uczeni tworzyli leksykony i encyklopedie. Nazwali, opisali i usystematyzowali wszystko, co żywe. Przez szacunek do Kościoła Krwawego Pokoju pominieli jedynie niemy świat umarłych.

Po śmierci króla Dennissa zapanował długotrwały chaos. Nadeszła zima. Możliwe rody siedmiu plemion Sibornalu zawarły sojusz, tworząc Oligarchię, by rządzić krajem wedle zasad racjonalizmu,

zgodnie z ideałami martwego władcy. Wysyłano uczonych za granicę, by krzewili oświatę wśród ludów Kampannlatu, nawet w tak odległych zakątkach jak Keevasien, starożytny ośrodek kulturowy w Borlien południowo-zachodnim.

Tej jesieni Oligarcha wydał jeden ze swoich najświatlejszych dekrétów. Zreformowano kalendarz Sibornalu. Poprzednio wszystkie ludy kontynentu, oprócz barbarzyńców z zapadłych regionów, takich jak Góry Hazziz, liczyły czas od dnia koronacji króla Dennissa. Oligarcha zakazał owych praktyk. Za początek kalendarza przyjęto rok, gdy Helikonია oraz słabsze słońce, Bataliksa, oddaliły się najdalej od Freyra. Innymi słowy, rok apastronu.

Wielki Rok składał się z tysiąca ośmiuset dwudziestu pięciu małych lat po czterysta osiemdziesiąt dni. Obecny mały rok, rok najazdu Asperamanki na Chalce, stanowił tysiąc trzysta ósmy rok po apastronie. Ludzie posługujący się nowym kalendarzem mieli stałą świadomość upływu pór roku. Było to rozwiązanie racjonalne.

Major Gardeterark racjonalnie skończył golenie, racjonalnie osuszył twarz i jął racjonalnie czyścić swoje przeraźliwe zęby, szorując każdy siekacz, kiel i trzonowiec racjonalną liczbę razy.

Reforma kalendarza zaniepokoiła chłopów. Jednakże Oligarchia wiedziała, co robi. Stała się tajemnicza, otoczyła się murem sekretów. Jesienią stworzyła tajną policję, która strzegła jej interesów. Panujący Oligarcha zmienił się stopniowo w tajemniczą postać, mroczną legendę unoszącą się nad Askitosh, gdy tymczasem, jak głosiły starożytne podania, król Denniss cieszył się powszechną miłością i ukazywał się często publicznie.

Wszystkie prawa i edykty Oligarchy opierały się na racjonalnych przesłankach. Racjonalizm w wydaniu ludzi pokroju Gardeterarka stawał się filozofią okrutną. Stanowił dobry pretekst do terroryzowania ludności. W kasynie oficerskim major wznosił co wieczór toast za racjonalizm, opierając monstrualne zęby o brzeg kieliszka, gdy trunek spływał mu do gardła.

Zakończywszy toaletę, założył przy pomocy ordynansa buty i ciężki płaszcz. Racjonalnie przyodziany, wyszedł na dwór, gdzie panował jeszcze nocny przymrozek.

Podwładny Gardeterarka, kapitan Fashnalgid, nie był racjonalistą, tylko pijakiem.

Nałóg zaczął się jako nieszkodliwa rozrywka, której Fashnalgid oddawał się wraz z młodszymi oficerami pułku. Jednakże w miarę narastania nienawiści do Oligarchy pociąg do trunków stawał się coraz silniejszy i zaczął wymykać się spod kontroli.

Fashnalgid, pogrążony w lekturze, pił spokojnie pewnego wieczoru w kasynie oficerskim w Askitosh, nie zwracając uwagi na kolegów. Koło jego fotela zatrzymał się tęgi kapitan imieniem Naipundeg i położył szpicrutę na otwartej stronicy.

— Harbin, znowu czytasz jakieś świństwa, ty nieużyty psie?! Fashnalgid zamknął książkę.

— Nie jest to dzieło, z którym mogłeś się zetknąć, Naipundegu — odrzekł bezbarwnym głosem. — To historia architektury kościelnej na przestrzeni wieków. Kupiłem ją niedawno na straganie. Wydrukowano ją trzysta lat temu i zawiera tajemnice, które uległy później zapomnieniu. Na przykład sekret szczęścia. O ile cię to interesuje.

— Szczerze mówiąc, niespecjalnie. Brzmi to piekielnie nudno. Fashnalgid wstał i schował cienki tomik do kieszeni munduru. Podniósł kieliszek i wysączył go do dna.

— W naszym regimencie służą sami durnie. Z nikim nie da się ciekawie porozmawiać. Nie gniewasz się, że to mówię? Jesteś przecież dumny ze swojej głupoty, co? Nie nudzą cię tylko świństwa, prawda?

Zatoczył się lekko. Naipundeg, również pijany, zaczął ryczeć z wściekłości.

Fashnalgid wyrzucił wówczas z siebie nienawiść do Oligarchii i Oligarchy coraz bardziej umacniającego swoją władzę.

Wlawszy do gardła kolejny kieliszek ognistego trunku, Naipundeg wyzwał go na pojedynek. Wyznaczono sekundantów. Wsparli oni swoich mocodawców i wyprowadzili ich do ogrodu kasyna. Wybuchała nowa kłótnia. Oficerowie odepchnęli sekundantów i zaczęli palić do siebie z pistoletów.

Większość kuł poleciała Panu Bogu w okno.

Wszystkie oprócz jednej.

Trafiła ona Naipundega w twarz, strzaskała kość jarzmową, wdarła się do mózgu przez lewe oko i opuściła czaszkę przez potylicę.

W swobodnym środowisku oficerów zawodowych pojedynek udało się zbagatelizować jako sprawę honorową, której przyczynę stanowiła kobieta. Sąd wojenny pod przewodnictwem arcykapłana wojny Asperamanki zadowolili się byle czym: Naipundeg, pochodzący z Bribahru, nie był zbyt lubiany. Fashnalgida uniewinniono. Nie uspokoiło to jednak jego sumienia, gdyż zamordował przecież kolegę oficera. Im mniej winili go kompani od kieliszka, tym gwałtowniej oskarżał sam siebie.

Poprosił o urlop i pojechał do majątku ojca na wzgórzach na północ od Askitosh. Przyrzekł sobie, że się poprawi, że przestanie się oddawać pijaństwu i rozpuście. Rodzice Harbina starzeli się, lecz nadal co rano objeżdżali swoje pola i lasy, jak mieli to w zwyczaju od przeszło czterdziestu lat.

Majątek prowadziło dwóch młodszych braci Harbina, których wspomagały żony. Bracia byli dobrymi gospodarzami. Kiedy zawodziły wrażliwe uprawy, siali odporniejsze; wybierali szybko wschodzące odmiany; drzewa połamane przez wichury zastępowali sadzonkami kaspiarnów wytrzymałych na mroz; wznosili solidne ogrodzenia, by zatrzymać stada flambergów, które przybłąkały się z równin północy. Pod kierunkiem braci harowały ponure fagory.

W dzieciństwie Harbin uważał majątek za raj. Teraz wydał mu się on piekłem. Widział, ile pracy potrzeba, by utrzymać chwiejną równowagę zagrożoną przez pogarszanie się klimatu, i nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Codziennie rano słuchał brodatych dowcipów ojca, by nie wychodzić z braćmi na dwór. Później udawał się do biblioteki, gdzie melancholijnie wertował książki, które go niegdyś urzekały, i pozwalał sobie od czasu do czasu na kieliszek czegoś mocniejszego.

Harbin Fashnalgid ubolewał często nad swoją nieudolnością. Nie miał silnej woli. Skromność nie pozwalała mu widzieć, iż podoba się to wielu ludziom, zwłaszcza kobietom. W spokojniejszej epoce czekałaby go wielka kariera.

Miał jednak dar obserwacji. W ciągu dwóch dni zauważył, że najmłodszy brat kłóci się z żoną. Może były to tylko drobne nieporozumienia. Mimo to Fashnalgid okazał młodej kobiecie współczucie. Im dłużej z nią rozmawiał, tym słabsze stawało się postanowienie poprawy. Urabiał ją. Opowiadał barwne historie wojenne, muskając jej dłonie, uśmiechając się i udając wielki smutek, który był tylko w połowie udany. Zdobył w końcu zaufanie dziewczyny i został jej kochankiem.

Fashnalgid nie postępował racjonalnie. Nawet w przestronnym dwupiętrowym dworze rodziców romans nie mógł pozostać tajemnicą. Upojony miłością lub czymś podobnym, Fashnalgid nie potrafił zachować dyskrecji. Obsypywał nową kochankę absurdalnymi prezentami. Ofiarował jej wiklinowy hamak, dwugłową kozę, lalkę w mundurze żołnierza, szkatułkę z kości słoniowej z rękopisami legend z Ponipotanu, parkę pecubei w pozłacanej klatce, srebrną figurkę musłanga o kobiecej twarzy, talię kart z kości słoniowej inkrustowanych macią perłową, klawikord, skamieniałą czaszkę madyjską z alabastrowymi oczyma oraz mnóstwo kamieni szlachetnych, wstążek i poematów.

Wynajął w wiosce muzykantów, by grali serenady pod jej oknami.

Z kolei dziewczyna, spotkawszy pierwszy raz w życiu mężczyznę, który nie interesował się wyłącznie uprawą ziemniaków i manieczki, była w siódmym niebie. Śpiewając dziką zygankę, tańczyła przed nim nago na werandzie, odziana jedynie w ofiarowane przezeń bransolety.

Musiało się to skończyć. Ponurzy hreczkosieje nie byli w stanie tolerować takiego rozpasania. Bracia Fashnalgida podwinęli pewnej nocy rękawy, wdarli się do gniazdka kochanków, przewrócili kopnięciem klawikord i wyrzucili Fashnalgida z domu.

— Abro Hakmo Astab! — ryczał kapitan. Owego ohydneho przekleństwa nie pozwalano wypowiadać na głos nawet dworskim parobkom.

Fashnalgid podniósł się z ziemi i otrzepał po ciemku z kurzu. Dwugłowa koza obgryzała mu nogawkę od spodni.

Stał pod oknem starego ojca, wykrzykując prośby i obelgi.

— Ty i matka mieliście szczęśliwe życie, niech was wszyscy diabli! Wasze pokolenie uważało, że nad miłością można zapanować! “Wola odróżnia nas od zwierząt, a miłość to nie obojętność”, jak powiada poeta. Zawieraliście małżeństwa na całe życie, słyszysz, stary durniu?! Ale teraz wszystko się zmieniło! Wolą zacząć rządzić klimat...

Trzeba korzystać z miłości, póki czas! Czy zapewnienie mi szczęścia nie było waszym obowiązkiem rodzicielskim?! Odpowiedz, stary wariacie! Skoro jesteście tacy diabelnie szczęśliwi, czemu nie daliście mi szczęśliwego usposobienia?! Niczego wam nie zawdzięczam! Dlaczego zawsze musi mi być smutno?...

Z ciemnego domu nie dobiegł żaden dźwięk. Z jednego z okien wyleciała lalka w żołnierskim mundurze i trafiła Fashnalgida w skroń.

Nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do swojego regimentu w Askitosh. Jednakże plotki rozchodziły się szybko między ziemianstwem. Fashnalgid zyskał sobie opinię rozpustnika. Pech chciał, że wujem zniesławionej kobiety, która jeszcze tak niedawno tańczyła nago na werandzie i śpiewała dzikie zyganki, był major Gardeterark. Harbinowi Fashnalgidowi zaczął palić się grunt pod stopami.

Trwoniał gażę na dziwaczne księgi, kobiety i trunki. Odnalazł dowody na to, że w sennych stuleciach jesieni Oligarcha umocnił swoją totalitarną władzę nad Sibornalem. Grzebiąc w papierzyskach na strychu antykwariusza natrafił na wykaz majątków uskutytyskich, których właściciele zobowiązali się do bliżej nie określonej daniny na rzecz Oligarchy. Była wśród nich posiadłość Fashnalgidów.

Pełniąc służbę garnizonową, ponuro rozmyślał o owym dokumencie. Doszedł do wniosku, że sam stanowi część przyrzeczonej daniny.

Kiedy nie oddawał się pijaństwu i rozpuście, przypominał sobie niektóre przechwałki ojca. Czyż starzec nie twierdził, że widział raz samego Oligarchę? Nikomu innemu się to nie udało. Nie istniały jego portrety. Fashnalgid nie miał pojęcia, jak wygląda, choć wyobrażał go sobie jako parę olbrzymich łap wyciągniętych nad Sibornalem.

Pewnego wieczoru po zakończeniu służby kazał ordynansowi osiodłać musłanga i pogalopował szaleńczo do majątku ojca.

Bracia obrzucili go plugawymi wyzwiskami. Nie pozwolono mu bodaj zerknąć na wybrankę, toteż widział tylko nagie ramię znikające za drzwiami, gdy ją odciągano. Poznał bransolety na przesłicznym przegubie. Jakże dźwięczały w tańcu!...

Ojciec leżał na sofie, okryty kocami. Prawie nie można było się z nim porozumieć. Tracił wątek i mówił od rzeczy. Słuchając łgarstw i przechwałek starca, Fashnalgid dostrzegał w nim ze smutkiem własny portret. Ojciec nadal utrzymywał, iż widział Torkerkanzłaga Drugiego, Najwyższego Oligarchę. Rzekomo przeszło czterdzieści lat temu, gdy był młody.

— Tytuły nie mają znaczenia, synu — rzekł starzec. — Służą one tylko ukryciu prawdy. Oligarchia opiera się na tajemnicy. Imiona członków Tajnej Rady i samego Oligarchy to sekret, więc nikt ich nie zna. Ba, oni nie znają siebie nawzajem. Zresztą tym lepiej...

— Więc nie widziałeś Oligarchy na własne oczy?

— Nikt go nigdy nie widział. Ale w tej szczególnej chwili przebywał w sąsiedniej komnacie. Sam Oligarcha. Tak mówiono. Wiem, że to prawda. Zawsze to powtarzałem. Mógł być nawet olbrzymim krabem ze szczypcami sięgającymi aż do nieba, ale tego dnia siedział na pewno w drugim pokoju i gdybym otworzył drzwi, zobaczyłbym jego szczypcę...

— Co tam robiłeś, ojczu? Co to za szczególna chwila?

— Góra Icen... Góra Icen, jak sam wiesz. Znają ją wszyscy, ale nawet członkowie rady nie znają siebie nawzajem. Tajemnica to ważna rzecz. Pamiętaj o tym, Harbinie. Chłopcy powinni być uczciwi, kobiety cnotliwe, a mężczyźni dyskretni... Znasz przecież stare przysłowie, które powtarzał mój dziadek: "Sibornalczyk nosi w rękawie nie tylko rękę". To szczerza prawda.

— Kiedy byłeś na górze Icen? Czy złożyłeś Oligarsze daninę z naszego majątku? Muszę to wiedzieć.

— Obowiązki, chłopcze, istnieją obowiązki. Nie tylko lalczki i wierszyki kupowane kobietom. Jeśli złoży się daninę, ma się prawo do obrony. Idzie zima, trzeba patrzeć w przyszłość. Starzeję się. Bezpieczeństwo... Nie powinienes się denerwować... Uzgodniono to, nim się urodziłeś. Byłem wtedy ważną osobistością, ważniejszą, niż ty masz szansę kiedykolwiek... Powinienes już awansować na majora, synu, ale Gardeterarkowie mówią... Dlatego podpisałem cyrograf, że mój pierworodny będzie służył w armii Oligarchy, broniąc państwa, gdy mnie już...

— Sprzedałeś mnie do wojska przed moim urodzeniem?! — przerwał Fashnalgid.

— Harbinie, Harbinie, synowie powinni służyć w wojsku! To chwalebne. I pobożne. Pobożne, Harbinie. Tak uczy kościół.

— Więc sprzedałeś mnie do wojska? I co właściwie dostałeś w zamian?

— Spokój ducha. Poczucie spełnionego obowiązku. Bezpieczeństwo, jak powiedziałem, tylko nie słuchałeś. Twoja matka się zgodziła. Spytaj jej. To jej pomysł.

— O Pramatko...

Fashnalgid poszedł nalać sobie czegoś mocniejszego. Kiedy wlewał trunek do gardła, ojciec usiadł i rzekł wyraźnie:

— Otrzymałem przyrzeczenie.

— Jakie przyrzeczenie?

— Chodziło o przyszłość. O bezpieczeństwo naszego majątku. Przez wiele lat sam byłem członkiem Tajnej Rady, Harbinie. Dlatego oddałem cię do wojska. To chwalebna, godna służba. Powinieneś się tylko bardziej zaprzyjaźnić z młodym Gardeterarkiem...

— Sprzedałeś mnie, ojcze, sprzedałeś własnego syna jak niewolnika!...

Fashnalgid z płaczem wybiegł z domu. Odjechał galopem z miejsca swego urodzenia, nie oglądając się za siebie.

W kilka miesięcy później jego batalion odkomenderowano do Koriantury. Fashnalgid znalazł się pod dowództwem swojego wroga, majora Gardeterarka, który otrzymał rozkaz ciepłego powitania powracającej armii Asperamanki.

W całym okresie swojego istnienia Sibornal był bardziej spoisty niż luźny związek plemion tworzących Kampannlat. Ludy północnego kontynentu różniły się między sobą, lecz potrafiły się zjednoczyć w obliczu zagrożeń zewnętrznych.

W stuleciach o łagodniejszym klimacie w Sibornalu panowały lepsze warunki. Od początku wiosny Wielkiego Roku Freyr nigdy nie zachodził, pozwalając północnym regionom wcześniej się rozwinąć. Obecnie, gdy Wielki Rok chylił się ku końcowi, Oligarcha spiesznie umacniał swoją władzę, rzucając na kontynent własny cień.

Zarówno Oligarcha, jak i zwykli Sibornalczyki rozumieli, że stopniowo narastający chłód może rozsadzić społeczeństwo od wewnątrz niczym zamrożoną rurę z wodą. Ataki mrozu powodujące załamywanie się dostaw żywności mogły przynieść zagładę cywilizacji. Już za kilka lat miał nadejść Myrkwyr, po którym przez trzy i pół wieku panować będzie ciemność. Nastanie zima Weyra, a Sibornal stanie się królestwem lodowatych wichrów.

Zima doprowadzi do rozpadu Kampannlatu, którego ludy nie potrafią ze sobą współpracować. Powrócą one do stanu barbarzyństwa. Sibornal, gdzie warunki staną się jeszcze surowsze, przetrwa dzięki racjonalnemu planowaniu.

Szukając pociechy, Harbin Fashnalgid spotykał się z kapłanami i świętymi.

Kościół był skarbnicą wiedzy. Duchowni zdradzili mu tajemnicę przetrwania Sibornalu. Chociaż Fashnalgida dręczyła obsesyjna myśl o wygnaniu z majątku ojca, gdzie wśród pól i lasów harowali jego bracia, sprawa ta okazała się dlań objawieniem.

Ogromny kontynent, prawie zupełnie pokryty lodami polarnymi, przypominał wąski pierścień ziemi obłany przez morze. Właśnie w oceanach krył się sekret przetrwania. Chłodne oceany zawierają więcej tlenu niż ciepłe. Żywe istoty rozmnażają się w nich nawet w zimie. Oceany dostarczą Sibornalczykom żywności, nawet gdy lody pokryją rodowe dobra, z których go wypędzono.

Straszliwe mechanizmy dziejów niepokoiły Fashnalgida. Przywykł myśleć kategoriami dni i kwadr, a nie dekad i stuleci. Walcząc z pociąganiem do pijaństwa, wśród kapłanów spędzał równie dużo czasu jak wśród prostytutek. Jego powiernikiem został kapelan świątyni garnizonowej w Askitosh. Fashnalgid wyznał mu raz swoją nienawiść do Oligarchy.

— Kościół także go nienawidzi — odparł łagodnie duszpasterz. — Mimo to współpracujemy z nim. Kościół i państwo powinny stanowić jedność. Nienawidzisz Oligarchy, bo zmusił twoich rodziców, by sprzedali cię do wojska, ale to nie wojsko oni Oligarcha są winni twoim wadom.

Chwal Oligarchię za jej cechy pozytywne. Chwal za ciągłość i łagodną władzę. Mówią, że Oligarchia nigdy nie śpi. Ciesz się, że czuwa nad naszym kontynentem.

Fashnalgid milczał. Po chwili zrozumiał, dlaczego odpowiedź kapelana tak go przeraziła. Przyszło mu do głowy, że łagodna władza to sprzeczność wewnętrzna. Był Uskutyjczykiem, lecz sprzedano go do wojska jak niewolnika. Oligarchia nie śpi, owszem, ale czyż każdy, kto obywa się bez snu, nie jest z definicji pozbawiony cech ludzkich, a zatem bardziej podobny do fagora niż do człowieka?

Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że kapłan mówi o Oligarchii tak samo jak o Bogu Azoiaxicu. Azoiaxica także chwalono za ciągłość i łagodną władzę. Azoiaxic także czuwał nad Sibornalem. I czyż nie twierdzono, że kościół nigdy nie śpi?

Pierwszy Regiment Gwardii Oligarchy nie brał udziału w karnej ekspedycji Asperamanki do Barbarii. Jednakże zaledwie kilka tygodni później przerzucono go do Koriantury, by obsadził granicę. Fashnalgid ośmielił się zapytać majora Gardeterarka o przyczynę trans-lokacji.

— Rozszerza się tłusta śmierć — odparł szorstko major. — Lepiej, by w miastach pogranicznych nie doszło do zamieszek, prawda?

Gardeterark tak bardzo nie cierpiał podwładnego, że nie patrzył mu w oczy, lecz na wąsy.

Ostatni wieczór w Askitosh Fashnalgid spędził z kobietą, którą darzył wówczas miłością. Miała na imię Rostadal i mieszkała na poddaszu kilka ulic od koszar.

Fashnalgid lubił Rostadal i współczuł jej. Była sierotą. Pochodziła z wioski na północy. Nie miała nic. Żadnych środków do życia, poglądów politycznych, wierzeń religijnych ani krewnych. Mimo to potrafiła być miła, a w jej małym wynajętym pokoiku panował przytulny nastrój.

Fashnalgid usiadł nagle na łóżku i rzekł:

— Muszę iść, Rostadal. Daj mi coś do picia, dobrze?

— Co się stało?

— Przygotuj mi coś do picia. Czuję się okropnie. Nie mogę zostać. Wyśliznęła się z łóżka bez słowa skargi i przyniosła kieliszek wina. Fashnalgid wypił je jednym haustem.

— Powiedz mi, co cię martwi — poprosiła, spojrzawszy na niego.

— Nie mogę. To potworne. Świat jest zły.

Zaczął się ubierać. Założyła w milczeniu swój brudny heedrant i zastanawiała się, czy jej zapłaci. Pokój oświetlała tylko ciemna lampka oliwna.

Zasnurował buty, wziął książkę, którą położył koło łóżka, i dał dziewczynie kilka sibów. Miał nieszczęśliwą minę. Widział jej lęk, lecz nie mógł jej pocieszyć.

— Wrócisz, Harbinie? — spytała złożywszy ręce. Spojrzał na popękany sufit i potrząsnął głową. Wyszedł.

W Askitosh lał deszcz, a w rynsztokach pienila się woda. Fashnalgid nie zwracał uwagi na ulewę. Kroczył opustoszałymi ulicami, próbując zapomnieć o ostatnich wydarzeniach.

Zeszłej nocy przez miasto przejechał posłaniec na śmiertelnie wyczerpanym jajaku. Pogołopował do dowództwa armii na szczycie góry. Chociaż incydent wyciszono, oficerowie w kasynie wnet się o nim dowiedzieli. Gонец był agentem Oligarchy. Przywiózł wiadomość o zwycięstwie Asperamanki nad połączonymi siłami Kampanlatu i o ocaleniu Isturiachy. Asperamanka, jak głosił meldunek, spodziewał się tryumfalnego powitania po powrocie do Sibornalu.

Posłaniec zsiadł z wierzchowca na dziedzińcu i padł na twarz. Przejawiał wyraźne oznaki tłustej śmierci. Zastrzelił go wyższy rangą oficer.

Zaledwie kilka godzin później Fashnalgid ujrzał we śnie swoją zrozpaczoną matkę, która rzekła: "Brat zabije brata". On sam dyndał na haku.

Po dwóch dniach odkomenderowano go do Koriantury.

Słuchając rozkazów wydawanych przez majora Gardeterarka, Fashnalgid przejrzał plan Oligarchy. Istniał czynnik mogący uniemożliwić Sibornalowi pokojowe przetrwanie zimy Weyra. Była to tłusta śmierć, która niszczyła więzy międzyludzkie jeszcze gwałtowniej niż mróz. Rozsiewane przez nią szaleństwo powodowało, że brat pożerał brata.

Śmierć nocnego posłańca uprzedziła Oligarchę, że powracająca armia przywlecze do kraju mór z Barbarii. Toteż podjął on racjonalną decyzję: armia nie powinna powrócić. Pierwszy Regiment Gwardii, w którym służył Fashnalgid, przybył do Koriantury, by rozbić armię Asperamanki zbliżającą się

do granicy. Edykty skierowane przeciwko zarazie, takie jak "O pomniejszeniu ścisku w domostwach decretum", miały na celu narzucenie miastu surowego reżimu przed masakrą.

Owe straszliwe myśli przelatywały przez głowę Harbina Fashnalgida, gdy wylegiwał się w łóżku w swojej kwaterze w domu Odima. W przeciwieństwie do majora Gardeterarka, kapitan nie lubił wcześniej wstawać. Jednakże koszmarna wizja nie pozwalała mu zasnąć. Wyobrażał sobie Oligarchę jako drapieżnego pająka przyczajonego w ciemności i wysysającego w ciągu stuleci krew z prostych ludzi.

Wynikało to ze stwierdzenia ojca, że kupił swemu rodowi spokojną przyszłość. Kupił ją za cenę życia własnego syna. Zapewnił sobie bezpieczeństwo jako były członek Tajnej Rady, nie licząc się z kosztami ponoszonymi przez innych.

— Muszę coś zrobić — rzekł Fashnalgid, wygrzebawszy się wreszcie z pościeli. Przez niewielkie okno wpadało światło. Dokoła słychać było krzątanie licznej rodziny Odima.

— Muszę coś zrobić — pomyślał, zakładając mundur. Kiedy w kilka godzin później do jego biura weszła Besi Besamitikhahl, nieświadome ruchy ciała dziewczyny wyrażały gotowość spełnienia wszystkich jego życzeń. W tejże chwili przyszło mu do głowy, że może wykorzystać ją i Odima, by pokrzyżować plany Oligarchy i ocalić armię Asperamanki.

Granice między Sibornalem a Kampanlatem stanowiła stroma skarpa na wschód od Koriantury, opadająca ku przesmykowi Chalce. Na południe od skarpy rozciągała się falista równina, którą musiała przebyć każda armia zbliżająca się do Uskutoshk. Okalały ją od zachodu trzęsawiska dochodzące do morza i kończące się kilka mil dalej koło tak zwanych Białych Skał, które wznosiły się nad stepami Chalce.

Harbin Fashnalgid i trzech towarzyszący mu szeregowi zatrzymali się u stóp Białych Skał i zsiadli z jajaków. Znaleźli jaskinię dającą schronienie przed porywistym wiatrem, a kapitan kazał jednemu z podwładnych rozpaścić niewielkie ognisko. Sam pociągnął łyk z kieszonkowej manierki.

Wykorzystał już Besi Besamitikhahl. Przeprowadziła go przez Korianturę krętymi stromymi zaułkami. Ominęli w ten sposób Pierwszy Regiment, stacjonujący na szczycie skarpy. Fashnalgid stał się w świetle prawa dezertorem.

Udzielił swoim podkomendnym fałszywych wyjaśnień. Otrzymali rzekomo rozkaz wyjechania naprzeciwko armii Asperamanki. Nie groziło im niebezpieczeństwo. Wieźli posłanie Oligarchy do arcykapłana wojny.

Żołnierze spętali jajaki w pozycji leżącej, by przytulić się do ich ciepłych boków. Czekali na Asperamankę. Fashnalgid czytał tomik erotyków.

Minęło kilka godzin. Szeregowi zaczęli sarkać. Mgła rozwiła się i pojawiło się błękitne niebo. W oddali rozległ się stukot podków. Ktoś nadjeżdżał z południa.

Białe Skały stanowiły część niegościnnych gór, które wiły się w przesmyku Chalce. Przecinały je kaniony, przez które musieli przejeżdżać podróżni.

Fashnalgid schował do kieszeni tomik poezji i zerwał się z miejsca.

Tak jak często w przeszłości, doskwierała mu słabość własnego charakteru. Godziny oczekiwania, nie wspominając o melancholijnych wierszach, podkopały jego wolę. Mimo to wydał podkomendnym rozkaz pozostania w jaskini, a sam wyszedł z ukrycia. Spodziewał się ujrzeć forpoczty armii. Zamiast tego pojawiło się dwóch jeźdźców.

Szli stępą, kołysząc się ze znużeniem w siodłach. Mieli na sobie mundury, a zwierzęta były na poły ogolone na modłę wojskową. Fashnalgid rozkazał im się zatrzymać.

Jeden z przybyszów zsiadł z jajaka, i zbliżył się wolnym krokiem. Był zaledwie wyrostkiem, lecz twarz miał szarą od kurzu i zmęczenia.

— Jesteście z Uskutoshk? — zawołał ochryple.

— Tak, z Koriantury. Czy należycie do armii Asperamanki?

— Wyprzedziliśmy główne siły o trzy dni. Może więcej.

Fashnalgid zamyślił się. Gdyby przepuścił jeźdźców, natknęliby się oni na posterunki majora Gardeterarka i zdradziliby miejsce pobytu dezertorów. Mimo to czuł, że nie jest w stanie zastrzelić z zimną krwią młodego porucznika. Musi poinformować go o niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad armią, i namówić do współdziałania.

Zrobił krok w stronę młodzieńca, który wyciągnął natychmiast rewolwer i oparł o uniesione przedramię.

— Proszę się nie zbliżać — rzekł, trzymając Fashnalgida na muszce. — Są z panem żołnierze.

Kapitan rozłożył szeroko ręce.

— Niech pan nie strzela. Nie mamy złych zamiarów. Chcę porozmawiać. Czy nie jest pan spragniony?

— Proszę zostać na miejscu. — Nie przestając mierzyć w Fashnalgida, porucznik zawołał do swego towarzysza: — Zsiądź i odbierz mu pistolet.

Kapitan oblizał nerwowo wargi. Miał nadzieję, że żołnierze przyjdą mu z pomocą, choć liczył także, iż tego nie zrobią, gdyż mógłby zostać zastrzelony. Patrzył, jak drugi jeździec zsiada z rumaka. Wysokie buty, spodnie, płaszcz, futrzana czapka. Fashnalgid, ekspert w tych sprawach, zorientował się, że to kobieta. Zbliżyła się do niego z wahaniem.

Kiedy znalazła się przed nim, skoczył do przodu, chwycił ją za wyciągnięty przegub i obrócił gwałtownie plecami do siebie. Kryjąc się za nią jak za tarczą, wyciągnął z kabury pistolet.

— Rzuć broń albo zastrzelę was oboje.

Kiedy porucznik spełnił rozkaz, Fashnalgid zawołał swoich ludzi. Wyszli ostrożnie z jaskini z niezbyt marsowymi minami.

Upuściwszy rewolwer na ziemię, przybysz stał naprzeciwko Fashnalgida. Kapitan, nadal trzymając go na muszce, wsunął rękę pod płaszcz branki i pomacał jej piersi. Dziewczyna rozplakała się.

— Kim, u licha, jesteś?! — spytał Fashnalgid ze śmiechem. — Widać, że lubisz podróżować z osobami, które mogą ci dostarczyć przyjemności. Z dobrze zbudowanymi osobami.

— Nazywam się Luterin Shokerandit. Jestem porucznikiem. Zdążam w pilnej misji do Najwyższego Oligarchy, więc powinieneś mnie natychmiast przepuścić.

— Znalazłeś się wobec tego w tarapatkach.

Fashnalgid kazał jednemu z żołnierzy podnieść pistolet Shokerandita, obrócił kobietę i zdjął jej czapkę, by lepiej jej się przyjrzeć. Toress Lahl stała przed nim z oczami pociemniałymi z gniewu. Poklepał ją po policzku i rzekł do Luterina:

— Nie jestem twoim wrogiem. Wręcz przeciwnie. Chcę cię ostrzec. Schowam pistolet, a potem uściśnijmy sobie dłonie jak przyjaciele.

Ostrożnie wymienili uścisk dłoni, taksując się wzrokiem. Shokerandit ujął Toress za rękę i pociągnął w milczeniu ku sobie. Dotknięcie piersi dziewczyny napełniło Fashnalgida otuchą. Już gratulował sobie dobrego rozegrania sytuacji, gdy żołnierz stojący na warcie zawołał, że od strony Koriantury nadciąga kawaleria.

Do Białych Skał zbliżał się oddział jeźdźców z chorągwią. Fashnalgid wyciągnął z płaszcza perspektywę i zaczął lustrować nadjeżdżających.

Zaklął siarczyście. Na czele oddziału jechał jego przełożony, major Gardeterark. Kapitan pomyślał w pierwszej chwili, że zdradziła go Besi, jednakże prawdopodobniejsze było, iż o jego ucieczce doniósł władzom któryś z mieszkańców Koriantury.

Jeźdźcy byli jeszcze daleko.

Fashnalgid nie miał złudzeń, co go czeka, jeśli zostanie schwytany. Jednakże mógł ciągle jeszcze działać. Przekonał czym prędzej Luterina i kobietę, iż bezpieczniej jest przyłączyć się do niego, niż próbować ucieczki, zwłaszcza że ofiarował im dwa wypoczęte jajaki. Rozkazawszy żołnierzom pozostać na miejscu i zameldować majorowi, iż na drugim końcu skarpy znajduje się silny oddział zbrojnych, wskoczył na siodło i pogalopował przed siebie wraz z Luterinem i Toress Lahl. Jeden z jajaków pędził luzem przed nimi.

Kilkaset metrów dalej wśród Białych Skał znajdował się wąski przesmyk.

Fashnalgid popędził wolnego jajaka do przodu, a sam skręcił w bok. Doszedł do wniosku, iż tętent uciekającego zwierzęcia skłoni pościg do jazdy na wprost.

Przesmyk zmienił się w ciasną szczelinę. Bodąc rumaki ostrogami, jeźdźcy gramolili się coraz wyżej po piargach. Dotarli do kamienistej świstówki porośniętej karłowatymi drzewami i krzewami wygiętymi przez wiatr na południe. W dole zagrzmiały kopyta oddziału majora.

Fashnalgid otarł z czoła zimny pot i podążył na zachód między skałami. Oba słońca wisały nisko nad horyzontem, Freyr na południowym zachodzie, Bataliksa na zachodzie.

Trójka jeźdźców przejechała przez ciąg wymytych kanałów i okrążyła pęknięty gład wielkości domu, wokół którego widać było ślady dawnej osady. W dali, gdzie teren się obniżał, połyskiwało morze. Fashnalgid zatrzymał się, wypił łyk z manierki i wyciągnął ją w stronę Shokerandita.

— Zaufałem ci — rzekł Luterin, kręcąc przecząco głową — ale teraz, gdy wymknęliśmy się twoim przyjaciółom, powiedz lepiej, co zamierzasz. Powiniennem jak najszybciej przekazać wiadomość Oligarsze.

— Jemu także chcę się wymknąć. Wiedz, że jeśli do niego dotrzesz, prawdopodobnie każe cię rozstrzelać.

Opowiedział Shokeranditowi o przyjęciu czekającym armię Asperamanki. Luterin potrząsnął głową.

— Oligarcha rozkazał nam podbić Kampannlat. Jesteś szalony, jeśli sądzisz, że zmasakruje nas po powrocie.

— Skoro Oligarcha nie dba o jednostkę, nie dba również o armię.

— Nikt zdrowy na umyśle nie zabija własnych żołnierzy. Fashnalgid zaczął gestykulować.

— Jesteś młodszy ode mnie. Masz mniej doświadczenia. Najwięcej szkód wyrządzają ludzie zdrowi na umyśle. Czy wierzysz, że światem rządzi rozsądek? Czymże jest rozsądek? Czyż nie jest to po prostu oczekiwanie, że inni będą postępować tak samo jak my? Nie służysz długo w wojsku, skoro wierzysz, że wszyscy ludzie są jednakowi. Szczerze mówiąc, uważam swoich towarzyszy za wariatów. Niektórych pozbawiła rozumu armia, inni są z natury durniami, a jeszcze inni mają wrodzony pociąg do szaleństwa. Słyszałem raz kazanie arcykapłana wojny Asperamanki. Mówił z takim przekonaniem, że uważam go za dobrego człowieka. Istnieją ludzie dobrzy. Ale większość oficerów to łajdacy, za którymi pójdą tylko szaleńcy.

Po wybuchu Fashnalgida zapadło milczenie. Wreszcie Luterin rzekł oziębło:

— Nie ufam Asperamance. Był gotów poświęcić własnych żołnierzy.

— Cierpienie powoduje, że nawet mądrość staje się szaleństwem — zacytował Fashnalgid i dodał: — Armia niesie ze sobą mór. Teraz, gdy zmaląła groźba ataku od strony Kampannlatu, Oligarcha chętnie się jej pozbędzie. Jednocześnie chętnie pozbędzie się wojsk Bribahru...

Nie mając nic więcej do powiedzenia, kapitan odwrócił się tyłem i pociągnął łyk z manierki. Po niebie płynęły obłoki, a Bataliksa zniżała się ku dalekiemu morzu.

— Co więc proponujesz, byśmy nie znaleźli się w pułapce? — spytała odważnie Toress Lahl. Fashnalgid wskazał ręką w dal.

— Za bagniskiem czeka żaglowiec mojego przyjaciela — rzekł. — Właśnie tam podążam. Możecie jechać ze mną. I zrobicie to, jeśli mi uwierzycie.

Wsiadł powoli na jajaka, zapiął kołnierz, pogładził wąsy i skinął głową na pożegnanie. Następnie uderzył piętami w boki zwierzęcia. Jajak spuścił łeb i jał schodzić kamienistym zboczem w stronę odległego lśniącego morza.

— Dokąd płynie twój statek? — zawołał za znikającą postacią Luterin Shokerandit.

Karłowate krzewy szumiące na wietrze prawie zagłuszyły odpowiedź.

— Do Shivenink...

Koścista postać na jajaku zapałała się w labirynt trzęsawisk przylegających do morza. Spod kosmatych kopyt zwierzęcia zrywały się stada ptaków, a drobne płazy odskakiwały z pluskiem na bok. Przed jeźdźcem uciekało wszystko, co żywe.

Kapitan Harbin Fashnalgid był w tak ponurym nastroju, że nie zastanawiał się wcale, dlaczego człowiek jest samotny wśród innych istot. A właśnie owo pytanie (czy też niemożność udzielenia na nie prawidłowej odpowiedzi) stworzyło świetlistą gwiazdę obiegającą planetę po orbicie okołobiegunowej. Była to gwiazda sztuczna: Ziemska Stacja Obserwacyjna „Awernus”. Krążąc nad Helikonią na wysokości tysiąca pięciuset kilometrów, przypominała prędko przesuwający się jasny punkt. Mieszkańcy planety zwali ją Kaidawem.

Zalogę stacji stanowiły dwa rody nadzorujące automatyczną rejestrację danych, które docierały nieustannie z mknącej w dole Helikonii. Dane te, w całym swoim bogactwie, bezładzie i przytłaczającej

szczególności, retransmitowano na Ziemię, odległą o tysiąc lat świetlnych. Stację zbudowano właśnie w tym celu. Po to przyszli na świat ludzie, którzy ją zamieszkiwali. „Awernus” krążył wokół Helikonii już od blisko czterech tysięcy lat.

Stacja, najwspanialszy twór myśli technicznej swojej kultury, ucieleśniała niemożność udzielenia odpowiedzi na odwieczne pytanie, dlaczego istnieje rozdzźwięk między ludzkością a środowiskiem naturalnym. Była ostatecznym symbolem owego rozdzźwięku. Stanowiła szczytowe osiągnięcie epoki, gdy człowiek starał się podbić przestrzeń kosmiczną i okiełznać naturę, sam pozostając niewolnikiem. „Awernus” konał właśnie z tego powodu.

W ciągu długich tysiącleci stacja przetrwała wiele kryzysów. Urządzenia techniczne działały bezbłędnie: po wielkim kadłubie satelity, mającym średnicę tysiąca metrów, biegały nieustannie roje niewielkich automatów naprawczych, które wymieniały zgodnie z potrzebami poszycie i instrumenty. Poruszały się one szybko tu i tam, niczym kraby na pustym wybrzeżu, porozumiewając się ruchami asymetrycznych ramion za pomocą języka znanego tylko zawiadującemu nimi komputerowi. Automaty działały w ciągu czterdziestu wieków. Kraby okazały się niezawodne.

„Awernusowi” towarzyszyły w przestrzeni dziesiątki satelitów pomocniczych tańczących wokół stacji niczym skry nad ogniskiem. Niektóre były nie większe od ludzkiego oka, inne miały skomplikowany kształt i budowę, lecz wszystkie zajmowały się zbieraniem informacji, zmieniając nieustannie orbity. Kiedy jeden z nich ulegał uszkodzeniu lub zderzał się z przelatującym okruchem kosmicznego śmiecia, z klap ładunkowych „Awernusa” wylatywał zastępca, który zajmował jego miejsce. Podobnie jak kraby, lśniące satelity okazały się niezawodne.

Wewnątrz „Awernusa”, za gładkimi grodziami z tworzyw sztucznych, działał odpowiednik układu nerwowego. Był on nieskończenie bardziej złożony niż system nerwowy człowieka. Miał nieograniczone odpowiedniki mózgu, nerek, płuc i jelit. Był w znacznym stopniu niezależny. Zajmował się regulacją temperatury, usuwaniem odpadów, oświetleniem, komunikacją wewnętrzną, absorpcją dwutlenku węgla, fantomatyką i setkami innych zadań związanych z życiem ludzi na stacji. Podobnie jak automaty naprawcze i satelity, system nerwowy okazał się niezawodny.

Zawodni okazali się ludzie. Wszyscy członkowie ośmiu rodów — później zostało ich sześć, a na koniec dwa — mieli tylko jeden cel: przekazać na odległą Ziemię jak najwięcej informacji o Helikonii. Zadanie to było zbyt wyrafinowane, zbyt abstrakcyjne, zbyt oderwane od życia.

Załoga stacji padała stopniowo ofiarą psychozy i traciła kontakt z rzeczywistością. Ziemia, żywa planeta, przestała istnieć. Pozostała jedynie Ziemia abstrakcja, symbol obowiązku i poświęcenia.

W abstrakcję zmieniła się nawet Helikonii, przepiękny zmienny glob rozjarzony światłem dwóch słońc i ciągnący za sobą warkocz mroku. Nie można jej było odwiedzić, gdyż oznaczało to śmierć. Chociaż mieszkańcy Helikonii, obserwowani z takim poświęceniem, nie różnili się na pozór od Ziemi, ich ciała wyposażone były w skomplikowany mechanizm obronny równie skuteczny jak urządzenia „Awernusa”. Mechanizm ów opierał się na tak zwanym wirusie helikoidalnym, zabójczym dla ludzi w każdej porze roku. Niektórzy członkowie załogi wylądowali na powierzchni planety. Przebywali tam kilka dni, przeżywając zdumiewające przygody. Później umierali.

Na „Awernusie” zapanował posępny defetyzm. Doprowadziło to do upadku ducha.

Kiedy na planecie zapadała powoli jesień, a Freyr oddalał się stopniowo od Helikonii i jej siostrzanych planet, kiedy odległość między Bataliksą a Freyrem zwiększyła się z dwustu trzydziestu sześciu jednostek astronomicznych w periastronie do straszliwych siedmiuset dziesięciu jednostek astronomicznych w apastronie, młodsza część załogi stacji wszczęła rozpaczliwy bunt i obaliła swoich panów. Cóż z tego, że sami panowie byli niewolnikami? Era ascetyzmu minęła. Starców wymordowano. Defetyzm ustąpił miejsca hedonizmowi. Skoro Ziemia odwróciła się od „Awernusa”, „Awernus” mógł się odwrócić od Helikonii.

Na początku wystarczała ślepa zmysłowość. Uwolnienie się od jałowych więzów obowiązku stało się powodem do dumy. Jednakże (w owym Jednakże” kryje się być może los rasy ludzkiej) wnet zrodziło się poczucie niedosytu. Rozpusta okazała się taką samą ślepą uliczką jak asceza.

Załoga „Awernusa” jęła się oddawać okrutnym perwersjom. Chlebem powszednim stały się rany cięte i klute, kanibalizm, pederastia, pedofilia, stosunki analne, sadystyczne gwałcenie niemowląt i

starców. Biczowanie, masowe orgie, homoseksualizm, nekrofilia i koprofagia były na początku dziennym. Intelkt skapitulował przed libido.

Tryumfowały najpotworniejsze zбочenia. Laboratoria produkowały coraz bardziej groteskowe formy. Po karłach o powiększonych organach rozrodczych pojawiły się samoistne organa rozrodcze obdarzone życiem. Poruszały się one na własnych nogach, a późniejsze modele pełzały po ziemi za pomocą ruchów robaczkowych. Publicznie podniecały się i gwałciły nawzajem lub napastowały ludzi, którzy stanęli im na drodze. Z biegiem czasu stawały się coraz bardziej złożone. Lizwały się, obłapiały, turlały, ścisnęły i ssały. Zarówno falliczne grzyby, jak i wielokształtne jajniki były nieustannie aktywne, czerwieniąc i blednąc zależnie od poziomu podniecenia erotycznego. W późniejszych stadiach ewolucji wiele z nich osiągnęło potworne rozmiary lub popadło w szaleństwo, przypominając różnobarwne ślimaki tłukące się o ściany szklanych wiwariów, gdzie pędziły swój monotony żywot.

Wiele pokoleń mieszkańców „Awernusa” czeło owe stwory, jakby były bożkami, które wygnano przed wiekami ze stacji. Następną generacją nie chciała ich tolerować.

Doszło do wojny pokoleń. Stacja stała się polem bitwy. Mutanty wyrwały się na wolność; wiele z nich zabito.

Walki trwały kilkanaście lat. Zginęło wiele ludzi. Zniszczeniu uległy stabilne struktury rodowe oparte na wzorcach powstałych na Ziemi. Uczestników konfliktu zwano Tanami i Finami, lecz określenia te miały niewiele wspólnego z przeszłością.

„Awernus”, raj technologiczny, pomnik ludzkiego intelektu, stał się sceną barbarzyńskich potyczek, podczas których dzikusie wypadali na siebie z zasadzki i tłukli się po głowach pałkami.

V. KILKA DALSZYCH EDYKTÓW

Trzęsawiska między Korianturą a Chalce pokrywała skomplikowana sieć grobli. Tu i ówdzie przecinały się one, a na skrzyżowaniach stały prymitywne sklecone zagrody dla bydła. Grzbietami nasypów biegnęły ścieżki wydeptane przez ludzi i zwierzęta, boki zaś porastała bujna trawa, która dochodziła aż do trzciny okalających kanały pełne czarnej wody. Ziemia ugięła się pod stopami. Gdzieniedzie spacerowały ospale stada bydła, zatrzymując się od czasu do czasu, by chleptać wodę z czarnych stawów.

Luterin Shokerandit i jego branka byli jedynymi ludźmi w promieniu wielu mil. Płoszyli niekiedy stada ptaków, które zrywały się z krzykiem do lotu, szybowały nisko nad ziemią, po czym nagle składały jednocześnie skrzydła i lądowały.

Luterin zbliżał się do morza, wyprzedzając stopniowo Toress. W miarę upływu czasu niewielkie strumyki płynące wzdłuż grobli stawały się coraz bardziej zasolone. Ich cichy bulgot harmonizował przyjemnie z chlupotem kopyt jajaka.

Shokerandit zatrzymał się i czekał na dziewczynę. Chciał na nią krzyknąć, lecz coś go powstrzymało.

Był pewien, że dziwny kapitan Fashnalgid kłamał, gdy mówił o przyjęciu, jakie czeka w Sibornalu armię Asperamanki. Gdyby mu wierzył, podałby w wątpliwość sens swojego dotychczasowego życia. Z drugiej strony słowa kapitana brzmiały szczerze, co kazało Luterinowi mieć się na baczności. Otrzymał rozkaz dostarczenia pisma Asperamanki do dowództwa wojskowego w Korianturze, toteż powinien unikać możliwych zasadzek. Najrozsądniej było przyjąć historię Fashnalgida za dobrą monetę i opuścić Chalce drogą morską.

Światła nad trzęsawiskami były iluzją. Fashnalgid zniknął w oddali. Shokerandit posuwał się do przodu wolniej, niż zamierzał. Choć jechał ścieżką na szczycie grobli, miał wrażenie, że tonie powoli w bagnie.

— Trzymaj się blisko mnie! — zawołał do Toress Lahl. Głos rozległ mu się boleśnie w głowie. Znów przynaglił jajaka.

Wcześniej wydawało się, że szary deszcz zmieni się w wielodniową uskutyską ulewę. Teraz jego fale odpłynęły na południe, pozostawiając nad bagnami bezładne świetliste fantomy. Krajobraz mógł się wydawać ponury, ale nawet w owej odległej krainie działały siły, które decydowały o kondycji fizycznej fagorów i ludzi, czyli gatunków współzawodniczących o panowanie nad Helikonią.

W słonej wodzie przypląwów oceanicznych, która wdzierała się do kanałów po obu stronach grobli, rozwijały się morskie algi. Przypominały laminarie, a ich wąskie brunatne liście gromadziły jod zawarty w wodzie. Algi rozsiewały go w powietrzu w postaci jodków, zwłaszcza jodku metylu. Rozkładał się on następnie w atmosferze, a wiatry roznosiły produkty rozpadu po wszystkich zakątkach globu.

Fagory i ludzie nie mogli się obyć bez jodu. Wchłaniały go ich tarczycy, które regulowały przemianę materii za pomocą hormonów zawierających jod.

Jesienią Wielkiego Roku, gdy minął punkt krytyczny siedmiu zaćmień, niektóre z hormonów sprawiały, że ludzie stawali się podatniejsi na groźne działanie wirusa helikoidalnego.

Myśli Luterina krążyły znajomymi koleinami, jakby znalazły się w labiryncie. Co pewien czas wspominał swoje bohaterskie czyny pod Isturiachą, lecz już bez dumy. Przyjaciele podziwiali jego odwagę: każda wystrzelona kula, każde śmiertelne pchnięcie miecza nabrały legendarnego blasku. Mimo to czuł zgrozę na myśl o swoich postępach i towarzyszącemu im uniesieniu.

To samo odnosiło się do branki. W trakcie długiej podróży na północ posiadał Toress Lahl. Leżała bez ruchu, gdy ją gwałcił. Nadal rozkoszował się jej ciałem i swoją władzą nad nim. A jednocześnie wspominał z niepokojem narzeczoną, Insil Esikananzi, czekającą w Kharnabharze. Co by powiedziała, gdyby zobaczyła go spółkującego z niewolnicą w sercu Barbarii?

Myśli te powracały w zniekształconej i mglistej formie, aż rozbolała go głowa. Nagle przypomniał sobie, jak w dzieciństwie wpadł raz zniecka do komnaty matki. Zamykała się w niej na całe dni, zwłaszcza po śmierci Favina. Ubierana przez służącą, przeglądała się w mglistym srebrnym zwierciadle, w którym odbijały się flakoniki perfum i kremów przypominające wieże i kopuły odległego miasta.

Matka zwróciła się w stronę Luterina, bez wyrzutu, bez ożywienia, o ile pamiętał, bez słowa. Ubierała się na bardzo uroczyste przyjęcie. Suknię, ofiarowaną przez jedno z towarzystw naukowych Koła, pokrywała wyhaftowana mapa Helikonii. Łądy i wyspy wyszyto srebrem, oceany jasnym błękitem. Ciemne włosy matki, jeszcze nie upięte, opadały luźno niczym wodospad od Bieguna Północnego aż do gór Nyktryhk. Luterin stał i patrzył, jak pokojówka pochyla się i zapina guziki, po czym zauważył, że na pośladkach matki znajduje się miasto Oldorando w Barbarii. Wstydził się zawsze owego spostrzeżenia.

Gęste kępy trawy bagiennej przypominały szorstką sierść. Trawa dziwnie zbliżyła się do Luterina. Usłyszał chłopot wody, ujrzał małe płazy kryjące się w trawie i nakrapiane stokrotki zapadające się pod kopytami jajaka niczym gwiazdy podczas zaćmienia. Przejaśniło mu się w głowie. Zsuwał się z siodła. W ostatniej chwili zdołał się wyprostować i wylądować na obydwu nogach. Zachwiał się.

— Co się z tobą dzieje? — spytała Toress Lahl, podjechawszy bliżej.

Shokerandit z trudem obrócił głowę. Toress miała oczy zasłonięte czapką. Poczawszy przypląw nieufności, sięgnął po rewolwer, lecz przypomniał sobie, że broń została w olstrach przy siodle. Upadł, wtulając twarz w wilgotną sierść na zadzie jajaka. Osunął się na ziemię i zaczął staczać się z grobli. Ogarnął go paraliż. Ciało przestało słuchać rozkazów. Mimo to usłyszał, jak Toress zsiada z wierzchowca i podchodzi do miejsca, gdzie leżał.

Czuł obejmujące go ramię i słyszał jej zaniepokojony głos, gdy usiłowała się z nim porozumieć. Próbowwała go podnieść. Bolały go kości. Chciał krzyknąć z bólu, lecz z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Ból w kościach dotarł do czaszki. Ciało Luterina wygięło się w łuk. Świat zawirował mu przed oczami.

— Jesteś chory — rzekła dziewczyna. Nie przeszła jej przez usta straszliwa nazwa choroby.

Puściła go i zostawiła na mokrej trawie. Rozejrzała się po pustym trzęsawisku i dalekich nagich wzgórzach, z których przybyli. Niebo na południu było nadal szare od deszczu. W ciurkających strumykach biegały niewielkie kraby.

Mogła uciec. Jej pan leżał bezsilny u jej stóp. Mogła zastrzelić go z jego własnego rewolweru. Jednakże powrót do Kampanlatu drogą lądową był zbyt niebezpieczny, gdyż stepem nadciągała armia. Zaledwie kilka mil na północnym zachodzie leżała Koriantura: na horyzoncie ciemniała sina smuga dalekiej skarpy. Lecz rozciągało się tam terytorium wroga. Zapadał zmrok.

Toress Lahl, niezdecydowana, zaczęła spacerować tam i z powrotem. Później podeszła do leżącego Luterina.

— Chodź, zobaczymy, co się da zrobić — rzekła.

Wsadziła go z wysiłkiem na jajaka, a sama usiadła z tyłu i spięła zwierzę ostrogami. Drugi wierzchowiec ruszył za nią, jakby wolał towarzystwo od samotnej nocy na bagnach.

Zaniepokojona dziewczyna zmusiła zwierzę do klusa. Kiedy zaczęło się ściemniać, ujrzała przed sobą na tle odległego morza sylwetkę Fashnalgida. Uniosła rewolwer Shokerandita i wystrzeliła w powietrze. Niedaleko zerwało się z hałasem stado ptaków.

Po półgodzinie zapadła noc, choć na południowym zachodzie, gdzie tuż pod horyzontem krył się Freyr, lśniły stawy pełne wody. Fashnalgid zniknął.

Toress popędzała wierzchowca, podtrzymując Luterina.

Po obu stronach grobli chlupotała woda. Szumiała coraz głośniejsze, toteż dziewczyna doszła do wniosku, że zaczyna się przypływ. Nie widziała nigdy oceanu i bała się go. Nim się spostrzegła, dotarła w zdradliwym świetle do niewielkiego mola z przycumowaną szalupą.

Na mulistym brzegu chlupotało łakomie morze. Tajemniczo szumiały trawy i trzciny. O burtę łodzi uderzały niewielkie fale. Nie było żywej duszy.

Toress zsiadła z jajaka i położyła Luterina na ziemi. Weszła ostrożnie na skrzypiące molo, do którego przycumowano łódź.

— Mam cię, łotrze! Nie ruszaj się!

Pisnęła lekko, usłyszawszy krzyk dochodzący gdzieś z dom. Spod mola wyskoczył mężczyzna i wycelował pistolet w jej głowę.

Poczuła odór alkoholu, spostrzegła sumiaste wąsy i z ulgą poznała kapitana Fashnalgida. Chrząknięcie, jakie wydał na jej widok, nie wyrażało zadowolenia ani niechęci, jakby konstatawał, że życie to ciąg nużących incydentów, z którymi trzeba sobie radzić.

— Dlaczego mnie śledzicie? Jedzie za wami Gardeterark?

— Shokerandit jest chory. Pomożesz nam? Odwrócił się.

— Wyjdź, Besi! — zawołał w stronę łodzi. — Wszystko w porządku!

Besi Besamitkah, okutana w futra, wynurzyła się spod plandeki, gdzie się skryła. Poprzednio słuchała bez zdziwienia kapitana, który wpadł w pompatyczny nastrój i przedstawił jej plan "wyrwania Asperamanki ze szponów Oligarchy", jak to dramatycznie określił. Zamierzał udać się do arcykapłana wojny i przywieźć go na wybrzeże, do Besi czekającej w łodzi, którą miał dostarczyć Eedap Mun Odim. Besi nie mogła zawieść. W grę wchodziło życie i honor oficera.

Kupiec słuchał Besi z zadowoleniem, gdy przedstawiała mu zamysły kapitana. Kiedy Fashnalgid wplącze się w nielegalną aferę, będą mieć go w ręku. Postanowił wynająć za wszelką cenę niewielką szalupę z wioślarzem, aby Besi opłynęła zatokę i spotkała się z Fashnalgidem oraz jego świątobliwym towarzyszem.

Kiedy podejmowano owe decyzje, Oligarcha wydawał coraz surowsze prawa. Koriantura stawała się miastem rządzonym przez wojsko. Odim śledził rozwój wypadków, milczał, niepokoił się o cizbę swoich krewnych i snuł własne plany.

Besi pomogła Toress zanieść sztywnego Luterina do łodzi.

— Czy musimy ich zabierać? — spytała Fashnalgida, patrząc z niechęcią na chorego mężczyznę. — Zarażą nas.

— Nie możemy ich zostawić — odparł kapitan.

— Pewnie weźmiesz także zwierzęta?

Oficer zignorował jej słowa i kazał wioślarzowi odbijać. Jajaki stały na brzegu, patrząc na odpływających ludzi. Jeden z nich wszedł w wodę, pośliznął się i cofnął. Długo gapiły się na niewielką łódź znikającą za horyzontem i podążającą w stronę Koriantury.

Na morzu było zimno. Wioślarz siedział przy sterze, a pasażerowie schronili się przed wiatrem pod plandeką. Toress Lahl nie miała ochoty na rozmowę, lecz Besi zarzucała ją pytaniami.

— Skąd pochodzisz? Widać po akcencie, że jesteś cudzoziemką. Czy to twój mąż?

Toress przyznała niechętnie, że jest niewolnicą Luterina.

— Ba, niełatwo odzyskać wolność — rzekła Besi ze zrozumieniem. — Żal mi cię. Gorzej, jeśli twój pan umrze.

— Może w Korianturze uda mi się znaleźć statek, który zawiezie mnie z powrotem do Kampanlatu, gdy porucznik Shokerandit wyzdrowieje. Pomóżecie mi?

— Jak wrócimy do Koriantury, będziemy mieli za dużo własnych kłopotów, by pomagać niewolnikom w ucieczce — rzucił Fashnalgid. — Ładna z ciebie dziewczyna, więc powinnaś znaleźć miejsce na noc.

— Jakie kłopoty masz na myśli? — spytała Toress, ignorując ową uwagę.

— To zależy od Boga, Oligarchy i niejakiego majora Gardeterarka — odparł kapitan. Wyciągnął manierkę, wypił spory łyk i z pewnym ociąganiem wręczył ją kobietom.

— Nie chciałbym przejść przez to jeszcze raz... — rozległy się pod plandeką słowa Luterina, powolne, lecz wyraźne.

— Jeszcze się przekonasz, poruczniku, że życie stale się powtarza — stwierdził Fashnalgid.

Sibornal liczył niespełna czterdzieści procent ludności sąsiedniego Kampanlatu. Mimo to odległe stolice prowincji miały ze sobą ściślejsze kontakty niż ich odpowiedniki w Barbarii. Z wyjątkiem zapadłych regionów, takich jak Kuj-Juvec, drogi były dobre, a ponieważ tylko nieliczne skupiska ludności znajdowały się daleko od wybrzeża, funkcję szlaków komunikacyjnych pełniło morze. Nie był to kontynent trudny do rządzenia, pod warunkiem, że w najpotężniejszym mieście, Askitosh, panuje władca o silnej woli.

Askitosh miało kształt półkola, w którego środku, nad oceanem, stała gigantyczna świątynia. Światło na jej wieżycy widoczne było wiele mil wzdłuż brzegu. W tylnej części półkola, przeszło milę od morza, wznosiła się góra Icen, na której granitowym szczycie stało zamczysko, gdzie rezydował władca obdarzony najsilniejszą wolą w Sibornalu.

Władca ów dbał o to, by szlaki lądowe i morskie kraju roily się od wojska i jego zwiastunów, obwieszczeń. Dekrety w nich zawarte powoływały się najczęściej na dobro mieszkańców: miały przeciwdziałać morowi, zmniejszać jego skutki oraz eliminować elementy wywrotowe. Jednakże wszystko sprowadzało się do ograniczenia swobód obywatelskich

Ci, co pozostawali w służbie państwowej, przypuszczali, że edykty regulujące życie mieszkańców kontynentu wydaje Najwyższy Oligarcha Torkerkanzlag Drągi. Nikt go nigdy nie widział. Jeżeli istniał, przebywał stale w zamkniętych komnatach w zamku na górze Icen. Pojawiające się dekrety pasowały do człowieka, który tak mało cenił sobie wolność, że spędzał całe życie w pokojach bez okien.

Ludzie wyżej postawieni wątpili w istnienie Najwyższego Oligarchy i twierdzili, że tytuł ów nic nie znaczy, a cała władza skupia się w ręku Tajnej Rady.

Sytuacja była paradoksalna. Na czele państwa stała postać równie mglista jak Azoiaxic, czczony przez kościół. Spekulowano, że każdy kolejny władca przyjmuje w chwili wyboru imię Torkerkanzlag lub że posługuje się nim więcej niż jeden człowiek.

Istniały także maksymy pochodzące rzekomo z ust (niektórzy twierdzili, że z dzioba) samego Oligarchy:

Możemy sobie debatować. Ale pamiętajcie, świat to nie sala obrad, tylko izba tortur.

Nieważne, że zwą was łotrami. To przeznaczenie władców. Ludzie potrzebują łotrostwa, o czym można się przekonać słuchając ich na każdym rogu ulicy.

Posługujcie się zdradą przy każdej sposobności. Zdrada jest tańsza niż wojsko.

Kościół i państwo to brat i siostra. Pewnego dnia zdecydujemy, kto odziedziczy fortunę rodową. Owe okrucy mądrości docierały do mieszkańców Sibornalu za pośrednictwem Tajnej Rady.

Można by się spodziewać, że jej członkowie znają swojego władcę. Wręcz przeciwnie. Wiedzieli o nim jeszcze mniej niż ignoranci gnieżdżący się w wilgotnych zaułkach u stóp góry. Byli tak blisko przerażającej postaci Oligarchy, że musieli bronić się przed nim za pomocą fałszu. Maski noszone przez

nich podczas posiedzeń były tylko jego zewnętrzną oznaką. Potężni członkowie rady nie ufali sobie nawzajem do tego stopnia, że każdy z nich głosił inne poglądy na naturę władcy, a reszta nie potrafiła zdecydować, gdzie leży prawda. Przypominali owady, które jeśli są drapieżne, udają nieszkodliwe żyjątko, by oszukać swoje ofiary, a jeśli są nieszkodliwe, udają jadowite potwory, by oszukać polujących drapieżców.

Mogło się tedy zdarzyć, iż przedstawiciel Braijth, stolicy Bribahru, wie, kto sprawuje władzę nad Sibornalem. Mógł podzielić się sekretem z przyjaciółmi, naprowadzić ich ostrożnymi aluzjami na rozwiązanie zagadki lub okłamać w ten czy inny sposób zgodnie z własnym interesem.

Nie sposób było stwierdzić, czy mówi prawdę, gdyż pomimo oficjalnie głoszonej jedności kontynentu zagwarantowanej licznymi uroczystymi traktatami, Uskutoshk prowadziło obecnie wojnę z Bribahrem, a oddziały z Askitosh oblegały twierdzę Rattagon (o ile można oblegać wyspę).

Inni członkowie rady udawali, że wierzą przedstawicielowi Braijth, ponieważ darzyli jego ojczyznę potajemną sympatią za kwestionowanie supremacji Uskutoshk. Wszystko opierało się na fałszu. Fałszywa była nawet szczerść.

Nikt nie był pewien, że zna całą prawdę, lecz godził się z tym, gdyż wierzył, że inni wiedzą jeszcze mniej.

W sercu najpotężniejszej metropolii planety panował tedy zupełny chaos myślowy. W tym stanie ducha członkowie Tajnej Rady zebrali się, by stawić czoło nadchodzącej zimie.

Debatowali nad ostatnim edyktem, który przekazał do ratyfikacji niewidzialny Oligarcha. Dekret ów, najsurowszy z dotychczasowych, zabraniał praktykowania pauku jako sprzecznego z doktryną kościoła.

Gdyby ustawę uchwalono, w każdym zakątku kraju, nie wyłączając najodleglejszych wiosek, należałoby rozmieścić żołnierzy, by pilnowali jej przestrzegania. Ponieważ członkowie rady uważali się za ludzi uczonych, dyskutowali bez pośpiechu. Usta poruszały im się nieznacznie pod maskami.

— Chodzi w istocie rzeczy o naturę ludzką — rzekł przedstawiciel Juthiru, stolicy Kuj-Juvecu. — Pauk opiera się na wielowiekowej tradycji, lecz nawet wielowiekowe tradycje nie są święte. Z jednej strony nasz niezastąpiony kościół, podstawa jedności Sibornalu, z kamieniem węgielnym w postaci Boga Azoia-xica, a z drugiej strony nie uznawany przez kościół pauk, podczas którego żywi zapadają w trans i łączą się z duchami przodków. Duchy te, jak wiemy, powracają rzekomo do Pramacierzy, niepojętego źródła wszechrzeczy, z którego się wywodzą. Z jednej strony nasza religia, czysta, intelektualna, naukowa, a z drugiej strony mglista wiara w pierwiastek żeński we wszechświecie.

Musimy się przygotować do surowej, ciężkiej zimy. W tym celu trzeba się uzbroić przeciwko tkwiącemu w nas pierwiastkowi żeńskiemu i wykorzeńić go z umysłów ludu. Musimy uderzyć w niebezpieczny kult Pramacierzy. Musimy zakazać pauku. Ufam, że moje słowa rozjaśnią mądrość, która podyktowała nowy edykt Najwyższego Oligarchy. Należy ponadto zauważyć...

Tajna Rada składała się w większości ze starców przyzwyczajonych do starości, starych od długiego czasu. Spotykali się oni w starożytnej komnacie, której wyposażenie, wykonane z żelaza oraz drewna, lśniło, polerowane od wieków przez zastępy niewolników. Wszystko raziło zebranych w oczy: żelazny stół, gdzie trzymali ręce, naga podłoga pod stopami obutymi w miękkie papucie, kunsztowne fotele, na których siedzieli. Twarze obecnych odbijały się jak w krzywym zwierciadle w surowej żelaznej boazerii na ścianie. Za kratą kominka płonął dymiący ogień. Ponieważ nie rozgrzewał chłodnego pomieszczenia, większość członków rady odziana była w grube sukienne szaty i przypominała aktorów w starodawnej sztuce. Posępna komnata ożywiał jedynie wielki gobelin na ścianie. Na czerwonym tle wyhaftowano wielkie koło poruszane wiosłami po niebie przez mężczyzn w błękitnych szatach. Uśmiechali się oni do niezwyklej postaci kobiecej, z której nosa, ust i piersi tryskały potoki gwiazd. Starożytna tkanina dodawała komnacie majestatu.

Zebrani popijali w trakcie debaty napoje orzeźwiające, oglądali własne paznokcie i spozierali przez wąskie strzelnice, przez które widać było Askitosh poszatowane pionowymi pasami.

— Niektórzy utrzymują, że mit Pramacierzy to poetycka metafora duszy — rzekł przedstawiciel odległego Karkampanu. — Jednakże trzeba wpięrsz dowieść, że dusza istnieje. Jeśli to prawda, w pewnym sensie nie jest panią we własnym domu. Może istnieć poza ciałem. W takim razie stanowi część całej

Helikonii, ponieważ do Helikonii należą atomy naszych ciał. Dlatego zerwanie kontaktu z Pramacierzą może się wiązać z pewnym niebezpieczeństwem. Zwracam na to uwagę czcigodnej rady.

— Czy to niebezpieczne, czy nie, lud musi się poddać woli Oligarchy lub zginie podczas zimy Weyra. Musimy się wyleczyć z indywidualizmu. Przetrywamy trzy i pół wieku mrozów tylko dzięki posłuszeństwu...

Owe banały dobiegły z przeciwnej strony żelaznego stołu, gdzie światło mieszało się z ciemnością.

Askitosh miało barwę sepii. Miasto okryła jedna ze słynnych "mulistych mgieł", cienka kurtyna suchego powietrza z gór piętrzących się w głębi łądu. Dochodził do tego dym z tysięcy palenisk, przy których grzali się Uskutyjczycy. Stolicę spowiły cienie.

— A jednak kontakt z przodkami podnosi nas na duchu — stwierdził starzec z siwą brodą. — Zwłaszcza gdy spadają na nas przeciwności losu. Ba, spodziewam się, że tylko niewielu z nas nie szukało nigdy pociechy w pauku.

Przedstawiciel portowego miasta Ijivibir spytał gderliwie:

— Ale, ale. Dlaczego nasi uczeni nie wiedzą, czemu mamiki i mamuny są obecnie przyjaźnie nastawione do ludzi, gdy tymczasem, jak głoszą wiarygodne świadectwa, były niegdyś złośliwe? Może zmiany zależą od pory roku? Może duchy są przyjazne zimą i latem, a złośliwe wiosną?

— Gdy uchwalimy obecny edykt i pozostawimy je samym sobie, pytanie to stanie się bezprzedmiotowe — odparł reprezentant Juthiru.

Przez wąskie okna widać było dach drukarni państwowej, gdzie po kilku dniach dalszych debat zaczęto powielać edykt Torkerkanzłaga Drugiego. Plakaty wypadające tysiącami spod pras obwieszczały wielkimi literami, że pauk, czy uprawia się go potajemnie, czy wraz z innymi, staje się odtąd zbrodnią stanu. Tłumaczono to jako kolejny środek ostrożności przeciwko szerzącemu się morowi. Pierwsze naruszenie dekretu karano grzywną w wysokości stu sibów, drugie zaś dożywotnim więzieniem.

W Askitosh działał transport szynowy obsługiwany przez parowozy ciągnące wagony z prędkością kilkunastu mil na godzinę. Pociągi były brudne, lecz niezawodne, i docierały do terenów podmiejskich. Wiozły one paczki plakatów na peryferie miasta i do portu, gdzie ładowano je na statki płynące we wszystkie strony świata.

Paczki dotarły wnet do Koriantury. Po całym mieście krążyli plakaciarze, zaznajamiając ludność z nowymi prawami. Jedno z obwieszczeń przyklejono do ściany domu, gdzie od dwustu lat mieszkała rodzina Eedapa Muna Odima.

Jednakże dom, wydany na pastwę myszy i szczurów, stał teraz pusty. Brama zatrzęsnęła się po raz ostatni.

Eedap Mun Odim opuścił dom właściwym sobie sztywnym krokiem. Był człowiekiem dumnym i jego oblicze nie zdradzało żalu.

Owego szczególnego ranka udał się okrężną drogą do zatoki Kliment, idąc ulicą Rungobandryaskosh aż do Dzielnicy Południowej. Podążał za nim niewolnik Gagrim z jego torbą.

Z każdym krokiem kupiec uzmysławiał sobie coraz wyraźniej, że przechadza się ulicami Koriantury ostatni raz w życiu. Jako przybysz z Kuj-Juvecu długie lata uważał miasto za miejsce wygnania i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że stało się mu domem. Przygotował się do wyjazdu najlepiej, jak potrafił; miał jeszcze na szczęście kilku przyjaciół kupców pochodzenia uskutyjskiego, którzy udzielili mu pomocy.

Ulica Rungobandryaskosh skręcała w lewo i biegła stromo w dół. Odim zatrzymał się na zakręcie koło świątyni i obejrzał się do tyłu. Stał tam jego dawny dom, wąski u dołu, szeroki u szczytu, z drewnianym balkonem przypominającym gniazdo egzotycznego ptaka, z wygiętymi okapami, które prawie stykały się z dachem sąsiedniego domu. W środku nie było już licznej rodziny Odima, tylko światła, cienie, pustka i staromodne freski na ścianach, przedstawiające dawne dzieje legendarnego Kuj-Juvecu. Odim wsunął głębiej brodę pod płaszcz i żwawo pomaszzerował dalej.

Była to dzielnica drobnych rzemieślników: złotników, zegarmistrzów, introligatorów, malarzy. Nie opodal mieścił się teatrzyk, gdzie wystawiano dziwaczne sztuki, które zrobiłyby kłapę w centrum miasta: sztuki dotyczące magii i nauki, fantazje przedstawiające to, co możliwe i niemożliwe (gdyż jedno

niewiele się różni od drugiego), tragedie o rozlanym mleku, komedie o masowych rzeziach. A także satyry. Władze nigdy nie rozumiały ani nie tolerowały ironii i żartu, toteż teatrzyk często zamykano. Był akurat zamknięty i ulica wyglądała bardziej ponuro niż zwykle.

W Dzielnicy Południowej mieszkał stary artysta malujący dekoracje teatralne i ozdabiający wyroby manufaktury, której porcelanę eksportował Odim. Jheserabhay był już stary, lecz miał nadal pewną rękę, gdy chodziło o talerze i wazy. Ponadto, co równie ważne, często zlecał różne prace licznej rodzinie Odima. Kupiec cenił Jheserabhaya pomimo jego ciętego języka i przyniósł mu prezent pożegnalny.

Do domu wpuścił Odima fagor. W Dzielnicy Południowej roilo się od fagorów. Uskutyczycy czuli zazwyczaj wyraźną awersję do dwuroźców, ale artyści przepadali za nimi, uwielbiając kamienną martwość i nagle ruchy zwierząt. Odim, nie znoszący ich ciężkiego mlecznego odoru, poszedł jak najszybciej do pracowni Jheserabhaya.

Malarz, odziany w niemodny heedrant, siedział ze stopami na sofie koło przenośnego żelaznego piecyka. Obok niego leżał szkicownik. Jheserabhay wstał powoli na powitanie. Odim usiadł naprzeciwko niego w aksamitnym fotelu, a Gagrim stanął z tyłu z torbą w rękę.

Wysłuchawszy historii kupca, stary malarz ponuro pokiwał głową.

— Ba, nie ma co mówić, nastały złe czasy. Nie pamiętani gorszych. To okropne, Odimie, że musisz wyjechać. Sytuacja staje się nieznośna. Ale przecież Koriantura nigdy nie była twoją ojczyzną, prawda?

Kupiec nie poruszył się.

— Zdumiewasz mnie, Jhessie — odrzekł bez zastanowienia. — Urodziłem się tutaj, podobnie jak mój ojciec. Koriantura to mój dom, tak samo jak twój.

— Myślałem, że pochodzisz z Kuj-Juvecu?

— Z Kuj-Juvecu pochodzili moi przodkowie i byli z tego dumni. Ale ja jestem Sibornalczykiem i obywatelem Koriantury.

— Więc czemu wyjeżdżasz? Dokąd chcesz się udać? Nie rób takiej obrażonej miny. Może herbaty? Fajkę? Odim pogładził się po brodzie.

— Zmuszają mnie do wyjazdu nowe dekryty. Muszę zapewnić znośne warunki swojej rodzinie.

— Ach tak, owszem, masz bardzo wielu krewnych, nieprawdaż? Sam jestem przeciwnikiem życia rodzinnego. Nigdy nie wziąłem sobie żony. Nie mam nikogo. Zajmuje się tylko sztuką. Jestem panem samego siebie.

Odim zmrużył oczy.

— Liczne są nie tylko rodziny mieszkańców Kuj-Juvecu — rzekł. — Nie jesteśmy barbarzyńcami.

— Jesteś dziś bardzo drażliwy, drogi przyjacielu. O nic cię nie oskarżam. Żyj i daj żyć innym. Dokąd jedziesz?

— Wolałbym nie mówić. Wieści łatwo się rozchodzą, a szeptki zmieniają się w krzyki.

Malarz zaśmiał się skrzekliwie.

— Podejrzewani, że wracasz do Kuj-Juvecu.

— Nie mogę wrócić, bo nigdy tam nie byłem.

— Słyszałem, że masz w domu liczne freski przedstawiające ów kraj. Są ponoć całkiem niezłe.

— Tak, stare, ale piękne. Namalował je wielki artysta, który nie zdobył sławy. Lecz dom już do mnie nie należy. Musiałem go sprzedać wraz z całym wyposażeniem.

— Cóż... Mam nadzieję, że dostałeś dobrą cenę?

Odim sprzedał dom za bezcen, lecz doszedł do wniosku, że lepiej o tym nie wspominać.

— Znośną — wydusił.

— Będzie mi ciebie brakowało, choć rzadko spotykam się dziś z ludźmi. Prawie nie chodzę już do teatru. Czuję w kościach północny wiatr.

— Przyjaźnimy się od dwudziestu pięciu lat, Jhessie. Zawsze podziwiałem twój talent, choć może nie płaciłem ci wystarczająco dużo. Chociaż jestem tylko kupcem, cenię sztuki, a malujesz najpiękniejsze ptaki na porcelanie w całym Sibornalu. Chciałbym ofiarować ci prezent pożegnalny, przedmiot zbyt

delikatny, by towarzyszył mi w podróży. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Mógłbym go sprzedać na aukcji, lecz wolę go pozostawić w twoich rękach.

Jheserabhay przyjął z trudem pozycję siedzącą i zrobił wyczekującą minę. Odim skinął na niewolnika, który otworzył torbę, wyjął z niej jakiś przedmiot i podał kupcowi. Odim podniósł upominek i trzymał kusząco przed oczyma malarza.

Zegar miał kształt i rozmiar gęsiego jaja. Tarcza składała się tradycyjnie z dwóch kręgów: zewnętrznego podzielonego na dwadzieścia pięć godzin i wewnętrznego podzielonego na czterdzieści minut. Kiedy zegar zaczynał bić (a działo się to co godzinę lub po naciśnięciu guzika), koperta obracała się wokół pionowej osi i na moment ukazywała się druga, tylna tarcza. Składała się ona także z dwóch kręgów: zewnętrzny wskazywał tydzień, kwadrę i mały rok, a wewnętrzny porę Wielkiego Roku.

Tarcze wykonano z emalii, kopertę zaś ze złota. Sam zegar trzymała w dłoniach nefrytowa figurka Pramacierzy, która siedziała na brzegu rzeki u podstawy zegarka. Po prawej stronie bogini o bujnych kształtach rosło zboże, po lewej piętrzyły się lodowce. Rzeźba odznaczała się cudowną finezją: widać było nawet mikroskopijne paznokcie u nóg wystające z sandałów Pramacierzy.

Jheserabhay wyciągnął starczą kościstą rękę, ujął zegar i oglądał długo, w milczeniu. Oczy zaszkliły mu się łzami.

— To prawdziwy majstersztyk, dzieło znakomitego rzemieślnika. Nie wiem jednak, skąd pochodzi. Czyżby z Kuj-Juvecu? Odim natychmiast się ożywił.

— My barbarzyńcy jesteśmy znani z sztuki. Czy nie mówi się, że spędzamy czas na mordowaniu się nawzajem i rzeźbieniu pięknych cacek? Czy to nie tak wyobrażacie sobie nas wy, dumni Uskutycy?

— Nie chciałem cię obrazić, Odimie.

— Cóż, zegar pochodzi z Juthiru, naszej stolicy, skoro cię to interesuje. Zatrzymaj go. Może wspomnisz mnie czasem przez pięć minut, gdy wyjadę.

Wyrzekłszy owe słowa, odwrócił się i wyrzwał przez okno. Dom naprzeciwko przeszukiwała grupa żołnierzy pod dowództwem podoficera. Dwóch z nich wyprowadziło na plac mężczyznę. Zwiesił on głowę, jakby wstydził się, że przebywa w takim towarzystwie.

— Doprawdy, przykro mi, że wyjeżdżasz, Odimie — rzekł uspokajająco malarz.

— Nie mam wyboru. Na świecie szaleje zło.

— Nie wierzę w zło. Błędy, owszem, ale nie zło.

— Może boisz się uwierzyć w jego istnienie. Jest wszędzie, gdzie są ludzie. Nawet w tym pokoju. Żegna], Jhessie.

Odim opuścił starca, który ścisnął w rękę zegar i usiłował wstać z zakurzonego fotela.

Przed wyjściem z domu Jheserabhaya Odim rozejrzał się ostrożnie dokoła. Oddział żołnierzy zniknął wraz z aresztantem. Kupiec ruszył prędko przez plac, wyrzucając malarza z pamięci. Uskutycy to jednak nieużyteczni ludzie. Lepiej o nich zapomnieć.

Był gotów do wyjazdu. Wszystko zostało załatwione zgodnie z prawem, choć pośpiesznie. Dwa dni wcześniej Besi Besamitikhahl przywiozła łodzią kapitana Fashnalgida, który zdezerterował z wojska, a tymczasem Odim porządkował swoje sprawy. Sprzedał dom niechętnemu krewnemu, a przedsiębiorstwo zaprzyjaźnionemu rywalowi. Kupił statek za pośrednictwem Fashnalgida. Zamierzał pożeglować do brata w odległym Shivenink. Był rad, że zobaczy Odirina: nie są już młodzi i mogą pomóc sobie nawzajem...

Zmagania z przeciwnościami to istota nadziei, rzekł sobie w duchu, prostując plecy i przyspieszając krok. Nie wolno ci się poddawać. Zima czy nie zima, życie stanie się łatwiejsze. Musisz przestać myśleć wyłącznie o pieniądzach. Opętał cię wszechpotężny sib. Walka z przeciwnościami dobrze ci robi. W Shivenink, z pomocą Odirina, będziesz pracował lżej. Poświęcisz się malarstwu jak Jheserabhay. Może zdobędziesz sławę?

Snując owe optymistyczne plany, skręcił w stronę portu. Jego monolog wewnętrzny przerwała armata parowa turkocąca powoli po bruku. Podążała na wschód. Rozeszły się pogłoski, iż niebawem dojdzie do wielkiej bitwy, co stanowiło kolejny powód, by jak najszybciej opuścić miasto. Działo było tak ciężkie, że trzęsła się pod nim ziemia. Straszliwa machina parowa z poruszającymi się tłokami wyrzucała z siebie kłęby dymu. Pędzili za nią mali ulicznicy krzycząc z radości.

Armata towarzyszyła Odimowi wzdłuż brzegu zatoki Kliment, a potężna lufa celowała prosto w niego. Z ulgą skręcił ku szyldowi z napisem "Zamorska porcelana Odima". Deptał mu po piętach Gagrim. W sali wystawowej i magazynie panował bałagan, gdyż dyscyplina uległa rozprzężeniu. Pracownicy najemni oraz niewolnicy korzystali z okazji do nieróbstwa. Wielu kręciło się koło drzwi, gapiąc się na przejeżdżające działo. Rozstąpili się niechętnie przed kupcem, zdradzając brak szacunku dla byłego pracodawcy.

Nieważne, rzekł w duchu Odim. Statek odpływa po południu, a później mogą robić, co chcą. Zbliżył się doń posłaniec i powiedział, że chce się z nim zobaczyć nowy właściciel, który czeka na górze. Odima ogarnął chwilowy lęk. Wizyta nowego właściciela była mało prawdopodobna, gdyż zgodnie z umową transakcja nabierała mocy prawnej dopiero o północy. Jednakże stłumił niepokój i z determinacją ruszył schodami na piętro. Kroczył za nim Gagrim.

Salę przyjęć stanowiła elegancko umeblowana galeryjka z widokiem na morze. Na ścianach wisiały gobeliny i cykl miniatur odziedziczonych po dziadku. Na politurowanych stołach stały porcelanowe serwisy sprzedawane przez firmę. Przyprawiano tu najlepszych klientów i ubijano ważne interesy.

Owego ranka w niskiej sali czekał tylko jeden klient, a jego mundur wskazywał, że interes nie będzie zbyt miły. Tylem do okna stał major Gardeterark z głową wysuniętą do przodu, z grubymi wargami skierowanymi w stronę Eedapa Muna Odima. Za majorem kuliła się biała Besi Besamitikahl.

— Wejdz — rzekł oficer. — Zamknij drzwi.

Odim stanął jak wryty na progu, aż wpadł na niego Gagrim. Gardeterark miał na sobie wielki płaszcz z szorstkiego materiału z wypchanymi kieszeniami i metalowymi guzikami lśniącymi niczym ślepiea flamberga. Gdyby majora odkomenderowano gdzieś indziej, płaszcz ów bez wątpienia mógłby pełnić służbę samodzielnie. Jednakże tymczasem służbę pełnił Gardeterark, patrzący spomiędzy guzików, jak Odim posłusznie zamyka drzwi.

Najbardziej jednak przeraził kupca nie oficer, tylko stojąca obok niego Besi. Spojrzawszy na bladą twarz dziewczyny, odgadł natychmiast, że zdradziła jego tajemnicę. Pomyślał o ludziach, których ukrył w swoim przedsiębiorstwie: o Harbinie Fashnalgidzie, dezercerze z wojska, o poruczniku wrogiej armii chorym na tłustą śmierć i o pielęgnującej go młodej niewolnicy z Borldoranu. Wiedział, że Gardeterark uzna przejawy zwykłego humanitaryzmu za śmiertelną zbrodnię.

W wątlm ciele Odima zapłonął gniew. Był przerażony, lecz gniew okazał się silniejszy od strachu. Kiedy kilka dni wcześniej zobaczył w kantorku butnego, bezwzględnego oficera z wyłupiastymi oczami, poczuł do niego natychmiastową odrazę. Nie wolno dopuścić, by ów bydlak pokrzyżował plan ocalenia całej rodziny.

— Niewolnica powiedziała mi, że ukrywasz dezercera z wojska, niejakiego Fashnalgida — rzekł Gardeterark, skinąwszy głową w stronę Besi.

— Czekał na mnie. Zmusił mnie... — zaczęła dziewczyna. Major wyciągnął dłoń obleczoną w rękawicę, na której lśniło kilka guzików, i uderzył ją w twarz.

— Ukrywasz w swojej firmie dezercera — rzucił. Zrobił krok w stronę Odima, nie patrząc na Besi, która osunęła się po ścianie, zakrywając usta ręką. Major wyciągnął z kieszeni pistolet i wycelował w brzuch kupca.

— Jesteś aresztowany, ty cudzoziemska świni. Prowadź mnie do kryjówki Fashnalgida. Odim chwycił się za brodę. Brutalność, z jaką oficer uderzył Besi, przeraziła go, lecz wzmogła także jego gniew. Spojrzał na Gardeterarkę pustym wzrokiem.

— Nie wiem, o kim pan major mówi.

Grube wargi rozchyliły się na chwilę i ukazały się wielkie żółte zęby. Major uśmiechnął się.

— Dobrze wiesz, o kim mówię. Kwaterował u ciebie. Pojechał do Chalce z twoją kobietą, niewątpliwie z twojego poduszczenia. Jest ścigany za dezercję. Robotnik portowy widział, jak tu wchodził. Prowadź mnie do jego kryjówki lub zabiorę cię na przesłuchanie do dowództwa.

Odim cofnął się o krok.

— Dobrze, proszę za mną.

Na krańcu galerii znajdowały się drzwi prowadzące na tyły budynku. Krocząc za Odimem, Gardeterark odepchnął jeden ze stolików, który blokował przejście. Na podłogę spadł porcelanowy wazon i stłukł się w drobny mak.

Odim nie zareagował. Skinął na Gagrima.

— Otwórz drzwi.

— Twój niewolnik zostanie tutaj — powiedział Gardeterark.

— W ciągu dnia pełni rolę klucznika.

Klucze znajdowały się w kieszeni Gagrima, przymocowane łańcuchem do pasa. Otworzył drzwi rozlatanymi rękoma i przepuścił obydwu mężczyzn.

Znaleźli się w przejściu do pomieszczeń na tyłach. Odim prowadził. Po chwili skręcił w lewo, ku czterem schodkom wiodącym do metalowych drzwiczek. Nakazał gestem niewolnikowi, by je otworzył. Gagrim wyjął szczególnie wielki klucz.

Przestąpiwszy próg, znaleźli się na balkonie okalającym dziedziniec. Stały tam wozy z drewnem i dwa starożytne piece garncarskie. Były na ogół nie używane, lecz obecnie jeden z nich uruchomiono, by wykonać zamówienie miejscowego garnizonu, któremu nie zależało na wartości artystycznej. Większość porcelany Odima pochodziła z manufaktur Korianury. Piec obsługiwały cztery fagory należące do firmy. Był stary i nieszczelny, toteż wokół panował żar i unosiły się kłęby dymu.

— No? — rzucił Gardeterark, gdy Odim się zawahał.

— Fashnalgid jest na strychu — rzekł kupiec, wskazując przeciwległą stronę domu. Na strych prowadził wąski drewniany trap przebiegający nad dziedzińcem. Pochodził z tego samego okresu co piec na dole, a pojedyncza drewniana poręcz była koślawa i poczerniała.

Odim ruszył ostrożnie po trapie. W połowie drogi, gdy powietrze stało się gorętsze, zatrzymał się z dłonią na poręczy.

— Słabo mi... lepiej wróć — powiedział, odwracając się do majora. — Niech pan spojrzy na piec.

Eedap Mun Odim nie był człowiekiem brutalnym. Przez całe życie nienawidził przemocy. Niesmakiem napełniały go nawet oznaki własnego gniewu. Idąc za przykładem rodziców, wyćwiczył się w grzeczności i posłuszeństwie. Teraz odrzucił całe swoje wychowanie. Splótnął mocno dłonie, zamachnął się szeroko i uderzył w kark patrzącego w dół oficera.

— Gagrim! — zawołał. Niewolnik nie poruszył się.

Gardeterark zatoczył się, usiłując wyciągnąć rewolwer. Odim kopnął go w kolano i uderzył w pierś. Oficer był dwakroć większy od niego, a jego płaszcz wydawał się żelaznym pancerzem. Rozległ się trzask pękającej poręczy i wystrzał; Gardeterark runął w dół. Odim padł na pomost, by nie podzielić jego losu.

Spadający major wydał przeraźliwy krzyk.

Odim patrzył, jak macha rękami i rozdziawia zwierzęcy pysk. Lot nie trwał długo. Oficer upadł na łukowaty dach dwukomorowego pieca garncarskiego, w którym płonął ogień. Dach, usłany pojedynczymi cegłami i gruzem, przecinały poszerzające się czerwone szczeliny. Kiedy żar zaczął się wzmaczać, Odim położył się płasko na pomoście, by nie ulec poparzeniu.

Wrzeszczący major usiłował wstać. Obszerny płaszcz zajął się ogniem. Noga oficera uwięzła w jednej ze szczelin. Wtem dach pieca zarwał się, a do góry wytrysnął strumień iskier. Wewnątrz pieca panowała temperatura przeszło tysiąca stu stopni. Płonący Gardeterark wpadł do środka.

Odim nie miał pojęcia, jak długo leżał na pomoście. W końcu Besi, której krwawiła warga, odważyła się podejść do niego i pomogła mu wrócić na galerijkę. Gagrim uciekł.

Tuliła Odima i ocierała chustką jego poparzoną twarz. Kupiec zdał sobie sprawę, że powtarza bez przerwy:

— Zabiłem człowieka...

— Uratowałeś nas — odrzekła Besi. — Byłeś bardzo dzielny. Teraz musimy wracać na statek i odpłynąć, nim ktoś odkryje, co się stało.

— Zabiłem człowieka, Besi...

— Przyjmijmy lepiej, że sam spadł, Eedapie.

Pocałowała Odima popękanymi wargami i rozpląkała się. Przytulił ją mocniej niż kiedykolwiek za dnia, a ona czuła drżenie jego szczupłego, muskularnego ciała.

Tak oto skończyła się uporządkowana część życia Eedapa Muna Odima. Czekał go teraz ciąg improwizacji. Idąc za przykładem ojca, usiłował zapanować nad swoim małym światem prowadząc dokładną rachunkowość, równoważąc wpływy i wydatki, nie oszukując nikogo, zachowując się przyjaźnie, ściśle przestrzegając panujących zwyczajów. W jednej chwili przestało mieć to jakiegokolwiek znaczenie. Wszystko się zawaliło.

Wsparty na ramieniu Besi Besamitikhahl, podążył do portu, gdzie czekał żaglowiec. Towarzyszyło im dwoje innych ludzi, których życie także się załamało.

Kiedy kapitan Harbin Fashnalgid przepłynął wraz z Besi dwadzieścia mil od mola na trzęsawisku, ujrzał swoje oblicze na prymitywnym czerwonym plakacie. Plakat pochodził z drukarni zarekwirowanej przez wojsko i nadal ociekał świeżym klejem. Decydując się na popłynięcie statkiem Odima, kapitan chciał nie tylko opuścić Uskutoshk, lecz także pozostać przy Besi. Doszedł do wniosku, że jeśli ma zmienić swój tryb życia, potrzebuje dzielnej, stałej kobiety, która będzie się nim opiekować. Przeszedł szybko przez trap, pragnąc zostawić za sobą armię i jej cień.

Podążyła za nim Toress Lahl, wdowa po sławnym Bandalu Eithu Lahlu, poległym niedawno w bitwie. Po śmierci męża, gdy stała się branką Luterina Shokerandita, jej życie straciło sens, podobnie jak życie Odima i Fashnalgida. Znalazła się w obcym porcie, skąd miała popłynąć do innego obcego portu. Jej pan leżał związany na statku, cierpiąc męki tłustej śmierci. Mogłaby uciec, lecz nie wiedziała, jak przedostać się bezpiecznie do Oldorando. Postanowiła więc zostać i pielęgnować Shokerandita w nadziei, że zdobędzie jego wdzięczność, jeśli uda mu się przeżyć.

Moru bała się mniej niż inni, gdyż pracowała w Oldorando jako lekarka. Ojczyzna Shokerandita, Kharnabhar, która kojarzyła się mieszkańcom Borl-doranu z romantycznymi legendami, przejmowała ją lękiem i ciekawością.

Odim nabył statek przy pomocy pośredników, przyjaciół z Koriantury, którzy mieli użyteczne kontakty w gildii żeglarzy. Na zakup "Wiosny" poszły całe pieniądze ze sprzedaży domu i przedsiębiorstwa. Dwumasztowy bryg o sześciuset trzydziestu dziewięciu tonach wyporności, z ożaglowaniem rejowym, cumował przy brzegu zatoki Kliment. Zwodowano go przed dwudziestu laty w stocznjach Askitosh.

Załadunek zakończono. Oprócz zapasów żywności, jakie udało się naprędce zgromadzić, na statku znajdowało się stado arangów, kilkanaście skrzyń przepięknej porcelany stołowej i chory mężczyzna pielęgnowany przez niewolnicę.

Pozwolenie wypłynięcia w morze wydał kapitan portu, stary przyjaciel, który od wielu lat pobierał prowizje od frachtów Odima. Szypra przekonano, by skrócił do minimum ceremonie zalecane przez astrologów i chiromantów dla zapewnienia pomyślnych wiatrów. Rozległ się wystrzał armatni oznajmiający wypłynięcie statku z Sibornalu.

Na pokładzie odśpiewano krótki hymn na cześć Boga Azoiaxica. Zaczai się odpływ i wiał sprzyjający wiatr, toteż bryg rzucił cumy i wypłynął w morze. "Wiosna" pożegłowała do odległego Shivenink.

VI. G4PBX/4582-4-3

Na „Awernusie”, Kaidawie Helikonii, zapanowało barbarzyństwo. Eedap Mun Odim miał podstawy, by czuć dumę z kunsztu rzemieślnika, który wykonał zegar подарowany Jheserabhayowi. Prymitywizm mieszkańców Kuj-Juvecu nadał ich sztuce szczególną żywotność. Jednakże barbarzyństwo, jakie ogarnęło „Awernusa”, stworzyło jedynie rozbite czaszki, zasadzki, małpią wesołość oraz walenie w bębny.

Pokolenia mieszkańców stacji odczuwały pragnienie ucieczki przed poczuciem bezsensu, przed minimalistyczną ideologią wieczystej służby na rzecz Ziemi. Niektórzy woleli śmierć na Helikonii od dalszego życia na „Awernusie”. Gdyby mieli wyrazić swoje zdanie, stwierdziliby, że wolą barbarzyństwo od cywilizacji.

Barbarzyństwo okazało się nieskończenie nudniejsze od ograniczeń nakładanych przez kulturę. Finowie i Janowie nie uwolnili się od strachu ani głodu. Otoczeni przez skomplikowane automaty samosterujące, wiedli żywot niewiele mniej prymitywny niż liczne plemiona Kampanlatu, które wegetowały między bagnami, lasami a morzem. Barbarzyństwo wzmogło ich lęki i pozbawiło wyobraźni. Największe szkody poniosły części stacji szczególnie związane z działalnością ludzką, zwłaszcza mesy i zaopatrujące je syntezatory białka. Pola zasiewów zajmujące większość kulistego kadłuba stały się polami bitew. Ludzie polowali na ludzi, by zdobyć żywność. Zabijano i pożerano także monstrualne organa rozrodcze wytworzone za pomocą wynaturzonych technik genetycznych.

Na zautomatyzowanych ekranach nadal pojawiały się obrazy planety mknącej w dole. Zmieniała się także pogoda, by ludziom nie zabrakło bodźców zewnętrznych.

Plemiona, które przetrwały, nie potrafiły już ich zrozumieć. Obrazy myśliwych, królów, uczonych, kupców i niewolników utraciły dla nich wszelki sens. Postacie te uważano za duchy, demony lub bóstwa. Wzbudzały one zdumienie w ludziach, których przodkowie patrzyli na nie z poczuciem wyższości.

Zbuntowana część załogi „Awernusa”, z początku jedynie garstka, poszukiwała większej wolności, niż mogła osiągnąć. Ludzi ogarnęła melancholia. Rozum stał się wasalem żołądka.

Jednakże dobrobyt załogi nie był najważniejszym celem stacji. Podstawowe zadanie polegało na przesyłaniu sygnałów radiowych na Ziemię, odległą o tysiąc lat świetlnych. W ciągu burzliwych stuleci istnienia „Awernusa” sygnały te nigdy nie ustały.

Emisja radiowa tworzyła arterię komunikacyjną służącą realizacji planu technokratów, którzy rozpoczęli ongiś podbój przestrzeni kosmicznej. Sygnały płynęły zawsze, nawet gdy mieszkańcy „Awernusa” powrócili do stanu dzikości.

Arteria komunikacyjna pulsowała krwią, lecz gdzieś przecięto niewielką żyłkę. Ziemia nie zawsze odpowiadała.

Kompleks anten radiowych odbierających sygnały „Awernusa” wzniesiono na zamrożonej metanowej powierzchni Charona, odległej forpoczty Układu Słonecznego. W bazie tej, gdzie przebywały tylko androidy utrzymujące ją w ruchu, analizowano dane z Helikonii, klasyfikowano je, przechowywano i retransmitowano na Ziemię. Do „Awernusa” docierało znacznie mniej sygnałów: były to najczęściej potwierdzenia odbioru albo rozkazy, by wzmocnić obserwację danego regionu. Dawno zniknęły biuletyny informacyjne na temat sytuacji na Ziemi, gdyż ktoś zwrócił uwagę, że absurdem jest przekazywać wiadomości z tysiącletnim opóźnieniem. „Awernus” nie znalazł dziejów macierzystej planety i przestała go ona interesować.

Dzieje te miały następujący przebieg. W ciągu całego dwudziestego pierwszego wieku na przeludnionej Ziemi dochodziło do nieustannych konfliktów. Wschód zagrażał Zachodowi, Północ Południu, kraje rozwinięte pomagały Trzeciemu Światu i wyzyskiwały go. Wzrastająca gęstość zaludnienia, topniejące zasoby naturalne, ciągłe spory lokalne zmieniły stopniowo planetę w kupę gruzu. W połowie wieku karierę zrobiła idea „państwa terrorystycznego”: w owym czasie zniszczono starożytne miasto Rzym. Jednakże wbrew ponurym przewidywaniom nie doszło nigdy do wojny nuklearnej. Działo się tak częściowo dlatego, że mocarstwa posługiwały się uzależnionymi od siebie mniejszymi państwami, a częściowo dlatego, iż zaworem bezpieczeństwa dla agresji stał się podbój przestrzeni kosmicznej.

Ludzie dwudziestego pierwszego wieku uważali swoją epokę za wiek melancholijny, choć byli świadkami wspaniałego rozkwitu techniki. Widzieli, że każde pole i każda fabryka produkująca żywność są zabezpieczone elektronicznie i patrolowane przez roboty. Czuli narastające restrykcje. Mimo to podstawowe wzorce kulturowe nie uległy zmianie. Chociaż wolność osobista była coraz bardziej ograniczona, trzeba się było z tym pogodzić.

Dzięki wielu ludziom obdarzonym talentem wiek ów zapisał się jako epoka rozkwitu sztuki, przynajmniej z pewnej perspektywy. Znikąd, spośród ludu, pojawiali się geniusze, którzy zdobywali

olbrzymią sławę. Buntując się przeciwko spauperyzowanemu otoczeniu, napełniali otuchą serca słuchaczy. Mówiono, że po śmierci Dereka Erica Absaloma płakała połowa globu. Jednakże na pocieszenie pozostały jego cudowne improwizowane pieśni.

W lotach kosmicznych poza granice Układu Słonecznego uczestniczyły początkowo tylko dwa kraje. Później było ich cztery, a skończyło się na pięciu. Koszta podróży międzygwiazdnych okazały się zbyt wielkie. Nikogo więcej nie stać było na udział w owej przygodzie, nawet w wieku, gdy technika stała się religią. W odróżnieniu od religii, ucieczki nędzarzy, technika stanowiła domenę bogaczy.

Fascynujące odkrycia, dokonywane podczas lotów międzygwiazdnych, przekazywano rzeszom na Ziemi. Wielu uważało je za tryumf rozumu. Wielu kibicowało swoim drużynom. Plany podboju kosmosu przedstawiano zawsze w aureoli heroizmu. Ogromne koszty, ogromne odległości, ogromny prestiż: jednoczyło to podatników w ich obskurnych miastach.

W okresie największego rozkwitu kosmonautyki, między rokiem dwa tysiące dziewięćdziesiątym a trzy tysiące dwusetnym, wysyłano niekiedy statki automatyczne. Na ich pokładach znajdowały się komputery z zapisanymi w pamięci modelami ciał ludzi, którzy przemierzali przestrzeń w nieskończoność, póki nie odkryli światów nadających się do kolonizacji.

Pierwszą planetą pozaukładową, na której stanęła stopa człowieka, nazwano uroczyście Nową Ziemią. Była ona jednym z dwóch dał niebieskich obiegających Alfę Centauri C. Nie miała księżyców. „Arabia Deserta w powiększeniu”, jak napisał jeden z komentatorów, gdy ludzkość podziwiała monotonne pejzaże planety.

Składała się ona głównie z pustyń i urwistych łańcuchów górskich. Jedyne ocean pokrywał zaledwie pięćdziesiątą część powierzchni globu. Na Nowej Ziemi nie odkryto żywych istot, oprócz ogromnych czerwi oraz wodorostów występujących przy brzegach słonego morza. Powietrze, choć nadające się do oddychania, zawierało bardzo mało pary wodnej, toteż gardła ludzi wysychały już po kilku minutach. Na rozgrzaną powierzchnię Nowej Ziemi nie padał nigdy deszcz. Był to świat pustyń wykluczający powstanie biosfery.

Mijały wieki.

Na planecie założono pierwszą bazę, a statki międzygwiazdne poleciały dalej. W końcu dotarły na odległość dwu tysięcy lat świetlnych od Ziemi. Przestrzeń ta, niewyobrażalnie wielka dla gatunku, który niedawno zdołał udomowić konia, stanowiła mikroskopijną cząstkę galaktyki.

Zbadano wiele planet. Na żadnej z nich nie powstało życie. Odkryto nowe zasoby surowców, lecz nie życie. Gdzieś w ponurych trzewiach olbrzyma gazowego dostrzeżono dziwaczne wije mające z pozoru wolną wolę. Otoczyły nawet próbnik, który miał je zbadać. Naukowcy usiłowali porozumieć się z nimi przez sześćdziesiąt lat — bez powodzenia. W owym czasie w zatrutych ziemskich oceanach wymarły ostatnie wieloryby.

Na niektórych nowo odkrytych planetach zakładano bazy i kopalnie. Dochodziło do wypadków, o których nie informowano Ziemi. Zniszczono gigantyczną Planetę Wilkinsa: syntezatory termojądrowe, lecące z rykiem przez atmosferę, zamieniły wodór w żelazo i inne metale ciężkie, po czym planetę rozpołowiono. Energia została wyzwolona zgodnie z planem, choć szybciej, niż zakładano.

Śmiercionośne promieniowanie gamma zabiło wszystkich uczestników eksperymentu. Na planecie Orogolak doszło do wojny między dwiema rywalizującymi koloniami, a krótka wojna atomowa zamieniła glob w lodową pustynię.

Były także sukcesy. Nawet Nowa Ziemia okazała się sukcesem. Przynajmniej na tyle, by na brzegu zasolonego morza wzniesiono ośrodek wypoczynkowy. Na dwudziestu dziewięciu planetach założono niewielkie kolonie, istniejące niekiedy kilkanaście pokoleń.

Chociaż na części z nich powstały ciekawe legendy, które wzbogaciły skarbnicę kultury ludzkiej, nigdzie nie stworzono wzorców kulturowych różnych od wartości ziemskich.

Śmiałkowie podejmujący eksplorację kosmosu padali ofiarą wielu dziwnych dolegliwości fizycznych i psychicznych. Choć rzadko zwracano na to uwagę, populacje ziemskie stanowią wylęgarnię chorób, a znaczna część członków każdej grupy etnicznej cierpi na nieznane dolegliwości. Obecnie należało walczyć z SUDS (syndromem utajonych dolegliwości somatycznych). SUDS szerzył się w warunkach braku ciąży.

Choroba nie leczona przez dłuższy czas okazywała się śmiertelna. Zawodziły systemy nerwowe, ludzi ogarniała paranoja, zaczynały się halucynacje, stany katatoniczne, skurcze żołądka. Dementia cosmica stała się zjawiskiem codziennym. Otepiałe ofiary choroby bały się własnego cienia.

Pomimo niebezpieczeństw i rozczarowań podbój galaktyki nie ustawał. Kiedy brakuje wizji, ludzkość umiera — lecz wizja istniała. Wierzono, że najcenniejszą wartością jest wiedza, a jej kwintesencję stanowi sekret związku życia ze światem materii nieorganicznej. Wiedza jest bezwartościowa, jeśli nie towarzyszy jej zrozumienie.

Wyprawa chińsko-amerykańska badała mgławicę w Gwiazdozbiornie Wężownika w odległości siedmiuset lat świetlnych od Ziemi. W rejonie tym występowały gigantyczne zlepki molekuł, zmienne pola grawitacyjne, wielowarstwowe planetoidy i inne anomalie. Między chmurami pyłu powstawały nowe gwiazdy.

Satelita astrofizyczny, połączony z jednym z komputerów flotylli, uzyskał dane spektrograficzne na temat nietypowego układu podwójnego leżącego około trzystu lat świetlnych od Mgławicy Wężownika. Na jednej z planet układu odkryto warunki podobne do ziemskich.

Dziwaczny charakter starej żółtej gwiazdy typu G4 krążącej wokół wspólnej osi wraz z białym nadolbrzymem powstałym zaledwie kilkanaście milionów lat wcześniej zwrócił uwagę kosmologów wchodzących w skład wyprawy chińsko--amerykańskiej. Analiza spektralna skłoniła ich do zbadania sprawy na miejscu.

Planetę odległego układu podwójnego podobną do Ziemi wciągnięto do katalogów pod kryptonimem G4PBX/4582-4-3. Dane o niej przesłano drogą radiową na Ziemię.

Wewnątrz kosmολου flagowego krążącego na skraju Mgławicy Wężownika spoczywał automatyczny statek kolonizacyjny. Statek ów, po zaprogramowaniu, skierowano w stronę planety G4PBXj4582-4-3. Był wówczas rok trzy tysiące sto czterdziesty piąty.

Statek kolonizacyjny dotarł do układu Bataliksy i Freyra około roku trzy tysiące sześćsetnego naszej ery, po czym natychmiast rozpoczął realizację swojego zadania, czyli budowę stacji obserwacyjnej. Planeta G4PBX4582-4-3 przypominała ziszczony sen! Prawdziwy, choć niewiarygodny. Aż trudno było się cieszyć...

W miarę, jak sygnały z nowej stacji docierały do Układu Słonecznego, stawało się jasne, że odkryty glob jest niezmiernie podobny do Ziemi. Nie dość, że w odróżnieniu od poprzednio poznanych planet występowały na nim niezliczone nowe formy życia, to jeszcze zamieszkiwały go zadziwiające istoty rozumne i na poły rozumne. Były to dwa gatunki: istota humanoidalna oraz rogaty gruboskóry stwór przypominający Minotaura.

Sygnały dotarły w końcu do Charona na obrzeżach Układu Słonecznego, skąd androidy przekazały je na Ziemię, odległą o pięć godzin świetlnych.

W połowie piątego tysiąclecia nowoczesna kultura ziemska weszła w okres schyłkowy. Epoka tryumfów nauki należała do przeszłości. Wszyscy, oprócz kilku fanatycznych technokratów znajdujących się u władzy, uważali podbój galaktyki za abstrakcyjną ideę, kolejne brzemienie narzucone przez urzędników. G4PBX/4582-4-3 zmieniła ów stan rzeczy. Przestawszy być jedynie tajemniczym ciałem niebieskim między trzema siostrzanymi planetami, nabrała barw i indywidualności. Stała się Helikonią, planetą cudów, żywym światem za zasłoną mroku.

Słońca Helikonii nabrały znaczenia symbolicznego. Mistycy zwracali uwagę, że Freyr i Bataliksa odzwierciedlają dychotomię psychiki ludzkiej opiewaną przed wiekami w wierszach Dalekiego Wschodu: Dwa nierozłączne ptaki na drzewie brzoskwini: Jeden zjada owoce, drugi go obserwuje. Pierwszy to duch jednostki, rozkoszujący się światem. Drugi to duch natury — świadek, co się dziwi.

Z jakąż ciekawością studiowano pierwsze obrazy ludzi i fagorów, jakie dotarły z zaśnieżonego globu! Serca ludzi wypełniła niewytlumaczalna wdzięczność. Odkryto brakujące ogniwo w łańcuchu istot rozumnych.

Kiedy zbudowano „Awernusa” i wprowadzono go na orbitę wokół Helikonii, gdy zaludniono go dziećmi wychowanymi przez automatyczne matki ze statku kolonizacyjnego, zainteresowanie ludzkości Kosmosem zaczęło słabnąć. Na zamieszkanym planetach Układu Słonecznego powstał rząd scentralizowany, który przekształcił się później w tak zwaną COSE, czyli Związek Co-systemów.

Nadmiernie rozrośnięta administracja skupiła się na swoich własnych sprawach. Odległe kolonie pozostawiono samym sobie, porzucone tu i ówdzie na niegościnnych planetach niczym niezliczeni Robinsonowie na bezludnych wyspach.

Ziemia i sąsiednie planety stały się w owym czasie zbiornicami nie przetrawionej informacji. Przetwarzano surowce z Kosmosu, lecz nie dane. Nie zniknęły utajone właśnie istniejące od czasów plemiennych, oparte na strachu i żądzy posiadania. Podsycala je kurcząca się przestrzeń życiowa.

W roku cztery tysiące dziewięćset pierwszym władzę nad całą Ziemią sprawowała gigantyczna spółka akcyjna o nazwie CO S A. Systemy prawne zastąpiono bilansami zysków i strat. COSA weszła różnymi drogami w posiadanie każdego budynku, każdej fabryki i każdego mieszkańca planety — nawet swoich przeciwników. Kapitalizm osiągnął apogeum. Zarabiano na każdym oddechu tlenem. Dywidendy wypłacano dwutlenkiem węgla.

Na Marsie, Wenus, Merkury i księżycach Jowisza panowała większa wolność. Ich mieszkańcy mogli swobodnie tworzyć niewielkie kolonie i zwalczać się nawzajem. Jednakże byli oni w Układzie Słonecznym obywatelami drugiej kategorii. Za wszystko, co kupowali — a handel odgrywał w ich życiu ważną rolę — płacili COSiE.

W roku cztery tysiące dziewięćset pierwszym brzemień to stało się zbyt ciężkie, tak że kiedy pewien ziemski mąż stanu określił mieszkańców Marsa obraźliwym epitetem „imigranci”, wybuchła międzyplanetarna wojna jądrowa: „Wojna o słowo”, jak ją nazwano.

Z epoki przedwojennej zachowało się bardzo niewiele źródeł, wiadomo jednak, że ludzkość uważała się za zbyt cywilizowaną, by rozpocząć taką wojnę. Obawiano się, że guzik może nacisnąć szalenięc. W istocie rzeczy robili to ludzie zdrowi na umyśle, posłuszni rozkazom dowódców. Strach przed totalną zagładą istniał zawsze. Broń nuklearna raz wynaleziona nie może zniknąć. Zgodnie z prawami psychologii lęk stał się ukrytym pragnieniem, rakiety wzbijały się w niebo, ludzie płonęli jak pochodnie, a wyrzutnie i miasta pochłaniał nieugaszony pożar.

Jak przewidywano, była to wojna kosmiczna. Marsa uciszono na zawsze. Inne planety wykorzystywały zaledwie część swoich arsenałów bojowych i zostały zniszczone. Ziemię trafiło tylko dwanaście głowic o mocy dziesięciu tysięcy megaton. To wystarczyło.

Nad stolicą, La Cosą, wyrósł olbrzymi grzyb. Pył złożony z sadzy, szczątków budynków, strzępów dal, drobin roślin i minerałów wzbiał się aż do stratosfery. Kontynenty omiótł huragan gorąca, podpalając lasy i miasta. Kiedy wygasły pierwsze pożary, kiedy większość radionuklidów osiadła na spalonej ziemi, na niebie pozostała chmura pyłu.

Oznaczała ona śmierć. Pokryła całą półkulę północną. Na Ziemi przestało docierać słońce. Przerwaniu uległa fotosynteza, podstawa życia. Wszystko zamarzło. Umierały rośliny, drzewa, nawet trawy. Ci, co przeżyli wojnę, zmagali się z klimatem, jaki panował poprzednio na Grenlandii. Temperatura spadła gwałtownie do minus trzydziestu stopni. Nadeszła zima nuklearna.

Oceany nie zamrzły. Jednakże pyły utrzymujące się w stratosferze rozprzestrzeniły się we wszystkich kierunkach, zatruwając także półkulę południową. Lodowce pokryły nawet okolice Równika. Na Ziemi zapanował mrok i chłód. Wydawało się, że chmura pyłu to ostatni akt twórczy ludzkości.

Długie zimy panowały także na Helikonii, jednakże miały one charakter naturalny: nie oznaczały śmierci przyrody, tylko jej sen, z którego planeta musiała się ocknąć. Nie było nadziei, bo po zimie nuklearnej nadeszła wiosna.

Na skutki wojny nałożyła się z wolna zima naturalna. Ziemię pokrył śnieg, który nie stopniał podczas tak zwanego lata. W następnym roku spadła jeszcze więcej śniegu. Zasy powiększały się i łączyły ze sobą. Zamarały kolejne jeziora. Czapy podbiegunowe zaczęły się przesuwać na południe. Ziemia przybrała barwę nieba. Powróciła epoka lodowcowa.

Zapomniano o podróżach międzygwiazdnych. Wielką przygodą stało się przebycie mili.

W pasażerów “Wiosny” wstąpił nowy duch. Bryg opuścił szczęśliwie zatokę, a następnie chwycił w żagle silny wiatr północno-wschodni i popłynął na zachód wzdłuż wybrzeży Sibornalu. Kapitan Fashnalgid przyłapał się na pogwizdywaniu skocznej melodyjki.

Eedap Mun Odim namówił swoją tęgą żonę i trójkę dzieci do wyjścia na pokład. Stali w milczeniu, patrząc na oddalającą się Korianturę. Pogoda poprawiła się. Freyr, otoczony czerwoną łuną,

wisiał nisko nad południowym horyzontem, a Bataliksa stała prawie w zenicie. Takielunek rzucał na pokład skomplikowane cienie.

Odim poprosił grzecznie o wybaczenie i podszedł do Besi Besamitikahl, która stała samotnie na rufie. Z początku pomyślał, że cierpi na chorobę morską, lecz po chwili spostrzegł, że płacze. Otoczył ją ramieniem.

— Serce mi się kraje, gdy widzę, jak wylewasz łzy na próżno. Przytuliła się do niego.

— Gryzie mnie sumienie, panie. To ja przysporzyłam ci kłopotów. Nigdy nie zapomnę, jak ten człowiek się palił... To wszystko moja wina.

Próbował ją uspokoić, lecz zaczęła opisywać swoje przygody. Oskarżała Harbina Fashnalgida. Rankiem, gdy miasto było jeszcze puste, wysłał ją po książki, a na ulicy aresztował ją major Gardeterark.

— Przekłete książki! Mówił, że daje mi swoje ostatnie pieniądze! Kto wydaje ostatnie pieniądze na książki?!

— I co zrobił major? Znow się rozplakała.

— Nic mu nie powiedziałam. Ale rozpoznał mnie jako twoją niewolnicę.

Zabrał mnie do pokoju, gdzie byli inni wojskowi. Oficerowie. I kazał... kazał mi tańczyć przed nimi. Później zaciągnął mnie do naszego biura. To wszystko moja wina! Po co ja poszłam po te książki, głupia?!

Odim otarł jej oczy i uspokoił ją łagodnie. Kiedy Besi przyszła do siebie, spytał poważnym tonem:

— Czy lubisz kapitana? Znow go objęła.

— Już nie...

Stali w milczeniu. Koriantura zniknęła w oddali. "Wiosna" przepływała koło flotylli kutrów łowiących śledzie. Za rybakami czekali solarze i bednarze, którzy mieli wypatroszyć i zakonserwować ryby po wyciągnięciu sieci na pokład.

— Czy potrafisz zapomnieć, jak ten człowiek palił się w piecu, panie? — spytała Besi, pociągając nosem. Odim pogładził ją po głowie.

— Nie wrócimy nigdy do Koriantury. Wyrzuciłem z pamięci wszystko, co dotyczy tego miasta, i tobie radzę zrobić to samo. Gdy dotrzemy do domu mego brata w Shivenink, zaczniemy życie na nowo.

Pocałował ją i wrócił do żony.

Nazajutrz rano odszukał go Fashnalgid. Wysoki ł niezgrabny, przerastał o głowę niskiego, muskularnego Odima.

— Jestem ci wdzięczny, że zabrałaś mnie na pokład — stwierdził. — Otrzymasz sowitą zapłatę, jak przyplynie do Shivenink.

— Nie śpieszy mi się, panie — odrzekł Odim i umilkł. Nie wiedział, jak rozmawiać z dezerterem, i jak zwykle w takich przypadkach, zachowywał się z wyszukaną kurtuazją. Na statku płynęło mnóstwo ludzi, którzy chcieli uciec przed edyktami Oligarchy i błagali Odima, by przyjął ich na pokład. Wszyscy zapłacili za podróż. W kabinie kupca piętrzyły się stosy najprzeróżniejszych skarbów.

— Otrzymasz sowitą zapłatę, zapewniam cię — powtórzył Fashnalgid, mierząc Odima ciężkim wzrokiem.

— To dobrze, tak, bardzo dziękuję — rzekł kupiec i oddalił się. Kątem oka dostrzegł Toress Lahl wychodzącą na pokład i podszedł do niej, by uwolnić się od Fashnalgida. Podążyła za nim Besi. Unikała wzroku kapitana.

— Jak się czuje twój pacjent? — spytał kupiec dziewczynę z Borldoranu.

Toress oparła się o reling, przymknęła oczy i odetchnęła głęboko kilka razy. Jej twarz, blada i wychudzona, stała się niemal przezroczysta. Miała sine worki pod oczami.

— Jest młody i silny — odrzekła, nadal zaciskając powieki. — Wierzę, że przeżyje. Tacy zwykle nie umierają.

— Nie powinnaś była przy wlekąc dżumy na statek. Narazasz nas wszystkich — rzuciła odważnie Besi. Dawniej nie ośmieliłaby się wygłosić swojego zdania w obecności Odima, jednakże podczas podróży wszystko się zmieniło.

— Dżuma to termin niewłaściwy z naukowego punktu widzenia. Dżuma i tłusta śmierć to dwie różne rzeczy, choć często się je myli. Chociaż symptomy tłustej śmierci są odrażające, większość zdrowych młodych ludzi wraca do zdrowia.

— Ale rozprzestrzenia się jak dżuma, prawda?

— Nie mogłam zostawić Luterina na pewną śmierć. Jestem lekarką — odparła dziewczyna. Potrząsnęła głową i wróciła zejściówką pod pokład.

Zatrzymała się przed drzwiami kabiny, gdzie leżał Shokerandit. Oparła głowę na ramieniu i ujrzała w wyobraźni dziwne koleje swego losu. Pomyślała o obecnym nieszczęściu i niepewności panującej na statku. Cóż za pożytek ze świadomości, której nie mają fagory, skoro nie można dzięki niej zmienić biegu wydarzeń?

Pielęgnowała mordercę własnego męża. Czowała, że zaraziła się tłustą śmiercią. Wiedziała, że może się ona łatwo rozprzestrzenić po całym żaglowcu — niehigieniczne warunki panujące na "Wiośnie" czyniły ją rajem dla epidemii. Skąd wzięło się życie? Czy to możliwe, że nawet teraz cieszy się nim jakaś jej cząstka?

Przekręciła klucz w zamku, popchnęła barkiem odporne drzwi i weszła do kabiny. Przebywała tam następne dwa dni, nie widując nikogo i rzadko wpełzając na pokład, by odetchnąć świeżym powietrzem. Tymczasem Besi opiekowała się licznymi krewnymi Odima, którzy podróżowali w głównej ładowni. Pomagała jej babcia przyrządzająca znakomite pierożki. Gotowała posiłki na piecyku na węgiel drzewny, wypełniając ładownię smakowitymi zapachami i uspokajając przerażoną rodzinę.

Krewni leżeli na pudłach, otomanach i skrzyniach, dogadzając sobie w zwykły sposób i skarżąc się na niewygodę podróży (czy ktoś chciał ich słuchać, czy nie). Teatralnie ostrzegali Besi przed niebezpieczeństwami grożącymi na morzu. „A co z zarazą? — myślała Besi. — Jeśli rozprzestrzeni się w ładowni, ilu z was przeżyje, bezbronne owieczki?” Postanowiła zostać z nimi bez względu na wszystko i uzbroiła się potajemnie w mały sztylet.

Toress pozostawała w odosobnieniu. Nie odzywała się do nikogo, nawet gdy wychodziła na pokład.

Trzeciego ranka ujrzała na wodzie niewielkie góry lodowe. Trzeciego ranka, gdy złapała ją gorączka, wróciła jak zwykle na dół. Drzwi otwierały się ciężiej niż zwykle.

Luterin Shokerandit leżał w małej nieforemnej kabinie na dziobie "Wiosny". Pośrodku stał drewniany słup pozostawiając miejsce jedynie na piętrową prycę, wiadro, belę siana, piecyk i cztery przerażone fhlebihty przywiązane do burty pod niewielkim bulajem. W mdłym świetle wpadającym z zewnątrz Toress widziała strużki cieczy na podłodze i tęgie ciało mężczyzny na dolnej koi. Zamknęła drzwi, oparła się o nie i podeszła do leżącego.

— Luterinie!

Drgnął. Jego głowa poruszyła się wolno pod lewym ramieniem, przywiązanim do wsporników pryczy. Później otworzyło się jedno oko, które spojrzało przez zmierzwione włosy. Rozchylił wargi i zagulgotał.

Nabrała chochłą wody z baryłki koło piecyka. Pił łapczywie.

— Jeść — wystękał.

Widziała, że wyzdrowieje. Były to pierwsze słowa wypowiedziane przez niego, odkąd przeniosła go na pokład "Wiosny". Odzyskał zdolność myślenia. Mimo to, choć miał mocno związane kostki i nadgarstki, nie odważyła się go dotknąć.

Na płycie pieca leżały zwęglone resztki ostatniego fhlebihta. Podzieliła go tasakiem i upiekła na węglu drzewnym. W rogu, wraz z innymi śmieciami, walały się kręczone rogi zwierzęcia oraz skóra porośnięta długą białą sierścią.

Rzuciwszy Luterinowi udziec, Toress pomyślała po raz pierwszy, jak smacznie wygląda pieczone mięso. Shokerandit przycisnął je łokciem i zaczął jeść, zerkając na nią od czasu do czasu. W jego oczach nie było już szaleństwa. Bulimia minęła.

Dreńczyły ją wspomnienia obłąkańczego obżarstwa Luterina. Spojrzała na jego nagie ciało, lśniące od potu po niedawnych zmaganiach, i wyobraziła sobie, jak cudownie byłoby zanurzyć w nim zęby. Chwyliła z pieca kawał zwęglonego mięsa.

W pobliżu leżały gotowe łańcuchy i kajdany. Toress padła na kolana, poczołgała się ku słupowi i przypięła się do niego. Skuła nadgarstki kajdanami i cisnęła niezgrabnie klucz daleko w kąt. Dotarły do niej zapachy kabiny: smród męskiego ciała, woń sierści i odchodów zwierząt, swąd spalenizny. Sztyniała. Dławiąc się, wyciągnęła się tak daleko, jak tylko pozwalały łańcuchy, wysunawszy kolana do przodu i odchyliwszy głowę do tyłu. Wzięła na ręce kawał mięsa, jakby był niemowlęciem.

Mężczyzna obserwował ją bez ruchu — w końcu zawołał po imieniu. Spojrzała nań bezmyślnie, tocząc dziko oczyma.

Otworzył usta i próbował usiąść. Był mocno przywiązany do koi. Skórzanych rzemieni opinających jego nadgarstki i kostki nie zdołały rozerwać najbliższe drgawki, gdy w jego przysadce mózgowej szalał wirus helikoidalny.

Kiedy się wił, znalazł u boku parę mosiężnych szczypiec, jakich używa się do chwytania rozżarzonych węgli. Narzędzie nie nadawało się do przecięcia więzów. Zasnął na chwilę. Obudziwszy się, znów podjął próbę odzyskania wolności.

Krzyknął. Nikt się nie pojawił. Lęk przed tłustą śmiercią był zbyt silny. Dziewczyna leżała nieruchomo koło słupa. Mógł dosięgnąć jej stopą. Zwierzęta meczały, wierząc się niespokojnie na słomie. Ich oczy lśniły żółtawo w półmroku.

Shokerandit spoczywał na brzuchu. Opuszczała go sztywność. Mógł już przekręcić głowę i rozejrzeć się. Zerknął na górną koję. W połowie znajdowała się drewniana poprzeczka wzmacniająca. Wbito w nią sztylet o długim ostrzu.

Przez wiele minut wpatrywał się tępo w nóż. Rękojeść znajdowała się niezbyt wysoko, lecz nie mógł jej dosięgnąć, gdyż był przywiązany. Zdawał sobie jasno sprawę, że wbiła go Toress, nim uległa chorobie. Tylko po co?

Poczuł na ciele chłodny dotyk szczypiec. Natychmiast doznał olśnienia i zdumiała go bystrość dziewczyny. Wijąc się przesunął szczypce wzdłuż koi i ścisnął między kolanami. Poruszał nimi mozolnie, aż znalazły się tuż pod sztyletem. Pracował przez godzinę, dwie, oblewając się potem i jęcząc z wysiłku, po czym zdołał wreszcie chwycić szczypcami rękojeść noża. Wyciągnięcie go z deski było tylko kwestią czasu.

Sztylet spadł mu na udo. Luterin odpoczywał, aż nabrał sił, by pociągnąć ostrze wzdłuż ciała. Wreszcie chwycił je w zęby.

Czekało go jeszcze mozolne piłowanie jednego ze skórzanych rzemieni, lecz w końcu zdołał tego dokonać. Kiedy oswobodził prawą rękę, łatwo pozbył się pozostałych więzów. Położył się na plecach, zdyszany, a później wypełził ze śmierdzącej koi.

Przeszedł kilka kroków, zatoczył się i osunął po drewnianym słupie. Położywszy dłonie na kolanach, spoglądał na Toress Lahl, która wiła się jak gąsienica. Choć był otumaniony, rozumiał jej poświęcenie i troskę, gdy poczuła pierwsze symptomy moru. Podczas gorączki nie zdołałby nigdy wyciągnąć sztyletu i uwolnić się. Z kolei bez noża nie potrafiłby przeciąć więzów po wyzdrowieniu.

Odpocząwszy wstał i pomacał swoje brudne ciało. Zmienił się. Przeżył tłustą śmierć i zmienił się. Bolesne konwulsje doprowadziły do skrócenia kręgosłupa. Był teraz około trzech do czterech cali niższy niż poprzednio. Wilczy apetyt spowodował, że przybrał na wadze. Gdyby Toress nie karmiła go pieczonym mięsem, pożerałby wszystko, co by mu wpadło w ręce: koc z koi, własne odchody, szczury. Nie miał pojęcia, ile zwierząt zjadł. Miał grube nogi i ramiona. Spojrzał z niedowierzaniem na swoją beczkowatą klatkę piersiową. Stał się niższy, krągłyjszy, bardziej barczysty. Jego waga radykalnie się zmieniła.

Ale żył! Przeszedł przez ucho igielne i żył!

Cokolwiek się dzieje, wszystko jest lepsze od śmierci i zatury. Najprostsze funkcje życiowe — oddech, jedzenie, załatwianie potrzeb fizjologicznych, ruchy rąk i nóg, przypadkowe myśli często nie związane z terażniejszością — miały w sobie coś cudownego. Doznawał radości, której rozproszyć nie mogły nawet brud i niewygody. W śmierdzącej kabinie ogarnęło go poczucie własnego zdrowia.

Jakby odsunęła się kurtyna, przed oczami stanęły mu sceny z dzieciństwa w górach Kharnabharu, w pobliżu Wielkiego Koła. Ujrzał w wyobraźni swoje bohaterские czyny w bitwie pod Isturiachą. Wszystko było czyste, wymyte, jakby przytrafiło się komuś innemu.

Przypomniął sobie, jak zabił Bandala Eitha Lahla.

Poczuł wdzięczność dla jego żony, branki, która ocaliła go od śmierci. Czy dlatego, że jej nie gwałcił i nie maltretował? A może była to dobroć płynąca z innych, głębszych, pobudek?

Pochylił się i spojrział na nią. Zdjęła go litość, gdy zobaczył jej bladość i mękę. Otoczył ją ramieniem, czując ostrą woń spoconego ciała. Dziewczyna obróciła podrygującą głowę, jakby chciała się do niego przytulić. Suche wargi rozchyliły się, obnażając zęby, które wbiły mu się w ramię. Odskoczył. Podał jej mięso leżące u jej stóp. Ugryzła kawałek, lecz nie zdołała przełknąć. Żarłoczność miała przyjść później, gdy szaleństwo się rozwinie.

— Zajmę się tobą — rzekł. — Na razie idę się umyć i odetchnąć świeżym powietrzem.

Krwawiło mu ramię.

Ile to mogło trwać? Otworzył z wysiłkiem drzwi. Statek skrzypiał, a korytarz tonął w półmroku.

Rozkoszując się odzyskaną sprawnością fizyczną, wdrapał się zejściówką na górę i rozejrzał. Pokład był pusty. Przy kole sterowym nie było nikogo.

— Ahoj! — krzyknął. Nikt nie odpowiedział, lecz dał się słyszeć ukradkowy szelest.

Zaniepokojony Shokerandit pobiegł na dziób, nadal wołając. Koło masztu leżały półnagie zwłoki ludzkie. Wbił w nie wzrok. Klatkę piersiową i ramiona brutalnie ogołoco z mięsa, które, jak się domyślił, pożarło...

VII. MUCHA W ŻÓLTE PASKI

Góra Icen nie sprawiała imponującego wrażenia, a w porównaniu z wieloma podobnymi wzniesieniami Sibornalu przypominała zaledwie pryszcz na nosie. Jednakże, leżąc na przedmieściach Askitosh, dominowała nad otaczającą równiną. Cały jej wierzchołek zajmował zamek Icen.

Deszczowe chmury pędzone przez północny wiatr zasłaniały dachy, mury obronne i ponure baszty zamku, a ulewy spadające na mieszkańców stolicy przekazywały im osobiste pozdrowienia od Oligarchy. Położenie na górze dawało liczne korzyści. Jedną z nich polegała na tym, że władca i członkowie Tajnej Rady otrzymywali błyskawicznie wszelkie wiadomości. Po śliskiej brakowanej drodze wiodącej na zamek płynęły strumienie posłańców, na szczycie zaś znajdowała się stacja telegrafu słonecznego, odbierająca depesze z innych odległych wzniesień. Sibornal otaczał łańcuch podobnych stacji, a główna arteria komunikacyjna biegła wzdłuż równoleżnika, na którym leżało Askitosh. Oligarcha dowiedział się w ten sposób, jakie przyjęcie zgotowano zwycięskiej armii powracającej do Koriantury.

Wojsko zatrzymało się przed skarpą oddzielającą Chalce od Sibornalu. Przez dwa dni czekano na maruderów. Grzebano ofiary moru. Odkąd dwie kwadry wcześniej wyruszone na podbój Isturiachy, ludzie i zwierzęta wychudli. Jednakże dowództwo znajdowało się nadal w ręku Asperamanki. W wojsku panował dobry duch. Żołnierze czyścili mundury i rynsztunek, szykując się do tryumfalnego wkroczenia do Uskutoshk. Orkiestra wojskowa wypucowała instrumenty i ćwiczyła marsze. Rozwinięto sztandary pułkowe.

Wszystko to działo się w zasięgu ukrytych dział Pierwszego Regimentu Gwardii Oligarchy. Kiedy armia ruszyła naprzód, artyleria Oligarchy otworzyła ogień. Zagrzmiały armaty parowe. Na wojsko posypał się grad kul. Pękały kartacze.

Padali dzielni żołnierze. Padały jajaki. Ludzie mieli twarze umazane krwią i ziemią. Kto zachował zdolność do krzyku, krzyczał. Wszystko zakrył dym i tumany kurzu. Oszołomieni i wstrząśnięci żołnierze biegali tam i sam, niczego nie rozumiejąc. Umilkły wypucowane instrumenty. Asperamanka rozkazał trębaczowi zagrać hasło do odwrotu. Nie wystrzelono ani jednego pocisku.

Ci, co przeżyli haniebną zasadzkę, błakali się po pustkowiach niczym dzikie zwierzęta. Wielu oniemiało ze zgrozy.

“Abro Hakmo Astab!” — wyrzucili z siebie w końcu straszliwe przekleństwo sibornalskie, którym obawiali się posługiwać nawet nikczemni żołdacy. Wyrażało ono bunt przeciwko losowi. Część niedobitków skryła się w wietrznych zakątkach górskich. Część zgubiła drogę w labiryncie trzęsawisk. Część połączyła się w bandy, które postanowiły przejechać wyludniony step i dołączyć do załogi Isturiachy.

Asperamanka, znany z dam przekonywania, próbował namówić rozproszone grupy, by sformowały oddziały. Obrzucono go wyzwiskami. Zarówno oficerowie, jak żołnierze stracili zaufanie do dowódców. “Abro Hakmo Astab!” — krzyczano prosto w marsowe oblicze arcykapłana.

Starodawną klątwę wymawiano tylko w nadzwyczajnych okolicznościach. Jej pierwotny sens zatarł się z biegiem czasu. Niektórzy utrzymywali, że oznacza zbezczeszczenie obydwu słońc. Na kontynencie północnym, nieustannie owiewanym lodowatymi wichrami polarnymi, wzywano w ten sposób Azoiaxica oraz wszystkich znanych i zapomnianych bogów, by zesłali na świat wieczną ciemność.

“Abro Hakmo Astab!” — zbezczeszczenie światła. Żołnierze, którzy cisnęli te słowa Asperamance w twarz, oddalili się chyłkiem. Arcykapłan wojny nie wydawał dalszych rozkazów. Zmarszczył groźnie brwi i jął się zastanawiać, jak ocalić własną skórę. Jednakże starożytna klątwa zatrzwożyła go głęboko jako duchownego. Poczuł się zbrukany.

Informacje te przekazano Oligarsze na skalistej górze w Askitosh. Władca poznał w ten sposób dalsze losy armii zaatakowanej zdradziecko w Korianturze.

Następny krok Oligarchy nie wymagał głębszego namysłu. Zwołano Tajną Radę i do najdalszych zakątków Sibornalu rozesłano plakaty, które głosiły, iż zbuntowane żołdactwo niosące mór i zamierzające spustoszyć kraj zostało bohatersko rozgromione na granicy. Niechaj obywatele uczczą zwycięstwo wzmożoną pracą.

Czytając obwieszczenie, stare rybaczkę z Koriantury podpierały się pod boki i mówiły: “Tak, tak, zawsze tylko wzmożoną pracą... Czyż można pracować ciężiej niż my?”

Zbiły się ciałniej i patrzyły z ukosa na żołnierzy Pierwszego Regimentu Gwardii, którzy maszerowali na zachód, krzesząc z bruku iskry podkutymi buciorami.

Niedobitki armii błakające się po bezdrożach miały stoczyć jeszcze jedną bitwę. Odkąd czterysta siedemdziesiąt lat wcześniej zmarł ostatni C'Sarr Kampannlatu, fagory urosły w siłę. Ich liczba powiększyła się, jeszcze zanim śmiercionośny Freyr zapłonął z pełną mocą i znów przygasł. Wraz ze śmiercią CSarra ludzie zapomnieli o konieczności trzymania dwurożców w ryzach. Bardziej lękliwi ancipici, którzy pogodzili się z życiem na równinach wśród Synów Freyra, przekazali wieści swoim wojowniczym pobratymcom w górach Nyktryhk. W owym czasie na równinie pojawili się pierwsi harcownicy.

Fagory jadące na kaidawach przelatywały jak burza przez stepy, które stanowiły dla ludzi przeszkodę nie do przebycia. Przyczyna była prosta: bykuny.. gildy oraz kaidawy mogły żywić się trawą tam, gdzie kruchych Synów Freyra czekała śmierć głodowa.

Mimo to dwurożce z gór Nyktryhk omijały stepy z daleka, chyba że zwabiło je coś szczególnego. Fagory lękały się Sibornalu. W ich białych szlejach tkwiło wspomnienie straszliwej muchy. Wspomnienie to, zakodowane głęboko w pamięci genetycznej, kojarzyło chłodne regiony Sibornalu z muchami, a zwłaszcza z muchą w żółte paski. Uprzykrzała ona życie niezliczonym stadom flambergów, które zamieszkiwały równiny pod kołem podbiegunowym. Samica muchy w żółte paski składała jaja w ciałach zwierząt, a wykluwające się larwy wnikały do krwioobiegu i tworzyły podskórne ropnie, przez które wydostawały się na zewnątrz.

Larwy rosły, aż osiągały rozmiar męskiego kciuka. W końcu przegryzały skórę gospodarza i spadały na ziemię, gdzie zmieniały się w poczwarki.

Mogłoby się wydawać, że owa straszliwa istota nie spełnia w przyrodzie żadnej roli oprócz przysparzania flambergom cierpień. Było inaczej. Na tereny opanowane przez muchę nie ośmielały się zapuszczać inne zwierzęta, toteż nie wyjadały flambergom pastwisk.

Jednakże mucha pozostawała przekleństwem flambergów, które nie zważając na niebezpieczeństwo galopowały niekiedy po odsłoniętych grzbietach górskich, na próżno usiłując umknąć

swoim prześladowcom. W pamięci fagorów, odległych potomków flambergów, tkwiło wspomnienie owej tortury, toteż trzymały się z dala od siedlisk muchy.

Jednakże fagory zwabiła rozbita armia Sibornalu, błakająca się po bezdrożach Chalce. Przebywszy galopem stopy z włóczykami i strzelbami na grzbietach, spadły jak burza na Synów Freyra.

Zabijały każdego, kto stanął im na drodze. Mordowano bez litości nawet dwurożce służące w armii Asperamanki, a ich ścierwa pozostawiano na stepie.

W niektórych grupach ludzi panowała nadal dyscyplina wojskowa. Żołnierze kryli się za wozami i witali wrogów równymi salwami z muszkietów. Ginęło wiele fagorów.

Napastnicy cofali się na pewien czas, czekając, aż ludzie osłabną wskutek pragnienia i chłodu. Później następował kolejny atak. Nie oszczędzano nikogo.

Fagory nie brały jeńców, toteż żołnierze walczyli aż do śmierci lub popełniali samobójstwo ostatnią kulą. Może także czuli podświadomie, że lato, gdy Freyr świeci jasno, to okres supremacji człowieka, natomiast Wielka Zima to pora tryumfu fagorów, które odzyskują panowanie nad planetą, utracone, gdy na scenie pojawiła się ludzkość. Żołnierze bronili się bez nadziei, umierali bez pomocy. Ginęły także towarzyszące im kobiety.

Zdarzało się jednak, że kończyła im się amunicja, a wówczas fagory oszczędzały niektórych ludzi i brały ich w niewolę.

Chociaż Oligarcha nie miał o tym pojęcia, jego najlepszym sprzymierzeńcem okazały się dwurożce. Rozgromiły niedobitki armii Asperamanki.

Ancipici zamieszkujący Sibornal nie odznaczeni wojowniczością. Byli to głównie zbiegli niewolnicy lub fagory nizinne przyzwyczajone od pokoleń do harówki i posłuszeństwa. Włóczyły się niewielkimi watahami po kraju, omijając z dala ludzkie osiedla.

Ich łupem padały bezbronne przysiółki i karawany podróżnych: wielowiekowa nienawiść nie zniknęła. Jedna z takich band dostrzegła "Wiosnę" niedaleko brzegu i zaczęła ją obserwować. Fagory podążyły za statkiem dryfującym wzdłuż ponurych wybrzeży Loraju aż do zachodniej części Zatoki Prześladowań, gdzie kończyło się terytorium Uskutoshk.

W skład watahy wchodziło osiem gild, filda, trzy podstarzałe bykuny oraz runta. Wszyscy oprócz runty mieli obcięte rogi. Towarzyszył im juczny jajak wiozący podstawowe artykuły żywnościowe, czyli maneczkę i grubą owsiankę. Fagory były uzbrojone.

Chociaż bryg odpychała od brzegu porywista bryza, znosił go w stronę lądu prąd płynący na zachód. Fagory kroczyły brzegiem, śledząc mila za milą przybliżający się statek. Wiedziały, że przyjdzie pora, gdy go opanują i zniszczą.

Od czasu do czasu na pokładzie coś się działo. Pewnej nocy rozległo się kilka strzałów. Innym razem pojawił się mężczyzna ścigany przez dwie wrzeszczące kobiety. W ich rękach błyskały noże. Mężczyzna wyskoczył za burtę i usiłował płynąć do brzegu, lecz utonął bez krzyku w lodowatym morzu. Na zachód płynęły z gracją łabędzi niewielkie góry lodowe, które wydostały się na pełne morze z Zatoki Prześladowań. Od czasu do czasu uderzały w burty "Wiosny". Słyszał je Luterin Shokerandit, który siedział w kabinie, gdzie leżała nieszczęsna Toress Lahl.

Zamknął drzwi na klucz, lecz trzymał w ręku niewielki tasak. Bulimia wywołwana przez tłustą śmierć czyniła wszystkich pasażerów statku potencjalnymi wrogami. Od czasu do czasu odrąbywał od burty suche szczapy, by piec na nich kawałki ostatniego flehbihta. Podczas ośmiu czy dziesięciu dni na morzu Shokerandit i Toress pożarli cztery długonogie kozły.

Tłusta śmierć trwała zwykle około tygodnia. Po jego upływie chory umierał lub wracał do zdrowia, nie zmieniony psychicznie, lecz fizycznie. Luterin obserwował, jak dziewczyna zмага się z morem. Stawała się coraz cięższa. Próbując się uwolnić, zerwała z siebie ubranie, często posługując się zębami. Gryzła słup, do którego była przykuta. Miała posiniaczone i pokrwawione wargi. Patrzył na nią z miłością.

Wreszcie odwzajemniła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się.

Po kilkugodzinnym śnie przyszła nieco do siebie. Miała niezwykle poczucie zdrowia, jakiego doznają ludzie, którzy przeżyli tłustą śmierć.

Luterin rozkuł ją i umył ściereczką nasączoną wodą morską. Pocałowała go, gdy pomagał jej wstać. Popatrzyła na swoje nagie ciało i rozplakała się.

— Jestem gruba jak beka! Byłam taka smukła...

— To normalne. Spójrz na mnie. Zerknęła na niego przez łzy i roześmiała się.

Roześmieli się oboje. Shokerandit podziwiał wspaniałą architekturę jej zmienionego ciała, nadal lśniącego od wody: piękno ramion, piersi, brzucha, ud.

— Oto proporcje nowego świata, Luterinie — rzekła, pierwszy raz zwracając się doń po imieniu.

Przeciągnął się, zawadzając knykciami o sufit kabiny.

— Cieszę się, że wyzdrowiałaś.

— Bo się opiekowałeś swoją branką.

Było to zupełnie naturalne. Otoczył ją ramionami, pocałował w posiniaczone usta, opadł wraz z nią na podłogę, gdzie tak niedawno wili się z bólu. Teraz wili się z rozkoszy.

— Nie jesteś już moją branką — rzekł później. — Wzięliśmy się nawzajem w niewolę. Jesteś pierwszą kobietą, którą kocham. Zabiorę cię do Shivenink i pojedziemy w góry, gdzie mieszka mój ojciec. Zobaczysz dziwy Wielkiego Koła Kharnabharu.

— Sława Wielkiego Koła dotarła nawet do Oldorando — odparła obojętnym tonem, zapominając już, co się stało. — Pojadę z tobą, jeśli chcesz. Na statku jest bardzo cicho. Zobaczmy, co z innymi? Może Odim, jego krewni i załoga zachorowali na zarazę?

— Jeszcze zaczekajmy.

Obejmował ją patrząc jej głęboko w oczy. Nie chciał rozwiewać uroku. W owej chwili nie potrafił odróżnić miłości od poczucia odzyskanego zdrowia.

— W Oldorando byłam lekarką — powiedziała żywo. — Opieka nad chorymi to mój obowiązek. Odwróciła twarz.

— Skąd się bierze mór? Roznoszą go fagory?

— Taka panuje opinia.

— Więc nasz dzielny kapitan mówił prawdę. Chciano nam uniemożliwić powrót do Sibornalu, byśmy nie zawlekli tam zarazy. Decyzja Oligarchy była mądra, a nie zła.

Toress pokręciła przecząco głową. Zaczęła czesać powoli włosy, patrząc w lusterko, a nie na Luterina.

— To nie takie proste. Oligarcha postąpił nikczemnie. Zabijanie jest zawsze nikczemne. To, co zrobił, jest nie tylko złe, lecz także nieskuteczne. Wiem coś o zaraźliwości tłustej śmierci, choć trudno ją badać, gdyż wiosną i latem przybiera postać utajoną. Wiedza zdobyta mozolnie w jednym roku ulega zapomnieniu w następnym.

Spodziewał się, że będzie mówić dalej, lecz umilkła, patrząc na swoje odbicie. Odłożyła grzebień i polizała palec, by przygładzić brwi.

— Uważaj, co mówisz o Oligarsze. Wie więcej od nas. Odwróciła głowę i spojrzała na Luterina. Ich oczy spotkały się.

— Nie szanuję Oligarchy — rzekła z naciskiem. — W przeciwieństwie do niego tłusta śmierć bywa miłosierna. Umierają na nią głównie starcy i dzieci. Większość zdrowych dorosłych przeżywa. Przechodzą metamorfozę fizyczną tak jak my. — Uśmiechając się szturchnęła go w bok mokrym palcem. — Nasze grube ciała to symbol przyszłości, Luterinie.

— Wymrze połowa ludzi... zginą całe plemiona... Oligarcha nie pozwoli na to w Sibornalu. Zastosuje surowe środki.

Toress lekceważąco wruszyła ramionami.

— Mór ma dobroczynne skutki w epoce, gdy zmniejszają się plony i grozi głód. Korzystają na tym zdrowi. Życie toczy się dalej. Roześmiał się.

— Toczy się lub nie.

Potrząsnęła głową, nagle zniecierpliwiona.

— Musimy sprawdzić, co się dzieje z pasażerami statku. Nie podoba mi się ta cisza.

— Chciałbym podziękować Eedapowi Munowi Odimowi za uprzejmość.

— Miejmy nadzieję, że przeżył.

Stali blisko siebie w śmierdzącej kabinie, obserwując się w żółtawym świetle. Luterin pocałował Toress, która w ostatniej chwili umknęła z wargami. Następnie wyszli razem na korytarz.

Wspominając później ową scenę, Luterin zdał sobie sprawę, że są ciągle odlegli. Toress była bardzo atrakcyjna fizycznie, lecz w istocie pociągała go jej niezależność. Mogli się zbliżyć dopiero z czasem, gdy stanie się bardziej uległa.

Jednakże myśli te przyszyły później, a tymczasem Luterin czuł się niepewny i zagrożony. Był jeszcze zbyt niedojrzały emocjonalnie i patrzył na rzeczywistość przez pryzmat własnych pragnień. Aby dorosnąć, musiał się wyżyć niewinności.

Ruszył przodem. Za zejściówką znajdował się korytarz prowadzący do głównej ładowni, gdzie umieszczono krewnych Odima. Luterin podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać. W środku rozległ się ukradkowy szelest. W kabinach po obydwu stronach korytarza panowała cisza. Próbował otworzyć jedne z drzwi. Były zamknięte. Zapukał, lecz nikt nie odpowiedział.

Kiedy wyszedł z Toress Lahl na pokład, uciekło przed nimi trzech nagich mężczyzn. Pozostawili zwłoki kobiety, która leżała z rozrzuconymi ramionami koło fokmasztu. Była częściowo półwiartowana. Dziewczyna podeszła i spojrzała na trupa.

— Wyrzucmy ją za burtę — rzekł Luterin.

— Nie. Ta kobieta nie żyje. Zostawmy ją. Niech inni mają co jeść.

Rozejrzeli się po żaglowcu i stwierdzili, że przestał się poruszać. Prądy oceaniczne zniosły go powoli na przybrzeżną mieliznę. "Wiosna" osiadła na piaszczystej łasze odchodzącej od brzegu.

W okolicy rufy tańczyło na wodzie niewielkie skupisko kry, a z dziobu można by dotrzeć suchą nogą na brzeg. Na krańcu łachy stały dwie maczugi skalne, o które rozbijały się prądy morskie; jedna wyższa od masztów statku. Skały te musiał cisnąć ongiś na brzeg wybuch wulkanu, choć nigdzie nie było widać niczego tak dramatycznego. Znajdowały się tam tylko niskie klify, tak urwiste, że przypominały stary mur obronny, częściowo zburzony przez artylerię. Za klifami rozciągały się brunatne podmokłe łąki, skąd wiał lodowaty wiatr, od którego łzawiły oczy.

Luterin zamrugał i spojrzał ponownie na wyższą maczugę. Był pewien, że dostrzegł tam jakiś ruch. Po chwili zauważył dwa fagory opuszczające plażę dziwnie posuwistym krokiem. Stało się jasne, że podążają na spotkanie innej grupy czterech fagorów, które ukazały się nagle na skarpie, ciągnąc ścierwo jakiegoś zwierzęcia. Zza maczugi wynurzyły się kolejne fagory i powitały myśliwych.

Pierwotna grupa trzynastu dwurożców połączyła się tego ranka z inną, liczniejszą, złożoną ze zbiegłych niewolników oraz czterech ancipitów służących poprzednio jako zwierzęta pociągowe w armii Oligarchy. Było ich teraz w sumie trzydzieści sześć. Rozpaliły ogień w niszy skalnej zwróconej w stronę łądu i zamierzały upiec flamberga, którego upolowali włóczyniami myśliwi.

Toress spojrzała na Luterina z przerażeniem.

— Zaatakują nas?

— Nie znoszą wody, ale mogą się dostać na pokład po piaszczystej łasze. Lepiej zobaczymy, czy są jacyś zdrowi członkowie załogi. Musimy się pośpieszyć.

— Pierwsi zachorowaliśmy na tłustą śmierć, więc pewnie pierwsi wyzdrowieliśmy.

— Sprawdźmy, czy na pokładzie jest jakaś broń.

Rezultaty oględzin napełniły ich zgrozą. "Wiosna" przypominała jatkę.

Przed morem nie było ucieczki. Część pasażerów skryła się w kabinach i umarła samotnie. Kiedy kilku ludzi zamknęło się razem, zwykle zabijano pierwszego, u którego wystąpiły objawy choroby. Zarżnięto i pożarto wszystkie zwierzęta na pokładzie, walcząc o ich ścierwa. W wielkiej ładowni, gdzie przebywali krewni Odima, zapanowało ludożerstwo. Z dwudziestu trzech członków rodziny zginęło osiemnastu, którzy padli ofiarą swoich krewnych. Z pięciu pozostałych trzech cierpiało nadal na zarazę i uciekało na dźwięk ludzkiego głosu. Dwie młode kobiety były już w stanie mówić: przeszły całkowitą metamorfozę fizyczną. Toress zabrała je do kabiny, gdzie ukrywała się razem z Shokeranditem.

Łuk do pomieszczeń załogi był zamknięty. Z dołu dobiegały zwierzęce dźwięki i dziwne monotonne zawodzenie:

Bruzdę swej panny zobaczył, Ach, wizja to piękna być raczy. Ach, wizja to piękna być raczy...

W spiżarni na dziobie znaleźli ciała Besi Besamitikahl i staruszki. Besi leżała wpatrzona w sufit ze zdziwionym wyrazem twarzy. Obie nie żyły.

W ładowni dziobowej natknęli się na solidne kwadratowe skrzynie, których nie naruszono po wybuchu epidemii.

— Chwała Bogu, strzelby! — wykrzyknął Luterin. Otworzył najbliższą skrzynię i wyjął kilka worków. Pod nimi, zawinięta w papier, leżała wspaniała porcelana stołowa ozdobiona miłymi scenkami z życia rodzinnego. Inne skrzynie zawierały kolejne serwisy, najlepsze z wyrobów Odima. Były to podarki dla brata w Shivenink.

— Nie powstrzymamy tym fagorów — roześmiała się Toress.

— Musimy.

Kiedy wędrowali po zakrwawionym statku, czas zdawał się stać w miejscu. Panowało małe lato i dzień Bataliksy trwał długo. Freyr znajdował się tuż nad horyzontem lub tuż pod nim. Stale wiał lodowaty wicher. Raz rozległo się echo dalekich grzmotów.

Po grzmotach nastąpiła cisza. Słyszać było tylko monotony plusk fal i stukot drobnej kry o drewniany kadłub. Później znów rozległy się grzmoty, tym razem wyraźne i ciągłe. Luterin i Toress spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, nie potrafiąc rozpoznać źródła dźwięku. Fagory odgadły je natychmiast. Tętent pędzącego stada flambergów był zbyt charakterystyczny.

Na obrzeżach czapy lodowej żyły miliony flambergów. Ich potomstwo zaludniało tereny podbiegunowe. Najkorzystniejsze warunki w Sibornalu panowały dla nich w Loraju. Znajdowały się tam olbrzymie puszcze twardych drzew eldawonowych, niskie faliste wzgórza i jeziora. W odróżnieniu od jajaków, flambergi były mięsożerne i chętnie zjadały gryzonie oraz ptaki, jakie udało im się upolować. Ich główny pokarm stanowiły grzyby, porosty, trawa i kora. Żywiły się także niejadalnym mchem, który polujące na nie barbarzyńskie plemiona Loraju nazywały mchem flambergów. Zawierał on kwas tłuszczowy zabezpieczający komórki zwierząt przed zimmem i pozwalający im żyć w niskiej temperaturze.

Do brzegu zbliżało się stado złożone z przeszło dwu milionów sztuk. W Loraju istniały stada kilkakrotnie liczniejsze. Flambergi wyszły z puszczy eldawonowej i biegły równoległe do morza. Ziemia trzęsła się pod milionami kopyt.

Fagory na brzegu zaczęły okazywać niepokój. Przerwano prymitywne warzenie stawy. Dwurożce chodziły tam i z powrotem, obserwując horyzont i zdradzając istic ludzką niepewność.

Miały dwie drogi ucieczki. Mogły wspiąć się na szczyt maczugi skalnej lub zaatakować i opanować statek. Uchroniłyby się w ten sposób przed stratowaniem przez nadciągające stado.

Miało ono swoich żywych pilotów. Nad poruszającymi się kłębam flambergów leciała chmura komarów, które wysysały krew z włochatych nozdry zwierząt. Komary spłoszyły muchę o rozmiarze królowej pszczoł. Pofrunęła ona do przodu, gdzie powietrze było czystsze. Pojawiła się nie wiadomo skąd i wylądowała na czole jednego z fagorów. Jej odwłok pokrywały żółte paski.

Dwurożce, ogarnięte niezwykłą paniką, jęły biegać tam i z powrotem. Fagor, na którego pysku przysiadła mucha, popędził w stronę maczugi. Tryknął w nią łbem, rozgniatając owada i tracąc przytomność.

Reszta grupy zebrała się, by ustalić plan działania. Jeden z przybyszy niósł małą pomarszczoną skórę przodka w uwięzi. Ów czcigodny symbol rasy fagorów, skureczony, wysuszony i niemal przezroczysty prabykun, był nadal czymś więcej od nicości. Lśniła w nim słabiutka iskierka zdolna koncentrować ich próby myślenia. Fagory przestały zauważać otaczającą rzeczywistość. Połączyły się w jedno. Prądy ich białych szlei wniknęły w uwięź.

Z białego pola wyłoniła się zjawia nie większa od królika. Fagor, którego był to przodek, rzekł w duchu: „O świątobliwy prarodzicu, dziś rozkładający się w ziemi, znaleźliśmy się w straszliwym niebezpieczeństwie na brzegu zatopionego świata. Pędzą ku nam zwierzęta, którymi byliśmy, i zadcpczą nas na śmierć. Napelnij mocą nasze łapy, wybaw nad od złego”.

Keratynowa zjawia wypełniła szleje fagorów dobrze znanymi obrazami biegnącymi jeden za drugim. Regiony podbiegunowe, lód, bagna, ponure prą wieczne bory i życie kwitnące nawet na skraju czapy lodowej. Była ona wówczas o wiele większa, bo nad niebiosami panowała jedynie Bataliksa.

Myśliwi kryjący się w jaskiniach, zawierający sojusze z bezrozumnym duchem zwanym ogniem. Pokorni Obcy, których hodowano dla rozrywki. Przerazający, rozszalały Freyr w oktawach śródpowietrznych, pokryty czarnymi cętkami, wielki niczym pajak, rozpalony. Zniknięcie pięknego T'Sehn-Hrra, ongiś srebrzystego na spokojnym niebie. Obcy zmieniający się w Synów Freyra, uciekający, niosący na ramionach bezrozumny ogień. Śmierć wielu, wielu dwurożców, w potokach wody, w upale, w walce z Synami Freyra, ludźmi o czołach małp.

— Idźcie prędko, pamiętajcie o waśniach. Szukajcie schronienia na drewnianej skrzyni na zatopionym świecie, zabijcie wszystkich Synów Freyra. Nie stratuja was tam kopyta zwierząt, którymi byliśmy. Bądźcie dzielni! Bądźcie wielcy! Rogi do góry!

Cichy głos zanikł w zaświatach. Fagory podziękowały prabykunowi głębokim gulgotaniem. Postanowiły posłuchać jego rady. Między nimi a głosem nie było żadnej różnicy. W ich błędnych szlejach nie istniał czas ani myśl.

Fagory podażyły powoli ku statkowi na mieliznie.

Był dla nich czymś obcym. Ocean przejmował je trwogą. Woda połykała je i gasiła. Sylwetka "Wiosny" rysowała się na tle pomarańczowej łuny Freyra, chrapiącego smacznie pod horyzontem i gotowego wynurzyć się ze swojej kryjówki w nienasyconym morzu.

Dwurożce chwyciły mocniej włócznie i ruszyły z wahaniem w stronę żaglowca.

Pod ich łapami skrzypiał piasek. Przez cały czas w ich nastroszonych uszach brzmiał tętent nadciągających flambergów.

Koło rufy statku pływały bryły lodu nie wyższe od runty idącej przy swojej gildzie. Niektóre przywarły do burty, inne, jakby opętane czyjąś tajemniczą wolą, zataczały powoli skomplikowane krzywe na spokojnym morzu, nieziemskie w mdłym świetle, z odbiciami przypominającymi przodka w uwięzi. Kiedy piaszczysta łacha zaczęła się zwięzać, fagory musiały pomaszzerować gęsiego. Na czele pochodu znalazły się dwa bykuny. Nieruchomy żaglowiec górował nad nimi jak wieża.

Pod łapami bykunów rozlegały się trzaski. Dwurożce próbowały się zatrzymać, lecz popychały je do przodu stwory kroczące z tyłu. Kolejne zgrzyty. Spojrzawszy w dół, bykuny ujrzały pod nogami cienkie białe odłamki ciągnące się aż do burty statku.

— Jest lód i lód się łamie — powiedziały do siebie w czasie terazniejszego, gdyż język ancypitów nie zawiera innych czasów. — Idziemy z powrotem albo wpadamy do zatopionego świata.

— Musimy zabić wszystkich Synów Freyra. Idziemy naprzód.

— Nie możemy tego zrobić, bo broni ich zatopiony świat.

— W tył zwrot! Rogi do góry!

Skuliwszy się za relingiem "Wiosny", Luterin i Toress obserwowali, jak ich wrogowie drepcą z powrotem na brzeg i szukają schronienia za skałą.

— Mogą wrócić. Musimy jak najszybciej ściągnąć statek z mielizny — rzekł Shokerandit. — Sprawdźmy, ilu członków załogi ocalało.

— Przed odpłynięciem powinniśmy zabić kilka flambergów, jeśli się zbliżą — powiedziała Toress. — Inaczej umrzemy z głodu.

Spojrzeli na siebie z niepokojem. Przyszło im do głowy, że żeglują na statku pełnym trupów i szaleńców.

Stanąwszy tyłem do grotmasztu, wnieśli gromki okrzyk, który przetoczył się echem po pustym morzu i wybrzeżu. Po chwili rozległa się odpowiedź. Zawołali znowu.

Z dziobówki wyszedł slaniający się mężczyzna. Uległ metamorfozie fizycznej i odznaczał się typowymi beczkowatymi kształtami człowieka, który przeżył tłustą śmierć. Miał zbyt obisłe ubranie, a jego ongiś koścista twarz była tęga i jakby dziwnie rozciągnięta. Ledwo rozpoznali w nim Harbina Fashnalgida.

— Cieszę się, że żyjesz — rzeki Luterin podchodząc do niego. Przeobrażony Fashnalgid wyciągnął ostrzegawczo rękę i usiadł ciężko na pokładzie.

— Nie zbliżajcie się do mnie — powiedział i zakrył dłońmi twarz.

— Jeśli czujesz się na siłach nam pomóc, powinniśmy ściągnąć statek z mielizny — odezwał się Shokerandit.

Kapitan roześmiał się nie podnosząc głowy. Luterin zobaczył, że jego ręce i ubranie pokrywa zakrzepła krew.

— Pozwólmy mu przyjść do siebie — rzekła Toress.

Usłyszawszy jej słowa, Fashnalgid roześmiał się chrapliwie i zaczął krzyczeć:

— “Przyjść do siebie”, dobre sobie! Czyż mogę przyjść do siebie?! Po co mam przychodzić do siebie?! Przez ostatnie kilka dni żarłem aranga na surowo... Tak, i zabiłem człowieka, żeby mi go nie zabrał... Wnętrznosci, wszystko... A teraz odkryłem, że Besi nie żyje. Besi, najukochańsza, najuczciwsza dziewczyna, jaką znałem!... Po co mam przychodzić do siebie?! Chcę umrzeć!...

— Niedługo poczujesz się lepiej — rzekła Toress. — Prawie jej nie znałeś.

— Przykro mi z powodu Besi, ale musimy ściągnąć statek z mielizny — powtórzył Luterin.

Fashnalgid spojrział nań wściekłym wzrokiem.

— Zawsze taki byłeś, przeklęty konformisto! Nieważne, co się dzieje, róbcie, co do was należy!

Jeśli chodzi o mnie, statek mogą wziąć diabli!... Shokerandit czuł moralną wyższość nad nędzną postacią.

— Jesteś pijany, Harbinie! Oficer rozwalił się na pokładzie.

— Besi nie żyje. Co mnie to wszystko obchodzi?!

Toress skinęła na Luterina. Oboje oddalili się w milczeniu.

Uzbroiwszy się w topory do zwalczania ognia, zeszli pod pokład włamywać się do kabin.

Kiedy Shokerandit dotarł do stóp zejściówki, rzucił się na niego nagi mężczyzna. Chwytał go za szyję i przewrócił na kolana. Napastnik, krewny Odima, warczał niczym wściekłe zwierzę. Wczepił się w Luterina, nie podejmując żadnych skutecznych prób obezwładnienia go. Shokerandit uderzył go pięścią między oczy, wykręcił mu rękę i przewrócił na ziemię. Następnie kopnął go w brzuch i usiadł mu na piersi.

— Co z nim zrobimy? Rzucimy go fagorom?

— Zwiążmy go i zamknijmy w kabinie.

— Nie zamierzam ryzykować.

Shokerandit podniósł topór, który upadł na ziemię, i uderzył leżącego styliskiem w skroń. Krewny Odima zwiotczał.

Zaczęli wyważać drzwi do kabiny kapitana na rufie. Zamek ustąpił pod ciosem siekiery. Wpadli do wygodnie umeblowanego pomieszczenia z oknami tuż nad powierzchnią wody.

Stanęli jak wryci. Tyłem do okna siedział mężczyzna z wycelowaną w nich staroświecką rusznicą o dzwonowa tej lufie.

— Nie strzelaj — powiedział Luterin. — Nie mamy złych zamiarów. Mężczyzna wstał i opuścił broń.

— Jakbyście byli wariatami, naszpikowałbym was ołowiem.

Odnaczał się potężną tuszą. Przeszedł tłustą śmierć. Rozpoznali w nim kapitana. Oficerowie leżeli związani na podłodze kabiny. Niektórzy byli zakneblowani.

— Mieliśmy sakramenckie przygody — rzekł kapitan. — Na szczęście przyszedłem do siebie pierwszy i straciliśmy tylko bosmana. Uległ spożyciu, że tak powiem. Oficerowie mogą podjąć służbę za kilka godzin.

— Więc niech ich pan zostawi i zajmie się statkiem — rzekł ostro Luterin. — Osiedliśmy na mieliznie, a na brzegu pojawiły się fagory.

— Jak się miewa armator, pan Odim? — spytał kapitan, wyszedłszy z kabiny z rusznicą pod pachą.

— Jeszcze go nie znaleźliśmy.

Natknęli się na niego później. Poczawszy pierwsze objawy gorączki, Odim zamknął się w kabinie z zapasem wody, suszonych ryb i sucharów. Przeszedł metamorfozę. Był teraz kilka cali niższy i znacznie cięższy niż przedtem. Znikła charakterystyczna sztywność kręgosłupa. Nosił luźny strój marynarza, gdyż stare ubranie stało się za ciasne. Wyszedł na pokład, mrugając jak niedźwiedź zbudzony ze snu zimowego.

Kiedy go zawołali, rozejrzał się prędko dokoła z marsem na czole. Luterin podszedł doń wolnym krokiem, zdając sobie dobrze sprawę, że to on zaraził pasażerów statku tłustą śmiercią. Pokornie przypomniał Odimowi swoje imię.

Nie zwracając nań uwagi, kupiec podszedł do relingu i wskazał piaszczystą łachę. Mówiąc dusił się wręcz z wściekłości.

— Co za barbarzyństwo! Jakiś łotr wyrzucił za burtę moją najlepszą porcelanę! Hańba! To, że na “Wiośnie” szaleje mór, nie jest żadnym usprawiedliwieniem... Kto to zrobił? Żądam odpowiedzi. Dla winowajcy nie ma miejsca na pokładzie mojego statku!

— No cóż... — rzekła Toress.

— E... — wybąkał Shokerandit. Zapanował nad sobą i powiedział: — Muszę wyznać, że ja to zrobiłem. Atakowały nas fagory. Wskazał dwurożce widoczne koło skały.

— Do fagorów się strzela, a nie rzuca cennymi serwisami, głupcze! — zawołał Odim. Powściągnął gniew. — Czy masz coś na swoje usprawiedliwienie? Postradałeś zmysły, tak?

— Na pokładzie nie było strzelb, którymi mogliśmy się bronić. Fagory zaczęły się zbliżać. Znow to zrobią, jeśli znajdą się w potrzasku. Wyrzuciłem serwis za burtę, żeby przykryć łachę porcelaną. Jak się spodziewałem, fagory pomyślały, że stąpają po cienkim lodzie, i zawróciły. Przykro mi z powodu porcelany, ale ocalała statek.

Odim milczał. Spojrzał na pokład, a później na maszt. Wreszcie wyciągnął z kieszeni czarny notesik.

— W Shivenink można by sprzedać ten serwis za tysiąc sibów — rzekł cicho, zerkając prędko na Luterina i Toress.

— Dzięki niemu ocalała reszta porcelany w ładowni — odparła dziewczyna. — Pozostałe skrzynie są nie tknięte. Jak się czuje twoja rodzina? Odim zanotował coś ołówkiem, mrużąc pod nosem.

— Może nawet więcej niż tysiąc... Dziękuję wam, dziękuję... Ciekawe, kiedy znow będzie się wyrabiać takie piękne serwisy? Pewnie dopiero wiosną następnego Wielkiego Roku, po upływie wielu stuleci. A zresztą, co się będziemy martwić.

Odwrócił się w zamyśleniu i uściśnął Luterinowi rękę, nie patrząc mu w oczy.

— Dziękuję za uratowanie statku.

— Zaraz ściągniemy go z mielizny — rzekł kapitan.

Tętent stada flambergów narastał. Odwrócili się, by spojrzeć na zwierzęta biegnące nie dalej niż o milę od brzegu. Odim odszedł niepostrzeżenie.

Dopiero później poznali przyczynę jego nieco dziwaczного zachowania. Kupca wytrąciła z równowagi nie tylko śmierć ukochanej Besi. Z trojga jego dzieci zarazę przeżył tylko najstarszy syn, Kenigg. Żona Odima także padła ofiarą moru. Została z niej tylko czaszka, korpus i stos kości.

Przyплыw miał się rozpocząć dopiero za kilka godzin. Kiedy kapitan i załoga stanęli na nogach, doprowadzono statek do porządku. Resztę chorych umieszczono możliwie wygodnie w kabinie chirurga. Opatrzono rannych. Rekonwalescentów wyprowadzono na świeże powietrze. Martwych zawinięto w koce i ułożono rzędem na górnym pokładzie. Umarło dwudziestu ośmiu ludzi. Przeżyło dwudziestu jeden, w tym kapitan i jedenastu marynarzy.

Kiedy odszukano wszystkich i zapanował jaki taki porządek, zdrowi pasażerowie zebrali się na pokładzie i podziękowali za ocalenie Bogu Azoiaxicowi, który panował nad wszechświatem. Śpiewając swoje naiwne hymny, nie zdawali sobie sprawy, że ich losy nie zależą od żadnego z miejscowych bóstw.

W owym czasie na Helikonii zaczynały panować warunki zbliżone do pierwotnych, jakie istniały w epoce, nim sionce macierzyste, Bataliksa, zostało pochwycone przez pole grawitacyjne nadolbrzyma typu A. Na planecie żyło wówczas wiele gatunków istot żywych, poczynając od wirusów, a kończąc na wielorybach. Wskutek braku energii nie miały one jednak dostatecznie złożonej struktury komórkowej, by wytworzyć podstawy wyższego stopnia rozwoju ---- myślenie, dedukcję, percepcję związaną z pełnym rozwojem świadomości. Najwyższym osiągnięciem planety w tej mierze były fagory.

Dwurożce stanowiły część zintegrowanego systemu biosfery Helikonii. Jedno z zadań owego systemu — z czego oczywiście nie zdawały sobie sprawy jego części składowe — polegało na

utrzymywaniu optymalnych warunków funkcjonowania całości. Muchy w żółte paski nie mogły istnieć bez flamburgów, które z kolei nie mogły istnieć bez much. Wszystkie formy życia były współzależne.

Pochwycenie Bataliksy przez nadolbrzyna było dla Helikonii wydarzeniem wielkiej wagi, lecz nie tragedią, choć stało się nią dla wielu gatunków i istot. Skutki kataklizmu okazały się na tyle rozłożone w czasie, że biosfera zdołała je przetrwać. Planeta zatroszczyła się o swoje dzieci. Straciła księżyc, ale najważniejsze procesy trwały, choć burze i zamiecie szalały przez długie stulecia.

Więcej szkód wyrządziło gwałtowne promieniowanie nowej gwiazdy. Zagładzie uległy kolejne gatunki, choć niektóre przetrwały dzięki mutacjom genetycznym. Część nowych odmian rozwinęła się zbyt pośpiesznie w kategoriach ewolucyjnych i przystosowała się do zmienionego otoczenia za cenę pewnych ograniczeń. Morskie assatassi rodzące się jako czerwce ze zgniłych ciał rodziców, jajaki i bijajaki, nekrogeny przypominające ssaki, lecz nie mające narządów rodnych, oraz ludzie — oto jak wyglądały nowe istoty, które rozpleniły się w bogatym w energię środowisku, jakie powstało osiem milionów lat przed wypadkami opisanymi w powieści.

Nowe formy życia stanowiły wyraz dążenia biosfery do jedności i włączyły się do niej w epoce najgwałtowniejszych zmian. Zanim Freyr pochwyił Bataliksę, w atmosferze Helikonii znajdowała się znaczna ilość dwutlenku węgla, wywołującego ochronny efekt szklarniowy i powodującego, że przeciętna temperatura wynosiła minus siedem stopni Celsjusza. Po kataklizmie stężenie dwutlenku węgla wyraźnie spadło, gdyż w okresie periastronu łączył się on z wodą i tworzył skały wapienne. Zwiększona zawartość tlenu umożliwiła powstanie nowych istot: ludzie nie mogli żyć w pozbawionych tlenu górach Nyktryhk, zamieszkiwanych przez fagory.

Większa koncentracja makrocząsteczek w morzach doprowadziła do wzmożonej aktywności całego łańcucha pokarmowego. Wszystkie nowe zjawiska spełniały w biosferze Helikonii rolę regulacyjną.

Ludzie, najbardziej złożone formy życia, byli narażeni na najwięcej niebezpieczeństw. Chociaż buntowali się przeciwko temu, stanowili zaledwie cząstkę zrównoważonej struktury, jaką tworzyła macierzysta planeta. Nie różnili się pod tym względem od ryb, grzybów ani fagorów.

Aby mogli się przystosować do zmiennych warunków klimatycznych Helikonii, ewolucja wytworzyła specyficzny regulator wagi ciała. Powstał wirus helikoidalny, przenoszony przez gatunek kleszcza, który żerował zarówno na ludziach, jak i na fagorach. Wirus ów uaktywniał się wiosną i późną jesienią Wielkiego Roku helikońskiego i dochodziło wówczas do epidemii gorączki kości oraz tłustej śmierci.

Mężczyźni i kobiety nie różnili się zbyt wiele między sobą, jednakże zmieniali się zależnie od pory roku. W okresie całego Wielkiego Roku ważyli średnio sto dwanaście funtów, lecz wiosną i jesienią ich konstytucja fizyczna ulegała gwałtownym zmianom.

Chorzy, którzy przeżyli wiosenną gorączkę kości, ważyli zaledwie dziewięćdziesiąt sześć funtów i wydawali się szkieletami ludziom przyzwyczajonym do starych porządków. Zmniejszona waga dała, podlegająca dziedziczeniu, utrzymywała się przez pokolenia jako ważny czynnik zapewniający między sobą, jednakże zmieniali się zależnie od pory roku. W okresie całego Wielkiego Roku ważyli średnio sto dwanaście funtów, lecz wiosną i jesienią ich konstytucja fizyczna ulegała gwałtownym zmianom.

Chorzy, którzy przeżyli wiosenną gorączkę kości, ważyli zaledwie dziewięćdziesiąt sześć funtów i wydawali się szkieletami ludziom przyzwyczajonym do starych porządków. Zmniejszona waga ciała, podlegająca dziedziczeniu, utrzymywała się przez pokolenia jako ważny czynnik zapewniający całą biosferze. Wyższy poziom energetyczny planety na wiosnę wymagał znacznie bardziej zróżnicowanej biomasy, natomiast zmniejszony poziom energii zimą wymagał jej redukcji. Wirus ograniczał populację, by wtopiła się w ogólne łańcuchy pokarmowe biosfery.

Ludzkość nie mogłaby istnieć bez wirusa, podobnie jak stada flamburgów zginęłyby bez dręczących je much w żółte paski.

Wirus zabijał, lecz dawał życie.

VIII. GWAŁT NA MATCE

Od lądu wiała porywista bryza. Niebo przetarło się i zaświeciła Bataliksa. Morze lśniło, wyrzucając w górę fontanny perłowej piany. "Wiosna" pędziła na południowy zachód z wiatrem świszczącym w takielunku.

Wzdłuż północnych wybrzeży Loraju ciągnęły się tarasowate Pałace Jesienne. W ich kamiennych ścianach zakłęto sny zapomnianych tyranów. Jak głosiły legendy, rezydował tu ongiś sam król Denniss. Od chwili zbudowania nie były one nigdy w całości zamieszkane ani w całości opuszczone. Okazały się zbyt wielkie dla własnych twórców i ich następców. Ale chociaż monumentalne wieżycy wyrosły nad granitowym wybrzeżem długie wieki temu, pałace nie były puste. Gnieździły się w nich hordy ludzi niczym ptactwo pod okapami wymarłych domostw.

Do pałaców przybywali także uczeni, których pociągały minione stulecia. Stanowiły one najwspanialsze miejsce wykopalisk na planecie, a ich zrujnowane piwnice zawierały niezliczone pamiątki przeszłości. Jakież to były lochy! W głąb ziemi, aż do litej skały, biegły nie kończące się labirynty korytarzy, jakby ich budowniczkowie pragnęli czerpać ciepło z samego serca Helikonii. Znajdowano tu kalendarze wyryte na kamieniu i glinianych tabliczkach, odłamki ceramiki, szkielety liści z wymarłych lasów, czaszki, zęby, wysypiska śmieci, miecze rdzewiejące w ziemi. Była to historia planety cierpliwie czekająca na interpretację, a tymczasem przerażająco niepojęta niczym minione życie ludzkie. Pałace leżały w dali spowite mgielką, a "Wiosna" minęła je z prawej burty.

Zdziesiątkowana załoga widywała od czasu do czasu inne statki. Nie opodal portu Ijivibir minęli flotyllę kutrów rybackich ciągnących sieci. Na pełnym morzu można było niekiedy dostrzec okręty wojenne, przypominające, że nadal toczy się wojna między Uskutoshk a Bribahrem. Nikt nie atakował "Wiosny" ani nawet nie dawał jej znaków. Koło statku baraszkowały delfiny.

Minąwszy Klusit, kapitan postanowił wysłać szalupę na brzeg. Znał miejscowe wody i chciał uzupełnić prowiant przed ostatnim etapem podróży do portu Rivenjk w Shivenink. Po niedawnym spotkaniu z bandą fagorow pasażerowie mieli wątpliwości, czy jest to decyzja rozsądna, lecz kapitan ich uspokoił.

Ta część Loraju znajdowała się w północnej strefie zwrotnikowej i była nadal żyzna. Wybrzeże pokrywały prawie bezludne lasy tropikalne, jeziora, rzeki i bagna. Dalej, aż do czapy podbiegunowej, rozciągały się prawieczne puszcze eldawonów i kspiarnów.

Na brzegu wylegiwały się foki hełmogłowe, porykujące na spacerujących między nimi marynarzy i pasażerów "Wiosny". Nie stawiały oporu, gdy zatłukiwano je wiosłami. Wiosło musiało trafić zwierzę w delikatną szyję. Kiedy tchawica uległa zmiążdżeniu, foka dusiła się. Zajmowało to trochę czasu. Pasażerowie odwracali wzrok, gdy zwierzęta wiły się w męczarniach. Samce i samice próbowały niekiedy ratować się nawzajem, piszcząc żałośnie.

Łby fok okrywało coś na kształt hełmu. Powstał on z rogów, gdyż w odległej przeszłości foki żyły na lądzie i skryły się z powrotem w oceanie podczas zimy Weyra. Hełmy chroniły uszy, oczy oraz czaszkę zwierząt.

Kiedy ludzie oddalili się od fok, z morza wybiegły ryby obdarzone nogami, wspinając się po stromej kamienistej plaży. Zaczęły atakować konające foki, wydzierając im z boków kawałki tłuszczu.

— Hola! — zawołał Luterin i uderzył jednego z napastników.

Ryby rozbiegły się i skryły pod kamieniami. Jedna, zraniona wiosłem przez Shokerandita, znieruchomiała. Podniósł ją i pokazał Odimowi i Fashnalgidowi.

Miała prawie metr długości, sześć płetwiastych nóg oraz szeroką paszczę, którą otaczało kilka mięsistych wąsów. Kłapała zębami, poruszając w obie strony głową i gapiąc się na Shokerandita bezbarwnymi oczyma.

— Widzicie tego stwora? — spytał Luterin. — To zezówka. Niedługo pojawią się na brzegu tysiącami. Większość zostanie zjedzona przez ptactwo. Te, co przeżyją, schronią się w tunelach wydrążonych w ziemi. Później, gdy nadejdzie zima Weyra, staną się dłuższe od węży.

— Nazywają się wijami Wutry — rzekł kapitan. — Niech ją pan wyrzuci. Nie jedzą ich nawet marynarze.

— Jedzą je mieszkańcy Loraju.

— Mieszkańcy Loraju uważają wiję za przysmak, to prawda — odparł kapitan z szacunkiem, lecz twardo. — Mimo to te stwory są trujące. Tubylcy gotują je z trującymi porostami, bo te dwa jady podobno się neutralizują. Sam jadłem wiję kilka lat temu, gdy rozbiłem się w tych okolicach. Ale nadal niedobrze mi się robi, gdy pomyślę o ich zapachu i smaku, i nie chcę, by żywili się nimi moi marynarze.

— Bardzo dobrze.

Luterin cisnął wijącą się zęzówkę do morza. Po niebie krążyły stada wrzeszczących kraków i innego ptactwa. Marynarze poćwiartowali czym prędzej sześć fok i zanieśli je do jolki. Odpadki pozostawiono drapieżnikom.

Toress Lahl płakała.

— Wsiadaj do łodzi — powiedział Fashnalgid. — Czemu beczysz?

— Co za okropne miejsce — odrzekła dziewczyna, odwracając twarz. — Z morza wychodzą ryby na nogach i wszystkie zwierzęta pozerają się nawzajem.

— Taki jest już świat, moja panno. Wskakuj.

Powiosłowali z powrotem do statku. Leciały za nimi chmury kraczących ptaków.

“Wiosna” wciągnęła żagle i ruszyła prując fale w stronę Shivenink. Toress próbowała nawiązać rozmowę z Shokeranditem, lecz zbył ją, gdyż miał sprawę z Fashnalgidem. Stała przy relingu z twarzą ukrytą w dłoniach, spoglądając na oddalający się brzeg.

Podszedł do niej Odim.

— Nie smuć się — powiedział. — Wnet dotrzemy do bezpiecznego portu Rivenjk. — Zamieszkamy w domu mojego brata, wypoczniemy i nabierzemy sił po straszliwych przeżyciach.

Toress znów załżała się łzami.

— Czy wierzysz w jakiegoś boga? — spytała, zwracając ku niemu zapłakaną twarz. — W czasie tej podróży spotkało nas tyle nieszczęść... Odim milczał przez chwilę.

— Żyłem do tej pory w Uskutoshk. Zachowywałem się jak Uskutyjczyk. Postępowałem zgodnie z przyjętymi normami, to znaczy czciłem regularnie Azoiaxica, boga Sibornalu. Teraz, gdy opuściłem kraj, a ściśle mówiąc, gdy zostałem wygnany, rozumiem, że nie jestem Uskutyjczykiem. Co więcej, czuję, że zupełnie nie wierzę w boga Uskutyjczyków. Spadł mi wreszcie kamień z serca. — Poglądził się po piersi. — Mogę ci to powiedzieć, bo nie jesteś Uskutyjką.

Wskazała znikający brzeg.

— To okropne miejsce... Przerazające potwory... Wszystko, co mnie spotkało... Mój mąż zabity w bitwie... Straszliwe losy tego statku... Życie pogarsza się rok za rokiem... Dlaczego nie urodziłam się wiosną?! Przepraszam cię, Odimie, zwykle nie jestem taką beksą...

— Rozumiem cię — rzekł łagodnie kupiec po chwili milczenia. — Ja także poniosłem stratę. Moja żona, młodsze dzieci, ukochana Besi... Ale rozmawiałem ze swoją żoną w stanie pauki i ona mnie pocieszyła. Czy nie widzisz się z mamikiem swojego męża?

— Tak, tak, spotykam się z nim w świecie cieni — odparła cicho. — Jest inny, niżbym chciała. Pociesza mnie i mówi, że powinnam znaleźć szczęście z Luterinem Shokeranditem. Tak łatwo przebaczać...

— No cóż, wszystko wskazuje na to, że Luterin to miły młody człowiek.

— Nigdy go nie pokocham! Nienawidzę go! Zabił Bandala Eitha! Jak mogę go kochać?! — rzekła, zdumiona własną złością. Odim wzruszył szerokimi ramionami.

— Skoro tak ci radzi duch męża...

— Jestem kobietą z zasadami. Może po śmierci łatwiej się zdobyć na przebaczenie. Wszystkie mamiki mówią tym samym głosem, słodkim jak zgnilizna. Chyba zerwę z paukiem... Nie mogę pokochać mężczyzny, który uczynił ze mnie niewolnicę, choćby nie wiem jak mnie kusił. Nigdy. Czuję do niego wstręt.

Odim położył jej dłoń na ramieniu.

— Wszystko wydaje ci się wstrętne, prawda? A może powinnaś zacząć myśleć tak jak ja, że my, wygnańcy, otrzymaliśmy w darze nowe życie? Mam dwadzieścia pięć lat i pięć kwadr, nie jestem niedorostkiem! Ty jesteś znacznie młodsza. Podobno Oligarcha powiedział, że świat to izba tortur. Jest nią tylko dla tych, którzy w to wierzą.

Kiedy zeszedliśmy na brzeg i zabiliśmy sześć fok z całego ogromnego stada, ogarnęło mnie uczucie, że w cudowny sposób szykuję się do zimy. Przytyłem, odrzuciłem Azoiaxica... — Westchnął. — Niełatwo mówić o filozofii. Mam większą wprawę w rachunkach. Jak wiesz, jestem tylko kupcem. Ale metamorfoza, którą przeszliśmy, jest taka cudowna, że musimy, powtarzam, musimy zacząć żyć w zgodzie z naturą i jej hojną rachunkowością.

— Mam więc ulec Luterinowi, tak? — spytała, patrząc mu prosto w oczy. Uśmiechnął się lekko. Słabość do ciebie ma także Harbin Fashnalgid.

Roześmieli się. Do Odima podbiegł Kenigg, jedyny ocalały syn, i pociągnął go za rękaw. Kupiec pochylił się i pocałował chłopca w policzek.

— Jesteś wspaniałym człowiekiem, Odimie, naprawdę — powiedziała To-ress, gładząc go po dłoni.

— Ty także jesteś wspaniałą kobietą, ale nie bądź zbyt wspaniała, bo nie osiągniesz szczęścia. To stare przysłowie z Kuj-Juvecu. Skinęła potakująco głową, a w jej oku błysnęła łza.

Kiedy statek zbliżył się do wybrzeży Shivenink, pogoda pogorszyła się. Shivenink, położone nad oceanem, składało się prawie wyłącznie z ogromnego łańcucha górskiego — gór Shivenink, od których powstała nazwa kraju i które oddzielały Loraj od Bribahru.

Mieszkańcy Shivenink byli ludźmi spokojnymi i bogobojnymi. Cały gniew ich krainy skupił się w pierwotnych żywiołach, które doprowadziły do powstania miejscowych gór. W niedostępnym zakątku owej naturalnej twierdzy znajdowało się Wielkie Koło Kharnabharu, ucieleśnienie heroizmu i determinacji. Stało się ono symbolem nie tylko dla Sibornalu, lecz także dla pozostałych części globu.

Kiedy "Wiosna" zbliżała się do Shivenink, obserwowały ją ogromne wieloryby, wynurzywszy z wody podługowate łby. Prawie natychmiast przesłonił je nagły szkwał, który uderzył w żaglowiec.

"Wiosna" znalazła się w opałach. W takielunku wył wiatr, pokład zalewały fale, a bryg kołysał się jak oszalały. Panował półmrok, choć był akurat świt Freyra. Marynarzy posłano na maszty. Przeszedłszy zimową metamorfozę, zachowywali się niezręcznie. Przemoczeni i poobijani, wdrapali się na główną reję i zwinęli sztywne brezentowe żagle. Później wrócili na pokład, zalewany nieustannie przez fale.

Ponieważ załoga była niepełna, Shokerandit, Fashnalgid oraz niektórzy co sprawniejsi krewni Odima pracowali wraz z marynarzami przy pompach. Znajdowały się one w środku statku, koło grotmasztu. Przy każdej z maszyn pracowało ośmiu ludzi, po czterech przy każdej dźwigni. W studziencie brakowało miejsca dla szesnastu osób. Ponieważ fale wlewały się tu najsilniej na pokład, pompujący byli zupełnie przemoczeni. Mężczyźni klęli i popychali się, pompy rzeziły jak konający starcy, a dokoła przewalały się fale.

Po dwudziestu pięciu godzinach wiatr zelżał, barometr przestał spadać, a bałwany stały się nie tak strome. Od strony lądu zaczął bezgłośnie padać śnieg. Brzeg pozostawał niewidoczny, jednakże wyczuwało się jego obecność, jakby w pewnej odległości czaiła się olbrzymia istota, która mogłaby się zbudzić z prawiecznego kamiennego snu. Na statku zapadła cisza. Pasażerowie wpatrywali się w "tumany śniegu, lecz nadal nic nie widzieli.

Nazajutrz pogoda zaczęła się poprawiać, a rozszalałe żywioły uspokoiły się na pewien czas. Na zielonkawę wody padał niekiedy śnieg. Przez chmury przeświecała Bataliksa. Śpiący olbrzym ukazał się powoli oczom ludzi. Z początku wyrżał jedynie jego zad.

Statek wydawał się zabawką wobec ciągu ogromnych bastionów, których szczyty niknęły w chmurach. Ukazywały się one po kolei, gdy "Wiosna" pędziła na zachód, znów pod pełnymi żaglami. Były to monstrialne przylądki, jeden większy od drugiego. Gigantyczne filary wyrastające z morza wydawały się wyrzeźbione ręką ludzką; wspierały one prawie pionowe ściany skalne. Tu i ówdzie w szczelinach między głazami rosły karłowate drzewa. Rzeźbę każdej z gór podkreślały poziome smugi białego śniegu.

Pomiędzy przylądkami znajdowały się głębokie ponure zatoki, w których szalały burze śnieżne. Widać było zygzaki błyskawic. Koło ujść, gdzie krzyżowały się prądy morskie, krążyły stada białych ptaków. Nad posępными wodami unosiły się dziwne dźwięki i echa, osiadając w umysłach ludzi niczym sól zbierająca się na wargach.

W promieniach słońca, które rozświetlało niekiedy mroczne studnie skalne, widać było błękitne lodospady, które runęły w dół z królestwa głazów, śniegów, gradu i wichrów, tonącego prawie zawsze w chmurach.

W końcu pojawiła się zatoka większa od poprzednich, otoczona czarnymi ścianami skalnymi. Na nagiej wysepce u wejścia, której nie zalewały nawet najwyższe fale, przycupnęła latarnia morska. Ów znak obecności człowieka wzmagał wszechogarniające poczucie samotności.

— To zatoka Yajabhar — powiedział kapitan, skinąwszy głową. — Można tu zawinąć do portu, który stoi na cyplu przypominającym kiel w dolnej szczęce olbrzyma.

Jednakże pożeglowali dalej, a ciężka masa skał po prawej burcie zdawała się sunąć wraz z nimi. Kiedy znaleźli się w pobliżu półwyspu Shivenink, góry stały się jeszcze ogromniejsze. Aby dotrzeć do portu Rivenjk, należało opłynąć potężny masyw pozbawiony zatok i prawie nie urzeźbiony. Jego główną cechą stanowiły rozmiary. Nawet marynarze zbierali się po wachtach na pokładzie, by gapić się w milczeniu.

Wysokie zbocza Shivenink porastała roślinność. Ze skał zwisały liany, a w wielu miejscach dostrzegało się niewielkie wodospady, które nie docierały do ziemi, zwiewane przez wichry smagające pionowe ściany skalne. Chmury niekiedy się rozsnuwały i widać było niebotyczne ośnieżone szczyty. "Wiosna" dotarła do południowego krańca łańcucha górskiego, który skręcał ku północy i łączył się z ogromnym płaskowyżem lawowym sięgającym aż do czapy polarnej.

Kilka mil od miejsca, gdzie żeglował statek, grzbiet półwyspu wznosił się blisko siedem mil nad poziomem morza. Górą Shivenink, znacznie wyższym od jakichkolwiek gór na Ziemi, dorównywał rozmiarami tylko Nyktryhk w Kam-pannlacie. Stanowiły one jedno z najpiękniejszych miejsc Helikonii. Potężny łańcuch górski, spowity własnymi chmurami burzowymi i obdarzony własnym mikroklimatem, widywali nieliczni ludzie, z wyjątkiem marynarzy przepływających statków.

Góry, oświetlone prawie poziomymi promieniami Freyra, zapierały dech w piersiach. Pasażerom "Wiosny" wszystko wydawało się nowe i olśniewające. Tytaniczny krajobraz dostarczał niezapomnianych wrażeń. Ale to, co widzieli, było starożytne — starożytne nawet w kategoriach planetogenezy.

Szczyty wznoszące się nad nimi powstały przeszło cztery miliardy lat temu, kiedy w nie ukształtowaną skorupę Helikonii trafił ogromny meteoryt. Pozostałość owego kataklizmu stanowiły góry Shivenink, Bariery Zachodnie w Kam-pannlacie oraz odległe góry Hespagorat. Tworzyły one razem ogromny krąg złożony z materii wyrzuconej w przestrzeń przez uderzenie meteorytu. Pierwotny krater wypełniał ocean Kliment, uważany przez żeglarzy za prawie bezkresny.

Płynęli przez wiele dni, a półwysep trwał jak we śnie po prawej burcie, nie zmieniony, jakby nie zamierzał zniknąć.

Pewnego dnia minęli maciupęnką wysepkę, która ongiś stanowiła zapewne część wznoszących się nad nią gór. Chociaż wyglądała straszliwie niegościnnie, okazała się zamieszкана. Do statku dotarł swąd dymu. Na widok chat przycupniętych wśród drzew pasażerów ogarnęła tęsknota za spacerem na lądzie, jednakże kapitan nawet nie chciał o tym słyszeć.

— Wypiarze parają się korsarstwem, a wielu z nich to desperaci zmocy za burtę przez sztormy. Gdybyśmy zeszedli na ląd, pozabijaliby nas i porwali statek. Wolałbym zawrzeć przyjaźń z sępami. Od wysepki odbiły trzy długie czołna ze skóry. Luterin wręczył przyjaciółom lunetę. W stronę żaglowca wiosłowali z całych sił zgarbieni mężczyźni, jakby zależało od tego ich życie. Na rufie jednej z łodzi stała naga kobieta o długich czarnych włosach. Trzymała w ręku niemowlę, które ssalo jej pierś.

Od strony gór nadleciała tymczasem burza śnieżna, która otuliła morze białym całunem. Płatki śniegu osiadały na nagich piersiach kobiety i topniały.

"Wiosna" niosła zbyt wiele żagli, by czołna zdołały ją doścignąć. Mimo to mężczyźni nie dawali za wygraną. Wiosłowali jak szaleni, nawet kiedy zostali daleko z tyłu.

Kilka razy chmury rozwiewały się, a pasażerowie widzieli przez mgnienie oka góry Shivenink. Ktokolwiek dostrzegł lukę w mlecznym тумanie, zawiadamiał krzykiem pozostałych, którzy nadbiegali i patrzyli z zapartym tchem na wilgotne skały, pionowe dżungle i śniegi wznoszące się wysoko nad głowami.

W pewnym momencie ruszyła lawina. Do morza obsunęła się część urwiska. Toczyła się powoli w dół, pociągając coraz więcej kamieni, aż wreszcie wpadła do oceanu, tworząc wielką falę. Do wody runął jezior lodu, zniknął pod powierzchnią i wynurzył się, podskakując jak korek. W dół poleciały kolejne fragmenty, które odłupały się od niebotycznego lodowca tonącego w chmurach. Lawina wywołała przerażające echo.

Skrzeczając ze strachu wzbily się w powietrze tysiące brązowych ptaków. Miały tak szerokie skrzydła, że gdy leciały nad statkiem, powstawał dźwięk przypominający odległe grzmoty. Ptaki przelatywały nad "Wiosną" przez pół godziny i w tym czasie kapitan ustrzelił kilka na rosół.

Kiedy bryg opłynął w końcu półwysep i pożegłował na północ, o dwa dni drogi od Rivenjk rozpętał się kolejny sztorm, mniej gwałtowny niż poprzedni. Statek pochłonęły wirujące tumany śniegu. Przez cały dzień obydwie słońca świeciły przez gęstą mgłę. Padał grad wielkości męskiej pięści. Kiedy sztorm przycichł, a ślaniający się na nogach mężczyźni pracujący przy pompach poszli się przespać, ukazał się z powrotem brzeg.

Skały, otoczone obłokami mgły, stały się mniej strome, choć równie przeraźliwe jak poprzednio. Z jednej z mlecznobiałych chmur wynurzyła się nagle ogromna rzeźba mężczyzny.

Wydawało się, że skoczy do morza i wyląduje na pokładzie statku.

Zatrwożona Toress Lahl krzyknęła.

— To Heros, pani — wyjaśnił uspokajająco bosman. — To znak, że zbliżamy się do celu podróży. Bardzo dobrze.

Kiedy mgła nieco zrzędła, stało się jasne, że rzeźba ma gigantyczne rozmiary.

Kapitan udowodnił za pomocą sekstansu, że jej wysokość przekracza tysiąc metrów.

Heros stał pochylony na nieco ugiętych nogach, uniósłszy ramiona nad głową. Jego postawa sugerowała, że zamierza skoczyć do morza lub wzbic się w powietrze. Świadczyła o tym para skrzydeł, a może płaszcz spływający z szerokich ramion. Dla zachowania równowagi dolna część nóg łączyła się ze skałą, z której je wyrzeźbiono.

Figura była stylizowana, ozdobiona dziwnymi zakrętami, które zapewniały kształty aerodynamiczne. Twarz miała ostre, orle rysy, nie pozbawione jednak cech ludzkich.

Podkreślając uroczysty charakter sceny, odezwał się daleki dzwon, którego mosiężne tony dotarły do brygu po szarej wodzie.

— Wspaniała rzeźba, prawda? — rzekł Luterin z dumą. Przeobrażeni fizycznie pasażerowie stanęli razem przy relingu, patrząc niepewnie na gigantyczną postać.

— Co ona przedstawia? — spytał Fashnalgid, chowając ręce do kieszeni płaszcza.

— Niczego nie przedstawia. Jest sobą. To Heros.

— Musi coś przedstawiać.

— Stoi tutaj, i tyle — odparł zirytowany Luterin. — To człowiek. Ma być oglądany i podziwiany.

Zapadło niepewne milczenie. Wszyscy wsłuchiwali się w melancholijne dźwięki dzwonu.

— Shivenink to kraina dzwonów — odezwał się Shokerandit.

— Czy Heros ma dzwon w brzuchu? — spytał Kenigg.

— Kto by go tam umieścił? — wtrącił Odium, by odwrócić uwagę od impertynenckiego pytania syna.

— Wiedźcie, przyjaciele, że tę potężną figurę wzniesiono wiele stuleci temu, podobno nawet kilka Wielkich Lat temu — rzekł Luterin. — Legenda głosi, że wyrzeźbiła ją wyższa rasa ludzi, których zwiemy Budowniczymi Kharnabharu. Skonstruowali oni także Wielkie Koło. Byli największymi architektami w dziejach świata. Kiedy skończyli pracę nad Kołem, wy rzeźbili gigantyczną postać Herosa. Od tamtej pory strzeże on Rivenjk i drogi do Kharnabharu.

— Pramatko, gdzieśmy się znaleźli?! — spytał na głos Fashnalgid. Zszedł pod pokład, by zapalić fajkę i poczytać.

Kiedy po wojnie nuklearnej Ziemię pokryły lodowce, sygnały z Helikonii odbierano już od trzech stuleci. Granica wiecznych śniegów posuwała się stopniowo na południe, toteż dziejami nowo odkrytej planety interesowały się wyłącznie androidy na Charonie.

Tak przynajmniej było w epoce lodowcowej. Starła ona z powierzchni Ziemi zburzone miasta, które przypominały ropiejące wrzody. Zniszczyła cmentarzyska, jakimi stały się dawne osady ludzkie. Po zrujnowanych autostradach biegały myszy, szczury i wilki. Śniegi pokryły także półkulę południową. Nad pustymi Andami krążyły samotne kondory. Pingwiny zbliżały się pokolenie za pokoleniem do kuszących lodowców Kopakabany.

Aby naruszyć skomplikowane mechanizmy regulujące klimat, wystarczył spadek temperatury o zaledwie kilka stopni. Wojna jądrowa doprowadziła biosferę do katastrofy. Gaja, Matka Ziemia, pierwszy raz w dziejach zetknęła się z brutalną siłą, której nie potrafiła stawić czoła. Została zgwałcona i prawie zamordowana przez własnych synów.

Przez setki milionów lat temperatura na powierzchni Ziemi utrzymywała się w wąskim przedziale najbardziej sprzyjającym życiu. Działo się tak wskutek nieświadomego współdziałania wszystkich istot żywych, pomimo wzrostu energii słonecznej, powodującego dramatyczne zmiany w składzie atmosfery. Stężenie soli w wodzie morskiej wynosiło zawsze około trzech i cztery dziesiąte procent. Gdyby wzrosło kiedykolwiek do sześciu procent, oceany stałyby się martwe, gdyż przy takim zasoleniu zaczynają się rozpadać ściany komórek.

Ilość tlenu w atmosferze utrzymywała się na stałym poziomie dwudziestu jeden procent. Utrzymywał się też stały poziom amoniaku. Utrzymywała się powłoka ozonowa.

Czynniki te pozostawały w równowadze dzięki Gai, Matce Ziemi, od której pochodziły wszystkie istoty żywe: sekwoje, algi, wieloryby i wirusy. Tylko ludzie wbili się w pychę i zapomnieli o swojej rodzicielce. Wymyślili własnych bogów, ujarzmili ich i zostali przez nich ujarzmieni, posługując się nimi w walce z wrogami i samymi sobą. Nienawiść i miłość doprowadziła ich do samo zniewolenia. Samotni w świecie natury, wynaleźli straszliwą niszczycielską broń. Zabijając siebie nawzajem, prawie zamordowali Gaje.

Zdrowiała ona bardzo powoli. Jednym z uderzających symptomów jej choroby była śmierć drzew. Promieniowanie i brak warunków do fotosyntezy spowodowały uschnięcie bujnych puszczy tropikalnych i północnych tajg. Wraz ze śmiercią drzew zniszczeniu uległo ważne ogniwo w łańcuchu homeostazy: zginęły miriady istot mieszkających w lasach.

Zimno trwało około tysiąca lat. Ziemia zapadła w kataleptyczny sen, jednakże oceany żyły nadal. Morza zaabsorbowały ogromne chmury dwutlenku węgla powstałe wskutek wojny nuklearnej. Przez długie stulecia pozostawał on rozpuszczony w wodzie i krążył w głębinach oceanów. Kiedy się w końcu uwolnił, wywołało to efekt szklarniowy i ocieplenie klimatu.

Tak jak poprzednio, życie narodziło się w morzu. Wiele elementów biosfery ---owady, mikroorganizmy, rośliny, człowiek — przetrwało dzięki izolacji, sprzyjającym wiatrom i innym zrządzonym losu. Kiedy lód ustąpił miejsca zieleni, życie znów się uaktywniło. Odtworzeniu uległa powłoka ozonowa, chroniąca komórki przed zabójczym promieniowaniem ultrafioletowym. Stopniała wieczna zmarzlina, a dźwięki poszczególnych instrumentów połączyły się raz jeszcze w harmonijną całość.

W roku pięć tysięcy dziewięćsetnym warunki polepszyły się bardzo wyraźnie. Wśród niskich kolczastych krzewów hasały antylopy. Za cofającymi się lodowcami wędrowali na północ mężczyźni i kobiety odziani w skóry zwierząt.

Owi pogrobowcy cywilizacji grzali się nocą własnymi ciałami i patrzyli w gwiazdy. Gwiazdy nie zmieniły się od epoki paleolitycznej. Zmienił się tylko człowiek.

Zagładzie uległy całe narody. Przedsiębiorcze ludy, które doprowadziły do wspaniałego rozkwitu techniki i sięgnęły do planet i gwiazd, które stworzyły cudowne narzędzia zagłady i bańnie, wymordowały się nawzajem. Ich dziedzictwo przejęły bezpłciowe androidy pracujące na dalekich planetach Układu Słonecznego.

Zatryumfowali ci, co żyli ongiś na marginesie cywilizacji. Mieszkali na wyspach, pustkowiach, szczytach gór, brzegach nieokiełznanymi rzek, w dżunglach i na bagnach. Byli niegdyś ubodzy. Teraz posiadli Ziemię.

Kochali życie. Przez kilka pierwszych pokoleń, gdy lody powoli się cofały, nie mieli powodów do waśni. Świat przebudził się z letargu. Gaja przebaczyła swoim synom. Nauczyli się oni na nowo współżyć z naturą, której stanowili częścią. Odkryli na nowo Helikonię.

W ciągu sześciu wieków po roku sześciotysięcznym Gaja przechodziła okres rekonwalescencji. Lodowce cofały się szybko w stronę biegunów.

Niektóre pozostałości dawnej kultury przetrwały. Kiedy topniały śniegi, odkrywano starożytne bastiony technokracji — labirynty bunkrów wojskowych ukryte głęboko pod ziemią. W najgłębszych schronach żyli nadal potomkowie technokratycznej elity, która przetrwała śmierć wszystkich swoich poddanych. Jednakże wyszedłszy na słońce, umierali oni po paru godzinach niczym ryby wydobyte z głębin, gdzie panuje straszliwe ciśnienie.

W plugawych podziemnych norach zaświtał promyk nadziei: ich mieszkańcy posiadali kontakt z inną żywą planetą. Z Charona wezwano drogą radiową grupę androidów, które z właściwą sobie nieznużoną zręcznością jęły wznosić amfiteatry, gdzie nowi dziedzice Ziemi mogli śledzić to, co działo się na Helikonii.

Mentalność ludzi, którzy przeżyli wojnę, ukształtowała się w dużej mierze pod wpływem tego, co oglądali. Osadnicy żyjący na innych planetach, odcięci od Ziemi, także mieli kontakt z Helikonią.

W świeżych zielonych lasach wyrosły amfiteatry podobne do odwróconych muszli stojących na piasku. W każdym z nich mieściło się dziesięć tysięcy widzów. Przychodzili w sandałach, w strojach z nie garbowanej skóry, a później płótna.

Patrzyli i podziwiali. Widzieli planetę nie różniącą się zbyt od własnej, uwalniająca się powoli z mroźnego uścisku zimy. Była to ich własna historia.

Niekiedy amfiteatr pozostawał długie lata pusty. Nowi ludzie także przeżywali kryzysy i katastrofy towarzyszące rekonwalescencji Gai. Posiedli nie tylko Ziemię, lecz także jej problemy.

W miarę możliwości wracali jednak, by oglądać dzieje ludzi, którzy żyli równolegle z nimi. Nie wierzyli w bogów, lecz postacie na gigantycznych ekranach wydawały się istotami nadnaturalnymi. Brały one udział w tajemniczych dramatach związanych z władzą i religią, które trzymały w napięciu zdumionych widzów.

Około roku sześć tysięcy trzysta czterdziestego czwartego życie znów bujnie się rozwinęło. Ludzie poprzysięgli sobie solennie, że zrezygnują z własności prywatnej, że czić będą nie tylko życie, lecz także wolność. Wielki wpływ wywarły na nich losy przywódcy helikońskiego imieniem Aoz Roon żyjącego w zapadłej wiosce na kontynencie równikowym. Przekonali się na własne oczy, jak zniszczyło go pragnienie postawienia na swoim. Nowi dziedzice Ziemi nie uznawali „stawiania na swoim”: istniała dla nich tylko wspólna droga przez życie, idea jedności.

Kiedy patrzyli na potężną postać Aoza Roona pijącego ze złożonych dłoni, gdy obserwowali wodę kapiącą z jego ust i brody, widzieli krople, które spadły tysiąc lat wcześniej. Lepsze pojmowanie przeszłości doprowadziło do tego, że przeszłość i teraźniejszość zlały się w jedno. Obraz Aoza Roona pijącego wodę z własnych rąk stał się na wiele lat popularnym symbolem.

Nowi dziedzice Ziemi, miłujący wszelkie przejawy życia, zastanawiali się oczywiście, czy mogą pomóc Aozowi Roonowi lub jego przyjaciółom. Nie zamierzali wyruszać w podróże międzygwiazdne, jak mogliby to uczynić ich przodkowie sprzed ery lodowcowej. Zamiast tego postanowili skupić swoje siły telepatyczne i porozumieć się z mieszkańcami Helikonii za pomocą muszlowatych amfiteatrów.

W ten sposób udzielono po raz pierwszy odpowiedzi na sygnały, które płynęły od dawna z Helikonii na Ziemię.

Ludzie, którzy przeżyli wojnę jądrową, charakteryzowali się nieco inną strukturą genetyczną niż ich przodkowie. Cechowały ich rozwinięte zdolności telepatyczne. Przed epoką lodowcową telepatia nie odgrywała większej roli. Dar wnikania w osobowość drugiego człowieka i przeżywania jego stanów psychicznych nie należał nigdy do rzadkości, jednakże elity gardziły nim lub bezlitośnie go wykorzystywały. Telepatia klóciła się z ich interesami. Władza i telepatia nie tworzyły dobranej pary.

Mieszkańcy Helikonii posiadali umiejętność nie znaną na Ziemi, która wywoływała wielkie zdziwienie ludzi. Potrafili porozumiewać się z duchami swych przodków.

Mieszkańcy Ziemi nie lękali się śmierci. Uważali, iż wracają wówczas na łono

Gai, która przetworzy atomy ich dal na inne istoty żywe. Zmarłych grzebano płytko z kwiatami w ustach, co miało symbolizować siłę, jaka powstanie z ich rozpadu. Na Helikonii było inaczej. Ziemię fascynowała tamtejsza praktyka paku, polegająca na jednoczeniu się z mamikami, iskierkami energii życiowej.

Spostrzeżono, że podobny kontakt ze zmarłymi utrzymują dwurożce. Martwe fagory znajdowały się w tak zwanym stanie uwięzi między życiem a śmiercią i pozostawały w nim przez kilka pokoleń, znikając powoli. Ancipici nie grzebali swoich zmarłych.

Makabryczne zaświaty helikońskie interpretowano na Ziemi jako rekompensatę za gwałtowne wahania klimatyczne, na jakie narażone są żywe istoty w trakcie Wielkiego Roku. Jednakże istniała poważna różnica między fagorami a ludźmi.

Dwurożce w stanie uwięzi wspierały swoich potomków, udzielały im mądrych rad, dodawały otuchy i pocieszały w nieszczęściu. Natomiast duchy ludzi, z którymi nawiązywano kontakt podczas paku, były bez wyjątku złośliwe. Robiły potomkom wymówki i skarżyły się na zmarnowane życie. Skąd ta różnica? — pytali ludzie.

Odpowiedź podsunęło im własne doświadczenie. Brzmiała ona następująco: Chociaż fagory są okrutnymi bestiami, nie straciły one kontaktu z Pramacierzą, helikońskim odpowiednikiem Gai. Toteż duchy ich nie dręczą. W przeciwieństwie do ancipitów ludzie oderwali się od natury: czczą wielu bezużytecznych bożków, którzy przysparzają im cierpień. Dlatego ich zmarli nie mogą znaleźć spokoju.

Jakże szczęśliwi byliby mieszkańcy Helikonii — stwierdzili Ziemianie obdarzeni zdolnościami telepatycznymi — gdyby duchy wspomagały ich w nieszczęściu.

Narodził się wówczas pewien pomysł. Szczęśliwcy, którym dane jest cudowne poczucie życia, którzy wzniesli się ponad poziom cząsteczek i doświadczyli światła świadomości, ci, których można porównać do skaczących łososi żyjących przez chwilę życiem ptaka, powinni przekazać swoją radość mieszkańcom Helikonii.

Innymi słowy, Ziemianie powinni porozumieć się telepatycznie z Helikonią. Nie z jej żywymi mieszkańcami. Żywi, zajęci codziennymi żądzami i nienawiściami, zapomnieli o naturze i nie są w stanie odebrać sygnału. Odpowiedzą na niego duchy, zawsze złąknione kontaktu z innymi. Istnieją one w świecie pozbawionym zdarzeń, trwają w obsydianie, podążają ku Pramacierzy, toteż mogą odbierać sygnały telepatyczne.

Ów wizjonerski projekt dyskutowano przez całe pokolenie.

Czy warto próbować? — pytano.

Nawet w przypadku klęski będzie to wielkie jednoczące przeżycie — padała odpowiedź.

Czyż jest nadzieja na nawiązanie kontaktu z martwymi mieszkańcami niezmiernie odległej planety?

To Gaja pragnie się porozumieć z Pramacierzą. Są spokrewnione, a nie obce.

Może ów zdumiewający pomysł nie pochodzi od ludzi, tylko od Gai? Trzeba spróbować.

Ale przy takiej odległości w czasie i przestrzeni?...

Telepatia odznacza się wielką intensywnością. Rzuca wyzwanie czasoprzestrzeni. Czyż ludzkość nadal nie współczuje Ifigenii ze starożytnej legendy? Trzeba spróbować.

Czy rzeczywiście?

Tak czy inaczej, warto. Tak brzmi rozkaz Gai.

I ludzkość postanowiła spróbować.

Próba trwała długo. Mieszkańcy Ziemi, siedząc, patrząc i wchodząc do amfiteatrów w swoich prymitywnych sandałach, zapominali o sprawach doczesnych: wysyłali sygnał telepatyczny w stronę umarłych Helikonii. Nawet gdy nie mogli się oprzeć przed komunikowaniem się z żywymi, jak na przykład Shay Tal, Laintalem Ayem czy kimkolwiek innym, kogo darzyli osobistą sympatią, porozumiewali się ze światem zmarłych.

Po wielu latach sygnał telepatyczny zaczął działać. Mamiki przestały być smutne i zgryźliwe. Kiedy mieszkańcy Helikonii zapadali w paukę, nie robiono im już wymówek, lecz dodawano otuchy. Zatrzymowała bezinteresowna miłość bliźniego.

IX. SPOKOJNY DZIEŃ NA LĄDZIE

Na kominku płonął ogień metanowy. Siedzieli przy nim dwaj bracia pogrążeni w rozmowie. Chudy pochylał się od czasu do czasu i klepał po plecach tęgiego, który opowiadał swoje przygody. Odirin Nań Odim, zwany przez krewnych Odonem, był rok i sześć kwadr starszy od Eedapa Muna Odima. Bardzo przypominał brata, choć różnił się odeń tuszą, ponieważ w Rivenjk nie pojawiła się jeszcze tłusta śmierć.

Bracia mieli sobie wiele do powiedzenia. Należało uzgodnić plany na przyszłość. Do portu wpłynął niedawno statek z żołdakami Oligarchy, a edykty, których ofiarą padł Odim, zaczęły także niepokoić Odirina. Jednakże mieszkańcy Shivenink byli mniej potulni niż Uskutyjczycy. W Rivenjk można było jeszcze wygodnie żyć.

Odirin ucieszył się z cennej porcelany przywiezionej przez brata.

— Takie serwisy staną się wnet rarytasem — powiedział. — Może nikomu nie uda się już stworzyć czegoś równie pięknego...

— Klimat się pogarsza. Idzie zima.

— Wynika z tego, bracie, że zaczniesz brakować opału i wzrośnie cena drewna. Kiedy warunki staną się surowsze, ludziom wystarczą cynowe misy.

— Co zamierzasz wówczas robić, bracie? — spytał Odim.

— Mam znakomite kontakty w Bribahrze, kraju ościennym. Wysyłam towary nawet do Kharnabharu daleko na północy. Tymi drogami wozi się nie tylko porcelanę. Musimy się przystosować, zaczął handlować czymś innym. Mam pewien pomysł...

Jednakże u Odirina również nie było spokoju. W jego domu, podobnie jak u brata, mieszkała zgraja próżniaków, grubych i gadatliwych krewnych. Część z nich przybiegła teraz do kominka, gdyż doszło do kłótni, którą mógł rozstrzygnąć jedynie Odon. Rodzina Eedapa Muna, przeżywszy zarazę i podróż morską, zamieszkała wraz z kuzynami z Rivenjk i znów powstał problem nadmiernego ścisku.

— Czy nie masz nic przeciwko temu, by pójść ze mną i zobaczyć, co się dzieje? — spytał Odirin.

— Z przyjemnością. Odtąd stanę się twoim cieniem, bracie.

Domy w Rivenjk posiadały wewnętrzny dziedziniec i zabezpieczone były przed żywiołami wysokim murem. Im bogatszy ród, tym wyższy mur. W oficynach wokół dziedzińca mieszkali liczni krewni Odirina, równie mało przedsiębiorczy jak ci z Koriantury.

W stajniach przyległych do kwater ludzi trzymano zwierzęta domowe. Niektóre z nich umieszczono razem, by zwolnić miejsce dla przybyłych gości. Doprowadziło to do kłótni, gdyż mieszkańcy Rivenjk cenili zwierzęta bardziej niż uskutyjską gałąź rodziny. Nie bez powodu.

W większości domów w Shivenink stosowano specyficzną metodę uzyskiwania światła i ciepła. Wydaliny pochodzące zarówno z kwater ludzi, jak i ze stajni spływały do butelkowatej kloaki w skale pod dziedzińcem. Do kloaki można było zajrzeć przez klapę inspekcyjną na podwórzu, którą wyrzucano także odpadki roślinne. Gnijące resztki wydzielają biogaz złożony głównie z metanu.

Gaz powstający w zbiorniku pompowano do domu, gdzie wykorzystywany był do oświetlenia i ogrzewania.

Ów system, zabezpieczający do pewnego stopnia przed straszliwymi mrozami zimy Weyra, stosowano w całym Shivenink.

Sluchajac skarg krewnych, bracia Odimowie dowiedzieli sie, ze dwu nowo przybylych zakwaterowano w stajni, w ktorej powstal niewielki przeciek gazu. Zapach przeszkadzal im i nalegali na przeprowadzke do sasiedniego budynku, gdzie mieszkalo juz wielu ludzi.

Zatkano dziure, ktora ulatnial sie gaz. Kuzyni, protestujacy dla zachowania pozorow, wrócili do przydzielonego pomieszczenia. Wyslano niewolnikow, by sprawdzili, czy zbiornik dziala prawidlowo. Odon ujal brata za ramie.

— Nie opodal, jak sie o tym przekonasz, gdy zabierzemy cie na spacer po mieście, znajduje sie swiatynia. Zamowilem na dzis wieczor skromne nabozenstwo dziękczynne. Zlozimy hold Bogu Azoiaxicowi, ktory ocalil wam zycie.

— To nadzwyczaj miło z twojej strony, bracie, ale uprzedzam cie, ze nie wierze w bogow.

— Nabozenstwo to rzecz konieczna — powiedzial Odon, unoszac upominajaca palec. — Poznasz tam oficjalnie wszystkich swoich krewnych. Poniosles wiele strat i wygladasz na przygnębionego, bracie. Musisz wziac sobie dobra kobieta, a przynajmniej niewolnice, by cie pocieszyla. Kim jest cudzoziemka, ktora z toba przyplynela, Toress Lahl?

— To lekarka o wielkim sercu, niewolnica Luterina Shokerandita, szlachetnego mlodego czlowieka z Kharnabharu. Kapitana Fashnalgida jestem mniej pewien. Jest deztererem, choc oczywiscie go za to nie winie. Nim zaatakowala nas tlusta smierc, podrozowalem z kobieta, ktora znaczyła dla mnie bardzo wiele. Niestety umarla na zaraze.

— Czy pochodziła z Kuj-Juvecu, bracie?

— Nie, ale stala sie golebica na drzewie mojej duszy. Byla wierna i dobra. Nazywala sie Besi Besamitikahl, skoro musze wspomniec jej imie. Kochalem ja bardziej niz...

Urwal nagle, bo podbiegl doń Kenigg z nowym przyjacielem. Odim usmiechnal sie i ujal syna za reke, a brat powiedzial:

— Znajde inną golebice dla dobrego drzewa twojej duszy. Masz tylko jednego brata, lecz wszedzie roi sie od golebic, ktore szukaja tylko galazi, na ktorej moglyby przysiac.

Szczodroblivy Odon przydzielil Luterinowi i Fashnalgidowi niewielki pokoi na poddaszu. Oswietlalo go okno mansardowe wychodzace na dziedziniec, gdzie widać bylo krzatajacych sie czlonkow rodziny i niewolnikow. W alkwie stal piecyk, na ktorym gotowala posilki sluzaca.

Obaj mezczyzni spali na drewnianych pryczach przykrytych dywanami. Toress ulokowano na podlodze koło poslania Shokerandita.

Kiedy Fashnalgid usnal, Luterin wziął ja do siebie. Przez cala noc obejmowal dziewczynę ramieniem. Kapitán zbudzil sie dopiero, gdy Shokerandit wstal.

— Alez z ciebie ranny ptaszek, Luterinie! — powiedzial, ziewajac przeraźliwie. — Czyzbyś wylewal wczoraj za kołnierz? Odpoczywaj, czlowieku, na miłosc boska! Trzeba nabrac sil po straszliwych przygodach!

Luterin podszedl i spojrzal nań z usmiechem.

— Nie wylewalem za kołnierz. Chce jak najszybciej wyjechać do Kharnabharu. Nie czuje sie tu pewnie. Musze sie dowiedziec, co sie dzieje z ojcem.

— Przekleci ojcowie! Bodaj zywili sie po smierci podeszwami od butow!

— Niepokoi mnie jeszcze jedno. Ty tez powinienes sie nad tym zastanowic. Chociaz Oligarcha jest zajety wojna z Bribahrem, do portu zawinal jego okręt. Moga przyplynac nastepne. Moze jesteśmy poszukiwani? Im szybciej wyrusze do Kharnabharu, tym lepiej. Czemu nie mialbys pojechać ze mna? U ojca znajdziesz prace i dach nad glowa.

— W Kharnabharze panuje wieczny mróz. Wszyscy to mowia. Jak daleko na polnoc lezy twoja ojczyzna?

— Aby dotrzeć do Kharnabharu, trzeba przebyc przeszło dwadzieścia dwa stopnie szerokosci geograficznej. Fashnalgid rozezmial sie.

— Jedz sam. Ja zostane. Znajde statek zeglujacy do Kampanlatu lub Hespagoratu. Wszystko, byle nie twoja lodownia!

— Jak uwazasz. Chyba nie przepadamy za soba, co? Mezczyzni musza sie lubic, jezeli chca przezyc wspolną podróz do Kharnabharu.

Fashnalgid wyjął ramię spod futer i wyciągnął dłoń w stronę Shokerandita.

— Cóż, ty popierasz ustrój, ja z nim walczę, lecz nie zważajmy na to.

— Myślisz, że popieram ustrój? To się zmieniło, odkąd przeszedłem metamorfozę.

— Tak? A mimo to tęsknisz za ojcem w Kharnabharze? — roześmiał się Fashnalgid. —

Prawdziwi konformiści nie wiedzą, że są konformistami. Lubię cię, Luterinie, choć wiem, że myślisz, że zabierając cię ze sobą zrujnowałem ci życie. Wręcz przeciwnie: ocaliłem cię przed szponami Oligarchy i winienesz mi wdzięczność. Okaż ją więc i poproś Toress, by przeszła dziś rano do mojego łóżka, co?

Luterin oblał się rumieńcem.

— Przyniesie ci wodę lub jedzenie pod moją nieobecność. Ale należy do mnie. Poproś brata Odima: ma mnóstwo niewolnic, które go nie interesują.

Popatrzyli sobie w oczy. Później Shokerandit odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

— Czy mogę iść z tobą? — zawołała Toress.

— Zostań. Będę zajęty.

Kiedy Luterin wyszedł, Fashnalgid usiadł na łóżku. Dziewczyna ubierała się pośpiesznie. Rzuciła dziwne spojrzenie w stronę kapitana, który podkręcił wąsa i uśmiechnął się.

— Nie śpiesz się tak, kobieto. Chodź do mnie. Słodka Besi nie żyje, a ja potrzebuję pociechy.

Kiedy nie odpowiedziała, wyszedł nagi z łóżka. Pobiegła ku drzwiom, ale chwycił ją za nadgarstek i pociągnął ku sobie.

— Nie śpiesz się tak, słyszysz? — Pociągnął ją łagodnie za długie kasztanowate włosy. — Większość kobiet lubi, jak się nimi zajmuje kapitan Fashnalgid.

— Należę do Luterina. Słyszałaś, co powiedział. Wykręcił jej ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jesteś niewolnicą, więc należysz do każdego. Ponadto nienawidzisz go: widziałem, jak na niego patrzyłaś. Doprawdy, Toress, nigdy nie zgwałciłem kobiety i przekonasz się, że jestem o wiele zręczniejszy od Luterina, sądząc po tym, co słyszałem.

— Puść mnie, proszę. Albo powiem Luterinowi, a on cię zabije.

— O, jesteś za ładna, żeby mi grozić. Daj spokój. Ocaliłem cię przed śmiercią, prawda? Wpadlibyście razem w pułapkę. Twój Luterin jest piekielnie naiwny.

Wsunął jej dłoń między nogi. Wyswobodziła prawą rękę i wymierzyła mu policzek.

Rozwścieczony Fashnalgid poderwał ją, rzucił na łóżko i przygniótł własnym ciałem.

— Nie igraj z ogniem, Toress! Posłuchaj mnie. Jedziemy na tym samym wózku. Shokerandit jest bardzo miły, ale wraca do własnego majątku, gdzie będzie panem. Tymczasem my jesteśmy wyrzutkami. Co więcej, powiezie cię setki mil na północ. Czy w Kharnabharze jest coś oprócz lodu, świętych i Wielkiego Koła?

— To jego ojczyzna.

— Kharnabhar nadaje się tylko dla panów. Reszta zdycha z zimna. Czy nie słyszałaś opowieści o Kole? Było kiedyś najgorszym więzieniem na Helikonii. Chcesz w nim skończyć?

Połącz swoje losy z moimi. Widziałem kobiety takie jak ty. Ty widziałaś mężczyzn takich jak ja. Jestem wyrzutkiem, ale potrafię dać sobie radę. Nim Luterin powiezie cię setki mil na północ do swojej lodowej fortecy, z której się nigdy nie wydostaniesz, zastanów się, zastanów się, kobieto, i połącz swoje losy z moimi. Odpłyniemy stąd do Kampanlatu, gdzie panuje łagodniejszy klimat. Kto wie, może dotrzemy nawet do twojego ukochanego Borldoranu?

Toress zbłądła jak chusta. Twarz Fashnalgida, wisząca tuż nad nią, wydawała się rozmazaną plamą. Widać było tylko brwi, przenikliwe oczy i sumiaste wąsy. Dziewczyna bała się, że kapitan ją uderzy, a nawet zabije, Shokerandit zaś się tym nie przejmie. Odkąd została niewolnicą, jej wola zaczęła słabnąć.

— Należę do Luterina, kapitanie. Po co o tym mówić? Ale możesz mnie posiąść, skoro musisz. Czemu nie? On też to zrobił.

— To już lepiej — odparł Fashnalgid. — Nie sprawię ci bólu. Zrzuć ubranie.

Luterin znał dobrze port Rivenjk. Kharnabharczycy uważali Rivenjk za wielkie miasto. Odwiedzali je rzadko, a wizyty te były dla nich niezmiernie podniecające. Teraz, gdy Luterin zobaczył kawałek świata, zorientował się, że port jest raczej niewielki.

Mimo to przyjemnie było znów stąpać po stałym lądzie. Przysiągłby, że nadal czuje falowanie morza pod stopami. Idąc do portu, wstąpił do tawerny, by wypić miarkę betelu i posłuchać opowieści żeglarzy.

— Zakały z tych żołnierzy — rzekł do swojego towarzysza mężczyzna siedzący naprzeciwko. — Pewnie słyszałeś, że jednego zakłuto nożem w Alei Mądrości. Wcale się nie dziwię.

— Nazajutrz odpływają — oznajmił jego przyjaciel. — Dziś wieczorem muszą siedzieć na statku, śmierdzieć. Dobrze im tak. — Zniżył głos. — Z rozkazu Oligarchy wyruszają walczyć z dobrym ludem Bribahru. Nie mam pojęcia, co nam zawinił Bribahr.

— Mogli opanować Braijth, ale Rattagon jest nie do zdobycia. Oligarcha marnuje czas.

— Podobno Rattagon stoi na środku jeziora?

— Tak, to prawda.

— Cóż, szczęście, że nie jestem żołnierzem.

— Jesteś na to za głupi. Nadajesz się tylko na marynarza.

Mężczyźni roześmieli się, a Luterin wbił spojrzenie w plakat koło drzwi. Obwieszczał on, że ludzie praktykujący pauk — czy robią to samotnie, czy w towarzystwie innych — popełniają przestępstwo. Porozumiewanie się z duchami sprzyja szerzeniu się zarazy zwanej tłustą śmiercią. Pierwsze złamanie zakazu grozi grzywną w wysokości stu sibów, drugie zaś dożywotnim więzieniem. Z rozkazu Oligarchy.

Chociaż Shokerandit nie uprawiał nigdy paku, nie podobały mu się nowe edykty wydawane przez państwo.

Opróżniając szklanice, pomyślał w duchu, że zapewne nienawidzi Oligarchy. Kiedy arcykapłan wojny Asperamanka wysłał go z meldunkiem dla władcy, czuł się zaszczycony. Później na granicy Sibornalu zatrzymał go Fashnalgid, a Luterin uwierzył w końcu jego zapewnieniom, że zostanie z zimną krwią zamordowany wraz z resztą powracającej armii. Jeszcze trudniej było uwierzyć, że z rozkazu Oligarchy zabito wszystkich towarzyszy broni.

Racjonalne działania powstrzymujące szerzenie się moru miały sens, jednakże zakaz paku wskazywał, że zaczyna się totalitaryzm. Luterin otarł usta wierzchem dłoni.

Wypadki doprowadziły do tego, że przestał być bohaterem i stał się uciekinierem. Nie wyobrażał sobie, jaki los go czeka, jeśli zostanie aresztowany jako dezertor.

— Co miał na myśli Harbin mówiąc, że popieram ustrój? — mruknął pod nosem. — Jestem buntownikiem, wygnańcem tak samo jak on.

Zaprzagnął wrócić do Kharnabharu i znaleźć się pod opieką potężnego rodzica. W niedostępnej ojczyźnie nie dosięgną go długie ręce Oligarchy. Myśl o Insil może poczekać.

Po owej refleksji przyszła inna. Był coś winien Fashnalgidowi. Jeśli kapitan się zgodzi, musi go zabrać w uciążliwą podróż na północ. Fashnalgid będzie w Kharnabharze użyteczny: da świadectwo śmierci tysięcy młodych ludzi z Shivenink wymordowanych przez własnych sprzymierzeńców.

Okazałem odwagę w bitwie, rzekł w duchu Luterin. Teraz potrzebuję odwagi, by walczyć przeciwko Oligarsze, jeśli okaże się to konieczne. W kraju znajdzie się wielu ludzi, którzy będą myśleć podobnie, gdy poznają prawdę.

Zapłacił i wyszedł z tawerny.

Wzdłuż nabrzeża rozciągał się wspaniały szpaler radżabab. Temperatura zaczęła spadać i drzewa przygotowywały się do długiej zimy. Nie zrzucały liści, lecz wciągały konary do wnętrza ogromnych pni. Luterin widział w podręczniku botaniki obrazki radżabab, których gałęzie i liście rozpuściły się, tworząc ochronną warstwę żywicy zabezpieczającą pnie przed mrozem aż do chwili, gdy wiosną drzewa wydadzą nasiona.

Pod radżababami odbywała się musztra żołnierzy ze statku, na którym powiewały flagi Sibornalu i Oligarchy. Luterin zląkł się, że ktoś go rozpozna, lecz maskowała go metamorfoza fizyczna, jaką

przeszedł. Ruszył w głąb lądu, ku rynkowi, gdzie znajdowały się biura agentów zajmujących się organizowaniem podróży do Kharnabharu.

Zimny wicher z gór zmusił go do podniesienia kołnierza i opuszczenia głowy. Przed drzwiami pośrednika zebrali się pielgrzymi pragnący odwiedzić Wielkie Koło, często biedni i nędznie odziani.

Po pewnym czasie załatwił wszystko ku swojemu zadowoleniu. Mógł wyruszyć do Kharnabharu razem z pielgrzymami. Mógł też pojechać samodzielnie, wynajawszy sanie, zaprzęg, woźnicę i pomocnika. Pierwszy sposób był bezpieczniejszy, powolniejszy i tańszy. Shokerandit zdecydował się na drugi, gdyż uważał, że ślamazarna podróż z hałastrą pielgrzymów nie przystoi synowi Dzierży cielą Koła.

Potrzebował jedynie gotówki lub listu kredytowego.

W Rivenjk mieszkali liczni przyjaciele ojca. Wielu z nich było miejskimi notablami. Luterin zawahał się i wybrał w końcu prostego człowieka imieniem Hernisarath, który prowadził farmę i dom noclegowy dla pielgrzymów na skraju miasta. Hernisarath przyjął go życzliwie, natychmiast otworzył list kredytowy na agenta i nalegał, by Luterin towarzyszył mu i jego małżonce w obiedzie.

Kiedy nadszedł czas rozstania, farmer uściskał Shokerandita na progu swojego domu.

— Jesteś niewinnym młodym człowiekiem, Luterinie, i cieszę się, że mogłem ci pomóc. Wraz ze zbliżaniem się zimy Weyra uprawa roli staje się coraz trudniejsza. Ale ufajmy, że się jeszcze zobaczymy.

— Miło jest spotkać dobrze wychowanego młodzieńca — powiedziała żona Hernisaratha. — Niech panicz przekaże ojcu wyrazy naszego szacunku.

Shokerandit wyszedł rozpromieniony. Cieszył się, że zrobił dobre wrażenie, gdy tymczasem Harbin był już prawdopodobnie pijany. Tylko dlatego farmer nazwał go niewinnym młodzieńcem?

Zaczął padać śnieg. Jego płatki wirowały niczym ziarnka cukru w zamieszanej szklance wody. Biały tuman zgęstniał, tłumiąc odgłosy kroków. Ulica opustoszała. Na brzegu morza kładły się długie szare cienie i półcienie: ciemniejsze rzucane przez Freyra, jaśniejsze przez Batalikę. W końcu chmury dotarły aż nad zatokę i pograżyły Rivenjk w półmroku.

Shokerandit skrył się nagle za pniem radżababy.

Z mroku za jego plecami wynurzyła się postać mężczyzny, który przyciskał kołnierz do szyi. Mężczyzna minął drzewo, obejrzał się za siebie i skreślił pośpiesznie w boczny zaułek, szurając nogami. Luterin spostrzegł z rozbawieniem, że ulica nosi nazwę Alei Mądrości.

Nie było to podobne do Luterina, lecz przewidując nie zdradził on współpasażerom statku, że na głowie Herosa strzegącego wejścia do zatoki Rivenjk mieści się stacja telegrafu słonecznego. Wiadomość, że na pokładzie "Wiosny" płyną dezertery, mogła dotrzeć do Rivenjk na długo przed zawinięciem statku do portu...

Podążył do domu Odirina najkrętszą drogą, jaka przyszła mu do głowy. Burza śnieżna tymczasem przycichła.

— Wracasz w samą porę — powiedział Odon, gdy Shokerandit przestąpił próg. — Mój brat, ja oraz reszta rodziny wybieramy się właśnie do świątyni, by odmówić modlitwę dziękczynną za cudowne ocalenie "Wiosny". Czy zechcesz nam towarzyszyć?

Shokerandit spojrział na Odima, który kiwnął zachęcająco głową.

— Niebawem czeka cię kolejna podróż, Luterinie. Znamy się tak krótko, a musimy się rozstać. Nawet jeśli nie wierzysz w bogów, nabożeństwo wydaje się rzeczą stosowną.

— Zapytam Fashnalgida, czy z nami pójdzie.

Shokerandit pośpieszył kręconymi drewnianymi schodkami do pokoju, który przydzielił im Odon. Na łóżku leżała pod skórą Toress.

— Powinnaś pracować, a nie wylegiwać się — rzucił. — Ciągłe oplakujesz męża? Gdzie kapitan?

— Nie wiem.

— Znajdź go, dobrze? Pewnie zaszył się gdzieś i pije. Zbiegł schodami na dół. Kiedy tylko opuścił pokój, spod łóżka wypełził Fashnalgid i roześmiał się. Toress zachowała kamienny wyraz twarzy.

— Potrzebuję żarcia, a nie modłów — rzekł, wyglądając ostrożnie przez okno. — Chętnie też skosztowałbym trunku, o którym wspomniał twój przyjaciel.

Na dziedzińcu zaczął się gromadzić klan Odimów. Pomimo padającego śniegu, koło zbiornika biogazu nadal kręcili się niewolnicy z długimi tyczkami, wchodząc i wychodząc przez klapę inspekcyjną. Zewsząd dobiegały podekscytowane głosy.

Pojawił się Luterin. Podbiegło doń kilka dam, które przypląnęły na pokładzie "Wiosny". Uściskały go w sposób kojarzący się raczej z Kuj-Juvecem niż z Sibornalem. Surowe wychowanie Shokerandita nie przeszkadzało mu już w kontaktach z bezceremonialnymi krewnymi Odima.

— Ach, Rivenjk to bardzo ładne miasto — rzekła jedna z ciotek, okutana w futra. — Widziałam wiele pięknych budowli i posągów. Będę tu szczęśliwa i zamierzam założyć drukarnię wydającą tomiki wierszy. Czy twoi rodacy lubią poezję?

Nim Luterin zdążył odpowiedzieć, dama odwróciła się w drugą stronę i chwyciła Eedapa Muna Odima za rękaw.

— Jesteś naszym bohaterem, kuzynie, bo wybawiłeś nas z opresji. Pozwól mi stanąć w świątyni koło siebie. Będę dumna idąc u twego boku.

— To ja będę dumny idąc u twojego boku, cioteczko — odparł Odim z łagodnym uśmiechem. Tłum krewnych zaczął wylewać się bezładnie przez bramę, po czym podążył ulicą do świątyni.

— Jesteśmy dumni, że znalazłeś się w naszym gronie, Luterinie — rzekł Odim, któremu zależało, by Shokerandit nie czuł się osamotniony. Spojrzał z zadowoleniem na tyłu Odimów zebranych razem. Chociaż rodzinę przetrzebiła nieco tłusta śmierć, pewną pociechę stanowiła tusza ocalałych.

Weszli gęsiego do świątyni o wysokim sklepieniu, a Odim stanął koło brata, muskając go łokciem. Zastanawiał się, czy Odon, podobnie jak on sam, nie wierzy w Boga Azoiaxica. Był zbyt dobrze wychowany, by zadawać takie osobiste pytania: przysłowie głosiło, że mężczyźni mają prawo do tajemnic. Inna sprawa, gdyby któregoś wieczoru brat postanowił się zwierzyć przy lampce wina. Na razie wystarczał wspólny udział w nabożeństwie, by opłakiwać zmarłych, między innymi żonę, dzieci oraz ukochaną Besi Besamitikahl, i cieszyć się z ocalenia.

Uświęconą modlitwę pokutną śpiewano na trzy głosy. Tony hymnu, bezcielesne, bezpliciowe i wolne od żądy, wznosiły się do łukowatego sklepienia w nawie świątyni.

Odim intonował hymn z uśmiechem na ustach, czując, że jego dusza wzbija się aż do belek pułapu. Wiara byłaby dobrą rzeczą, lecz pociechę dawało nawet jej pragnienie.

Kiedy w świątyni rozlegały się śpiewy wiernych, ulicą przemaszerowało dziesięciu barczystych żołnierzy pod komendą oficera, którzy zatrzymali się przed bramą domu Odirina Nana Odima. Otworzył im kłaniający się dozorca. Odepchnęli go na bok i weszli na środek podwórza, kalając już podeptany dywan śniegu.

Dowódca wyszczał rozkazy chrapliwym głosem. Czterej żołnierze rozbiegli się w różne strony, by przeszukać dom, reszta zaś pozostała na miejscu, by dawać baczenie, czy ktoś nie próbuje uciec.

— Abro Hakmo Astab! — zawołał Fashnalgid, wyskakując z łóżka. Siedział na poły ubrany, to wyglądając przez okno, to zerkając na Toress i czytając jej od czasu do czasu kilka strof z cienkiego tomiku poezji. Zgodnie z poleceniem kapitana dziewczyna przygotowywała posiłek. Zeszła na dół, gdzie otrzymała od niewolnicy płonącą żagiew, i przyniosła ją właśnie do pokoju, by rozpalić w piecu. Toress, choć przyzwyczajona do niewyparzonego języka żołnierzy, skrzywiła się, słysząc wulgarne przekleństwo.

— Jak ja kocham te marsowe głosy! "Pod niebem wiosennym nasz śpiew..." — rzucił Fashnalgid. — Ten tupot wojskowych buciorów... Tak, tacy właśnie są. Popatrz na tego głupawego młodego porucznika w wymuskany mundurku. Byłem dokładnie taki sam...

Spojrzał z wściekłością na dziedziniec. Koło żołnierzy nadal krzątali się niewolnicy, którzy sondowali zbiornik długimi tyczkami i zerkali nieufnie na intruzów.

Na schodach prowadzących na poddasze rozległ się tupot wojskowych buciorów.

Fashnalgid zaklął, błyskając białymi zębami pod sumiastym wąsem. Chwycił rapier i rozejrzał się po pokoju niczym osaczone zwierzę. Toress stała jak skamieniała z ręką przy ustach. W drugiej trzymała płonącą żagiew.

— Haaal.

Kapitan rzucił się do przodu i wyrwał jej pochodnię. Pokój napełnił się dymem. Fashnalgid podbiegł do okna, otworzył je na oścież, wystawił na zewnątrz ramiona i głowę, po czym cisnął z rozmachem żagiew.

Nie stracił wojskowych umiejętności. Żaden granat nie trafiłby celniej. Pochodnia zakreśliła w powietrzu parabolę i zniknęła w otwartym luku zbiornika biogazu. Przez chwilę panowała cisza. Później nastąpiła eksplozja. W powietrze wzbily się kamienne płyty dziedzińca. W górę trysnął olbrzymi błękitny płomień.

Rycząc z zadowoleniem, Fashnalgid rzucił się do drzwi i otworzył je na oścież. Na progu stał młody rekrut, oglądając się niepewnie na schody, którymi się wdrapał. Kapitan przeszył go bez namysłu rapierem, a kiedy żołnierz zgiął się wpół, kopnął go tak, że runął on schodami głową w dół.

— A teraz biegiem, jeśli ci życie miłe, kobieto! — wykrzyknął, chwytając Toress za rękę.

— Ale Luterin... — wyjąkała dziewczyna, lecz była zbyt przestraszona, by się sprzeciwić. Popędzili na dół. Na podwórzu zapanowało piekło. Nadal płonął gaz. Między żołnierzami biegały tam i sam zwierzęta oraz członkowie rodziny Odima, którzy byli zbyt młodzi, zbyt starzy lub zbyt grubi, by wziąć udział w nabożeństwie. Elegancki porucznik strzelał w powietrze. Niewolnicy wrzeszczeli. Jeden z budynków zapalił się.

Nietrudno było wyminąć rozszalały tłum i wymknąć się przez bramę.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Fashnalgid zwolnił kroku i schował rapier do pochwy, by mniej rzucać się w oczy.

Pospieszili do świątyni. Zdyszany kapitan przycisnął dziewczynę do kolumny. W środku wznoszono modły do Boga Azoiaxica. Podniecony Fashnalgid chwycił Toress boleśnie za ramię.

— Ścigają nas, łajdaki! Nawet w tym nędznym grajdołku!

— Puść mnie, boli!

— Puszczę cię. Wejdiesz do świątyni i wywołasz Shokerandita. Powiesz mu, że wojsko jest na naszym tropie. Nie możemy uciekać statkiem. Jeśli wynajął sanie, powinniśmy jak najszybciej wyruszyć do Kharnabharu. Idź i powiedz mu to. — Popchnął ją dla zachęty. — Powiedz mu, że chcą go powiesić.

Kiedy Toress pojawiła się znowu w towarzystwie Shokerandita, na ulicy zebrało się wielu ludzi, nie tylko niewinnych gapiów. Odimowie biegali krzycząc rozpaczliwie, a Fashnalgid powiedział:

— Masz sanie, Luterinie? Możemy natychmiast wyruszyć?

— Czy musiałeś niszczyć dom Odimów? Wiesz, ile im zawdzięczamy? — spytał Luterin, spoglądając na poszarpaną odzież kapitana.

— Nie ufaj Odimowi. To kupiec. Musimy jechać. Szuka nas wojsko. Nie zapominaj, że twoja piękna Toress to oficjalnie zbiegła niewolnica. Wiesz, co za to grozi? Gdzie są sanie?

— Dostaniemy je o świcie Bataliksy, gdy otworzą stację pocztową. Zmieniłeś nagle zdanie, co?

— Gdzie możemy się ukryć do rana? Luterin zamyślił się.

— Mam przyjaciela. Nazywa się Hernisarath. On i jego żona przenocują nas. Ale najpierw muszę się pożegnać z Odimem. Kapitan ostrzegawczo wyciągnął gruby paluch.

— Nie zrobisz tego. Wyda cię. Wszędzie roi się od żołnierzy. Zdumiewa mnie twoja naiwność.

— Mnie za to zdumiewają twoje dziwactwa. Ale odłóżmy swary na bok. Powiedz mi lepiej, dlaczego zmieniłeś plany. Jeszcze dziś rano chciałeś płynąć do Kampannlatu. Fashnalgid uśmiechnął się.

— Przypuśćmy, że przyszło mi do głowy, że powinienem być bliżej Boga. Postanowiłem pojechać z tobą i twoją niewolnicą do świętego Kharnabharu.

X. UMARLI NIE POLITYKUJĄ

Co sześć małych lat zbierał się w Askitosh najwyższy synod Kościoła Krwawego Pokoju. Obrady rozpoczynały się szóstego dnia szóstej kwadry roku. Niższa część hierarchii spotykała się w klasztorze za pałacem najwyższego kapłana, gdzie mieszkało i debatowało piętnastu dygnitarzy tworzących synod właściwy. Reprezentowali oni zarówno duchowe, jak i zbrojne ramie organizacji kościelnej. Uginali się pod brzemieniem odpowiedzialności i nie odznacжали się skłonnością do żartów.

Piętnastu dostojników miało swoje ludzkie słabostki. Jeden z nich upijał się co wieczór do nieprzytomności. Inni trzymali w komnatach młode niewolnice lub niewolników. Niektórzy oddawali się wymyślnym perwersjom. Mimo to każdy z nich w jakiejś mierze służył szczerze kościołowi. Ponieważ niełatwo było o ludzi uczciwych, piętnastu kapłanów należy uznać za uczciwych.

Największą żarliwością odznaczał się Chubsalid, pochodzący z Bribahru i wychowany w klasztorze przez świątobliwych mnichów. Sprawował urząd najwyższego kapłana Kościoła Krwawego Pokoju i reprezentował na Helikonii Boga Azoiaxica, który istniał przed wszelkim stworzeniem i wokół którego obraca się wszelkie życie.

Nawet najbaczniejsze oko nie widziało nigdy, by Chubsalid podnosił do ust kieliszek. Jeśli miał jakiegokolwiek skłonności w sferze seksualnej, pozostawały one sekretem między nim a Stwórcą. Jeżeli doświadczał gniewu, lęku albo smutku, na jego rumianym obliczu nie pojawiał się nawet cień owych emocji. Nie był też głupcem.

W odróżnieniu od Oligarchy, rezydującego zaledwie milę dalej na górze Icen, synod darzono powszechną sympatią. Kościół zaspokajał autentyczne potrzeby ludu: napełniał otuchą serca wiernych i wspierał ich w przeciwnościach. Oprócz tego zachowywał taktowne milczenie w kwestii paku.

W odróżnieniu od Oligarchy, który nie pokazywał się nigdy publicznie i którego wyobrażano sobie z lękiem jako olbrzymiego kraba z nadmiernie ruchliwymi szczypcami, Chubsalid odwiedzał biedaków i cieszył się mirom wśród wiernych. Wyglądał w każdym calu na najwyższego kapłana. Był potężnie zbudowany, miał pobrużdżoną, lecz dobroduszną twarz, i szopę siwych włosów. Kiedy przemawiał, słuchano go z uwagą. Jego żarliwe kazania były często okraszone dowcipem, toteż wierni nie tylko modlili się, lecz także śmiali do rozpuku.

Podczas posiedzeń synodu posługiwano się najelegantszą retoryką sibijską. W przemowach duchownych roiło się od zdań wielokrotnie złożonych, wyszukanych dygresji i oszałamiających połączeń czasownikowych. Mimo to debata dotyczyła spraw ściśle praktycznych, a mianowicie ostatnich tarć między dwiema największymi potęgami Sibornalu: państwem i kościołem.

Kościół śledził z niepokojem kolejne coraz surowsze edykty Oligarchy. Do zgromadzonych przemawiał w tej sprawie jeden z członków synodu.

— Państwo utrzymuje, iż "O pomniejszeniu ścisku w domostwach decretum" i inne podobne zarządzenia to środek zapobiegający morowi. Edykty te są równie szkodliwe jak zaraza. Biedotę wysiedla się i aresztuje za włóczęgostwo, a reszta ginie wskutek nasilających się mrozów.

Mówca, siwowłósy starzec, przemawiał aksamitnym głosem, lecz jego słowa brzmiały przekonująco, docierając do krańców komnaty.

— Za owym nikczemnym dekretem kryje się pewien zamysł. Kiedy gospodarstwa położone na północy przestają rodzić plony, chłopci, którzy je obrabiali, migrują do miast, gdzie szukają byle jakiego schronienia w przeludnionych dzielnicach biedoty. Edykt zmierza do tego, by nie opuszczali swoich upadających farm. Umrą tam z głodu. Ufam, że nie będę niesprawiedliwy, jeśli powiem, że państwo powita ich śmierć z radością. Umarli nie politykują.

— Czy spodziewasz się, bracie, że gdyby edykty odwołano, w miastach doszłoby do buntów? — spytał głos po drugiej stronie stołu.

— Kiedy byłem młodzieńcem, mawiano, że Sibornalczyki tyrają przez całe życie, chowają dzieci przez całe życie i tęsknią przez całe życie — odparł aksamitny głos. — Ale nigdy się nie buntują. Pozostawiamy to dzikusom z Barbarii. Kościół nie wypowiedział się jak dotąd w kwestii nowych praw Oligarchy. Uważam, że zakaz uprawiania paku przebrał miarę naszej cierpliwości.

— Doktryna kościoła nie wspomina o paku.

— Państwo także nie wypowiadało się jak dotąd w tej sprawie. Przyjmowano za pewnik, że umarli nie zajmują się polityką. Mimo to Oligarcha zabronił paku. Stanie się to przyczyną nowych

cierpień naszych wiernych, dla których (wybaczcie, czcigodni bracia, że to mówię) kontakt z duchami jest równie ważnym elementem życia jak płodzenie dzieci.

Oligarcha przygotowuje kraj do nadchodzącej zimy, karząc niesprawiedliwie biedotę. Wnioskuje, by kościół publicznie potępił ostatnie dekrety państwa.

Z krzesła podniósł się łysy starzec o trupio bladej cerze, który wspierał się na dwóch laskach.

— Może masz słuszość, bracie. Oligarcha umacnia swoją władzę. Uważam, że nie ma innego wyjścia. Pomyślmy o przyszłości. Już niebawem nasi potomkowie staną w obliczu okrutnej zimy Weyra, trwającej trzy i pół wieku. Oligarcha sądzi, że bezwzględność władzy powinna dorównywać bezwzględności natury.

Przypomnijmy sobie straszliwe przekleństwo sibijskie, którego nie wolno wymawiać. Uważa się je, i słusznie, za najokropniejsze bluźnierstwo. Mimo to jest godne podziwu. Tak, godne podziwu! Nie pozwalałam wypowiadać go w swojej diecezji, lecz zawarty w nim duch buntu budzi mój podziw.

Czcigodny starzec uspokoił się. Niektórzy z obecnych sądzili, iż skala swoje usta kłątą. Zamiast tego zmienił wątek.

— W Barbarii mróz doprowadzi do chaosu. Zabraknie tam porządku takiego jak u nas. Dzicy wpelzną z powrotem do jaskiń. Sibornal pozostanie nietknięty. Przetrywamy wiecznie dzięki karności. Nasza karność powinna przypominać zaciśniętą żelazną pięść. Wielu musi umrzeć, by przetrwało państwo.

Kilku z was, bracia, skarży się, że kazano wystrzelać wszystkie fagory. To nie ludzie, powiadam. Trzeba się ich pozbyć. Nie mają dusz. Muszą zostać zabite. Należy zabijać tych, co występują w ich obronie. Należy zabijać rolników, których gospodarstwa upadają. Nie pora na gesty wobec jednostek. Indywidualizm będzie niebawem karany śmiercią.

Laski starca grzechotały niczym kości, gdy siadał z powrotem na krześle. W komnacie rozległ się pomruk zdumienia, lecz z tronu obszytego sobolami odezwał się łagodnie najwyższy kapłan Chubsalid:

— Nie wątpię, że podobne mowy słyszy się stale na górze Icen, lecz my musimy myśleć o swoim powołaniu, które każe odnosić się z litością nawet do rolników, których gospodarstwa upadają. Kościół, troszczący się o sumienie i zbawienie jednostki, reprezentuje to, co indywidualne. Naszym obowiązkiem jest przypominać o tym od czasu do czasu swoim przyjaciółom w Oligarchii, aby lud także nie miał co do tego wątpliwości.

Klimat staje się coraz surowszy. Nie musimy go naśladować, a podstawowa nauka kościoła powinna przetrwać nawet okres najsurowszych mrozów. Życie istnieje tylko w Bogu. Państwo uważa, iż nadeszła pora zademonstrowania swojej siły. Kościół musi dokonać tego samego. Kto z obecnych zgadza się, iż powinniśmy wystąpić przeciwko państwu?

Czternastu duchownych siedzących przy długim stole zaczęło rozmawiać szeptem ze swoimi sąsiadami. Domyślali się, że akcja zalecana przez Chubsalida pociągnie za sobą surowe represje. Jeden z kapłanów uniósł dłoń ze złotym pierścieniem na palcu i rzekł drżącym głosem:

— Wasza Świętobliwość, czas, gdy będziemy musieli postąpić, jak sugerujesz, może jeszcze nadejść. Ale wydać państwu wojnę o pawk?... Przez całe wieki unikaliśmy... Mogą istnieć pewne wątpliwości co do słuszości atakowania... Mit o Pramacierzy kłóci się...

Urwał teatralnie.

Najmłodszym członkiem synodu był kapelan imieniem Parlingelteg, człowiek subtelny, choć szeptano, że nie wszystkie jego postęпки są subtelne. Nie obawiał się nigdy mówić, co myśli, i zwrócił się bezpośrednio do Chubsalida.

— Ostatnia żalсна wypowiedź przekonała mnie w końcu (podobnie jak nas wszystkich, sądzę), iż musimy wystąpić przeciwko państwu. Zwłaszcza w kwestii pawku. Chociaż pawk nie pasuje do naszej doktryny, nie próbujmy udawać, że mamiki nie istnieją.

Jak myślicie, bracia, dlaczego władza świecka próbuje zakazać pawku? Z jednej przyczyny. Państwo ma na sumieniu zbrodnię. Wymordowano tysiące żołnierzy armii Asperamanki. Matki zabitych synów nawiązały z nimi kontakt po śmierci. Mamiki przemówiły. Kto twierdzi, że umarli nie politykują? To bzdura. Tysiące martwych ust oskarża państwo i zbrodniczego Oligarchę. Popieram stanowisko najwyższego kapłana. Musimy potępić Torckerkanzłaga i usunąć go z urzędu.

Kiedy kilku starszych 'kolegów zaczęło bić brawo, zaczerwienił się aż po korzonki jasnych włosów. W sali zapanował gwar. Jednakże nadal zwlekano z podjęciem decyzji. Czyż państwo i kościół nie są nierozłączne? Mówić na głos o masakrze... Duchowni kochali spokój, niektórzy za wszelką cenę. Zarządzono godzinną przerwę. Było zbyt zimno, by wyjść na dwór. Dygnitarze krążyli po komnatach pałacu, obsługiwani przez niewolników, którzy podawali wodę lub wino w porcelanowych czarkach. Rozmawiali. Może da się jeszcze uniknąć konfrontacji? Oprócz świadectwa mamików nie istnieją przecież żadne dowody.

Rozległ się dzwon. Synod wznowił obrady. Chubsalid odbył prywatną rozmowę z Parlingeltegim i obaj wyglądali bardzo uroczyście.

Debata trwała, gdy zastukano do drzwi, i do sali wszedł niewolnik w liberii. Skłonił się nisko najwyższemu kapłanowi i podał mu list na tacy.

Przeczytawszy pismo, Chubsalid siedział przez chwilę z łokciem na stole, dotykając dłonią wysokiego czoła. Zapadła cisza. Wszyscy czekali na jego słowa.

— Bracia — odezwał się, rozglądając się po twarzach zebranych — mamy gościa, ważnego świadka. Proponuję wezwać go przed oblicze synodu. Spodziewam się, że to, co powie, będzie mieć większą wagę niż najdłuższe dysputy...

Skinął na niewolnika, który opuścił spiesznie salę.

Do komnaty wszedł mężczyzna. Odwrócił się powoli i zamknął za sobą drzwi, po czym ruszył ku stołowi, gdzie siedziało piętnastu dostojników. Był odziany od stóp do głów na granatowo: w granatowe buty, bryczesy, koszulę, kaftan oraz płaszcz. Kapelusz trzymał w dłoni. Jedynie włosy były białe, choć nad skroniami pozostały ciemne pasma. Kiedy członkowie synodu widzieli go po raz ostatni, miał kruczoczną czuprynę.

Siwizna podkreślała wielkość głowy przybysza. Między prostymi brwiami, w oczach, na wargach błąkał się gniewny grymas przypominający chmurę gradową.

Skłonił się głęboko najwyższemu kapłanowi i pocałował go w rękę. Następnie powitał członków synodu.

— Dziękuję wam, bracia, że zechcieliście udzielić mi audiencji — powiedział.

— Arcykapłanie wojny, doniesiono nam, iż poległeś w bitwie — rzekł Chubsalid. — Radzi jesteśmy, że wieść okazała się fałszywa. Asperamanka uśmiechnął się lodowato.

— O mało nie zginąłem, lecz nie w bitwie. Niezwykłe brzmi opowieść o tym, jak zdołałem dotrzeć do Askitosh jako jeden z nielicznych z całej swojej armii. Postrzelono mnie w Chalce na granicach naszego kontynentu, schwytały mnie fagory, uciekłem z niewoli, zgubiłem drogę na bagnach, cóż, krótko mówiąc, zawdzięczam ocalenie cudowi. Chronił mnie Bóg, który uczynił mnie narzędziem sprawiedliwości. Przynoszę dowody perfidii nie mającej sobie równych we wspaniałych dziejach Sibornalu.

— Usiądź, proszę — rzekł najwyższy kapłan, skinąwszy na niewolnika. — Chcemy usłyszeć twoją historię. Jesteś wiarygodniejszym świadkiem od mamików.

Asperamanka opowiedział o zasadzce i opisał, jak na powracającą armię spadła straszliwa ulewa kartaczy z dział gwardii Oligarchy. Kiedy do zebranych dotarło pełne znaczenie tego, co się stało, zrozumieli, że Parlingelteg mówił prawdę. Konfrontacja z władzą była nieunikniona. Inaczej kościół stałby się współwinny rzezi.

Opowiedzenie dziejów wojny i zdrady zajęło Asperamance godzinę. W końcu zamilkł, lecz tylko na chwilę. Niespodziewanie ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

— Ja także popełniłem zbrodnię! — zawołał. — Służyłem Oligarsze. Boję się go. Kościół i państwo stanowiły dla mnie jedność.

— To minęło — odezwał się Chubsalid. Wstał i położył rękę na ramieniu arcykapłana wojny. — Dziękujemy ci, że stałeś się narzędziem Boga i uzmysłowiłeś nam naszą powinność.

Oligarcha sprawuje władzę nad ciałami ludzi, kościół nad ich duszami. Musimy zebrać wszystkie siły, by umocnić panowanie duszy nad ciałem. Powinniśmy wystąpić przeciw Oligarsze. Czy synod zgadza się z tą opinią?

Czternastu zebranych wyraziło poparcie okrzykami. Pod stołem zagrzechotały drewniane laski.

— Decyzja jest więc jednomyślna.

Dygnitarze doszli po dyskusji do wniosku, iż najpierw należy wysłać do wszystkich świątyń w kraju stanowczo sformułowaną bullę. Zawierać ona będzie obronę starożytnej tradycji paku, stanowiącej jedną z podstawowych wolności osobistych. Nie ma dowodów, iż mamiki mówią nieprawdę. Kościół nie zgadza się z tezą, że pak sprzyja szerzeniu się moru. Chubsalid podpisał list własnym imieniem.

— Jest to zapewne najbardziej rewolucyjna bulla wydana jak dotąd przez kościół — odezwał się aksamitny głos. — Stwierdzam po prostu fakt. Czy akceptując pak nie akceptujemy także Pramacierzy? Czy nie kalamy doktryny Kościoła pogańskimi zabobonami?

— Bulla nie wspomina o Pramacierzy, bracie — odparł cicho Parlingelteg.

Bullę zatwierdzono i przekazano do kościelnej drukarni. Stamtąd rozesłano ją do wszystkich świątyń w kraju.

Minęły cztery dni. W pałacu najwyższego kapłana czekano na rozpętanie się burzy.

Z góry Icen zszedł posłaniec ubrany w nieprzemakalną pelerynę i dostarczył do pałacu zapieczętowany dokument.

Najwyższy kapłan złamał pieczęć i przeczytał list.

Posłanie głosiło, iż wywrotowe pismo synodu świadomie występuje przeciwko ostatnim dekretem państwa i stanowi akt zdrady stanu. Zdrada karana jest śmiercią.

Jeżeli najwyższy kapłan Kościoła Krwawego Pokoju ma coś na usprawiedliwienie owej ohydnej zbrodni, powinien stawić się natychmiast przed obliczem Oligarchy i przestawić swoje racje osobiście.

List nosił podpis Torkerkanzłaga Drugiego.

— Nie wierzę w realność tego człowieka — rzekł Chubsalid. — Panuje od przeszło trzydziestu lat. Nikt go nigdy nie widział. Nie istnieją jego podobizny. Mógłby być nawet fagorem...

Przez pewien czas komentował list w podobnym duchu, mlaskając z roztargnieniem językiem, po czym odwiedził bibliotekę synodu, gdzie porównywał podpisy, bawił się szklami powiększającymi i kiwał głową.

Reakcja najwyższego kapłana wzbudziła dezaprobatę jego doradców. Zaniepokoił ich poważny ton wezwania, które przynajmniej na pozór wydawało się wyrokiem śmierci. Starsi rangą sugerowali w rozmowach pomiędzy sobą, iż władze kościelne powinny przenieść się niezwłocznie z Askitosh w bezpieczniejsze miejsce — może do oblężonego Rattagonu, położonego na niedostępnej wyspie na jeziorze, a może nawet do lodowatego Kharnabharu, stanowiącego nietykalne sanktuarium religijne.

Jednakże Chubsalid miał inne zamiary. Myśl o ucieczce nie przyszła mu nawet do głowy. Spędziwszy godzinę na porównywaniu podpisów, oznajmił, że spotka się z Oligarchą. Skryba najwyższego kapłana wykaligrafował odpowiedź na pismo władcy. List sugerował, by spotkanie odbyło się na głównym dziedzińcu zamku Icen z udziałem każdego, kto zechciałby posłuchać debaty między dwoma mężami.

Kiedy Chubsalid podpisywał dokument, podszedł doń stojący w pobliżu kapelan Parlingelteg i ukląkł koło jego fotela.

— Wasza Świętobliwość, pozwól mi pojechać ze sobą na zamek. Niechaj to, co spotka ciebie, spotka także i mnie.

Chubsalid położył rękę na ramieniu młodego człowieka.

— Niechaj tak będzie. Jestem ci wdzięczny za twoją propozycję. Zwrócił się do Asperamanki, który przebywał wraz z innymi w komnacie.

— A ty, arcykapłanie wojny, czy nie udasz się z nami na zamek Icen, by dać świadectwo zbrodni Oligarchy?

Asperamanka rozejrzał się wokół, jakby szukał drogi ucieczki.

— Jesteś lepszym mówcą ode mnie, najwyższy kapłanie. Myślę, że nie powinniśmy wspominać o zarazie. Podobnie jak władza świecka, nie mamy lekarstwa na tłustą śmierć. Oligarcha mógł zakazać paku z przyczyn, które są dla nas tajemnicą.

— Poznamy je z jego ust. Czy pojedziesz ze mną i Parlingeltegim?

— Może powinniśmy zabrać ze sobą medyków? Chubsalid uśmiechnął się.

— Ufam, że zdołamy przeprowadzić debatę bez ich pomocy.

— Z pewnością powinniśmy szukać kompromisu — rzekł Asperamanka z nieszczęśliwą miną.

— Zobaczmy, czy okaże się to możliwe — odparł Chubsalid. — I dziękuję ci, że postanowiłeś nam towarzyszyć.

Zaświtał poranek. Chubsalid przywdział szaty najwyższego kapłana i pożegnał się z towarzyszami. Niektórych uściskał.

Siwowłosy starzec uronił łzę, a Chubsalid uśmiechnął się do niego.

— Cokolwiek się dziś stanie, będę potrzebował nie tylko swojej, lecz i twojej odwagi — rzekł pewnym, spokojnym głosem.

Wsiadł do powozu, gdzie czekali Asperamanka i Parlingelteg. Ruszyli.

Zaprzęg jechał powoli cichymi ulicami. Z rozkazu Oligarchy oczyszczono miasto z gapiów, toteż najwyższego kapłana nie witały jak zwykle radosne okrzyki zebranego ludu. Panowało głucho milczenie.

Kiedy powóz wspinał się na górę Icen zdradziecką brukowaną drogą, wszędzie roiło się od żołnierzy. Duchownych, którzy przyszli za zaprzęgiem najwyższego kapłana, odpędzili pod bramą zamku zbrojni. Powóz przejechał pod potężnym kamiennym łukiem. Zatrzasnęły się za nim ciężkie żelazne wierzaje.

Na główny dziedziniec wyglądały niezliczone okna, których dręczący martwy połysk nie skłaniał do zabierania głosu. Były to złe okna, kojarzące się z tępyimi zębami, nie zaś oczami.

Kiedy trzech duchowni wysiedli z powozu, bezceremonialnie wprowadzono ich do chłodnego gmachu. Ich kroki odbijały się echem w wielkim przedsionku. Na straży stali gwardziści w mundurach paradnych. Żaden ani drgnął.

Kapłanów poprowadzono obskurnym korytarzem na tyłach sieni. Ściany tuż nad podłogą wyźłobiły niezliczone buty, jakby usiłowało wyrwać się z niego na wolność stado zaszczutych zwierząt. Po chwili oczekiwania przewodnik otrzymał znak i dostojnicy zeszli dwa piętra wąskimi drewnianymi schodkami wijącymi się w ciemnej studni. Podążyli kolejnym korytarzem, równie miłym jak poprzedni, i zatrzymali się pod drzwiami. Przewodnik zapukał.

Rozległ się rozkaz "Wejść!"

Znaleźli się w komnacie odznaczającej się szczególną przytulnością, z której słynga Oligarchia. Była to swego rodzaju poczekalnia. Na krzesłach stojących rzędem pod ścianami mogliby wypocząć tylko najbardziej wychudzeni obywatele państwa. Jedyne okno w pokoju zasłonięte ciężką skórzaną kotarą nie dopuszczającą ani krzty słońca.

Ponury nastrój ciemnej komnaty o niskim suficie podkreślało jeszcze oświetlenie. Na środku pustej podłogi paliła się w wysokim świeczniku gruba łojówka. Płomień, poruszany lodowatym przeciągiem, rzucał rozkołysane cienie na skrzypiący parkiet.

— Jak długo mamy czekać? — spytał przewodnika Chubsalid.

— Chwilę, Wasza Świątobliwość.

W posępnej komnacie chwila trwała dość długo, lecz w końcu otworzyły się wewnętrzne drzwi. Uchyliło je dwóch umundurowanych gwardzistów przy szabli.

Następną salę zalewał trupi blask lamp gazowych. Oświetlał on wszystko oprócz mężczyzny siedzącego na wysokim tronie na krańcu komnaty. Ponieważ lampy znajdowały się za jego plecami, twarz pozostawała w cieniu. Nie poruszył się.

— Jestem Chubsalid, najwyższy kapłan Kościoła Krwawego Pokoju — rzekł wyraźnie duchowny.

— Kim jesteś?

— Tytułuj mnie Oligarchą — rozległ się równie czysty głos.

Dostojników, choć byli przygotowani do spotkania, ogarnął na chwilę strach. Milcząc ruszyli w stronę drzwi sali audiencyjnej, lecz drogę zagroziły im nagie szable gwardzistów.

— Jesteś Torkerkanzlagiem Drugim? — spytał Chubsalid.

— Tytułuj mnie Oligarchą — powtórzył czysty głos. Chubsalid i Asperamanka spojrzeli po sobie. Później przemówił najwyższy kapłan.

— Przybyliśmy tutaj, straszliwy Oligarcho, aby odbyć debatę na temat ograniczania w naszym państwie uświęconych swobód obywatelskich i spytać cię o ostatnią zbrodnię popełnioną...

— Nie przybyliście o czymkolwiek debatować, kapłanie — przerwał czysty głos. — Nie przybyliście pytać o cokolwiek. Przybyliście, bo świadomie występując przeciwko niedawnym edyktom władzy świeckiej dopuściliście się zdrady stanu. Przybyliście, ponieważ zdradę karze się śmiercią.

— Wręcz przeciwnie — odezwał się Parlingelteg. — Przybyliśmy licząc na rozsądek, sprawiedliwość i publiczną debatę. Nie na tandetny melodramat. Asperamanka oparł się piersią o jedną z nagich szabli i rzekł:

— Służyłem ci wiernie, straszliwy Oligarcho. Jestem arcykapłanem wojny, nazywam się Asperamanka i jak niewątpliwie wiesz, odniosłem w twym imieniu wielkie zwycięstwo nad poganami Pannowalu, czczącymi tysiące bóstw. Czyż z twojego rozkazu... Czyż armii dowodzonej przeze mnie nie starto z powierzchni ziemi po powrocie do twojego państwa?

— Nie zadaje się pytań w obecności władcy — rozległ się beznamiętny głos Oligarchy.

— Powiedz nam, kim jesteś — rzekł Parlingelteg. — Jeżeli jesteś człowiekiem, nie widać tego po tobie.

Zignorowawszy jego uwagę, Torkerkanzlag Drugi wydał rozkaz:

— Rozsunąć zasłonę.

Przewodnik, który wprowadził duchownych do ponurej komnaty, podszedł po skrzypiącej podłodze do okna i chwycił obiema rękami skórzaną kotarę. Rozsunął ją powoli.

Pokój zalało szare światło. Kiedy Asperamanka i Parlingelteg odwrócili się, by wyjrzeć na zewnątrz, Chubsalid spojrział na siedzącego bez ruchu Oligarchę. Światło dotarło nawet do zaciemionego tronu, tak że można było dostrzec rysy twarzy władcy.

— Poznaję cię! Jesteś...

Najwyższy kapłan nie dokończył, chwycony bezceremonialnie za ramię przez jednego z gwardzistów i popchnięty w stronę długiego okna, koło którego stał przewodnik wskazujący w dół. Pod oknem leżał podwórzec otoczony zewsząd wysokim szarym murem. Ktokolwiek znalazłby się na dole, czułby się przytłoczony rzędami nieprzychylnych okien nad głową.

W środku podwórca stała drewniana klatka z wysokim, potężnym słupem w środku. Klatkę i słup wzniesiono na platformie z desek, pod którą leżały stosy drewnianych polan. Między polanami widać było wiązki chrustu otoczone suchymi gałązkami i liśćmi.

— Zdradę karze się śmiercią — rzekł Oligarcha. — Wiedzieliście o tym, nim weszliście do zamku. Skazuję was na spalenie na stosie. Wystąpiliście przeciwko państwu i umrzecie w ogniu. Okno zasłonięte z powrotem kotarą.

— Jeśli ośmielisz się nas spalić, religia Sibornalu zwróci się przeciwko państwu — przemówił odważnie Parlingelteg. — Wyda ci wojnę cały lud. Zginiesz. Razem z tobą może zginąć Sibornal.

— Postaram się, by świat dowiedział się o tej nikczemności! — krzyknął Asperamanka, rzucając się w stronę drzwi.

Za progiem czekali żołnierze, którzy wpełnęli go z powrotem do komnaty.

Chubsalid stanął na środku pokoju i rzekł uspokajająco do arcykapłana wojny:

— Bądź dzielny, bracie. Jeżeli tu, w samym środku Askitosh, zostanie popełniona taka zbrodnia, znajdą się ludzie, którzy nie spoczną, póki Azoiaxic nie zatryumfuje. Ten potwór uważa, że zdrada jest tańsza niż wojsko. Przekona się, że zapłaci za nią głową.

— Najwyższym dobrem jest przetrwanie cywilizacji w ciągu najbliższych stuleci — odezwała się nieruchoma postać na tronie. — Aby osiągnąć ów cel, musimy ponieść wielkie ofiary. Należy zapomnieć o szczytnych ideałach. Kiedy szaleje mór, znika prawo i porządek. W Kampannlacie, w Hespagoracie, a nawet w Sibornalu na początku Wielkiej Zimy zawsze dochodzi do niepokojów. Wybuchają bunty wojsk, płoną archiwa, niszczyją najwspanialsze pomniki cywilizacji. Tryumfuje barbarzyństwo.

Tej zimy przetrwamy kryzys. Sibornal zmieni się w twierdzę. Już dziś nikt nie zdoła do niej wejść. Niebawem nikt się z niej nie wydostanie. Przez cztery wieki straszliwych mrozów pozostaniemy rajem prawa i ładu. Wykarmi nas ocean.

Ideały przetrwają, lecz muszą one służyć przetrwaniu. Nie pozwolę, by państwo i kościół toczyły ze sobą wojnę. Oto decyzja Oligarchy. Oto jedyna droga, by ocalić największą liczbę ludzi.

Następnej wiosny powstaniemy silni, gdy tymczasem Kampannlat nie otrząśnie się jeszcze z barbarzyństwa, a w dyszlach wozów zamiast zwierząt chodzić będą kobiety — o ile poganie nie zapomną przedtem, czym jest koło. Wówczas ostatecznie rozstrzygniemy nie kończące się wojny z Barbarią. Nazywasz to zbrodnią? Nazywasz to zbrodnią, najwyższy kapłanie?! Nie chcesz ujrzyć tryumfu naszej ukochanej ojczyzny?!

Chubsalid, odziany w szaty liturgiczne, prezentował się wspaniale. Wyprostował się. Zanim odpowiedział, przemowę Oligarchy pokryło milczenie.

— Choć wierzysz butnie we własną moc, przemawia przez ciebie słabość. Surowa religia Sibornalu, niczym samo Wielkie Koło, powstała z przeciwności klimatu. Jednakże kościół naucza stoicyzmu, nie okrucieństwa. Wysuwasz starożytny argument, iż cel uświęca środki. Jeśli podążysz obraną drogą, okrutne środki zniszczą twój cel i poniesiesz sromotną klęskę.

Mężczyzna na tronie poruszył lekceważąco dłonią.

— Przyznaję, błędy mogą się zdarzyć, najwyższy kapłanie. Wówczas po prostu pogrzebiemy umarłych i będziemy żyć dalej.

— Umarli będą świadczyć przeciwko tobie! — rozległ się czysty głos Parlingeltega. — Mamiki przekażą żywym wiadomość! Twoja zbrodnia wyjdzie na jaw!

— Duchy mogą dawać świadectwo, lecz na szczęście nie mogą walczyć — odparł Oligarcha mrocznym tonem.

— Kiedy lud dowie się o twoim postępku, wystąpi przeciw tobie z bronią w rękę!

— Jeżeli nie stać was już na nic więcej prócz pogroźek, pora, byście dołączyli do bezbronych rzesz w zaświatach. A może wysłuchawszy tego, com powiedział, któryś z was chciałby złożyć deklarację lojalności wobec państwa?

Skinął na gwardzistów.

— Abro Hakmo Astab, przeklęty Oligarcho! — wykrzyknął Parlingelteg, wypowiadając zakazaną klątwę.

Do komnaty weszli ciężkim krokiem zbrojni, którzy stanęli za duchownymi.

Asperamanka szczął zębami i nie był w stanie wykrztusić słowa. Spojrzał na Chubsalida, który poklepał go po plecach. Najwyższego kapłana ujął za ramię Parlingeltega.

— Spal nas, a pożoga ogarnie całe Askitosh! — zawołał.

— Ostrzegam cię, Oligarcho, jeśli wywołasz rozłam między kościołem a państwem, twoje plany nigdy się nie powiodą — rzekł Chubsalid. — Podzielił kraj na dwa obozy. Jeśli spalisz nas na stosie, przegrasz.

— Znajdą się tacy, co zechcą ze mną współpracować, najwyższy kapłanie — odparł spokojnie władca. — Tuziny pochlebców rzucą się, by zająć twoje miejsce, uważając to za wielki zaszczyt. Dobrze znam ludzi.

Kiedy gwardziści brali kapłanów pod ręce, wyrwał im się Asperamanka. Podbiegł do tronu władcy i przykląkł z pochyloną głową.

— Oszczędź mnie, straszliwy Oligarcho! Jestem Asperamanka. Wiesz, że służyłem ci wiernie na polu bitwy. Z pewnością nie chcesz stracić takiego cennego narzędzia jak ja. Postąp z nimi wedle swojej woli, ale mnie daruj życie, pozwól dalej służyć! Wierzę, że ocalisz Sibornal. Surowe czasy wymagają surowych metod. Władza duchowna musi ustąpić przed świecką. Pozwól mi żyć, a będę ci służył... na chwałę Bożą.

— Możesz to zrobić dla własnej nikczemnej korzyści, lecz nie na chwałę bożą — rzucił Chubsalid. — Wstań, Asperamanko! Umrzyj razem z nami, a twoje cierpienia będą lżejsze.

— Czy żyjemy, czy umieramy, godzimy się na cierpienie — rzekł sentencjonalnie Oligarcha. — To niespodzianka z twojej strony, Asperamanko, zwycięzco spod Isturiachy. Przybyłeś ze swoimi braćmi: dlaczego nie chcesz umrzeć razem z nimi?

Arcykapłan wojny milczał. Po chwili, nie podnosząc się z kolan, zaczął przemawiać z ogromną swadą.

— To, o czym tu mówiono, to nie kwestia polityki ani moralności, tylko historii. Jak wszyscy wielcy ludzie, Oligarcho, pragniesz ją zmieniać. Nasze cykliczne dzieje w istocie wymagają reform, reform brutalnych, lecz skutecznych.

Mimo to mówię w imieniu naszego umiłowanego kościoła, któremu służyłem z oddaniem. Niechaj ci dwaj spłoną na stosie dla kościoła. Ja wolę dla niego żyć. Historia uczy, że religie mogą ginąć podobnie jak narody. Nie zapomniałem lekcji, jakie pobierałem w dzieciństwie w starożytnym klasztorze w Askitosh, gdzie uczono mnie o zniszczeniu religii Pannowalu przez nikczemnego króla Borlien i jego ministrów. Jeśli kościół i państwo wypowiedzą sobie wojnę, nasz Bóg znajdzie się w niebezpieczeństwie. Pozwól, bym ci służył jako duchowny.

Kiedy gwardziści wyprowadzali dwóch kapłanów, Parlingelteg kopnął z rozmachem Asperamankę, który runął jak długi na ziemię.

— Obludnik! — krzyknął, gdy go odciągano.

— Zabierzcie ich na podwórzec — rozkazał Oligarcha. — Jeśli zasiejemy trochę lęku w sercu kościoła, jego dostojnicy nie będą w przyszłości tacy wymowni.

Siedział bez ruchu, gdy najwyższy kapłan Chubsalid i kapelan Parlingelteg podążali na dziedziniec.

Komnata opustoszała. Pozostał tylko jeden gwardzista w cieniu i pobladły Asperamanka, nadal skulony na podłodze.

Chłodne spojrzenie Oligarchy zwróciło się w stronę arcykapłana wojny.

— Wstań! — powiedział. — Zawsze znajdę zajęcie dla takich jak ty.

XI. SUROWE RYGORY DLA WĘDROWCÓW

Prawie wszystkie rzeki Sibornalu biegnęły na południe. Większość, jak przystoi wodom spływającym z lodowców, była kapryśna i porywista niezależnie od pory roku.

Rzeka Venj nie należała do wyjątków. Szeroka i pełna zdradliwych wirów, pędziła wartko ku ujściu w Rivenjk.

W ciągu stuleci Venj wyłobił sobie dolinę, którą płynął zgodnie z własnym życzeniem. Wzdłuż doliny biegł gościniec na północ prowadzący ostatecznie do Kharnabharu.

Wił się on pod górę między malowniczymi wzgórzami osłoniętymi od wichrów masywem Shivenink. Ich stoki porastały wysokie krzewy odporne na mróz i pokryte olbrzymimi pąkami. Wzdłuż gościńca rosły drobne kwiatki zrywane przez pielgrzymów, gdyż nie występowały nigdzie indziej.

Na pierwszym etapie podróży do Kharnabharu pielgrzymi zachowywali się beztrzesko. Jechali pojedynczo lub w grupach, w najprzeróżniejszej odzieży. Niektórzy szli boso, panując rzekomo nad swoim ciałem i nie odczuwając zimna. Między grupami rozbrzmiewały śpiewy i muzyka. Pielgrzymka stanowiła poważny akt pobożności, który miał zapewnić uczestnikom dożgonny szacunek w rodzinnych stronach, lecz na razie pielgrzymi cieszyli się jak dzieci z wyprawy w góry. Kilka mil za Ribenijk stały wzdłuż drogi stragany, gdzie handlowano owocami i emblematami Koła. Chłopi z Bribahru, którego granica przebiegała w pobliżu, wychodzili z doliny, by sprzedawać pielgrzymom swoje wyroby. Był to łatwy etap podróży.

Droga stawała się coraz bardziej stroma. Powietrze rzedło. Kwiaty na krzewach ze skórzastymi liśćmi były barwniejsze, lecz mniejsze. Z doliny wychodziło coraz mniej chłopów. Coraz liczniejszym pielgrzymom brakowało powietrza w płucach, by dąć w instrumenty. Krążyły nerwowe pogłoski o zbójcach.

Ale, cóż robić, pielgrzymka musi być przygodą, może nawet wielką przygodą. Wrócą do domu jako bohaterowie. Trochę trudności nie zaszkodzi.

Zajazdy, w których się zatrzymywali, jeśli było ich na to stać, stawały się coraz prymitywniejsze, a sny pielgrzymów coraz bardziej niespokojne. Noce wypełniał szum wiecznie spadającej wody, która przypominała o niebosiężnych szczytach skrytych w chmurach. Nazajutrz rano rozpoczynali w milczeniu następny etap wędrówki. Góry nie sprzyjały rozmowom. Konwersacja to sztuka nizin. Goście wiał się nadal wzdłuż kapryśnej rzeki Venj. Pielgrzymi wspinali się coraz wyżej. W nagrodę oglądali wiele pięknych widoków.

Zbliżali się do miejscowości Sharagatt pięć tysięcy metrów nad poziomem morza. Kiedy chmury się rozsnuwały, na północnym zachodzie widać było strome zbocza i straszliwe przepaście, nad którymi szybowały sępy. Szczęśliwcy obdarzeni sokolim wzrokiem dostrzegali za nimi równiny Bribahru, spowite błękitną mgiełką i przysypane śniegiem.

Kiedy pielgrzymi znaleźli się w pobliżu Sharagattu, pojawiły się znów przydrożne stragany. W jednych sprzedawano orzechy i owoce, w innych kiczowate landszafty z krajobrazami okolicznych gór. Pojawiły się znaki. Zakręt gościńca, kolejny zakręt (mięśnie łydek stały się nagle ciężkie jak ołów), stragan z opłatkami, daleki widok drewnianej wieży, kolejny zakręt, ludzie, tłumy ludzi — i wreszcie Sharagatt, ten raj na ziemi! Sharagatt i perspektywa kąpieli oraz czystego łóżka.

W mieście znajdowało się mnóstwo świątyń, często wzorowanych na kharnabharskich. Sprzedawano obrazy i płaskorzeźby z widokami Kharnabharu. Niektórzy utrzymywali, że jeśli ma się odpowiednie znajomości, można tu nabyć autentyczne świadectwa o odbyciu pielgrzymki do Wielkiego Koła.

Albowiem Sharagatt, choć dotarcie do niego uchodziło za wielkie osiągnięcie, był niczym. Stanowił jedynie przystanek, punkt wyjścia. Dopiero tutaj rozpoczynała się właściwa pielgrzymka do Kharnabharu. Wielu podróżnych nie szło dalej. Sharagatt obiecywał cuda, lecz był kamieniem milowym straconych nadziei. Część pielgrzymów zdawała tu sobie sprawę, że jest za stara, zbyt znużona, zbyt chora lub po prostu za biedna, by kontynuować wędrówkę. Zostawali na dzień czy dwa. Później zwracali i schodzili do Rivenjk, do ujścia porywistej rzeki.

Sharagatt leżał tuż za strefą tropikalną. Na północy, w górach, klimat błyskawicznie się pogarszał. Sharagatt dzieliło od Kharnabharu wiele setek mil. Aby przebyć ową odległość, nie wystarczała sama determinacja.

Luterin Shokerandit, Toress Lahl i Harbin Fashnalgid przenocowali w zajeździe Pod Gwiazdami. A ściśle mówiąc, na jego przestronnym ganku. Nawet zapobiegliwość Luterina, który zarezerwował pokoje jeszcze w Rivenjk, nie pozwoliła uniknąć pomyłki i wszystkie miejsca w zajeździe okazały się zajęte. Na ganek wyniesiono podróżnym skrzypiącą trzypiętrową pryczę.

Fashnalgid spał na górze, Shokerandit pośrodku, a Toress na dole. Kapitan nie był zbyt zadowolony, lecz Luterin kupił wszystkim po fajce ochary, odorującego tytoniu wyrabianego z rośliny górskiej, i ogarnął ich błogi spokój. Wraz z innymi uprzywilejowanymi podróżnymi przyjechali do Sharagattu lekkim wozem. Nazajutrz mieli przesiąść się na sanie. Tej nocy powinni odpocząć. Kiedy rozwiała się wieczorna mgła, na nocnym niebie rozbłysły znajome konstelacje: Blizna Królowej, Fontanna, Stary Łowca.

— Widzisz gwiazdy, Toress? Potrafisz je nazwać? — spytał sennie Luterin. Dziewczyna zaśmiała się lekko.

— Znam ich wspólną nazwę: gwiazdy...

— Więc zejść na dół i cię nauczę.

— Jest ich tak wiele...

— Zajmie to dużo czasu.

Jednakże zasnął, nim zdążył się poruszyć, i nie zbudziły go nawet zwierzęce krzyki na stoku góry. Luterin wstał wczesnym rankiem, niewyspany i obolały. Nim zbudził Toress, włożył wyziębione wierzchnie ubranie.

— Odtąd do końca podróży śpimy w kurtkach — rzekł. Nie czekając na dziewczynę, udał się do magazynu, by zakupić wyposażenie potrzebne na następny miesiąc. Nad drzwiami sklepu wisiał szyld PODRÓŻ NA PÓLNOC z emblematem Wielkiego Koła.

Luterina dręczył niepokój. Fashnalgid, Uskutyjczyk czystej krwi, uważał Shivenink za zapadłą górzystą prowincję. Shokerandit był lepiej zorientowany. Chociaż Shivenink znajdowało się daleko od stolicy, roilo się w nim od policjantów i konfidentów. Fashnalgid zabił żołnierza, toteż władze będą go poszukiwać. Luterina przygnębiała myśl o kłopotach, w jakie wpędził Eedapa Muna Odima i Hernisaratha.

Posługując się fałszywym nazwiskiem, zakupił rozmaite niezbędne przybory, a następnie poszedł obejrzeć zamówiony wcześniej psi zaprzęg, który miał ich przewieźć do Kharnabharu i bezpiecznego majątku rodzica.

Fashnalgid nie kwapił się do wstania. Kiedy Luterin opuścił ganek, przestał udawać, że śpi, i zszedł na pryczę Toress. Odkąd złamał jej wolę, nie próbowała mu się opierać. Occhara uczyniła ją bezwolną.

— Luterin cię zabije, jak się dowie — powiedziała.

— Stul buzię, sikorko, i nadstaw tyłeczka. Luterinem zajmę się w swoim czasie.

Chwyił ją w niedźwiedzi uścisk, rozsunął uda dziewczyny i połączył się z nią. Jego podrygi spowodowały, że prycza ją uderzać rytmicznie o poręcz ganku.

Sharagatt składał się z dwóch części. Oprócz Sharagattu właściwego istniał także Sharagatt Północny. Leżały one w odległości zaledwie stu jardów od siebie, oddzielone stromizną skalną osłaniającą Sharagatt Południowy przed wiatrem. W Sharagacie Północnym występowały zimne wiry powietrzne obniżające

temperaturę o kilka stopni. Zaprzęgi wyruszające do Kharnabharu lokowano jedynie w północnej części osiedla. Pobyt w Sharagacie Południowym odebrały im hart.

Niezbędne przygotowania zajęły Shokeranditowi dwie godziny. Znał ludzi, z którymi miał podróżować. Było to górskie plemię Ondodów, co w ich skomplikowanym języku znaczyło (zależnie od przekładu) "ludzie ducha" bądź "ludzie z charakterem".

Jeden z Ondodów był poganiaczem. Pomagał mu niewolnik fagor. Mieli dobre sanie i zaprzęg złożony z ośmiu asokinów.

Kiedy Luterin oglądał uprzęż cal po calu, pojawiła się blada, przygnębiona Toress.

— Zimno mi — odezwała się apatycznie.

Shokerandit podszedł do stosu zakupionych zapasów i przyniósł jednoczęściowy wełniany kombinezon. Wręczył go dziewczynie z uśmiechem.

— To dla ciebie. Przebierz się.

— Gdzie?

— Tutaj. — Domyśliwszy się, o co jej chodzi, spojrział na Ondodów i fagory stojące w pobliżu. — Oni nie znają wstydu. Włóż nowe ubranie.

— Ale ja znam wstyd — odparła Toress. Mimo to usłuchała, gdy tymczasem pozostali patrzyli na nią z uśmiechem.

Luterin zaczął znowu sprawdzać ekwipunek i wypytywać poganiacza imieniem Uuundaamp, niewielkiego Ondoda z błyszczącymi czarnymi oczkami, dziobatą twarzą i wąsikiem zwężającym się na policzkach. Miał czternaście lat i odbył niebezpieczną podróż wiele razy.

Kiedy Uuundaamp zaprowadził Luterina do zaprzęgu, przyłączyła się do nich Toress w swoim nowym odzieniu, zerkając ciekawie na Ondoda.

— Wszyscy poganiacze są młodzi — wyjaśnił Shokerandit. — Żywią się mięsem i rzadko dożywają starości.

Na tyłach sklepu znajdowały się drzwi na podwórko. Stały tam zagrody dla psów, oddzielone wysokimi siatkami z drutu. Ziemię pokrywał brudny śnieg. Asokiny czekały ogłuszająco.

Uuundaamp szedł wąską ścieżką między zagrodami. Po obydwu stronach na siatkę rzucały się psy, kłapiąc zębami i bryzgając śliną. Rogate asokiny sięgały człowiekowi do bioder i były pokryte gęstym futrem: brązowym, białym, srebrnym, czarnym lub łaciatym.

— Nasz zaprzęg gumtaa, bardzo dobre asokin — rzekł Uuundaamp, wskazując jedną z zagród i zerkając przebiegle na Luterina. — Zanim my wejść, każde dać jeden kawał mięso główny pies, zaprzyjaźnić się z nim. Później on zawsze wasz przyjaciel. Ishto?

— Który prowadzi? Ten czarny? — spytał Shokerandit. Uuundaamp skinął głową.

— Czarny pies prowadzi. On też Uuundaamp, moje imię. Ludzie mówią, on wielki jak ja, tylko mniej wściekły.

Asokin miał piękne zakręcone rogi. Ciało porastała mu stercząca czarna sierść. Jedyne pierś była biała, podobnie jak spód ogona. Ondod zwrócił szczególną uwagę na tę ostatnią cechę, która pozwalała reszcie zaprzęgu łatwo podążać za przewodnikiem.

Poganiacz spojrział na Toress Lahl.

— Pani, ja ostrzegać. Pani dać teraz mięso Uuundaamp, jak ja mówić. Potem nigdy więcej. Pani nigdy nie dawać mięso inny asokin, rozumieć? Psy przestrzegać prawo. My być posłuszni. Ishto?

— Ishto — odparła Toress. Górskiego słowa oznaczającego zgodę nauczyła się w drodze z Rivenjk.

Ondod zerknął na nią, błyskając wesoło oczkami.

— Ty duża kobieta. Ja ciebie nie karmić jeden kawał mięso. Do Kharnabhar jechać z nami moja żona. Jeszcze jedno. Bardzo ważne. Ty nigdy nie klepać asokin, rozumieć? One zjeść ręka jak kawał mięso.

Toress zadrżała i roześmiała się.

— Nie ośmielię się ich głaskać.

— Idźmy po Fashnalgida i ruszajmy w drogę — rzekł Luterin, dokładnie wszystko sprawdzwszy. Zapasów nie brakowało, a sanie nie były przeładowane. Wziął dziewczynę pod rękę.

— Dobrze się czujesz? Choroba na szlaku jest niebezpieczna.

— Czy nie moglibyśmy zostawić Fashnalgida?

— Nie. Jest w porządku. Przyda się, jeśli coś się zdarzy. Wiesz, boję się, że depczą nam po piętach kreatury Oligarchy. Może myślą, że kiedy dotrzemy do ojca i opowiemy mu swoje dzieje, wywoła on bunt w armii. Ma tam wielu przyjaciół. Jak się dowiedziałem, następny zaprzęg ma wyruszyć o piętnastej, zaledwie godzinę po nas. Podobno wynajęło go czterech mężczyzn. Im wcześniej wyjedziemy, tym lepiej. Kupiłem pistolet.

— Boję się. Czy możemy ufać Ondodom?

— To nie ludzie. Są spokrewnieni z Nondadami z Kampannlatu. Mają osiem palców u każdej dłoni: zobaczysz, jak zdejmie rękawice. Zadają się z fagorami, lecz nigdy nie zawierają prawdziwego sojuszu z ludźmi. Są niebezpieczni. Trzeba im płacić i przypochlebiać, żeby nie robili kłopotów.

W trakcie rozmowy przeszli z Sharagattu Północnego do właściwego. Wyraźnie czuło się zmianę temperatury.

Toress przywarła do ramienia Shokerandita.

— Dlaczego kazałeś mi się przed nimi rozebrać? — spytała z wyrzutem. — Jestem tylko niewolnicą, lecz nie musisz mnie upokarzać. Luterin roześmiał się.

— Musiałem sprawić im przyjemność. Chcieli to zobaczyć. Dzięki temu mają o mnie lepszą opinię.

— Ale ja nie mam o tobie lepszej opinii.

— Ba, lecz ja jestem przewodnikiem.

— Dlaczego nie wszedłeś wczoraj do mojego śpiwora? — spytała Toress ze złością. — Co się z tobą dzieje? Czy nie powinnam zażywać z tobą rozkoszy, jak tylko masz ochotę?

— O, nagle chcesz ze mną spać? Zmieniłaś śpiewkę? — Roześmiał się gniewnie. — Wobec tego dzisiejsza noc sprawi ci przyjemność.

Poszli po Fashnalgida, który pił koło przydrożnego straganu. Shokerandit spędził później trochę czasu w niewielkim sklepiku, targując się o koc w krzykliwe czerwono-żółte pasy. Między pasami wyhaftowano nieunikniony emblemat Wielkiego Koła.

— Pramatko, jak ty marnujesz pieniądze! — zawołał Fashnalgid. — Myślałem, że kupiłeś już cały ekwipunek.

— Podoba mi się ten koc. Ładny, prawda?

Shokerandit zapłacił i owinał się nim przed wyruszeniem do Sharagattu Północnego. Inni wędrowcy, odziani w najróżniejsze stroje dla ochrony przed chłodnym górskim powietrzem, na pozór nie

zwracali na niego uwagi. Fashnalgid patrzył ze zdumieniem, jak przy następnym straganie Shokerandit kupuje za ciężkie pieniądze wędzone kozłatko.

Właściciel PODRÓŻY NA PÓLNOC powiedział, że Uuundaamp śpi. Luterin poszedł sam do jaskini wykutej w skale koło zagród asokinów na tyłach sklepu. Niektórzy Ondodzi siedzieli na ziemi, jedząc skrawki surowego mięsa, inni spali ze swymi kobietami na pryzkach przy ścianie góry.

Obudzono Uuundaampa, który przyszedł drapiąc się pod pachami i ziewając. W jego ustach błyskały zęby równie ostre jak kły asokinów.

— Ty twardy pan. Ty przyjść trzy godziny wcześniej. Ja twój człowiek dopiero piętnaście czas.

— Przepraszam, ale chciałbym jak najszybciej wyruszyć. Przyniosłem prezent, ishto?

Rzucił na ziemię wędzone kozłatko. Uuundaamp usiadł natychmiast koło zwierzęcia i zawołał przyjaciół. Wyciągnął nóż i skinął na Luterina.

— Wszyscy jeść, druh. Gumtaa. Potem my jechać wcześniej.

Kiedy Ondodzi usiedli na ziemi, Uuundaamp zawołał żonę, jakby coś mu się nagle przypomniało. Sturlała się ona z pryczy, którą dzieliła z mężem, i zbliżyła się do siedzących okręcona kocami. Widać było tylko okrągłą twarzyczkę z oczami przypominającymi oczy Uuundaampa. Nie próbowała przyłączyć się do kręgu żarłocznych mężczyzn, lecz stanęła potulnie za Uuundaampem, chwytając zręcznie wąskie plastry mięsa, które rzucał jej przez ramię.

Żując mięso, Luterin przyglądał się rękom Ondodów. Wąskie i żyłaste, miały po osiem palców. Tępe, szponiaste paznokcie, brudne i lśniące od tłuszczu, były zupełnie czarne.

— Gumtaa — rzekł Uuundaamp z pełnymi ustami.

— Gumtaa — zgodził się Luterin.

— Gumtaa — potwierdzili pozostali Ondodzi. Kobiety, z racji jej niższości, nie spytano, czy mięso jest smaczne.

Niebawem z kozłatka zostały same kości i rogi. Uuundaamp natychmiast wstał i otarł dłonie o swoje futra.

— Ale, ale, pan — powiedział, nadal żując mięso. — Ten ohydny tłumok z brzuchem pełnym wiatrów i dzieci to moja kobieta. Nazywać się Moub. Ty zapomnieć. Ona jechać razem. Ty nie zwracać uwagi.

— Jest bardzo piękna, Uuundaampie. Cieszę się, że będzie nam towarzyszyć. Kupiłem ten koc dla siebie i nie zamierzałem się z nim rozstawać, ale ponieważ Moub jest taka śliczna, chcę jej go ofiarować w prezencie.

— Loobiss. Ty dać sam. Wtedy ona nie zgubić. Ona cię pocałować. Shokerandit wręczył Moub koc w czerwono-żółte pasy.

— Loobiss — odrzekła. — Za ładny dla tłumok złego Uuundaampa. Podbiegła zręcznie do Luterina i pocałowała go zatłuszczonymi wargami.

— Gumtaa. Ty chcesz rozkosz, pan, ty wziąć Moub. Ona wyglądać okropnie, ale mieć wszystko na swoje miejsce. Ishto?

— Loobiss!

Przyjaźń została scementowana. Shokerandita ogarnęło uniesienie. Przypomniawszy sobie przejażdżki saniami z matką, gdy był dzieckiem, i zabawy z małymi Ondodami w majątku. Matka uważała ich zawsze za nieokrzesane bestie, może ze względu na specyficzne stosunki między płciami opierające się na inwektywach. Później Luterin odwiedzał z przyjaciółmi szopę na skraju borów kaspiarnowych. Pierwszych przeżyć erotycznych dostarczyły mu właśnie Ondodki. Pamiętał tęgą dziewczynę imieniem Ipaak, która nazywała go zawsze "różowym śmierdzielem".

Surowe rygory dla asokinów, surowe rygory dla wędrowców. Tak brzmiała reguła podróży do Kharnabharu.

Z przodu sań siedział z biczem w ręku Uuundaamp, a tuż za nim tęga Moub. Na tylnych płozach stał fagor imieniem Bhryeer, który kierował długim pojazdem. Zeskakiwał on często na ziemię to z lewej, to z prawej strony, a niekiedy popychał sanie, gdy stok stawał się zbyt stromy, by asokiny dały sobie radę same. Trójka ludzi siedziała okrakiem na zapasach przykrytych plandeką, przesuując się na prawo lub lewo zależnie od kierunku wiatru.

Z sań łatwo było wypaść, więc należało mieć oko na poganiacza i odgadywać, w którą stronę skręci. Niekiedy Uuundaamp prawie zniknął w tumanach śniegu spadającego ze szczytów nad nimi. Przejechali po drewnianym moście zdradliwy Venj, a teraz podążali na północny wschód pod wysokim grzbietem gór Shivenink, gdzie na wysokości ponad dziesięciu tysięcy metrów lód utrzymywał się przez cały Wielki Rok.

Nawet gdy nie padało, kłęby pary wydobywające się z pysków asokinów zasłaniały szczyty przed oczyma pasażerów. W zaprzęgu biegła jedna suka, by siedem pozostałych psów dawało z siebie wszystko. Na początku każdego nowego etapu asokiny często pierdziały. Zgrzyt żelaznych płóz mieszał się z ich dyszeniem. Inne dźwięki były przytłumione. Pasażerowie widzieli tylko białe ściany po obydwu stronach drogi. Smród psów i nie pranych ubrań stał się częścią krajobrazu. Monotonia stępała poczucie niebezpieczeństwa. Treść upływających dni stanowiło znużenie, blask śniegu, niewyraźne fantomy przelatujące przez umysł.

Uuundaamp nie odpoczywał podczas postojów. Bez końca krążył wraz z Moub wokół obozowiska, obserwując zjawiska naturalne: kształt chmur, przelatujące ptactwo, najdrobniejsze zmiany pogody, tropy zwierzyzny, odgłosy i oznaki lawin.

Od czasu do czasu spotykali pielgrzymów wędrujących w obie strony na piechotę. Droga jechały inne zaprzęgi, dzwoniąc dzwoneczkami. Pewnego razu znaleźli się za powolnymi saniami towarowymi z ładunkiem śledzi, co zmusiło ich do długiego wleczenia się aż do najbliższej mijanki. Sanie transportowały baryłki solonych ryb do odległego miejsca przeznaczenia.

Asokiny szczerkały wściekle, gdy spotykały inne zaprzęgi, ale poganiacze nigdy się nie pozdrawiali.

Nocne biwaki nie różniły się zbyt między sobą. Uuundaamp skręcał ze szlaku w wybranych miejscach. Później natychmiast rozłokowywał psy na noc, przywiązując je osobno do palików z dala od sań, by nie pogryzły skór. Asokiny otrzymywały co trzeci dzień dwa funty surowego mięsa: najlepiej pracowały na głodnego. Co wieczór dostawały ponadto śledzie, które Uuundaamp rzucał im po kolei, poczynając od swojego imiennika. Psy chwytaly ryby w powietrzu i połykały je w całości. Na ostatku karmiono sukę. Pies przewodnik spał w pewnej odległości od reszty zaprzęgu. Jeżeli nocą spadł śnieg, przysypywał on psy, które leżały w niewielkich wgłębieniach wytopionych przez własne ciepło. Wraz z asokinami spał fagor Bhryeer.

Wieczorny posiłek należało przygotować w ciągu piętnastu minut.

— To niemożliwe. Po co to wszystko? — skarżył się Fashnalgid.

— Ważne, że to możliwe i że tak trzeba — odparł Luterin. — Trzymaj namiot i ciągnij za linkę.

Zesztywnieli od mrozu. Łuszczyły im się nosy i poczerwieniały policzki.

Należało rozładować sanie i rozbić nad nimi namiot, w czym przeszkadzała często silna wichura. Na saniach rozpościerano skóry, na których spała piątka ludzi. W pobliżu układano rzeczy potrzebne w ciągu nocy: żywność, Kuchenkę, noże, lampę oliwną. Chociaż temperatura w namiocie utrzymywała się zwykle poniżej zera, stłoczeni ludzie pocili się po jeździe na mrozie.

Kiedy Uuundaamp wszedł pierwszego wieczoru do środka, trójka ludzi kłóciła się.

— Więcej nie mówić. Być dobrze. Gniew to smrtaa.

— Nie wytrzymam czterech tygodni czegoś takiego! — rzucił Fashnalgid.

— Jak nie będziesz go słuchał, po prostu nas zostawi — rzekł Luterin. — W trakcie podróży musisz zapomnieć o sobie. W górach nie wolno się kłócić, inaczej przychodzi śmierć.

— Niech nas zostawi, gówniarz.

— Umrzemy bez niego, nie rozumiesz?

— Occhara już, już — powiedział Uuundaamp, trącając Fashnalgida łokciem. Wręczył Moub parę srebrnych lisów, by je ugotowała. Pochodziły z sideł, które zastawił w trakcie poprzedniej podróży.

Namiot wypełnił się smakowitą wonią. Mięso pachniało wybornie. Zjedli je później brudnymi palcami, popijając ze wspólnego kubka wodę ze stopionego śniegu.

— Jedzenie ishto? — spytała Moub.

— Gumtaa — odpowiedzieli.

— Ona źle gotować — rzekł Uuundaamp, po czym zapalił i wręczył wszystkim fajki occhary. Zgaszono lampę i zapanował mrok. Wycie wichury zdawało się przycichać. Ludzi ogarnęła przyjemna błogość. Dym ulatujący z ich nosów był oddechem tajemniczego lepszego życia. Byli dziećmi gór, które wzięły ich w opiekę. Nic złego nie może spotkać tych, co jedli srebrne lisy. Chociaż między ludźmi jest tyle różnic, łączy ich jedno: z ich nosów, a może i z oczu, uszu oraz innych otworów ciała wydobywa się boski dym. Sen to jeden z otworów w ciele boga gór. Drzemiący ludzie stają się niekiedy snami srebrnych lisów.

Rankiem, gdy zwijali z wysiłkiem namiot w podmuchach zimnego wiatru, Toress szepnęła do Luterina:

— Jesteś wstrętny! Nienawidzę cię! Zeszłej nocy spałeś z Moub, z tą beczką tłuszczu! Słyszałam. Czulałam, jak sanie się trzęsą.

— Okazałem Uuundaampowi uprzejmość. Czystą uprzejmość. Nie robiłem tego dla przyjemności. Luterin odkrył, że Ondodka jest w zaawansowanej ciąży.

— Nie wątpię, że w nagrodę nabawisz się jakiegoś choróbka. Uśmiechnięty Uuundaamp przyniósł im dwa ogony srebrnych lisów.

— Nieść one w zęby. Gumtaa. Trzymać zimno od policzków.

— Loobiss. Masz coś takiego dla Fashnalgida?

— Jemu ogon rosnąć na twarzy — rzekł Uuundaamp, wskazując wąsy kapitana i śmiejąc się wesoło.

— Przynajmniej stara się być miły — rzekła Toress, wkładając ogon do ust, by osłonić przemarzniętą twarz.

— Uuundaamp jest miły. Kiedy rozbijemy dziś wieczorem biwak, ty też musisz być dla niego miła. Powinniśmy mu się zrewanżować.

— Nie, Luterinie, tylko nie to... Myślałem, że masz dla mnie trochę serca!

— Chcę, żebyśmy dotarli do Kharnabharu cali i zdrowi! — zwrócił się do niej z wściekłością. — W przeciwieństwie do ciebie, znam obyczaje tych ludzi. To kodeks norm, kwestia przetrwania. Przestań się uważać za taki specjał!

— Więc pewnie nic cię nie obchodzi, że Fashnalgid mnie gwałci, jak tylko się odwrócisz plecami? — spytała głęboko urażona. Luterin upuścił namiot i chwycił Toress za kurtkę.

— Nie kłamiesz? Kiedy to zrobił? Mów! Kiedy? Ile razy? Słuchał ponuro jej wyznań.

— Bardzo dobrze, Toress. — Mówił szeptem, z twarzą ściągniętą złością. — Fashnalgid złamał przymierze, jakie istniało między nami jako oficerami. Jest nam potrzebny w czasie podróży, ale kiedy dotrzemy do majątku ojca, zabiję go, rozumiesz? A na razie trzymaj język za zębami.

Załadowali sanie, nie zamieniając więcej ani słowa. Smrtaa, czyli zemsta. Ważny element życia w owych okolicach. Uuundaamp zaprzął psy i po kilku minutach znów ruszyli przez mgłę. Luterin i Toress gryźli ogony srebrnych lisów.

Wiecznie czuwające maszyny „Awernusa” nadal notowały wydarzenia rozgrywające się na Helikonii i przysyłały je automatycznie na Ziemię. Jednakże niedobitki załogi stacji mało interesowały się jej głównym zadaniem. Ich uwaga skupiła się na przetrwaniu. Wskutek chorób i walk tak niewielu pozostało przy życiu, że samoobrona przestała stanowić codzienną konieczność.

Wiele czasu poświęcono na ustalanie terytoriów plemiennych, by zapobiec krwawym potyczkom. Pomiędzy siedliskami ludzi wegetowały monstrualne organa rozrodcze, które otoczył nimb świętości, aż stały się czymś pośrednim między bogami a demonami.

Chociaż zapanował względny spokój, wcześniejsze zniszczenie syntezatorów żywności doprowadziło do kanibalizmu. Spożywano prawie wyłącznie ludzkie mięso. Stanowcze tabu dotyczące owej praktyki wystawiło na ciężką próbę subtelność wrażliwość mieszkańców „Awernusa”. Powrót do barbarzyństwa w okresie jednego pokolenia okazał się przeżyciem zbyt bolesnym.

Zapanował ustrój matriarchalny, a u wielu młodszych mężczyzn, zwłaszcza wyrostków, rozwinęły się osobowości rozszczerzone. W jednym ciele funkcjonowało do dziesięciu odmiennych osobowości, które różniły się skłonnościami, wiekiem, płcią oraz zwyczajami. Często spotykało się ascetycznych jaroszy tożsamy z dzikusami z epoki kamienia łupanego i plemiennych szamanów będących jednocześnie natchnionymi prawodawcami.

Załoga „Awernusa” oderwała się zupełnie od natury. Ludzie przestali rozumieć nie tylko swoich pobratymców, lecz także siebie samych.

Nie wszyscy zaadaptowali się do sytuacji. Kiedy doszło do pierwszych gwałtownych walk, „Awernusa” opuściło kilku inżynierów. Ukradli raketę z jednej z komór naprawczych statku i uciekli. Wylądowali na Aganipie.

Chociaż zielono-błękitno-biała Helikonია wyglądała kusząco, wszyscy zdawali sobie sprawę, jak jest niebezpieczna. Aganip zajmował szczególne miejsce w mitologii „Awernusa”, ponieważ to tutaj, wiele wieków temu, ziemski statek kolonizacyjny założył pierwszą bazę w trakcie budowy stacji.

Na Aganipie nie występowało życie, a atmosfera składała się prawie wyłącznie z dwutlenku węgla ze śladami azotu. Jednakże nadal istniała tam stara baza, gdzie uciekinierzy mogli znaleźć schronienie.

Zbudowano niewielką kopule. Przybysze żyli w niej, nie mogąc wychodzić na zewnątrz. Z początku wysyłali sygnały na Ziemię, a później, z natury rzeczy nie chcąc czekać na odpowiedź dwa tysiące lat, do „Awernusa”. Jednakże stacja miała własne problemy i milczała.

Uciekinierom nie udało się pojąć istoty ludzkości: tego, że podobnie jak słoń i stokrotka, człowiek stanowi cząstkę większej struktury. Ludzie, bardziej złożeni od słoń i stokrotek, nie mają poza nią szans rozwoju. Przez długi czas sygnały wysyłano automatycznie.

Nikt ich nie odbierał.

XII. KAKOOL NA SZLAKU

Kiedy zmasowany duch ludzki zwany telepatią przekroczył przestrzeń i nawiązał kontakt z mamikami Helikonii, co wtedy? Czy nic się nie stało, czy też doszło do czegoś niespodziewanego i wspaniałego, jakościowo różnego?

Odpowiedź na to pytanie pozostanie być może na zawsze tajemnicą. Chociaż ludzkość próbuje odważnie rozszerzać swoje horyzonty percepcyjne, jest elementem pewnej określonej struktury. Stanie się częścią struktury szerszej może się okazać biologicznie niemożliwe. A może nie? Wystarczy przyznać, że jeśli wydarzyło się coś niespodziewanego i wspaniałego, coś jakościowo różnego, dotyczyło to struktury szerszej niż ludzka.

To, co zaszło, sprowadzało się do współdziałania różnych czynników, współdziałania podobnego do współpracy wędrowców na szlaku do Kharnabharu.

To, co zaszło, pozostawiło ślad, który można zrekonstruować porównując losy Ziemi, gdzie panowała Gaja, oraz Nowej Ziemi, istniejącej bez opiekuńczego ducha biosfery.

Zacznijmy od Ziemi, od której wzięła nazwę Nowa Ziemia.

Przerwa pomiędzy dwiema epokami lodowcowymi, jakie nastąpiły po wojnie nuklearnej, przypominała wychylenie się wahadła. Gaja próbowała wyregulować zegar biologiczny. Jednakże nie było to takie proste, albowiem biosfera jest bardziej skomplikowana niż mechanizm zegara. Można to wyrazić ściślej. Gaja zapadła na niemal śmiertelną chorobę. Obecnie zdrowiała, choć zdarzały się nawroty.

Aby uniknąć niebezpiecznej personifikacji, można powiedzieć, że epokę cofania się lodowców zapoczątkował dwutlenek węgla wyzwolony w głębi oceanów. Kiedy rozregulowane ekosystemy biosfery usiłowały się przystosować do efektu szklarniowego, sytuacja nagle się zmieniła. Lody powróciły.

Tym razem mróz był łagodniejszy, czapy podbiegunowe mniej rozległe, zimno krótsze. Epoka ta charakteryzowała się serią szybkich zmian klimatycznych przypominających stopniowe zamieranie ruchów wahadła. Ludzie, rozrzućeni na wielkich obszarach, żyli przez wiele pokoleń w warunkach dalekich od komfortu. W trakcie jednego z nawrotów choroby w dziewiątym stuleciu szóstego tysiąclecia na terenie dawnych Indii wybuchła wojna, po czym nastąpił okres głodu i epidemii.

Czy banalną wojnę można porównać do pogorszenia się stanu pacjenta?

Niepokoje owej epoki pozostawiły ślad w duchu ludzkim. Uniki nie były już możliwe. Dawny świat wykretów zniknął na zawsze z powierzchni planety.

„Należymy do Gai”. Deklaracji tej towarzyszyła świadomość, że istoty ludzkie nie są najlepszymi sojusznikami Ziemi. Ażeby ujrzeć owych sojuszników, potrzebny jest mikroskop.

Na długo przed wynalezieniem i udoskonaleniem broni nuklearnej istniały przepowiednie, że złość ludzka doprowadzi świat do zagłady. W proroctwa te, powtarzane przez stulecia, wierzono zawsze, niezależnie od tego, ilekroć okazywały się fałszywe. Ludzkość dręczyło skryte pragnienie kary i lęk przed nią.

Kiedy stworzono broń jądrową, przepowiednie nabrały pozorów prawdopodobieństwa, choć miały teraz charakter świecki, a nie religijny.

Chociaż rządy starały się to zatuszować, stało się oczywiste, że świat może ulec zagładzie za naciśnięciem guzika.

W końcu guzik naciśnięto. Bomby wybuchły.

Jednakże złość ludzka okazała się zbyt słaba, by zniszczyć świat. Walczyły z nią pracowite mikroorganizmy, którymi źli ludzie mało się interesowali.

Zniknęły krzewy i drzewa. Na pewien czas opuściły scenę istoty mięsożerne, w tym człowiek. Nie były chwilowo potrzebne. Wielkie istoty pełniły zaledwie rolę gwiazdorów w dramacie Ziemi. Jednakże statysci żyli nadal. W glebie, na dnie szelfu kontynentalnego, historię Gai kontynuowały nieprzeliczone mikroby. Nie zaszkodziła im radioaktywność ani nadmiar promieniowania ultrafioletowego. Naturę odbudowały ekosystemy jednokomórkowców. Stanowiły one tętno planety.

Goja regenerowała się. Od postępów jej zdrowienia zależały losy rasy ludzkiej. W końcu nastąpiła skokowa przemiana ilości w jakość i doszło do ponownych narodzin świadomości.

W miarę jak odradzała się harmonia natury, podobne procesy toczyły się także w sferze duchowej. Ludzie nie mogli już wyłącznie czuć ani wyłącznie myśleć: istniało tylko telepatyczne myśloczucie. Rozum i serce złąły się w jedno.

Jednym w bezpośrednich efektów tego stanu rzeczy był brak zaufania do władzy.

Wielu ludzi pojmowało, jakie szkody przyniosła światu żądza władzy we wszelkich swoich przejawach. Owa groźba zniknęła. Ludzkość dorosła i nauczyła się rozkoszować życiem w sposób dojrzały. Ludzie rozglądali się po zajmowanych przez siebie terenach, nie pytając już: „Jaką korzyść odniesiemy z posiadania tego obszaru?”, tylko: „Jak najsensowniej spędzić na nim czas?”

Zmienionemu światopoglądowi towarzyszyły więzy nie oparte na wyzysku i mnogość nowych związków międzyludzkich. Starożytna struktura rodziny ustąpiła miejsca nadrodzinie. Ludzkość stała się wielkim luźno powiązaniem organizmem. Nie zdarzyło się to natychmiast ani nie dotyczyło wszystkich. Niektórzy nie potrafili przejść owej metamorfozy. Jednakże byli nosicielami genów recesywnych i stopniowo wymarli. Pozostali jedynymi nieczułymi nowego świata telepatii. Oni jedni się nie uśmiechali.

Po kilku następnych pokoleniach ludzie poczuli się świadomością Gai. Ekosystemy jednokomórkowców przemówiły własnym głosem: w pewnym sensie wynalazły go.

Owym procesom towarzyszyła rekonwalescencja biosfery. Kiedy ludzkość ewoluowała, rta Ziemi powstała zupełnie nowa istota.

Wiele gatunków uległo całkowitej zagładzie. Po nuklearnym ataku uschły tropikalne lasy równikowe pełne niezliczonych istot żywych. Ich delikatna gleba została splukana do morza, toteż nie mogły się odrodzić. Zastąpiły je teraz zdumiewające stwory.

Nie narodziły się one w oceanie. Pochodziły ze śniegów i lodów Arktyki. Czerpały energię z promieniowania ultrafioletowego i ruszyły na południe, gdy lodowce cofnęły się na północ.

Pierwsi ludzie, którzy się na nie natknęli, uciekli w popłochu.

Powoli zbliżały się do nich białe wielościany. Niektóre przypominały gigantyczne żółwie, inne miały wysokość człowieka. Nie posiadały żadnych widocznych narządów ruchu, ramion, macek, ust, oczu, uszu, otworów ani wyrostków. Były po prostu białymi wielościanami. Niektóre płaszczyzny zdawały się mniej białe niż inne.

Wielościany nie pozostawiały śladów. Podążały, dokąd chciały. Poruszały się wolno, lecz nic nie mogło ich zatrzymać, choć odważni mężczyźni próbowali. Nazwano je geonautami.

Geonaucci rozmnożyli się i podróżowali po Ziemi.

Geonaucci stali się nowym cudem świata. Jednakże nadal istniały stare. Na całej planecie rozsiane były wielkie muszlowate amfiteatry utrzymywane przez androidy, które wykonywały ściśle swój program, ponieważ nie potrafiły niczego innego.

Kiedy na Ziemi topniały śniegi, na ekranach holograficznych wiosna Wielkiego Roku ustąpiła miejsca latu. Wszyscy ludzie poznali dzieje przepięknej Myrdemlנגgali zwanej Królową Królowych. Historia sprzed tysiąca lat wiele ich nauczyła.

Patrzyli na ekrany. Byli dumni z błogosławionego wpływu telepatii na duchy Helikonii. Jednakże wzywał ich niecierpliwie własny świat, którego świeżemu pięknu nie potrafili się oprzeć. Mieli przed sobą tysiącletnią wiosnę.

A cóż stało się ze wspaniałym, jakościowo różnym zjawiskiem polegającym na kontakcie telepatycznym między dwiema planetami? Czyż ludzie obdarzeni bystrym wzrokiem spostrzegli jego ślady?

Wróćmy do dziejów Nowej Ziemi.

Inne planety także przyszły nieco do siebie. Na martwych globach, takich jak Mars czy Wenus, nie istniała Matka Natura. Panowały na nich ekstremalne temperatury, a atmosfery składały się głównie z dwutlenku węgla. Jednakże pechowcy, którzy się tam osiedlili, zdołali przeżyć dzięki rozumowi i technice.

Koloniści mieli obsesję na punkcie Ziemi. Pokolenie za pokoleniem przytłaczał ich brak praw natury panujący w kosmosie. Nie mogli powrócić na Ziemię, toteż czuli się wydziedziczeni.

Kiedy znów osiągnęli wysoki poziom rozwoju techniki — a problemy inżynieryjne rozwiązywali sprawniej niż społeczne — skonstruowali kosmolot i wyruszyli do najbliższej planety skolonizowanej przez Ziemiaków, tak zwanej Nowej Ziemi.

Wyprawa składała się wyłącznie z mężczyzn. Pozostawili oni żony na rodzimej planecie, zabrawszy ze sobą kochanki roboty, abstrakcyjne ideały kobiecości. Zaspokajali zmysły, spółkując z owymi pięknymi lalkami.

Atmosfera Nowej Ziemi nadawała się do oddychania. Istniał tam jeden wielki ocean otoczony pustyniami i niegościnnymi łańcuchami górskimi. Na równiku znajdował się kosmodrom oraz miasto. Kosmodrom był od stuleci nie używany. Nie, miasto nie powiększyło się: drogi wylotowe prowadziły donikąd. Jego mieszkańcy nie mieli pojęcia o niezmiernym oceanie przestrzeni nad swymi dachami.

Mieszkańcy Nowej Ziemi przypominali wykastrowane zwierzęta. Z ich psychiki zniknął duch życia i buntu. Nie posiadali aspiracji, nie interesował ich ogrom wszechświata, nie kochali planety stanowiącej własny dom, nie przeżywali uniesień o wschodzie i zachodzie słońca. W zdegenerowanym języku, jakim się posługiwali, nie występował tryb warunkowy. Kompletnemu zapomnieniu uległa sztuka muzyczna.

Nic dziwnego. Był to świat pozbawiony ducha.

Mieszkańcy Nowej Ziemi odwiedzali od czasu do czasu brzegi słonego oceanu. Podróże te nie służyły celom wypoczynkowym, lecz miały za zadanie zbieranie wodorostów morskich, które były jednymi z nielicznych żywych organizmów na planecie. Mieszkańcy Nowej Ziemi nawozili nimi pola, uprawiając zboże przywiezione przed wiekami z Ziemi.

Nie mieli marzeń, gdyż przebywali na planecie, gdzie nigdy nie istniała pierwotna Gaja. Jednakże stworzyli mit. Wierzyli, iż żyją w olbrzymim jajku, którego żółtkiem jest pustynia, a skorupą bezchmurne niebo. Legenda głosiła, że pewnego dnia niebo pęknie i rozpadnie się. Wyklują się z niego ludzie z żółtymi skrzydłami i białymi ogonami, po czym pofruną do lepszego świata, gdzie w miłych dolinach rosną ogromne wodorosty i zawsze pada deszcz.

Kiedy członkowie wyprawy przybyli na Nową Ziemię, planeta nie podobała im się. Polecieli zbadać sąsiedni glob, podobny do Nowej Ziemi, lecz mający wielkość Ziemi. Nowa Ziemia była światem piasku, jej siostrzyca światem lodu.

Wysiano sondy obserwacyjne, które miały zebrać fotografie powierzchni i tego, co znajduje się pod lodem.

Był to odpychający glob. Wszędzie wznosiły się łańcuchy górskie i lodowce. Tereny nizinne pokrywały nieprzebyte pola śniegu. Martwa planeta przypominała mroźną Helikonię w okresie apastronu. Koloniści wylądowali. Pod taflą lodu widać było szczątki olbrzymiej budowli. Jej fragmenty leżały rozrzucone wokół, a niektóre poniósł dalej lodowiec. Ludzie dostali się do wnętrza ruin za pomocą materiałów wybuchowych.

Jedno z pierwszych znalezisk stanowiła głowa wyrzeźbiona w trwałym tworzywie sztucznym. Nie należała ona do człowieka. W szczupłej, wydłużonej czaszce tkwiły dwie pary oczu bez powiek, pod którymi znajdowały się drobne piórka. Przeciwwagę dla cofniętej czaszki stanowił krótki dziób. Głowa była poczerniała po jednej stronie.

— To piękne — stwierdziła kobieta robot.

— Raczej ohydne.

— Ktoś uważał to kiedyś za piękne.

Datowanie nie nastęrczało większych trudności. Miasto zburzono trzy tysiące dwieście lat wcześniej, w okresie pracowitej kolonizacji Nowej Ziemi.

Przyczyną zagłady była wojna nuklearna, która zniszczyła także gatunek ptaków.

Koloniści nazwali glob Infernem. Przebywali przez pewien czas na lodowatej powierzchni, melancholijnie debatując, co robić.

— Myślę, iż możemy przyjąć, że znaleźliśmy tu odpowiedź na jedno z pytań, które dręczą ludzkość od wielu pokoleń — rzekł jeden z przywódców wyprawy. — Dlaczego w trakcie podróży kosmicznych człowiek nie napotkał nigdy innych istot rozumnych? Zawsze przyjmowano, że w galaktyce roi się od życia. Jest inaczej. Dlaczego istnieje tak niewiele planet podobnych do Ziemi?

Cóż, zdajemy sobie sprawę, iż Ziemia to miejsce niezwykle, spełniające liczne specjalne warunki. Na przykład w atmosferze znajduje się około dwudziestu jeden procent tlenu. Gdyby było go dwadzieścia pięć procent, pioruny powodowałyby pożary lasów i paliłoby się nawet wilgotne poszycie. Na Nowej Ziemi, gdzie atmosfera zawiera osiemnaście procent tlenu, nie ma roślin, które wiążą dwutlenek węgla i uwalniają cząsteczki tlenu. Nic dziwnego, że tamtejsi nieszczęśliwcy marzą o lepszym świecie.

Mimo to statystyka dowodzi, że muszą istnieć planety podobne do Ziemi. Może takie było Inferno. Przypuśćmy, że podobnie jak na Ziemi przed wojną nuklearną, supremację zdobył tu gatunek wszystkożerny. Gatunek ów dokonał tego za pomocą narzędzi, poczynając od maczug i łuków. Opanował prawa natury.

Przyszła pora, gdy nauka osiągnęła tak wysoki poziom, iż pojawiły się alternatywne drogi rozwoju. Gatunek mógł wyruszyć w kosmos lub niszczyć wrogów za pomocą broni jądrowej.

— A jeśli na planecie nie było wrogów? — spytał ktoś.

— Wówczas należało ich wynaleźć. Jak wiemy, współzawodnictwo generowane przez technikę czyni wrogów niezbędnymi. W tym kryje się sedno sprawy. Na tym etapie, u progu doniosłych odkryć, w przeddzień wyzwolenia się z ograniczeń nakładanych przez pobyt na macierzystej planecie, gatunek otrzymał wielkie pytanie egzaminacyjne: Czy potrafisz wykształcić w sobie umiejętność współżycia z innymi i ująć w karby własną agresję? Czy umiesz wznieść się ponad siebie i zawrzeć trwałe pokój z wrogami, by na zawsze odrzucić wstrętne narzędzia zagłady?

Rozumiecie, o co mi chodzi? Jeśli gatunek obleje egzamin, zniszczy planetę i siebie, udowadniając, że nie jest w stanie przekroczyć strefy kwarantanny, jaką stanowi przestrzeń kosmiczna. Inferno nie nadawało się. Jego mieszkańcy nie zdali egzaminu. Zniszczyli własny świat.

— To, co mówisz, oznacza, że nikt się nie nadaje. Nie odkryliśmy dotąd istot odbywających podróże kosmiczne. Przywódca roześmiał się.

— Nie zapominajcie, że jesteśmy ciągle na progu Ziemi. Nikt nie nawiąże z nami kontaktu, dopóki się nie przekonają, że jesteśmy godni zaufania.

— A jesteśmy?

Zapanowała wesołość, a przywódca rzekł:

— Zajmijmy się najpierw Infernem. Może uda nam się je ożywić, jeśli naciśniemy właściwy guzik.

Dalsze badania zdradziły, jak wyglądał pierwotnie glob. Znajdował się na nim wielki ocean podbiegunowy, który przed katastrofą nuklearną był tylko częściowo zamrożony. Po wojnie zanieczyszczona atmosfera ochłodziła się, a ocean stał się cieplejszy od otoczenia. W rezultacie powstała pionowa cyrkulacja pary wodnej. W strefie podbiegunowej doszło do gwałtownych burz, które prawdopodobnie zabiły wszystkie istoty żywe, jakie ocalały z katastrofy. Na równikowy płaskowyż pokryty niegdyś miastami spadły wielkie opady śniegu. Planetę opanowały lodowce.

Aby przywrócić Infernu życie, podróżnicy postanowili zrzucić na zamrożony ocean ładunek termojądrowy, nazwany przez ich przywódcę „ohydny mroźny środek zagłady”. Jednakże lodowa pustynia pozostała lodową pustynią. Miejscowy duch opiekuńczy biosfery był całkowicie martwy.

Kolonistom kończyło się paliwo. Postanowili wrócić na Nową Ziemię i podbić ją. Odkrycia dokonane na Infernie podsunęły im pewien pomysł. Doszli do wniosku, że dokładnie jeden ładunek termojądrowy zrzucony na Biegun Północy Nowej Ziemi wywoła wielkie opady deszczu, które zmienią planetę nie do poznania. Oceany powiększą się, a miejscowe żywe trupy staną się użyteczne przy kopaniu kanałów.

Wyrośnie więcej wodorostów, w atmosferze zaś przybędzie tlenu. Szacunkowe obliczenia wyglądały obiecująco. Osadnicy uznali, iż użycie jeszcze jednej bomby termojądrowej to decyzja rozsądna.

Mieszkańcom Nowej Ziemi ziściła się przynajmniej część legendy. Niebo pękło i rozpadło się.

Na czym polegają podstawowe różnice? Dlaczego Nowa Ziemia nigdy się nie odrodziła, gdy tymczasem Ziemia rozkwitła i wydała organizmy takie jak geonauci?

Kiedy Ziemianie porozumieli się telepatycznie z duchami Helikonii, we wszechświecie zaczął działać nowy czynnik. Mieszkańcy Ziemi, czy zdawali sobie z tego sprawę, czy nie, stanowili soczewkę, w której skupiała się świadomość całej biosfery. Więż telepatyczna była silna. Łącząc obydwie planety, stanowiła psychiczny odpowiednik magnetyzmu czy grawitacji.

Aby określić to jeszcze dobitniej: Goja porozumiewała się bezpośrednio ze swoją zmysłową siostrą, Pramacierzą.

Są to oczywiście spekulacje. Ludzkość nie jest w stanie pojąć szerszych struktur, których stanowi częścią. Ale człowiek może wyćwiczyć zmysły w poszukiwaniu znaków. Sugerują one niezbitnie, że Goja nawiązała kontakt z Pramacierzą za pośrednictwem swego potomstwa. Można tylko zgadywać, jak wielkie zdumienie ją ogarnęło, chyba że druga epoka lodowcowa i nawroty choroby to właśnie oznaki zdumienia.

To, że rekonwalescencję Gai przyspieszył ożywczy kontakt z siostrzanym duchem w pustce kosmosu, jest także kwestią domysłów.

Geonauci, spokojni, łagodni, na pozór nieszkodliwi, stanowili zjawisko nieznanne. Nie należy ich uważać za kaprys ewolucji, lecz inspirację zrodzoną z nowej, po tężnej przyjaźni i... Tymczasem na Helikonii trwał uroczysty pochód pół roku.

Na półkuli północnej kończyło się małe lato. Nocne przymrozki zwiastowały nadejście zimy. W krętych przełęczach gór Shivenink zapanował mróz, biorąc we władanie żywe istoty, jakie się tam zapuściły.

Wstał ranek. Słychać było wycie wichru, chłodnego oddechu bieguna. Ludzie łądowni sanie, a fagor i Uuundaamp zaprzęgali asokiny. Od wyjazdu z Sharagattu minęło siedemnaście dni. Nigdzie nie spostrzeżono śladów pościgu.

Z trójki pasażerów najlepiej czuł się Luterin. Toress prawie przestała się odzywać. W nocy leżała w namiocie jak martwa. Fashnalgid mówił rzadko, chyba że kłął. Natychmiast po wyjściu na dwór brwi i rzęsy wędrowców pokrywały się szronem, a policzki czerniały od mrozu.

Ostatni odcinek szlaku biegł na wysokości ponad sześciu kilometrów nad poziomem morza. Na prawo, otoczona kłębiastymi chmurami, wznosiła się ściana litego lodu. Widoczność spadła do kilku stóp.

Uuundaamp podszedł do Luterina. Na jego oszronionej twarzy błyskały wesole oczka.

— Dziś łatwy dzień! — krzyknął. — W dół przez tunel. Ty pamiętać tunel, pan?

Rozmowa na wietrze wymagała wysiłku.

— Tunel Noonat?

— Yaya, Noonat. Dojechać tam wieczór. Pić, jeść, occhara, gumtaa.

— Gumtaa. Toress jest zmęczona.

Ondod potrząsnął głową i roześmiał się z zaciśniętymi wargami.

— Ona wnet mięso dla asokin. Już nie rozkosz gumtaa, co?

Luterin wyczuł, że poganiacz czegoś nie dopowiedział. Odwrócili się jednocześnie plecami do reszty podróżnych, którzy ładowali sanie. Uuundaamp założył ręce na piersi.

— Twój przyjaciel, który mieć ogon na twarzy... Zerknął złośliwie w bok.

— Fashnalgid?

— Twój przyjaciel z ogon na twarzy. Zaprzęg go nie lubić. On dużo kakool. Zły czas. My zgubić ten śmieć w tunel Noonat, ishto?

— Napastował Moub?

— On znowu wczoraj wsadzić w Moub. Rozkosz z tłumok, ishto? Ona nie lubić. W niej dzieciak Uuundaamp. — Roześmiał się. — Więc my go zgubić w tunel, rozumieć?

— Przykro mi, Uuundaampie. Loobiss, żeś mi powiedział, ale proszę, żadnej smrtaa w tunelu.

Porozmawiam z nim w Noonat. Już nie zażyje rozkoszy z Moub.

— Ty lepiej zgubić ten przyjaciel, pan. Inaczej dużo kakool, rozumieć?

Roześmiał się i wykrzywił, pukając się w czoło, po czym odwrócił się na pięcie.

Ondodzi rzadko okazywali gniew. Jednakże Luterin zdawał sobie sprawę, że są zdraziecty z natury. Uuundaamp nadal zachowywał się przyjaźnie, gdyż bez pozorów przyjaźni wspólna podróż byłaby niemożliwa, lecz stracił twarz, mówiąc człowiekowi o hańbie, jaka spotkała jego żonę.

Shokerandita zaproszono do przespania się z Moub. Ondodzi okazywali w ten sposób grzeczność, a odmowa obraziłaby Uuundaampa. Jednakże Fashnalgid zrobił to bez zaproszenia, przez co złamał prawo. Prawa Ondodów były proste i surowe, a ich naruszenie oznaczało śmierć, smrtaa. Uuundaamp zabije Fashnalgida bez litości. Skoro postanowił go zgubić w tunelu Noonat, prośby Luterina nie zdadzą się na nic.

Toress i Fashnalgid zerkali ciekawie na Luterina. Mieli oczy w czerwonych obwódkach. Nie odezwał się do nich, choć czuł głęboki niepokój. Uuundaamp dawał na wszystko baczenie i spostrzegłby próbę ostrzeżenia Fashnalgida. To także byłby kakool.

Z półmroku wynurzyło się kosmate cielsko Bhryeera, wlokącego sanie. Jego oczy błysnęły czerwono, gdy odwrócił na moment głowę, by popatrzeć na ludzi. Ponury wzrok zatrzymał się na Luterinie. Z oczu fagora nie dawało się niczego wyczytać.

Dwurożec pociągnął mlecznobiałym zlodowaciałym nosem i krzyknął ponad wichurą:

— My gotów droga! Wsiadać do sań! Trzymać się!

Fashnalgid wyciągnął zza pazuchy manierkę, wetknął szyjkę między luszczące się wargi i lknął. Kiedy chował naczynie między skóry, Luterin rzekł do niego:

— Radzę ci, nie pij. Trzymaj się mocno, jak powiedział.

— Abro Hakmo Astab! — warknął kapitan. Czknął i odwrócił się.

Toress spojrzała błagalnie na Luterina. Potrząsnął surowo głową, mówiąc w duchu: "Nie poddawaj się, trzymaj mocno zębami ogon srebrnego lisa".

Kiedy zajęli miejsca w saniach, widzieli tylko plecy Uuundaampa, za którym siedziała Moub, okręcona kolorowym kocem. Psy były niewidoczne. Ondod uniósł nad głowę długi bicz. Ipssssisiiii! Pierwszy zgrzyt stalowych płóz na śniegu. Miejsce nocnego biwaku, usiane żółtawymi plamami moczu ludzi i asokinów, zniknęło natychmiast we mgle.

Po godzinie ruszyli z góry w stronę tunelu Noonat. Luterin poczuł w gardle dławiący lęk. Straciłby twarz, pozwalając Ondodowi zabić człowieka pod jakimkolwiek pretekstem. Jego złość na Uuundaampa zwróciła go przeciwko Harbinowi Fashnalgidowi, który siedział tuż obok, zgarbiony i nieszczęśliwy. Nie zamienili ani słowa.

Jechali coraz szybciej. Poruszali się z prędkością około pięciu mil na godzinę. Luterin patrzył przed siebie zmrużywszy oczy. Widział tylko mętną szarość, choć gdzieś na górze mżyło delikatne światło. Do tyłu uciekały widma białych drzew.

Wśród zwyczajnych odgłosów — skrzypienia sań, świstu bicz, pierdzenia psów, trzasku lodu, gwizdu wiatru — zaczął narastać inny dźwięk, głuchy i złowieszczy. Było to wycie wichru w tunelu Noonat. Moub odpowiedziała dmąc w zakręcony róg kozła.

Ondodzi ostrzegali inne zaprzęgi, które nadjeżdżały z przeciwnej strony.

Przycmione światło nad głową nagle zgasło. Znaleźli się w tunelu. Fagor wydał ochrypły okrzyk i uruchomił tylny hamulec, by zwolnić pęd sań. Bicz Uuundaampa zaśpiewał inaczej przed nosem przewodnika, który zwolnił biegu.

Lodowaty wiatr uderzył podróżnych niczym ściana lodu. Tunel biegnący pod górami stanowił skrót do stacji pocztowej w Noonat. Droga, którą jechały cięższe sanie i maszerowali ludzie, była dłuższa o kilka mil, lecz mniej niebezpieczna. W tunelu istniała zawsze groźba czołowego zderzenia dwóch sań i beznadziejnego splątania uprzęży. Rywalizujące asokiny walczyły wówczas na śmierć i życie, a ludzie chwyтали za noże. Ponieważ tunel miał półkoliste dno, dwa zaprzęgi mogły w zasadzie minąć się bez szwanku przy przeciwległych ścianach, lecz było to tak mało prawdopodobne, że prerażeni woźnice pędzili na oślep, dmąc w rogi.

Tunel miał dziewięć mil długości. Silny wiatr i kamienie na dnie powodowały, że sanie kołysały się na obie strony jak statek bez steru.

Uuundaamp próbował zwolnić, co zwiększyło wibracje. Fashnalgid zaklął. Poganiacz i jego żona usiedli na krawędzi sań i wbili pięty w śnieg, by zwolnić jeszcze bardziej.

Bhryeer pochylił się i krzyknął do Fashnalgida:

— Wypaść twoja butelka!

— Butelka? Gdzie?

Kiedy kapitan wychylił się z sań i popatrzył na miejsce wskazane przez fagora, dwurożec rąbnął go w kark. Fashnalgid upadł z krzykiem na ziemię, łądując na czworakach i tocząc się po śniegu.

Natychmiast rozległ się piskliwy okrzyk Uuundaampa, który zaciął asokiny biczem. Fagor wyciągnął tylny hamulec. Sanie pomknęły do przodu, przyspieszając na pochyłości.

Fashnalgid, rozplywający się już w mroku, zerwał się na równe nogi i puścił biegiem za zaprzęgiem. Luterin popędzał go krzykiem. Wycie wichru mieszało się z wrzaskami Ondodów i zgrzytem płóz. Kapitan zaczął doganiać sanie. Kiedy z wykrzywioną wysiłkiem twarzą zrównał się z ich tyłem, fagor uniósł łapę, by uderzyć ponownie.

Człowiek, samotny w długim tunelu, skazany był na śmierć. Przejechałyby go po prostu inne zaprzęgi pędzące w półmroku. Tak wyglądała smrtaa Ondodów.

Krzycząc na cały głos, Luterin wyciągnął pistolet i poczołgał się na czworakach na tyły wyładowanych sań. Przyłożył lufę do smukłej czaszki fagora.

— Rozwałę ci łeb!

Wpadł mu z ust ogon srebrnego lisa i zniknął. Fagor skulił się ze strachu.

— Hamuj!

Bhryeer usłuchał, obsypując biegnącego mężczyznę pióropuszem śniegu, lecz nie zdołało to zmniejszyć impetu sań pędzących z góry.

— Szybciej! — krzyknął Luterin, wyciągając dłoń do kapitana.

Fashnalgid przyspieszył, wzmagając wysiłki. Zrównywał się powoli z saniami. Słysząc było coraz głośniejszy tupot jego butów. Prerażony Bhryeer cofnął się. Świszczał wiatr.

Chwyciwszy linę, która mocowała namiot, Luterin pochylił się do przodu i wyciągnął rękę. Krzykiem zachęcał Fashnalgida, który zaczął zdradzać oznaki zmęczenia. Sanie nadal nabierały prędkości. Dwaj mężczyźni patrzyli sobie w rozszerzone oczy. Ich rękawice zetknęły się.

— Teraz! — ryknął Luterin. — Wskakuj, człowieku, szybko!

Chwycili się za ręce. Kiedy Shokerandit pociągnął Fashnalgida ku sobie, Uuundaamp skręcił ostro w lewo, wjeżdżając na półkolistą ścianę tunelu i prawie przewracając pojazd, tak że Luterin wypadł z sań. Usiłował chwycić płożę, która przeleciała mu ze zgrzytem koło nosa. Kapitan potknął się o niego i obaj padli plackiem na ziemię.

Kiedy się podnieśli, zaprzęg niknął w półmroku.

— Kurewscy poganiacze! — zaklął Fashnalgid, zginając się wpół i próbując złapać oddech. — Bestie.

— Zrobili to celowo. To smrtaa, zemsta Ondodów. Za twoje małpie figle z Moub.

Aby móc prowadzić rozmowę, Luterin musiał się odwrócić plecami do wiatru. Fashnalgid zgiął się wpół, dysząc ciężko.

— Z tą śmierdzącą beczką łoju? Sam powiedział, że nie nadaje się nawet dla asokinów.

— Tak tylko mówił, głupcze. Posłuchaj i zapamiętaj moje słowa. Tunel to śmierć. W każdej chwili mogą nadjechać inne sanie, z którejkolwiek strony. Możemy je zatrzymać tylko własnym ciałem. Mamy do przejścia jakieś siedem mil i lepiej zrobmy to szybko.

— Nie możemy wrócić na gościniec?

— To około trzydziestu mil. Nie mamy prowiantu i musimy iść po zmroku. Umrzemy. Dasz radę biec?

Fashnalgid wyprostował się i jęknął.

— Dzięki, że próbowałeś mnie uratować — powiedział.

— Astab, ty arogancki głupcze! Dlaczego nie możesz przestrzegać prawa?!

Luterin zaczął biec. Przynajmniej droga prowadziła w dół. Po upadku bolało go kolano. Starał się łowić dźwięki innych sań, lecz słyszał tylko świst wiatru w uszach.

Z tyłu rozlegało się echo kroków Fashnalgida. Luterin nie spoglądał za siebie. Myślał tylko o przedostaniu się przez tunel do Noonat.

Kiedy poczuł, że traci siły, zmusił się do dalszego biegu. W pewnej chwili z boku pojawiło się światło. Zatrzymał się z ulgą i poszedł sprawdzić, co to jest. Ze ściany tunelu wypadł głaz, a przez otwór wpadało światło dzienne. Widać było tylko mgłę i sople lodu. Wrzucił w otwór kamień i nadstawił ucha, lecz nie usłyszał odgłosu upadku.

Zrównał się z nim dyszący ciężko Fashnalgid.

— Wyjdźmy przez dziurę.

— To przepaść.

— Nieważne. Gdzieś w dole jest Bribahr. Cywilizacja. Cokolwiek, byle nie to piekło.

— Zabijesz się.

Kiedy Fashnalgid próbował przecisnąć się przez otwór w skale, daleki róg oznajmił zbliżające się sanie. One także nadjeżdżały z południa. Luterinowi zaświtał promyk nadziei. Wcisnął się w naturalną niszę i przywarł plecami do chropawej skały obok Fashnalgida.

Po chwili minął ich długi czarny zaprzęg ciągniony przez dziesięć asokinów. Nad poganiaczem dzwonił wściekle dzwoneczek. W saniach siedziało kilkunastu mężczyzn, skulonych z zimna i zamaskowanych. Trwało to мгnienie oka.

— Żołnierze — rzekł Fashnalgid. — Jak sądzisz, ścigają nas?

— Ciebie, jeżeli już. Co za różnica? To, że jadą przed nami i oczyszczają drogę, daje nam szansę wydostania się z tunelu. Chyba że lubisz skoki z wysokości tysiąca stóp.

Poderwali się znów do biegu. Po chwili ich ruchy stały się automatyczne. Luterin czuł, jak serce tłucze mu się o żebra. Na podbródku zbierał mu się lód. Zamarzły zmrużone powieki. Stracił poczucie czasu.

Ze wszystkich stron natarła nań jasność. Nie był w stanie otworzyć oczu. Truchtał dalej, aż zdał sobie wreszcie sprawę, że wydostał się z tunelu. Zatoczył się i padł szlochając na ziemię koło wielkiego głazu. Leżał, dysząc rozpaczliwie. Minęły go dwa zaprzęgi i rozległ się dźwięk rogu, lecz nawet nie podniósł oczu.

Wyrwała go z letargu bryła spadającego śniegu. Rozmasował twarz i rozejrzał się. Światło nadal oślepiało. Wiatr zelżał. Mgła rozpraszała się powoli. W niewielkiej odległości, paląc fajki, spacerowali ludzie owinięci kocami. Kobieta kupowała coś na straganie. Zgarbiony starzec pędził ulicą rogatą owce. Widać było powitalny szyld: GOSPODA DLA PIELGRZYMÓW. ONDODOM WSTĘP WZBRONIONY.

Noonat stanowiło ostatni postój przed Kharnabharem. Była to zaledwie stacja pocztowa w dzikich górach, gdzie zmieniano zaprzęgi. Na tym się jednak nie kończyło. Szlak łączący Kharnabhar, Saragatt Północny oraz Rivenjk biegł wzdłuż łańcucha górskiego, osłonięty przed lodowatymi wichrami polarnymi. Jednakże w Noonat znajdowało się rozwidlenie i prowadziła stąd droga do Bribahru, która mijała wielkie wodospady wśród dolin i płaskowyżów gór zachodnich. Do Kharnabharu było stąd bliżej niż do równin Bribahru, lecz dalej niż do Rivenjk.

W Noonat widziało się wiele mundurów wojskowych, co tłumaczył zapewne stan wojny między Uskutoshk a Bribahrem. W miasteczku wznoszono także nową drewnianą strażnicę skierowaną za zachód. Luterin był śmiertelnie wyczerpany. Zachował jednak dość przytomności umysłu, by obejść głąz, który udzielił mu osłony, i powlec się pod górę do kamiennej szopy, gdzie trzymano kozy. Wszedł między zwierzęta i natychmiast zasnął.

Obudził się odświeżony, lecz zły na siebie, że zmitrzążył tyle czasu. Nie obchodziło go zbytnio, co się stało z Fashnalgidem; chciał przede wszystkim odnaleźć Toress Lahl i zdobyć sanie do Kharnabharu. Tam będzie bezpieczny.

W dole leżały nieforemne zabudowania Noonat. Ubogie domy przywarły do zbocza niczym pchły do boków zwierzęcia. Większość chat opierała się o drzewa eldawonowe o cienkich rozwidlonych pniach. Ponieważ eldawony stanowiły też główny materiał budowlany, niełatwo było odróżnić domy od drzew. Tu i tam kuliły się chatynki połączone ścieżkami, którymi chodzili ludzie, zwierzęta i ptactwo domowe. Stały bezładnie, tak że drzwi jednego domku wychodziły na komin drugiego. Pola zlewały się z dachami. Koło każdego domu leżał stos porąbanych polan. Niektóre stosy opierały się o domy, niektóre domy o stosy. Słychać było odgłosy pracy drwali, którzy ścinali drzewa, powiększając liczbę stosów lub domów. Przejrzyste powietrze na krótki czas nabrało jasności rzadko spotykanej wysoko w górach. Nad odległą turnią świeciła Bataliksa. Na kamienistych polach puszczała latawce chłopcy pasący owce.

Z Kharnabharu przybyła przed chwilą piesza grupa pielgrzymów. Ich głosy niesły się daleko w czystym powietrzu. Większość miała ogolone głowy, a niektórzy szli boso po ubitym śniegu. Byli wśród nich młodzieńcy i ludzie dojrzały, a nawet pożółkła staruszka niesiona w wiklinowym fotelu na drążkach. Uwagę, choć bez większego zainteresowania, obserwowało ich kilku miejscowych kupców. Pielgrzymów oskubano już w drodze na północ.

Luterin, który podróżował szlakiem nie pierwszy raz, wiedział, że Uuundaamp i Moub zatrzymają się w Noonat na noc. Asokiny przywiąże się do osobnych palików i nakarmi, a przewodnik dostanie dodatkową porcję mięsa. Jeśli Ondodzi zamierzają dotrzeć do Kharnabharu, przed ostatnim etapem podróży muszą przejrzeć sanie i uprzęż. Tylko co zamierzają zrobić z Toress?

Nie zamordują jej. Ma zbyt wielką wartość. Można ją sprzedać jako niewolnicę, choć niewielu ludzi kupiłoby kobietę od Ondodów. Ale fagory... Zaczai się o nią lękać i zapomniał o Fashnalgidzie. Chociaż w Sibornalu żyło niewiele dwurożców, zbiegli niewolnicy podążali często do Shivenink, gdyż w dzikich górach panowały sprzyjające warunki. Poznawszy niewolę na własnej skórze, chętnie posługiwali się niewolnikami rodzaju ludzkiego. Gdyby Toress zniknęła wraz z nimi wśród lodowców, nikt by jej nigdy nie odnalazł.

Luterin obszedł Noonat na tyłach zabudowań. Na skraju osady natknął się na palisadę. Kiedy się zbliżył, po drugiej stronie rozległo się wściekle ujadanie. Wyjrzał i zobaczył asokiny przywiązane do słupków lub umieszczone w klatkach. Na jego widok naciągnęły łańcuchy lub rzuciły się wściekle na drucziane siatki.

Była to z pewnością stacja pocztowa. Przypomniał ją sobie teraz. Kiedy przejeżdżał tędy poprzednio, wszystko przesłaniała zamieć. Za palisadą trzymano około pięćdziesięciu wygłodzonych asokinów.

Starając się ich bardziej nie prowokować, obszedł ostrożnie palisadę.

Stacja pocztowa znajdowała się na północnym skraju Noonat. Choć sam nikogo nie zauważył, czyjś okrzyk oznajmił, że go dostrzeżono. Ondodzi byli zbyt ostrożni, by dać się zaskoczyć. Natychmiast pojawiło się trzech. Trzymali w dłoniach bicz. Zdając sobie sprawę, jak straszliwą bronią są w ich rękach, Luterin zatrzymał się i nakreślił na czole znak pokoju.

— Ja przyjść do swojego przyjaciela Uuundaampa, żeby przekazać mu loobiss, ishto?

Stali bez ruchu w ponurym milczeniu.

— My nie widzieć Uuundaamp. Uuundaamp nie chceć z tobą loobiss. Gruba żona Uuundaampa dużo kakool.

— Wiem — odrzekł Luterin. — Chcę mu pomóc. Moub rodzi, yaya?

Przepuścili go niechętnie. Luterin rzekł sobie w duchu, że to pułapka i że powinien być gotów na wszystko.

Przy drzwiach budynku przypominającego stodołę Ondodzi zbili się w ciasną grupkę i zerkali na siebie ponuro. Skinęli na Luterina, zapraszając go do wejścia. Wnętrze było ciemne i nieprzyjazne. Poczł zapach occhary.

Wepchnęli go do środka i zatrzasnęli drzwi.

Pobiegł do przodu i rzucił się na podłogę. Musnął mu ramię ostry język bicza. Luterin poturlał się ku bocznej ścianie.

Kątem oka dostrzegł nagą Moub z ofiarowanym przez siebie kocem okręconym wokół piersi. Leżała z rozsuniętymi nogami na desce. Pochylała się nad nią Toress, uwiązana za ramię, tak by mogła posługiwać się dłońmi. Drugi koniec sznura dzierżył jeden z trzech bezrogich fagorów stojących bez ruchu naprzeciwko ściany, gdzie skulił się Shokerandit. Pośrodku szopy uwiązano na smyczy przodownika zaprzęgu, który kłapał wściekle zębami i na próżno usiłował ugryźć Luterina.

Był też Uuundaamp. Ponieważ szopa miała wąskie okienka, usłyszał lub zobaczył zbliżającego się Shokerandita. Ze zreżnością właściwą swemu plemieniu wskoczył na belkę nad drzwiami i szykował się do zadania kolejnego ciosu biczem. Na jego wargach błąkał się ponury uśmiech.

Luterin trzymał w ręku rewolwer. Wiedział, że nie należy celować w Ondodów, gdyż sprowokowałyby w ten sposób zarówno Uuundaampa, jak i fagory. Poganiacza w jego obecnym stanie ducha nie zdołałaby także powstrzymać żadna groźba wobec Moub.

Luterin skierował lufę w stronę asokina.

— Ja zabić twój pies, gumtaa, ishto? Ty prędko zeskoczyć i rzucić bicz! Ty przyjść do mnie, Uuundaamp. Inaczej twój pies w jednej chwili dużo kakool!

Mówiąc to, wstał i skierował trzymany oburącz rewolwer prosto w łeb szalejącego przodownika. Bicz upadł na podłogę. Uuundaamp zeskoczył, uśmiechnął się, skłonił i dotknął ręką czoła.

— Mój przyjaciel, ty wypaść z sań w tunelu. Źle. Ja się bardzo martwić.

— Zastrzeleć ci przodownika, jak będziesz mówił takie głupstwa. Rozwiąż dziewczynę. Nic ci nie jest, Toress?

— Odbierałam już dzieci i czeka mnie jeszcze jeden poród — odrzekła niepewnym głosem. — Ale bardzo się cieszę, że cię widzę, Luterinie.

— Co się tu dzieje?

— Fagory mają coś zrobić dla Uuundaampa w zamian za mnie. Jestem przerażona, ale cała i zdrowa. A ty? — spytała drżącym głosem. Dwurożce stały cały czas w kamiennym bezruchu.

— Bardzo miła pani, yaya — powiedział Uuundaamp, rozwiązując węzeł. — Kosmaty wielka rozkosz, jak mu ją dać do zabawy, yaya. Nic złego.

Roześmiał się. Luterin przygryzł wargi. Musiał pozwolić poganiaczowi zachować twarz. Był bez grosza i nie mógł dotrzeć do Kharnabharu bez pomocy Ondodów.

— Ty bardzo dobry — powiedziała do Uuundaampa uwolniona Toress. — Jak twoje dziecko się urodzić, ja kupić tobie i Moub dwie fajki occhary, ishto?

Luterina zdumiała zimna krew dziewczyny. Poganiacz uśmiechnął się i gwizdnął przez zęby.

— Ty kupić trzecia fajka dla dziecko? Ja wypalić razem trzy fajki.

— Yaya, jak ty wyrzucić kosmatych, kiedy Moub rodzić. Stała naprzeciwko Ondoda z pobladłą twarzą, lecz jej głos przestał drżeć. Mimo to Uuundaamp czuł, że rachunku jeszcze nie wyrównano.

— Ty dać pieniądze teraz. Moub iść i kupić trzy fajki occhara. My wyjechać z Noonat przed zmrokiem.

— Z Moub wylać się woda, ona zaraz rodzić.

— Dziecko wyjść dopiero dwadzieścia minut. Ona iść i kupić szybko. Palić, rodzić.

Klasnął w ośmiopalczaste dłonie i znów się roześmiał.

— Prawie wystają z niej nogi dziecka.

— Ona leniwy tłumok.

Chwytał Moub za ramię. Usiadła bez słowa protestu. Toress wymieniła spojrzenie z Luterinem. Kiedy skinął głową, wyjęła kilka sibów i wręczyła je kobiecie. Moub owinęła się żółto-czerwonym kocem i w milczeniu podreptała na dwór.

— Zostań tutaj — rzekł Luterin. Toress oparła się o deskę zalaną wodami płodowymi. Na środku izby usiadł asokin, wywiesiwszy czerwony jęzor. Na skinienie Uuundaampa fagory wyszły gęsiego przez połamane drzwi na drugim końcu szopy. Na dworze, koło klatek dla psów, stały nie uszkodzone sanie Uuundaampa.

— Gdzie twój przyjaciel z ogon na twarzy? — spytał niewinnie poganiacz.

— Zgubiłem go. Twój plan się nie udał.

— Cha, cha. Mój plan udał się świetnie. Ty dalej chcesz do Kharber?

— Jedziesz w tamtą stronę? Zapłacono ci, Uuundaampie. Ondod rozłożył ręce w geście szczerości, ukazując szesnaście lśniących czarnych paznokci.

— Jeśli twój przyjaciel donieść na policja, źle. Źle dla mnie. Ten zły człowiek nie rozumieć Ondodów tak jak ty. On chce smrtaa. My lepiej jechać szybko, jak tylko tłumok wyrzucić dziecko ze swój tyłek, ishto?

— Zgoda.

Nie było sensu się kłócić. Luterin schował rewolwer do kieszeni. Znów zapanowała pozorna przyjaźń wędrowców na szlaku.

Siedzieli, obserwując się wzajemnie, a na końcu smyczy czał się asokin. Przydreptała z powrotem Moub, nadal owinięta kocem. Wręczyła Uuundaampowi dwie fajki occhary i położyła się z trzecią w rękę na desce koło Toress.

— Dziecko zaraz wyjść, gumtaa — powiedziała. I bez zbędnych ceregieli przyszedł na świat mały Ondod płci męskiej. Kiedy Toress podniosła go do góry, Uuundaamp skinął głową, odwrócił się tyłem i splunął w kąt izby.

— Chłopiec. Dobrze. Nie lubić dziewczyna. Chłopiec dużo pracować. niedługo wielka rozkosz, może za rok. Moub usiadła i roześmiała się.

— Ty nie umieć rozkosz, głupi. To chłopiec Fashnalgid.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Uuundaamp podszedł do żony i objął ją. Całowali się raz po raz.

Scena ta zajęła obecnych do tego stopnia, że nie zwrócili uwagi na ostrzegawcze gwizdy przed domem. Do szopy wkroczyło nagle trzech policjantów z wycelowanymi karabinami.

— Mamy nakaz aresztowania was wszystkich — rzekł chłodno dowódca. — Uuundaampie, ty i twoja żona macie na sumieniu wiele zbrodni. Luterinie Shokerandicie, podążamy za tobą z Rivenjk. Uczestniczyłeś w zamachu bombowym na porucznika sił zbrojnych i zabójstwie szeregowego na służbie. Ponadto zdezerterowałeś z armii. Skutkiem tego ty, Toress Lahl, jesteś zbiegłą niewolnicą. Czeka was natychmiastowa egzekucja w Noonat.

— Kto ci ludzie?! — spytał Uuundaamp, wskazując gniewnie Luterina i Toress. — Ja ich nie znać. Oni tu wejść przed jedna minuta i robić wiele kakool.

Nie zwróciwszy uwagi na Ondoda dowódca policjantów powiedział do Luterina:

— Mam rozkaz zastrzelenia cię, jeśli będziesz próbował ucieczki. Rzuć rewolwer na podłogę. Gdzie twój towarzysz? Jego także szukamy.

— Kogo macie na myśli?

— Dobrze wiesz. Harbina Fashnalgida, drugiego dezterera.

— Tu jestem — rozległ się niespodziewany głos. — Rzućcie broń. Mogę do was strzelać, a wy do mnie nie, więc nie próbujcie żadnych sztuczek. Liczę do trzech, a później trafię jednego z was w brzuch. Raz, dwa...

Strzelby upadły na podłogę. Policjanci spostrzegli rewolwer wystający przez wąskie okienko.

— Bierz karabiny, Luterinie, żywo!

Shokerandit wykonał polecenie. Wśród ujadania asokinów wszedł tylnymi drzwiami Fashnalgid.

— Jak to się dzieje, że przybywasz w takiej opatrnościowej chwili? — spytała Toress.

— Tak samo jak ci durnie. Szedłem za żółto-czerwonym kocem, którego nie sposób nie zauważyć. Inaczej nie miałbym pojęcia, gdzie jesteście. Zmieniłem powierzchowność, jak widzicie. Zauważyli. Kapitan zgolił swoje olbrzymie wąsiska i ostrzygł krótko włosy. Przez cały czas fachowo trzymał policjantów na muszce.

— Karabin dużo pieniędzy. Przeciąć im gardła, ishto? — zasugerował Uuundaamp.

— Nie, ty ścierwojadzie. Zakatrupiłbym twojego fugasa, gdyby tu był. Na szczęście się schował, bo wszędzie roi się od policjantów i żołnierzy.

— Lepiej szybko się stąd wynośmy — odezwał się Luterin. — Wybrałeś znakomity moment, Harbinie. Będiesz jeszcze dobrym oficerem. Uuundaampie, my przypilnujemy policjantów, a ty i Moub przygotujcie szybko zaprzęg, dobrze?

Ondod zabrał się do pracy. Kazał kobietom wciągnąć sanie do szopy i nasmarować płozy, co jak powiedział, było niezbędne. Policjanci stali tymczasem ze spodniami wokół kostek i rękami opartymi o ścianę. Wszyscy cofnęli się, gdy odwiązano przodownika Uuundaampa i wraz z siedmioma pozostałymi asokinami sformowano zaprzęg. Pracujący Ondod czule przeklinał wszystkie psy po kolei.

— Pośpiesz się, proszę — powiedziała Toress, zdradzając zdenerwowanie. Ondod usiadł na desce, na której niedawno urodził się jego syn.

— Ja tylko trochę odpocząć, ishto?

Czekali w zupełnym bezruchu, aż poczuje się usatysfakcjonowany. Wreszcie zaczął metodycznie sprawdzać uprzęż. Przez tylne drzwi wpadał do szopy śnieg.

Na ulicy rozległy się krzyki i gwizdki. Zauważono zniknięcie trzech policjantów.

Uuundaamp podniósł z ziemi bicz.

— Gumtaa. Wsiadać.

Kiedy wskakiwali do sań, pod ramię wsunięto pośpiesznie karabiny. Uuundaamp zachęcił krzykiem przodownika i pojazd powoli ruszył. Policjanci zaczęli wrzeszczeć na całe gardło. Odpowiedziały im krzyki. Sanie wypadły na dwór przez tylne drzwi.

Rozszalałe asokiny rzucały się przed szopą na drucianą siatkę. Przejeżdżając obok, Uuundaamp uniósł się nieco na koźle i świsnął biczem w stronę drzwiczek klatki, tak że jego czubek wyrwał gruby drewniany kołek mocujący skobel.

Drzwi klatki ustąpiły pod ciężarem psów, a kosmate bestie wyleciały na zewnątrz z wyszczerzonymi kłami. Wpadły jak burza do szopy, z której dobiegły przeraźliwe krzyki. Sanie nabierały prędkości, podskakując na wybojach i zarzucając w obie strony. Niemordowany Uuundaamp wykrzykiwał rozkazy i strzelał umiejętnie z bicza, łaskocząc każdego asokina po kolei. Pasażerowie trzymali się kurczowo rzemieni. Kiedy przejechali wzgórze i popędzili ze zgrzytem w dół drogą na północ, szczekanie i krzyki przycichły w oddali.

Shokerandit obejrzał się za siebie. Nikt ich nie gonił. Nadal słychać było przytłumione ujadanie. Dojechali do zakrętu. Toress czepiała się kurczowo Luterina. Trzymała na ręku nowo narodzone dziecko zawinięte w kawałek brudnej szmaty. Spojrzało na nią z uśmiechem, ukazując ostre mleczne ząbki.

Przejechawszy miłą, Uuundaamp zatrzymał się, odwrócił i skierował rękojeść bicza w stronę Fashnalgida.

— Ty, człowiek kakool, ty wysiadać. Ja ciebie nie chceć.

Kapitan nie odezwał się. Spojrzał na Luterina z wykrzywioną twarzą, po czym wyskoczył z sań.

Wkrótce rozpląnął się w tumanach wirującego śniegu. Dotarło do nich tylko straszliwe przekleństwo: "Abro Hakmo Astab!"

Uuundaamp odwrócił się tyłem i spojrzął na szlak leżący przed nimi.

— Khyber! — zawołał.

Obszedłszy Noonat, Fashnalgid przyłączył się do grupy pielgrzymów z Bribahru, którzy wracali z Kharnabharu wijącymi się szlakami w dolinach na zachodzie. Zgolił wasy, by go nie rozpoznano, i miał zamiar zniknąć na zawsze.

Maszerował drogą zaledwie dwadzieścia pięć godzin, gdy z przeciwka nadeszła grupa ludzi wspinająca się od strony równin. Przybysze opowiadali tak straszliwe historie, że Fashnalgid nabrał przekonania, iż zmierza w niewłaściwym kierunku. Może przestały istnieć właściwe kierunki?

Uciekinierzy twierdzili, że dolinę Bribahru zaatakował Dziesiąty Regiment Gwardii Oligarchy, który otrzymał rozkaz zdobycia lub zniszczenia dwóch wielkich miast: Braijth oraz Rattagonu.

Większą część doliny wypełniały ciemnogrnatowe wody jeziora Braijth. Na jeziorze znajdowała się wyspa, na której stała starożytna twierdza Rattagon. Potężną fortecę można było atakować jedynie za pomocą łodzi. Kiedy nieprzyjaciele usiłowali przepłynąć jezioro, zatapiały je działa na wyniosłych murach zamczyska.

Bribahr stanowił spichlerz Sibornalu. Jego żyzne równiny sięgały aż do strefy tropikalnej. Na północy, na granicy pól lodowych, rozciągał się pas tundry okolonej ogromnymi puszciami kaspiarnowymi, które mogły się oprzeć nawet atakom zimy Weyra.

Mieszkańcy Bribahru trudnili się głównie rolnictwem. Jednakże rządząca kasta wojowników skupiona w Braijth i Rattagonie lekkomyślnie ostrzyła sobie zęby na Święte Miasto, Kharnabhar. Braijth domagało się większego udziału w dobrobycie Sibornalu. Chłopi z Bribahru wysyłali zboże do Uskutoskh za półdarmo i próbowali wywrzeć nacisk na Oligarchę, atakując Kharnabhar, dostępny od strony równin.

W odpowiedzi Askitosh wysłało armię. Zdobyto Braijth.

Dziesiąty Regiment Gwardii Oligarchy rozbił obóz nad brzegami jeziora i czekał spoglądając w stronę Rattagonu. Żołnierze przymierali głodem i trzęśli się z zimna.

Rozpoczęła się krótka jesień. Jezioro zaczęło zamarzać.

Rattagończycy wiedzieli, że lód stanie się kiedyś na tyle gruby, że armia zdoła podejść pod mury twierdzy. Jednakże chwila ta była jeszcze daleka. Na razie przez jezioro przedostawały się jedynie wilki. Może upłynąć kwadra, nim na lodzie utrzyma się pluton żołnierzy. Do tego czasu oblegającym zabraknie żywności, tak że będą musieli wrócić do kraju. Rattagończycy znali obyczaje swego jeziora.

Za murami nie panował głód. W dolinie istniały liczne pieczary. Do warowni biegł podziemny tunel z północno-zachodniego brzegu. Woda sięgała w nim zawsze po kolana, ale dostarczano tamtędy prowiant, który pozwalał obrońcom spokojnie czekać, jak robili to od wieków w czasie oblężeń.

Pewnej nocy, kiedy Freyra przesłoniła północną zamieć, Dziesiąty Regiment podjął rozpaczliwą próbę zdobycia twierdzy.

Po lodzie mogły poruszać się nie tylko wilki, lecz także żołnierze z lotniami przymocowanymi do barków, lżejsi od wilków i równie zajadli.

Oficerowie zachęcali podwładnych opowieściami o bujnych kobietach z Rattagonu, które pozostały w fortecy i rozgrzewały łoża obrońców.

Wiał silny wiatr północny. Lotnie podźwignęły żołnierzy w górę. Wbiegli na lód i popędzili aż do szarych bastionów.

W warowni spali nawet strażnicy, którzy schronili się przed zamiecią w ciepłych zakamarkach murów. Umarli bez jednego krzyku.

Ochotnicy z Dziesiątego Regimentu Gwardii przecięli sznury lotni i wpadli do wieży pośrodku twierdzy. Zabili chrapiącego komendanta garnizonu.

Nazajutrz nad zdobytym Rattagonem powiewała flaga Oligarchy.

Owa straszliwa historia, opowiadana z dramatycznymi szczegółami przy ogniskach obozowych, przekonała Harbina Fashnalgida, iż powinien powrócić do Noonat i podążyć na północ.

Bliższy kontakt z historią jest zawsze bolesny, rzekł sobie w duchu, i wyciągnął dłoń po manierkę krążącą wśród pielgrzymów.

XIII. PRADAWNY ANTAGONIZM

Noc żyła. Padający śnieg muskał twarz, kojarząc się z futrem olbrzymiej bestii. Nie był zimny, lecz duszący, wypełniał miejsce zajęte normalnie przez powietrze i dźwięk. Ale kiedy sanie się zatrzymały, z oddali dobiegły ich poważne tony dzwonu z brązu.

Luterin pomógł Toress wysiąść z sań. Wirujące płatki przyprawiły ją o zawrót głowy. Zgarbiła się i zasłoniła oczy.

— Gdzie jesteśmy?

— W domu.

Dziewczyna widziała jedynie zwierzęcą ciemność sunącą w jej stronę. Spostrzegła w mroku Shokerandita, który kroczył jak niedźwiedź ku przodowi sań. Uściskał Uuundaampa i Moub, trzymającą na ręku dziecko owinięte kolorowym kocem.

Ondod uniósł bicz w geście pożegnania i błysnął zębami, uśmiechając się fałszywie. Zadzwieczał dzwonek nad siedzeniem, rozległ się trzask bicza i sanie zniknęły w wirującej ciemności.

Luterin i Toress, zgięci w pół, podążyli do bramy, za którą płonęło mętne światelko. Shokerandit pociągnął za metalową rączkę dzwonka. Oparli się wyczerpani o kamienny filar, a ze stróżówki znajdującej się za kratami wyszła okutana postać w wojskowym płaszczu. Brama uchyliła się.

Skryli się w milczeniu pod daszkiem, dozorca zaś zamknął starannie wierzeje. Po chwili wrócił i przyjrzał się przybyszom w świetle latarni.

Ubrany był w strój wysłużonego żołnierza i unikał patrzenia ludziom w oczy. Miał zaciśnięte wargi i nieprzeniknione oblicze.

— Czego chcecie? — spytał niechętnie.

— Mówisz do Shokerandita, człowieku. Gdzie twoje oczy? Usłyszawszy butny ton, dozorca przyjrzał im się bliżej.

— Czyżby panicz Luterin? — odezwał się w końcu, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Tak długo mnie nie było, głupcze?! Zamierzasz stać beczynnie, aż zamarznę?

Starzec obrzucił przemienionego fizycznie Luterina pogardliwym wzrokiem.

— Każę przygotować zaprzęg, który zabierze waszą wielmożność do dworu.

— Czy mój ojciec jest w rezydencji? — spytał Shokerandit, nadal zły, że go nie poznano.

— W tej chwili nie, paniczu.

Dozorca przyłożył rękę do ust i krzyknął do niewolnika kręcącego się koło stróżówki. Po chwili z zamieci wyjechała karetą zaprzężona w dwa jajaki pokryte zeskorupałym lodem.

Starożytny dwór stał w odległości mili od bramy. Jechało się do niego przez pole zwane nadal Winnicą. Obecnie było to kamieniste pastwisko, gdzie hodowano miejscową odmianę jajaków.

Shokerandit wysiadł z karety. Koło narożnika dworu wirował śnieg, jakby pragnął zmienić przybyszów w sople lodu. Dziewczyna zamknęła oczy i chwyciła Luterina za rękaw. Skierowali się w stronę upiornego gmachu i ruszyli schodami do drzwi frontowych z żelaznymi okuciami. Przerażliwe dźwięki dzwonu, jakie rozlegały się nad nimi, były przytłumione, jakby dochodziły z głębin zatopionego miasta. Odpowiadały im inne dzwony w oddali.

Otworzyły się drzwi. Pojawiły się niewyraźne postacie lokajów, którzy pomogli przybyszom wejść do środka. Kiedy szczęknęły za nimi potężne zasuw, ucichł wreszcie ryk zawiei i dzwonięcie.

W ciemnej sieni, gdzie rozbrzmiewały echa kroków, Shokerandit zamienił kilka słów z niewidzialnym sługą. Wysoko na marmurowej ścianie lśniła lampa, która oświetlała jedynie biały fragment muru. Ciężko powlekli się schodami na górę. Jakby chcąc ośmielić siły mroku i tajemnicy, rozsunięto ciężką kotarę. Dziewczyna stała bez ruchu, a służący zapalił lampę, skłonił się i wyszedł.

Przestronny pokój pachniał śmiercią. Luterin podkręcił knot lampy. Niski sufit, okiennice bez powodzenia usiłujące nie dopuścić mroku, łoże... Zdjęli z wysiłkiem brudne ubrania.

Podróżowali od trzydziestu jeden dni. Od chwili wyjazdu z Sharagattu spali zaledwie sześć i pół godziny na dobę, rzadko dłużej, niekiedy krócej — gdy Uuundaamp uznał, że dogania ich policja. Mieli twarze poczerwiałe od mrozu i pobrużdżone ze zmęczenia.

Toress zdjęła z kanapy koc i przygotowała sobie posłanie na podłodze. Luterin wszedł do łóża i skinął na nią, by położyła się obok niego.

— Odtąd będziesz spać ze mną — rzekł.

Stała przed nim, nadal otumaniona po podróży.

— Powiedz, gdzie jesteśmy? Uśmiechnął się.

— Wiesz, gdzie. We dworze mojego ojca w Kharnabharze. Nasze kłopoty się skończyły. Jesteśmy bezpieczni. Chodź do mnie. Zdobyła się na błądy uśmiech.

— Jestem twą niewolnicą, więc cię słucham, panie.

Z tymi słowy położyła się obok niego. I choć jej odpowiedź nie zadowoliła Luterina, to natychmiast zapadł w sen.

Kiedy Toress się obudziła, Shokerandita nie było. Leżała patrząc w sufit i zastanawiając się, co oznacza jego nieobecność. Nie chciało jej się wstawać z wygodnego łóża i stawiać czoła czekającym ją nowym wyzwaniom. Nie miała wątpliwości, że Luterin darzy ją afektem. Sama nienawidziła go z całej duszy. Palilo ją jeszcze upokorzenie, gdy oddał ją bez namysłu bestii powożącej saniami, choć był to tylko ostatni przykład jego brutalności. Oczywiście nie dręczył jej celowo: zgodnie ze zwyczajem traktował ją po prostu jak niewolnicę.

Miała podstawy ufać, że przywróci jej utraconą pozycję. Przystanie być niewolnicą. Ale wzdragała się na myśl o poślubieniu mordercy własnego męża, nawet jeśli miało to zapewnić jej bezpieczeństwo.

Co gorsza, nappełniało ją trwogą miejsce, w którym się znalazła. Wydawało się, że we dworze mieszka chłodny, złowrogi duch.

Przygnębiona, przewróciła się w szerokim łóżu na drugi bok i spostrzegła niewolnicę klęczącą cierpliwie koło drzwi. Usiadła na posłaniu, zakrywając prześcieradłem obnażone piersi.

— Co tu robisz? — spytała. Dziewczyna skłoniła głowę i rzekła:

— Przysłał mnie panicz Luterin. Mam pomóc pani w kąpieli.

— Nie nazywaj mnie panią. Jestem taką samą niewolnicą jak ty. Jednakże odpowiedź ta tylko zawstydziła dziewczynę. Godząc się z sytuacją, rozbawiona Toress wyszła nago z łóżka. Uniosła władczo dłoń.

— Służ mi więc! — powiedziała.

Skinąwszy posłusznie głową, niewolnica podeszła i zaprowadziła Toress do łazienki, gdzie z mosiężnego kranu leciała gorąca woda. Dwór, podobnie jak woda, ogrzewany jest biogazem, wyjaśniła.

Wylegując się w rozkosznie ciepłej kąpieli, Toress spoglądała na swoje ciało. Wskutek męczącej podróży straciła na wadze. Po wewnętrznych stronach ud powoli goiły się zadrapania zadane szponami Uuundaampa. Co gorsza, podejrzewała, że jest w ciąży. Nie wiedziała wprawdzie z kim, lecz dziękowała Pramacierzy, że Ondodzi nie są w stanie płodzić dzieci z kobietami.

Borldoran i rodzinne Oldorando leżały w odległości tysięcy mil. Miałyby wielkie szczęście, gdyby kiedykolwiek ujrzała rajską krainę swego dzieciństwa. Niewolnice umierały na ogół młodo, a ich los był nie do pozazdroszczenia. Zastanawiała się, czy nie spytać o to służącej, lecz postanowiła trzymać język za zębami. Gdyby Luterin ją poślubił, jej życie ułożyłoby się tysiąc razy wygodniej.

Co jej powie? Czy poprosi ją o rękę? Czy się zdecyduje? Cokolwiek uczynił w przeszłości, powinna przyjąć propozycję.

Kiedy służąca ją wytarła, Toress przywdziała przygotowaną suknię z satary. Położyła się na łóżu i zapadła w pauk. Pierwszy raz od opuszczenia Rivenjk znalazła się w świecie duchów. Z zaświatów, z obsydianu, gdzie zapadały wszelkie decyzje, wzywała ja ku sobie dusza męża.

Posiadłość wyglądała równie pięknie jak zawsze. Nieprzerwany wichur polarny uformował zaspę w ciągu nocy. Gdzieniedzie widać było nagą ziemię. Po południowej stronie każdego drzewa ciągnęła się smuga śniegu, delikatna niczym kość ptaka. W przeglądzie majątku towarzyszył Luterinowi zarządca, miły staruszek znany od dzieciństwa. Znow zaczynało się normalne życie.

Oslonę przed wichurą stanowił szpaler ogromnych kaspiarnów i brassimipów. Dokoła, daleko i blisko, wznosiły się ośnieżone szczyty, córy masywu Shivenink. zazwyczaj ukrytego w chmurach. Na północy

ukazywała się momentami Święta Góra, gdzie znajdowało się Wielkie Koło. Luterin przerwał rozmowę i uniósł rękawicę w geście powitania.

Założył ciepły płaszcz i przypiął dzwonek do pasa. Półnaczy niewolnicy wyprowadzili dlań ze stajni młodego wierzchowego gunnandu. Dwurogie zwierzęta o wielkich uszach podierały się długim ogonem i biegały na szponiastych ptasich łapach. Gunnandu towarzyszyły na wolności stadom jajaków oraz bijajaków i podobnie jak one były martworodne. Ginęły, wydając na świat potomstwo. "Podobnie jak ludzie" — rzekła raz z goryczą do Luterina matka. Zwierzęta te nie miały narządów rodnych: z nasienia wylęgały się w żołądku czerwie, które rosły, a następnie przebijały się na zewnątrz i przedostawały do tętnic. Płynąc wraz z krwią, powodowały gwałtowną śmierć rodzica. Przepoczwarały się kilkakrotnie, żywiąc się jego ścierwem, aż osiągały rozmiar młodego gunnandu. mogącego żyć samodzielnie.

Dorośle osobniki były posłusznymi wierzchowcami, lecz szybko się męczyły. Nadawały się idealnie do krótkich przejazdów, jak choćby właśnie lustracja majątku.

Luterin czuł się bezpieczny. Policja nie ośmielała się wkraczać do wielkich posiadłości. Ojciec wyruszył na polowanie i Luterin sprawował w majątku niepodzielną władzę. Pomimo długiej nieobecności i przemiany fizycznej wszedł z łatwością w dawną rolę. Znali go wszyscy, od zarządcy do najpodlejszego niewolnika. Absurdem wydawała się myśl o innym życiu. Był idealnym następcą ojca.

Miał do załatwienia wiele spraw. Należało się nimi zająć. Musiał przedstawić matce Toress Lahl. I powinien porozmawiać z Insil Esikananzi, co mogło się okazać trochę nieprzyjemne... Tymczasem czekały go pilniejsze obowiązki. Dorósł i zmęznia}. Przyłapał się nawet na tym, że cieszy go nieobecność ojca. Słowo Lobanster Shokerandita było w tych stronach prawem, także dla jedyne go syna pozostałego przy życiu. Jednakże straszliwy Dzierżyciel Koła przebywał często poza majątkiem. Jak twierdził, lubił surowe życie, a jego wyprawy myśliwskie trwały nawet do dwóch miesięcy. Wyjeżdżał ze sforą psów i gromadą pocztowych na jajakach. Niekiedy zabierał ze sobą jedynie swojego niemego łowczego, Liparotina. Machał na pożegnanie ręką i zniknął w bezdrożach dziewiczej puszczy.

Luterin pamiętał od najwcześniejszego dzieciństwa nonszalancki gest uniesionej dłoni. Kiedy spoglądał wraz z matką na odjeżdżającego rodzica, dostrzegał w tym nie tyle znak miłości, co pozdrowienie dla ducha sprawującego pieczę nad pustymi górami.

Dorastał, tęskniąc za ojcem. Matka, zamknięta w sobie, nie potrafiła go zastąpić. Pewnego razu uparł się, że pojedzie z ojcem i bratem na łowy. Wśród wyniosłych kaspianów czuł wówczas wielką dumę, lecz Lobanster wydawał się zirytowany obecnością synów i wrócił do dworu już po tygodniu.

Luterin pociągnął nosem. Powiedział sobie, że ma naturę samotnika, podobnie jak ojciec. Później stanął mu przed oczami Harbin Fashnalgid, widziany po raz ostatni, gdy Uuundaamp wyrzucił go z sań. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że lubi kapitana i powinien coś dla niego zrobić. Opuściła go gniewna zazdrość o Toress.

Uśmiechnął się na myśl o Harbinie wykrzykującym wulgarne przekleństwo. Co za buntowniczy duch! Może dlatego to, że nazwał Luterina konformistą, miało pewne znaczenie. Kapitan nie był człowiekiem złym do szpiku kości.

Odwiedził wraz z zarządcą zagrodę stungebagów. Powolne zwierzęta wyglądały dokładnie tak, jak je zapamiętał. Opowiadano, że Shokeranditowie hodują stungebagi od czterech Wielkich Lat. Przypominały one kosmate gąsienice, a gdy rozciągnęły się na pełną długość, powalone drzewa. Były połączeniem zwierzęcia i rośliny, mutacjami powstałymi w epoce przejściowej, gdy planeta płała się w twardym promieniowaniu.

W padoku musłangów krzatali się niewolnicy. Po górach błąkały się ongiś całe stada owych zwierząt. Obecnie zapadały w sen zimowy. Niewolnicy znosili je do suchych szop na skraju majątku, wydobywszy je z zakamarków, gdzie się ukryły. Musłangi, które szybko opuszczała żywotność, wędły i zapadały w stan martwoty. Zaczynały już przypominać przezroczyście woskowe figurynki. Część z nich straciła matową brunatną sierść, pokrywając się barwnymi poziomymi pasami, jak w czasie wiosny Wielkiego Roku.

Musłangi nazywano w stanie hibernacji błyszczuchami nie tylko z powodu specyficznego połysku, lecz także dlatego, że nie były do końca martwe, podobnie jak duchy.

Do Luterina podszedł nadzorca stajni, wolny człowiek, i dotknął dłonią daszka.

— Cieszę się, że pan wrócił, paniczu. Jak wasza wielmożność widzi, przekładamy błyszczuchy warstwami siana, żeby je zabezpieczyć. Na wiosnę powinny być całe i zdrowe, o ile oczywiście kiedykolwiek nadejdzie wiosna.

— Nie ma obawy. To tylko kwestia stuleci.

— Tak mówicie wy, uczeni — rzekł nadzorca, uśmiechając się szelmowsko do zarządcy.

— Do wiosny należy się przygotować właśnie teraz. Jeśli ułożymy musłangi w bezpiecznym miejscu zamiast pozostawić je na pastwę kaprysów natury, gwarantujemy swoim następcom stajnię znakomitych wierzchowców.

— Dawno nas wówczas nie będzie.

— Nie wątpię, że znajdzie się ktoś, kto nam podziękuje za troskliwość.

Jednakże Luterin mówił z roztargnieniem, gdyż myślał nadal o Fashanal-gidzie.

Wróciwszy do dworu, wezwał sekretarza ojca, uczonego samotnika imieniem Evanporil. Wydał mu polecenie, by drogą do Noonat wyruszyło na dwóch bijajakach gigantach czterech zbrojnych lenników, którzy w miarę możliwości mieli odszukać Fashnalgida. Powinni przywieźć go całego i zdrowego do majątku Shokeranditów. Sekretarz wyszedł, by dopilnować wykonania rozkazu.

Zjadłszy lunch, Luterin przypomniał sobie poniewczasie, że powinien odwiedzić matkę.

W sieni wielkiego dworu panował ponury nastrój. Na parterze nie było okien, co czyniło gmach bardziej odpornym na lody, śniegi i powódzie. Na marmurowej posadzce stał pusty ciężki fotel: o ile Luterin pamiętał, nikt w nim nigdy nie siadywał.

Między przyćmionymi lampami zasilanymi metanem z komór biogazu wisiały na ścianach czaszki fagorów upolowanych przez Lobanstera Shokerandita i jego przodków. Nadal trzymały rogi do góry, a ich mroczne oczodoły spoglądały melancholijnie na odległe zakamarki sieni.

Luterin, zmierzający do komnat matki, przystanął nagle, usłyszawszy krzyki na dworze. Dobiały stamtąd bełkotliwe pijackie wrzaski. Ruszył pędem do bocznych drzwi, aż zadźwięczał mu dzwonek u pasa. Niewolnik odsunął pośpiesznie zasuwę, by go wpuścić.

Na dziedzińcu, na który wychodziły górne okna dworu, stał lennik oraz dwóch wolnych z mieczami w rękach. Osaczyli oni sześć bezrogich fagorów. Jeden z nich, gilda z małymi wysuszonymi piersiami świadczącymi o długich latach niewoli, wołał ochryple po sibijsku:

— Wy nie zabijacie, źli Syny Freyr! Hrl-Ichor-Yhar znów należycie do nas, dwurogich! Stój Stój!!!

— Stójcie! — krzyknął Luterin.

Ludzie zdążyli już zabić jednego fagora. Lennik rozplątał bykuna cięciem miecza. Trzewia dwurożców znajdowały się w klatce piersiowej nad płucami. Kiedy Shokerandit pochylił się nad trupem, który wił się jeszcze w agonii, w potokach złocistej krwi wypłynęły na ziemię jelita przypominające jaja na miękko.

Obluzowały się one powoli i jęły wydostawać się spomiędzy żeber. Miedzy niewielkimi lśniącymi wzgórkami, które wypłynęły z rany niczym żywa istota i spłynęły na kamienne płyty dziedzińca, biegły beżowe cienie. Złocista masa, wsiąkająca w szpary wśród kamieni, opuściła stopniowo ciało, pozostawiając tylko pusty kadłub.

Luterin zajął bestii za ucho, spostrzegł wypalone piętno i obrzucił zbrojnych gniewnym wzrokiem.

— Te dwurożce to nasi niewolnicy. Co robicie? Lennik wykrzywił się.

— Lepiej nie wtrącaj się w to, paniczu. Mamy rozkaz zabić wszystkie fagory, nasze i cudze.

Pięć dwurożców krzyknęło ochryple i usiłowało przebiec niezgrabnie koło ludzi, którzy unieśli natychmiast miecze.

— Przestańcie! Kto wydał to polecenie, Drikstalgilu? — spytał Luterin, który pamiętał imię lennika.

Nie spuszczać oka z fagorów i trzymając miecz w pogotowiu. Drikstalgil wsadził rękę do lewej kieszeni i wyciągnął złożony arkusz papieru.

— Dał mi to dziś rano sekretarz Evanporil. Proszę, niech wasza wielmożność się odsunie, bo mogą pana zmiażdżyć.

Wręczył Luterinowi plakat. Rozpostarłszy go gniewnym gestem, Shokerandit ujrzał wielki czarny druk.

Plakat głosił, iż wydano nowy dekret w celu powstrzymania zarazy zwanej tłustą śmiercią. Dowiedziono, że głównymi nosicielami moru są dwurożce. Należy przeto zabić je wszystkie, czy żyją w niewoli, czy na wolności. Władze każdego okręgu wypłacą za głowę każdego fagora jednego siba w gotówce. Posiadanie dwurożców staje się odtąd zbrodnią karaną śmiercią. Z rozkazu Oligarchy.

— Schowajcie miecze i czekajcie na dalsze instrukcje — rzekł Luterin. — Nie zabijajcie ich, dopóki nie powiem. I sprzątnijcie tego trupa.

Mężczyźni wykonali z ociąganiem polecenie, Shokerandit zaś wrócił do dworu i pomaszerował gniewnie na górę, by zobaczyć się z sekretarzem.

W gmachu wisiały niezliczone starożytne staloryty pochodzące z Rivenjk. gdzie istniała ongiś kolonia artystów. Większość z nich przedstawiała dzikie krajobrazy górskie: myśliwych atakujących zmienacka niedźwiedzie na polanach, niedźwiedzie atakujące myśliwych, osaczone jelenie, jeźdźców spadających w przepaść wraz z jajakami, kobiety mordowane w ponurych lasach, pary zabłąkanych dzieci konające z zimna na nagich turniach.

Staloryt koło drzwi sekretarza przedstawiał kapłana wojownika na straży przed bramą Wielkiego Koła. Sztwywno wyprostowany, przebijał on włócznią ogromnego fagora, który zaatakował go, wyskoczywszy z jaskini. Jak głosił sibijski podpis wygrawerowany ozdobną kursywą, staloryt nosił tytuł "Pradawny antagonizm".

— Bardzo na miejscu — mruknął Luterin, wałnął pięścią w drzwi Evanporila i wszedł do pokoju.

Sekretarz wyglądał przez okno, trzymając w ręku filiżankę herbaty. Przechylił głowę i milcząco spojrział przebiegle na Shokerandita.

Luterin rozpostarł plakat na biurku.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

— Nie pytał mnie panicz.

— Ile fagorów pracuje w majątku?

— Sześćset piętnaście — odparł Evanporil bez wahania.

— Jeśli je zabijemy, poniesiemy straszliwe straty. Trzeba wstrzymać wykonanie nowego edyktu. Pojadę najpierw do miasta, by się zorientować, co myślą inni ziemianie.

Sekretarz zakaszlał dyskretnie, zasłoniwszy usta dłonią.

— Odradzałbym to w obecnej chwili. Dochodzą słuchy, iż w mieście wybuchły zamieszki.

— Jakie zamieszki?

— Sprawa dotyczy kleru. Spalenie na stosie najwyższego kapłana Chub-salida wywołało wielki ferment wśród ludu. Od jego śmierci minął równo miesiąc i aby to uczcić, dziś rano spalono publicznie kukłę Oligarchy. Do miasta pojechał z ludźmi członek Tajnej Rady Ebstok Esikananzi, by rozpedzić tłum. Od owego czasu trwają rozruchy.

Luterin usiadł na krawędzi biurka.

— Jak myślisz, Evanporilu, czy stać nas na jednoczesne zabicie ponad sześciuset fagorów?

— Nie ja o tym decyduję, wasza wielmożność. Jestem tylko administratorem.

— Ale ten edykt jest... jest bardzo arbitralny, nie sądzisz?

— Cóż, skoro panicz pyta: uważam, że gdyby skrupulatnie wcielono go w życie, Sibornał uwolniłby się na zawsze od fagorów. To pożyteczne, nieprawdaż?

— Jednakże utrata taniej siły roboczej... Myślę, że ojciec byłby niezadowolony.

— Może i tak, paniczu, ale dla dobra ogółu... — Sekretarz urwał w pół zdania.

— Wstrzymamy wykonanie dekretu do powrotu ojca. Zawiadomię o tym listownie Esikananziego i innych sąsiadów. Wydaj natychmiast stosowne rozkazy.

Luterin spędził miłe popołudnie. Objechał posiadłość i dopilnował, by nie zabijano dalszych fagorów. Następnie pogalopował kilka mil dalej i odwiedził krewnych ojca, którzy mieli majątek w wyższej partii gór. Głowę wypełniały mu plany na przyszłość, toteż zapominał zupełnie o matce.

Noc spędził jak zwykle z Toress. Jego słowa i pieśczoćy cudownie na nią podziały. Stała się inną kobietą, posłuszną, pełną wyobraźni i życia. Luterina ogarnęło uniesienie głębsze niż normalne szczęście. Wydawało mu się, że osiągnął coś wspaniałego. Męka egzystencji była z pewnością warta takiej rozkoszy. Spędzili całą noc ciasno spleceni, poruszając się powoli, poruszając się gwałtownie, pozostając w bezruchu. Ich dusze i ciała zwały się w jedno.

Przed świtem Luterin zapadł w sen. Przeniósł się natychmiast w świat marzeń.

Kroczył przez pustkowie nieomal pozbawione drzew. Pod stopami chlupotało trzęsawisko. Z przodu rozciągało się zamrożone jezioro, którego wielkości nie sposób było ocenić. Wszystko działo się w przyszłości: w okresie małej zimy podczas zimy Weyra. Panowała wszechobecna ciemność. Na niebie nie świeciło ani jedno słońce. Luterin słyszał za plecami przeraźliwy oddech ogromnego zwierzęcia.

Była to także przeszłość. Na brzegach jeziora biwakowali żołnierze polegli w bitwie pod Isturiachą. Nadal pokrywały ich szpetne rany. Luterin spostrzegł Bandala Eitha Lahla stojącego samotnie z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Pod lodem skuwającym jezioro tkwiła olbrzymia istota. Luterin zorientował się, że to stamtąd dochodzi oddech.

Postać wydobyła się spod lodu, który nie pękł. Była to gigantyczna kobieta ze lśniącą czarną skórą. Wzbiła się w niebo. Nie widział jej nikt prócz Luterina.

Rzuciła mu łaskawe spojrzenie i rzekła:

— Nie spotkasz nigdy kobiety, która uczyni cię zupełnie szczęśliwym, lecz doznasz wiele szczęścia, gdy będziesz jej szukał.

Mówiła dalej, lecz zapomniał wszystko po obudzeniu się.

Obok niego leżała Toress. Miała zamknięte nie tylko oczy, lecz także całe oblicze. Na twarz opadło jej pasemko włosów, które trzymała w ustach jak poprzednio lisi ogon chroniący od mrozu na szlaku. Ledwo oddychała. Luterin zorientował się, że zapadła w pauzę.

W końcu powróciła na ziemię. Wpatrywała się długo w Luterina, prawie go nie poznając.

— Nigdy nie odwiedzasz tych na dole? — spytała cicho.

— Nigdy. My, Shokeranditowie, uważamy to za barbarzyński zabobon.

— Nie chciałbyś porozmawiać ze swoim umarłym bratem?

— Nie.

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Luterin chwycił Toress za rękę.

— Rozmawiałś z mężem? — spytał.

Bez słowa skinęła głową, wiedząc, że sprawia mu ból.

— Czy świat, w którym żyjemy, to zły sen? — spytała wreszcie.

— Nie, jeśli postępujemy zgodnie ze swoimi zasadami. Przytuliła się do niego i rzekła:

— Ale przecież pewnego dnia staniemy się starzy, niedołężni i zdziecinniali. Czy nie mam racji?

Czyż może być coś gorszego?

Znów się kochali, tym razem bardziej ze strachu niż z miłości.

Nazajutrz, objechawszy majątek i stwierdziwszy, że wszystko w porządku, Luterin poszedł odwiedzić matkę.

Jej komnaty znajdowały się na tyłach dworu. Otworzyła mu drzwi młodziutka służebna, która wprowadziła go do przedsionka. Stała tam matka w charakterystycznej pozie, z rękami splecionymi mocno na łonie, z lekko pochyloną głową, i uśmiechała się tajemniczo.

Pocałował ją. Robiąc to, wyczuł znajomy nastrój, jaki roztaczała zawsze wokół siebie. Coś w jej postawie i gestach sugerowało smutek wewnętrzny, a nawet — często tak myślał — pewnego rodzaju chorobę. Jedno i drugie było tak znajome, że niemalże zastępowało inne cechy osobiste Lourny Shokerandit.

Kiedy przemawiała łagodnie do syna i nie czyniła mu wyrzutów, że jej wcześniej nie odwiedził, poczuł w sercu litość. Widział, że od ostatniego spotkania bardzo się postarzała. Zapadły jej się skronie i policzki, a skóra stała się pergaminowa. Spytał, jak spędza czas.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go lekko, jakby nie wiedząc, czy go przytulić, czy odepchnąć.

— Nie rozmawiajmy tutaj. Twoja ciotka też chciałaby się z tobą zobaczyć.

Lourna Shokerandit odwróciła się i wprowadziła Luterina do niewielkiej komnaty z drewnianą boazerią, gdzie spędziła większość swojego życia. Luterin pamiętał ów pokój z dzieciństwa. Nie miał on okien, a na ścianach wisiały obrazy przedstawiające słoneczne polany w ponurej puszczy kaspiarowej. Tu i ówdzie, zagubione pomiędzy listowiem, spoglądały z owalnych ram twarze kobiet. W rogu, w wyściełanym fotelu pasującym do jej pulchnych kształtów, siedziała egzaltowana ciotka Yaringa, wyszywając serwetkę.

Yaringa zerwała się z miejsca.

— Nareszcie w domu, biedaku! — zawołała afektowanym głosem. — Ileż musiałeś przejść!...

Lourna Shokerandit spoczęła sztywno w fotelu obitym aksamitem. Ujęła dłoń syna, który usiadł obok. Yaringa wycofała się do swojego wyściełanego rogu.

— Rada jestem z twego powrotu, Luterinie. Bardzo się o ciebie niepokoiłiśmy, zwłaszcza na wieść o losie armii Asperamanki.

— Ocalałem dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Wszystkich naszych ziomków zamordowano po powrocie do Sibornalu. Był to akt niesłychanej zdrady.

Lourna spojrzała na swoje kolana, gdzie często wilo sobie gniazdo milczenia.

— Zdumiewa mnie twoja zmieniona postać — odezwała się w końcu, nie podnosząc oczu. — Jesteś taki... taki gruby...

Zacięła się na ostatnim słowie ze względu na obecność siostry.

— Przeżyłem tłustą śmierć i przywdziałem strój zimowy, matko. Lubię go i dobrze się w nim czuję.

— Wyglądasz śmiesznie — rzekła Yaringa, lecz została zignorowana. Luterin opowiedział damom swoje przygody i zakończył:

— W dużej mierze zawdzięczam ocalenie dziewczynie imieniem Toress Lahl. Pielęgnowała mnie troskliwie, gdy chorowałem na tłustą śmierć.

— Poświęcenie to powinność niewolników — rzekła sentencjonalnie Lourna Shokerandit. — Czy odwiedziłeś już Esikananzich? Jak wiesz, Insil chętnie się z tobą zobaczy.

— Nie, jeszcze się z nią nie widziałem. Lourna klasnęła bezdźwięcznie w dłonie.

— Urządę jutro wieczorem przyjęcie z udziałem Insil i jej rodziny. Uczymy twój powrót.

— Zaśpiewam dla ciebie, Luterinie — obiecała Yaringa. Była to jej specjalność.

Wyraz twarzy Lourny zmienił się. Wyprostowała się w fotelu.

Evanporil twierdzi, że kazałeś wstrzymać wykonanie nowego dekretu nakazującego pozbycie się fagorów.

— Możemy zmniejszać ich liczbę stopniowo, matko. Zabicie sześciuset naraz zaburzyłoby funkcjonowanie majątku. Mało prawdopodobne, że znajdziemy sześciuset niewolników, a ponadto ludzie są kosztowniejsi.

— Winniśmy państwu posłuszeństwo.

— Myślałem, że poczekamy na powrót ojca.

— Niech i tak będzie. Ale czy zamierzasz przestrzegać innych praw? My, Shokeranditowie, musimy dawać dobry przykład.

— Oczywiście.

— Trzeba ci wiedzieć, że w twoich komnatach aresztowano dziś rano cudzoziemską niewolnicę. Zamknięto ją w ciemnicy. Stanie przed miejscowym sądem na najbliższej sesji.

Luterin wstał.

— Czemu to zrobiono? Kto się ośmielił wejść do moich komnat?!

— Służąca, którą posłałeś do niewolnicy, doniosła, że kontaktuje się ona z duchami — odparła matka spokojnie. — Pauk jest zakazany. Za złamanie prawa spłonął na stosie sam najwyższy kapłan Chubsalid. Dla cudzoziemskich niewolnic nie może być wyjątków.

— A jednak zostanie uczyniony wyjątek! — rzucił pobladły Luterin. — Wybacz mi, matko.

Skłonił się obu damom i wyszedł. Wściekły, pobiegł korytarzem do biur zarządcy. Ulżył gniewowi, krzycząc na służbę.

Wezwawszy dowódcę straży, powiedział sobie w duchu: Bardzo dobrze, poślubię Toress Lahl. Muszę ją chronić przed niesprawiedliwością. Jako żona przyszłego Dzierżyciela Koła będzie bezpieczna. Może ta przygoda przekona ją, że nie powinna zbyt często odwiedzać mamika męża.

Toress uwolniono niezwłocznie z ciemnicy i przyprowadzono do komnat Luterina. Padli sobie w objęcia.

— Wybacz mi upokorzenie, jakie cię spotkało.

— Przyzwyczyłam się do upokorzeń.

— Przyzwyczaisz się do lepszego losu. Przy pierwszej sposobności przedstawię cię swojej matce.

Przekona się, kim naprawdę jesteś. Toress roześmiała się.

— Jestem pewna, że nie zrobię wielkiego wrażenia na Shokeranditach Kharnabharskich.

W przyjęciu dla uczczenia powrotu Luterina uczestniczyło mnóstwo gości. Otrząsnawszy się z letargu, matka zaprosiła wszystkich miejscowych dygnitarzy oraz krewnych będących akurat w łaskach.

Przybył cały ród Esikananzich. Członkowi Tajnej Rady Ebstokowi Esika-nanziemu towarzyszyła jego chorowita małżonka, dwóch synów, córka Insil Esikananzi i poczet mniej znaczących kuzynów.

Odkąd Luterin i Insil spotkali się po raz ostatni, Insil dorosła i stała się atrakcyjną dziewczyną. Byłaby wręcz klasyczną piękną, gdyby nie zmarszczone brwi sugerujące nieugiętą wolę, z dawien dawna cechą rodową Esikananzich. Miała na sobie elegancką szarą aksamitną suknię do ziemi z ulubioną szeroką koronkową krezą. Oficjalna grzeczność, jaką pokryła zdegustowanie metamorfozą fizyczną Luterina, podkreślała jeszcze wrażenie niesmaku.

Wszyscy członkowie rodu Esikananzich nosili u pasa głośnie dzwonki w podobnym tonie. Najgłośniejszy należał do Ebstoka, który teatralnym szeptem mówił o swoim niezgłębionym smutku po śmierci syna Umata w bitwie pod Isturiachą. Kiedy Luterin zauważył, iż Umat zginął w masakrze na przedmieściach Koriantury, odrzucono to jako kłamliwą propagandę Kampannlaczyków.

Ebstok Esikananzi był śniadym barczystym mężczyzną o nieprzeniknionym obliczu. Mrozy znoszone podczas długich polowań pokryły jego policzki labiryntem sinych żyłek przypominających unerwienie liścia. Nie patrzył rozmówcom w oczy, lecz na wargi.

Ebstok Esikananzi szczyił się, iż nie boi się wypowiadać własnych opinii, a jego wypowiedzi sprowadzały się głównie do jednego: podkreślania ważności własnego zdania.

Kiedy opróżniono półmiski robaczywej dzicyzny. Esikananzi odezwał się do Luterina i pozostałych gości:

— Słyszałeś wieści o naszym przyjacielu, najwyższym kapłanie Chub-solidzie? Niektórzy jego stronnicy zaczęli ostatnio mącić. Ten łotr dopuścił się zdrady stanu. Twój ojciec i ja byliśmy z nim ongiś na łowach. Wiedziałaś o tym. Luterinie? Ba, jeden jedyny raz...

Nic dziwnego, ten zdrajca urodził się w Bribahrze... Odwiedził kiedyś klasztor Koła. A potem ośmielił się wystąpić przeciwko państwu, protektorowi kościoła!

— Spalono go za to, ojcze, jeśli to jakaś pociecha — rzekł jeden z synów Esikananziego i roześmiał się.

— Oczywiście. A jego posiadłości w Bribahrze ulegną konfiskacie. Ciekawe, komu przypadną? Oligarcha wybierze najlepsze rozwiązanie. Nadchodzi zima i trzeba przede wszystkim zapobiec anarchii. Mamy przed sobą dwa ważne zadania: musimy zjednoczyć kontynent i zniszczyć w zarodku wszelką działalność wywrotową w życiu gospodarczym, religijnym i naukowym...

Luterin słuchał monotonnego głosu, wpatrując się w talerz. Nie miał apetytu. Obfity w wydarzenia pobyt z dala od Shivenink poszerzył jego horyzonty do tego stopnia, że nie mógł znieść widoku i głosu Esikananziego, który napełniał go przedtem lękiem. Spostrzegł ornament na swoim talerzu i nostalgicznie zdał sobie sprawę, iż jest to eksportowa porcelana Odima zakupiona w lepszych czasach w Korianturze. Pomyślał z sympatią o Eedapie Munie i jego miłym bracie, a później, ze wstydem, o Toress Lahl zamkniętej dla bezpieczeństwa w komnatkach. Uniósłszy wzrok, pochwycił chłodne spojrzenie Insil.

— Oligarcha zapłaci za śmierć najwyższego kapłana, podobnie jak za wymordowanie armii Asperamanki — powiedział. — Czyż pod pretekstem zimy wolno odrzucać podstawowe wartości ludzkie? Przepraszam.

Wstał i wyszedł z sali bankietowej.

Po posiłku matka długimi naleganiami skłoniła go, by wrócił do towarzystwa. Prowadzono oficjalne rozmowy, a później niewolnicy przyprowadzili fagora, którego wyuczono kuglarstwa. Pod biczem tresera przeskakiwał on z nogi na nogę, utrzymując na rogach talerz.

Następnie pojawił się zespół taneczny złożony z niewolników, a Yaringa Shokerandit, jak zwykle podczas bankietów, śpiewała pieśni miłosne z Pałaców Jesiennych.

Gdybyż. ach. gdybyż wolne było serce me I dzikie jako wartki Venj...

— Czy jesteś źle wychowany, czy po prostu nabrałaś manier gburowatego żołdaka? — spytała Insil pod osłoną muzyki. — Spodziewasz się, że nasze małżeństwo będzie rodzajem pantomimy?

Popatrzył na znajomą twarz i uśmiechnął się na dźwięk znajomego zaczepnego tonu. Podziwiał obfite koronki pod szyją dziewczyny i zauważył, że jej piersi powiększyły się od ostatniego spotkania.

— A czego ty się spodziewasz, Insil?

— Spodziewam się, że odegramy swoją rolę, podobnie jak bohaterowie sztuki. Czyż nie jest to konieczne w epoce takiej jak nasza, gdy jak taktownie przypomniałeś ojcu, zwykle wartości ludzkie odrzucane są niczym szaty, by stanąć nago wobec zimy?

— To kwestia naszych oczekiwań wobec siebie samych. Barbarzyństwo może oczywiście nadejść, lecz mamy prawo z nim walczyć.

— Podobno po klęsce, jaką zadałeś poganom, w Kampannlacie wybuchła wojna domowa i zaczęła upadać cywilizacja. Trzeba za wszelką cenę unikać takich zaburzeń... Zauważ, od naszego rozstania sama zainteresowałam się polityką! Czy to nie barbarzyństwo?

— Niewątpliwie musiałaś wysłuchać mnóstwa kazań ojca przeciwko anarchii. Mnie barbarzyński wydaje się tylko twój dekolt.

Insil roześmiała się, aż na czoło opadł jej kosmyk włosów.

— Cieszę się, że cię widzę, Luterinie, nawet grubego jak beka. Pomówmy gdzieś na osobności, gdy tymczasem twoja ciotka będzie lała łzy nad tą ohydną rzeką.

Przeprosili towarzystwo i udali się do chłodnej komnaty na tyłach dworu, gdzie syczała ostrzegawczo lampa gazowa.

— Możemy teraz zamienić parę słów i mam nadzieję, że będą cieplejsze niż ten pokój — rzekła Insil. — Ach, jakże nienawidzę Kharnabharu! Jak mogłeś być takim głupcem, żeby tu wrócić? Spojrzała na niego z ukosa. — Chyba nie zrobiłeś tego dla mnie, co?

Przechadzał się przed nią tam i z powrotem.

— Nic się nie zmieniłaś, Sil. Ty pierwsza zaczęłaś mnie torturować. Teraz dręczą mnie inni. Dręczy mnie... dręczy mnie zło Oligarchy. Nie mogę znieść myśli, że gdyby ludzie zechcieli, mogliby przeżyć zimę Weyra w świecie miłosierdzia, a nie okrucieństwa. Otacza nas zło: Oligarcha rozkazał wymordować własną armię. Mimo to rozumiem, że jeśli Sibornal chce uniknąć losu Kampannlatu, musi stać się twierdzą rządzoną twardymi prawami. Wierz mi, nie jestem już dzieckiem.

Insil przyjęła jego słowa bez większego entuzjazmu. Siedziała na brzeжку fotela.

— Ba, naprawdę się zmieniłaś, Luterinie. W pierwszej chwili poczułam niesmak na twój widok. Dopiero gdy raczysz się uśmiechnąć, gdy nie wpatrujesz się ponuro we własny talerz, widać, że to naprawdę ty. Ale twoja tusza... Mam nadzieję, że moje deformacje pozostaną ukryte. Aby ocalić nas przed tłustą śmiercią, usprawiedliwione są wszelkie środki, jakkolwiek surowe.

Ostatnie słowa podkreślił dźwięk jej osobistego dzwonka, który przypominał Luterinowi przeszłość.

— Metamorfoza to nie deformacja, Insil. To coś zgodnego z naturą.

— Wiesz, jak nienawidzę natury.

— Wstydzisz się jej.

— A czemu ty się wstydzisz postępku Oligarchy? Wszystko stanowi jedność. Twoje umoralniające kazania są równie nudne jak tyrady ojca. Kogo obchodzi śmierć kilku ludzi i fagorów? Czyż życie nie jest jednym wielkim polowaniem?

Patrzył na nią, na jej smukłą, napiętą postać, gdy splotła dłonie w chłodnej komnacie. Przez maskę spokoju przebiła się resztką uczuć, jakie kiedyś do niej żywił.

— Pramatko, nadal mówisz zagadkami! Podziwiam to, ale czy mógłbym to znosić przez całe życie?!

Roześmiała się w odpowiedzi.

— Kto wie, co przyjdzie nam jeszcze znieść? Kobieta potrzebuje fatalizmu bardziej niż mężczyzna. Rola kobiety polega na słuchaniu, a ja słyszę tylko wycie wichru. Wolę dźwięk własnego głosu.

Dotknął jej po raz pierwszy i spytał:

— Skoro nie możesz znieść mojego widoku, czego właściwie chcesz od

Wstała, unikając jego oczu.

— Szkoda, że nie jestem piękna. Nie mam ładnej twarzy, tylko dwa połączone profile. Gdybym była piękna, mogłabym umknąć przed losem, a przynajmniej znaleźć coś interesującego.

— Jesteś wystarczająco interesująca. Insil pokręciła głową.

— Czasami myślę, że jestem martwa. — Mówiła bez emfazy; równie dobrze mogłaby opisywać krajobraz. — Nie chcę niczego, co znam, i mnóstwa tego, czego nie znam. Nienawidzę swojej rodziny, swojego domu, tego miejsca. Jestem zimna, twarda i pozbawiona duszy. Moja dusza wyleciała pewnego dnia przez okno, może kiedy udawałeś martwego... Jestem nudna i znudzona. W nic nie wierzę. Nikt mi nic nie daje, bo nie mogę niczego dać ani wziąć.

Luterina bolała jej męka, lecz to wszystko. Jak dawniej, niczego nie rozumiał.

— Dałaś mi wiele, Sil, od samego dzieciństwa.

— Podejrzewam także, że jestem oziębła. Nie znoszę, gdy mnie ktoś całuje. Czuję pogardę dla twojej litości. — Odwróciła się, jakby dużo kosztowało ją to, co miała powiedzieć: — Myśl o tym, że mogłabym się przespać z takim grubasem jak ty... wydaje mi się odpychająca, a przynajmniej mnie nie pociąga...

Chociaż Luterin nie był głębokim znawcą psychologii, rozumiał, że chłód Insil wobec innych stanowi wyraz jej skłonności do samoudręki. Skłonność ta była silniejsza niż poprzednio. Może zresztą mówiła prawdę: Insil zawsze mówiła prawdę.

— Nie chcę, żebyś się ze mną przespała, droga Insil. Jest ktoś inny. kogo kocham i zamierzam poślubić.

Stała bokiem do Luterina, z wąskim policzkiem przytulonym do koronkowej krezy. Wyglądała, jakby się skurczyła. Skóra na jej karku połyskiwała lekko w bladym gazowym świetle. Jęknęła głucho. Kiedy zasłoniła usta ręką i nie zdołała powstrzymać kolejnych jęków, zaczęła bić się pięściami po udach.

Chwycił ją, zatrwożony.

— Insil!

Odwróciła się do niego z twarzą obleczoną w maskę rozbawienia.

— Ach, cóż za niespodzianka! Zrozumiałam, że jest mimo wszystko coś, czego pragnę, choć nigdy się tego nie spodziewałam... Ale ty uważasz mnie za zbyt narowistą, co?

— Nie, to nieprawda.

— O tak, słyszałam. Ta niewolnica w twoich komnatach... Wolisz poślubić niewolnicę niż wolną kobietę, bo wyrosłeś wśród tutejszych mężczyzn i chcesz mieć żonę na własność.

— Mylisz się, Insil. Nie jesteś wolna. Ty także jesteś niewolnicą. Zawsze będę cię darzyć ciepłymi uczuciami, ale jesteś więźniem siebie samej. Roześmiała się prawie bez pogardy.

— Już wiesz, kim jestem, prawda? Dotąd mówiłeś, że stanowią zagadkę. Cóż, przeraża mnie twoja nieczułość. Musisz mi to mówić bez uprzedzenia? Dlaczego nie powiedziałeś ojcu, jak każe zwyczaj? Podobno bardzo szanujesz tradycję.

— Chciałem pomówić z tobą.

— Doprawdy? A czy podzieliłeś się już tą ekscytującą nowiną ze swoją matką? Co się teraz stanie ze związkiem Shokeranditów i Esikananzich? Czyżbyś nie wiedział, że po powrocie twojego ojca zostaniemy prawdopodobnie zmuszeni do małżeństwa? Oboje mamy swoje obowiązki i żadne z nas im się nie sprzeniewierzyło. Ale ty masz chyba mniej odwagi ode mnie. Jeśli któregoś dnia zostaniemy wepchnięci siłą do jednego łóżka, odpłacę ci za upokorzenie, jakie mi dziś zadałeś!...

— Co ja takiego zrobiłem, na Pramatkę?! Wściekasz się na mnie dlatego, że nie czuję entuzjazmu dla naszego małżeństwa, podobnie jak ty? Bądź rozsądna, Insil!

Spojrzała na niego chłodno, z oczami pociemniałymi z gniewu pod potarganą fryzurą. Chwyciwszy ręką ciężką suknię, przyłożyła bladą dłoń do policzka i wyszła spiesznie z komnaty. Nazajutrz rano, gdy Toress wykąpała się i ubrała z pomocą niewolnicy, Luterin zabrał ją przed oblicze matki i oznajmił uroczyście, że zamierza poślubić Toress, a nie Insil Esikananzi. Matka płakała i groziła gniewem ojca, a w końcu wycofała się do swojej sypialni.

— Wybierzemy się na przejażdżkę — rzekł chłodno Luterin, przypinając pistolet i zarzucając na ramię krótką strzelbę. — Pokażę ci Wielkie Koło.

— Mam jechać z tobą? Spojrzał na nią w zamyśleniu.

— Słyszałaś, co powiedziałem matce.

— Słyszałam. Mimo to nie jestem wolną kobietą, a to nie Chalce.

— Po powrocie każę sekretarzowi sporządzić akt wyzwolenia ciebie. Takie rzeczy są możliwe. W tej chwili chcę wyjechać z dworu.

Ruszył niecierpliwie ku drzwiom, przy których stali stajenni trzymając za uzdę dwa jajaki.

— Opowiem ci kiedyś o jajakach — powiedział, gdy ruszyli w drogę. — To odmiana szlachetna, hodowana od wieków przez nasz ród.

Znalazłszy się poza granicami majątku, ruszyli prosto pod wiatr. Śnieg pokrywający ziemię był głęboki zaledwie na stopę. Po obydwu stronach gościńca tkwiły żerdzie pomalowane w pasy, czekając na porę, gdy rozpoczną się wielkie opady.

Aby dotrzeć do szczytu Kharnabhar, musieli minąć majątek Esikananzich. Szlak wił się przez zagajnik wysokich kaspiarnów o gałęziach pokrytych szronem. Kiedy zbliżali się do Kharnabharu, który wyłaniał się stopniowo z mgły, powitało ich głośnie bicie niezliczonych dzwonów.

Ich dźwięk był wszechobecny. Chroniły one ongiś przed zabłądzeniem we mgle lub zamieci, lecz obecnie stały się rodzajem mody.

Toress ściągnęła wodze jajaka i patrzyła przed siebie, osłoniwszy usta rękawem płaszcza. Z przodu leżała wioska Kharnabhar. Po prawej stronie gościńca wznosiły się zajazdy dla pielgrzymów, po lewej zaś domy zatrudnionych przy Wielkim Kole. Na większości budynków znajdowały się kopułki z dzwonami. Różniły się one dźwiękiem i można było je słyszeć, gdy stawały się niewidoczne wskutek złej pogody.

Gościniec wiódł pod górę do bramy Wielkiego Koła, ozdobionej przez Budowniczych Kharnabharu podobiznami wioślarzy o ptasich twarzach. Brama prowadziła do wnętrza góry Kharnabhar, która wznosiła się nad wioską.

Na zboczach stały budynki, często kaplice lub mauzolea zbudowane przez pielgrzymów w sąsiedztwie najświętszego sanktuarium. Niektóre, przycupnięte na wystęпах skalnych, znajdowały się ponad linią wiecznego śniegu. Wiele popadło w ruinę.

Shokerandit wskazał ręką przed siebie.

— Mój rodzic sprawuje pieczę nad Świętą Górą. Czy chciałabyś zobaczyć Wielkie Koło? — zwrócił się do Toress. — W dzisiejszych czasach nikogo się tam nie więzi. Trzeba się zgłosić na ochotnika.

— Myślałam, że część Koła wystaje na zewnątrz — rzekła dziewczyna, gdy ruszyli do przodu.

— Jest całe w środku góry. Na tym polega istota rzeczy. Mrok. Mrok dający mądrość.

— Sądziłam, że źródłem mądrości jest światło.

Mieszkańcy Kharnabharu gapili się na ich tęgie kształty, trącając się łokciami. Niektórzy cierpieli na wielkie wola, stanowiące powszechną chorobę regionów górskich. Posuwając się wraz z Luterinem i Toress w stronę bramy, zabobonnie kreślili palcami znak Koła.

Znalazłszy się bliżej, spostrzegli nieco więcej: wielką rynnę kierującą potok ludzi ku środkowi góry. Nad wejściem, zabezpieczonym okapem przed lawinami, znajdowała się surowa płaskorzeźba z symboliką Koła. Po niebie płynęli w nim wioślarze w powłóczystych szatach, a między nimi można było rozróżnić kilka znaków zodiaku: Głaz, Starego Łowcę, Złoty Statek. W bocznej części portalu widniała zdumiewająca bujna postać kobieca, z której piersi tryskały gwiazdy. Kobieta wzywała wiernych ku sobie.

Pielgrzymi, olśnieni portalem, ukłękli przed bramą, wzywając na głos Boga Azoiastica.

— Coś wspaniałego! — westchnęła Toress Lahl.

— Dla ciebie może to coś wspaniałego. My, którzy wyrosliśmy w tej religii, uważamy to za sens życia, źródło sił, by stawić czoło przeciwnością.

Luterin zeskoczył z grzbietu jajaka, chwycił siodło Toress i powiedział:

— Pewnego dnia, jeśli rodzic uzna mnie za godnego, sam zostanę Dzierżycielem Koła. Dziedzicem urzędu miał być mój brat, lecz zginął. Mam nadzieję, że to mnie spotka ten zaszczyt.

Toress spojrzała nań z przyjaznym uśmiechem, nie rozumiejąc.

— Wiatr zelżał — rzekła.

— Zwykle panuje tu spokój. Jak mówią, Kharnabhar to czwarta co do wielkości góra świata. Ale za nią (nie widać tego z powodu mgły) znajduje się jeszcze większa góra Shivenink, osłaniająca Kharnabhar przed wichrami polarnymi. Shivenink ma przeszło siedem mil wysokości i jest trzecim szczytem planety. Zobaczysz go innym razem.

Umilkł, wyczuwając, że okazał zbyt wiele entuzjazmu. Chciał być szczęśliwy i pewny siebie jak przedtem, lecz wytrąciło go z równowagi spotkanie z Insil poprzedniego wieczoru. Wskoczył nagle na grzbiet jajaka i odjechał od bramy Koła.

Podążył w milczeniu wiejską drogą wzdłuż straganów z odzieżą i dzwoneczkami, gdzie tłoczyli się pielgrzymi. Niektórzy żuli opłatki z pieczęcią Wielkiego Koła.

Za wioską znajdował się stromy wąwóz, wijący się w dół aż do odległej doliny. Pomiędzy blisko rosnącymi drzewami leżały ogromne głazy. Szlak stawał się tu i ówdzie zdradliwy wskutek obecności zasp śnieżnych. Jajaki stąpały ostrożnie, dźwięcząc dzwoneczkami uprzęży. Wysoko w konarach drzew śpiewały ptaki i słychać było szum wody płynącej po kamieniach. Przed nimi rozciągała się przepaścista dolina pełna cieni.

Zatrzymali się na rozwidleniu szlaku. Jedna droga biegła w dół, druga w górę.

— Mówią, że w zimie Weyra ta dolina wypełni się śniegiem — rzekł Luterin, gdy Toress się z nim zrównała. — Na przykład za życia moich wnuków, jeśli oczywiście będę je mieć. Powinniśmy pojechać górą. To najłatwiejsza droga do domu.

— Dokąd prowadzi ścieżka w dół?

— Do starożytnej kaplicy wzniesionej przez króla z twojego kraju, więc może cię to zainteresuje. Ojciec wybudował obok mauzoleum mojego brata.

— Chciałabym je zobaczyć.

Ścieżka stała się stromsza. Drogę blokowały powalone pnie. Luterin zacisnął gniewnie wargi na widok ruiny, w jaką popadł majątek. Minęli wodospad i śnieżne pola. Nad zboczami góry unosiła się mgła. Wokół lśniły liście. Z nieba sączyło się mdłe światło.

Objechali kopulastą kaplicę. Dzwon milczał. Kiedy dotarli do spłachcia nagiej ziemi, spostrzegli, że wejście do budynku zatarasowała wielka zasp śnieżna.

Toress, pochodząca z Borldoranu, rozpoznała natychmiast styl kaplicy. Zwano go embruddockańskim. Większość budowli kryła się pod ziemią. Schodki wiodące do środka przez kopułę zewnętrzną dawały pielgrzymom czas, by oczyścić serca z myśli doczesnych.

Dziewczyna odgarnęła śnieg i zajrzała do środka przez niewielkie prostokątne okienko w drzwiach. W kaplicy panowała ciemność, a światło wpadało jedynie z góry. Znad kolistego ołtarza spoglądało oblicze starożytnego bóstwa. Toress zaczęła oddychać szybciej.

Zapomniała imienia bożka, lecz dobrze знаła imię króla, którego popiersie stało w niszy nad drzwiami zewnętrznymi. Był to JandolAnganol, władca Borlien i Oldorando, ochrzczonych później Borldoranem.

— Czy to dlatego mnie tutaj przyprowadziłeś? — spytała drżącym głosem. — Ten król to jeden z moich odległych przodków. Jego imię jest w moim kraju przysłowiowe, choć zmarł przeszło pięćset lat temu.

— Wiem, że ta kaplica jest stara — odparł krótko Luterin. — W pobliżu pochowano mojego brata. Jedźmy tam.

Toress uspokoiła się i podążyła za Luterinem, mrużąc pod nosem: "JandolAnganol..."

Shokerandit patrzył na stos głazów. Na jego szczycie stał kolisty blok granitu, na którym wyryto imię FAYIN oraz święty symbol koła w kole.

Aby okazać szacunek, Toress zsiadła z jajaka i stanęła koło Luterina. Kopiec głazów wydawał się barbarzyński w porównaniu z delikatnie rzeźbioną kaplicą.

Luterin odwrócił się i wskazał wznoszące się nad nimi urwisko.

— Widzisz szczyt wodospadu?

Wysoko w górze sterczała ostroga skalna. Tryskała z niej woda spadająca siedemdziesiąt stóp w dół i rozbijająca się o głazy. Słychać było szum potoku płynącego doliną.

— Przyjechał tu raz na mustangu, kiedy była ładna pogoda. Skoczył w przepaść razem z wierzchowcem. Azoiatic wie, co go do tego popchnęło. Ojciec był we dworze. To on znalazł martwego brata i kazał usypać kopiec ku jego pamięci. Od tego czasu nie wolno nam wymawiać jego imienia. Myślę, że rodzic cierpiał równie mocno jak ja.

— A twoja matka? — spytała Toress po chwili. Luterin przygryzł wargi i znów spojrzał na wodospad.

— O, ona także cierpiała, oczywiście.

— Bardzo szanujesz swojego ojca, prawda?

— Wszyscy go szanują. — Odchrząknął i dodał: — Jestem pod jego ogromnym wpływem. Może nie byłby mi taki drogi, gdyby nie przebywał tak często poza domem. Uchodzi w okolicy za świętego, podobnie jak twój królewski przodek.

Toress roześmiała się.

— JandolAnganol nie był święty! To jedna z najczarniejszych postaci w naszych dziejach. Zniszczył starożytną religię, spaliwszy jej przywódcę i wszystkich jego zwolenników.

— Cóż, u nas uchodzi za świętego. W Kharnabharze jego imię otoczone jest czcią.

— Po co tu przybył?

Luterin potrząsnął niecierpliwie głową.

— Bo to Kharnabhar. Wszyscy tu pielgrzymują. Może chciał odpokutować za swoje grzechy?

Toress nie odpowiedziała. Luterin stał i patrzył na strome zbocza doliny.

— Miłość między ojcem a synem jest najczystsza na świecie, nie sądzisz? Teraz, gdy dorosłem, poznałem inne kuszące rodzaje miłości. Żaden z nich nie jest tak jasny i czysty jak uczucie, jakie żywię do ojca. Inne odmiany miłości niosą w sobie konflikty, pytania. Miłość do ojca jest ślepa. Chciałbym być jednym z jego ogarów i okazywać mu całkowite posłuszeństwo. Zapuszcza się na całe miesiące w bory kaspiarnowe. Gdybym był psem, mógłbym być z nim zawsze, chodzić wszędzie tam, gdzie mnie poprowadzi.

— I żywić się resztkami, które by ci rzucił.

— Gdyby taka była jego wola...

— To niezdrowe uczucie.

Luterin zwrócił się do Toress z wyniosłą miną.

— Już nie jestem chłopcem. Potrafię sobie dogadzać lub brać się w karby. Każdy powinien to umieć. Potrzebujemy miłosierdzia i silnej woli. Musimy walczyć z niesprawiedliwymi prawami. Wytrzymamy zimę Weyra i nie dopuścimy do anarchii. Kiedy nadejdzie wiosna, Sibornal będzie silniejszy niż kiedykolwiek. Mamy trzy niewzruszone cele. Musimy zjednoczyć kontynent, odbudować etos pracy i lepiej ją zorganizować z uwagi na wyczerpywanie się zasobów naturalnych. A zresztą to nie twoja sprawa...

Odsunęła się od niego. Para uchodząca z ich ust rozdzieliła się.

— Jaką rolę odgrywam w twoich planach?

Zaniepokoiło go to pytanie, choć podobała mu się jego bezpośredniość. Przebywając w towarzystwie Toress, Luterin znajdował się w innym świecie niż z Insil. Poczawszy nagle przyływ tkliwości, odwrócił się i chwycił ją w ramiona. Spojrzał jej w oczy, a następnie pocałował krótko. Cofnęła się, wciągnął głęboko oddech i przypatrzył się jej twarzy. Znów się przybliżył i zaczął ją całować z większym skupieniem.

Nawet gdy Toress odwzajemniała pocałunki, nie potrafił zapomnieć o Insil Esikananzi. Toress także zmagala się ze wspomnieniem warg martwego męża.

Rozdzielili się.

— Bądź cierpliwa — rzekł, jakby mówił do siebie. Nie odpowiedziała.

Luterin wsiadł na wierzchowca i pojechał przodem ścieżką wijącą się pod górę między ciemnymi drzewami. Na uprzężach jajaków dźwięczały dzwoneczki. Niewielka kaplica zasypana śniegiem pozostała z tyłu i wnet zniknęła w mroku.

Kiedy wrócił do dworu, czekał nań zapieczętowany list od Insil. Otworzył go z ociąganiem, lecz list zawierał jedynie aluzję do kłótni z poprzedniego wieczoru. Brzmiał następująco:

Luterinie!

Uważasz mnie za brutalną, lecz inni są brutalniejsi. Stanowią dla Ciebie większą groźbę niż ja.

Czy pamiętasz, jak rozmawialiśmy kiedyś o możliwej przyczynie śmierci Twego brata? Jeśli mi się to nie przyśniło, mówiliśmy o tym po okresie dziwacznej martwoty, jaka Cię ogarnęła po jego samobójstwie. Twoja niewinność ma w sobie coś bohaterskiego. powiem Ci więcej.

Błagam Cię, strzeż się. Dla własnego dobra nikomu naszego sekretu.

Niebawem nie wyjawiaj Insil

Za późno, mruknął niecierpliwie Luterin, mnąc list w dłoniach.

XIV. NAJWIĘKSZA ZBRODNIA

Skąd wziąć pewność, iż Pramatka i Gaja, duchy opiekuńcze biosfery, istnieją naprawdę?

Brakowało na to dowodów obiektywnych, podobnie jak w przypadku telepatii. Mikroorganizmy nie mają pojęcia o istnieniu ludzkości, gdyż żyją w zupełnie innym świecie. Ludzie postrzegają chemiczne duchy biosfery, które rządzą planetą niby jednym wielkim organizmem, wyłącznie dzięki intuicji.

Intuicja podpowiada także ludzkości, iż powinna żyć w zgodzie z duchem, którego nie wolno jej posiąść ani zdominować. Najbardziej gorączkowo starali się posiąść Helikonię członkowie Tajnej Rady, zbierający się w sekrecie z dala od pobratymców.

A gdyby im się udało?

Duchy biosfery łatwo wybaczą i łatwo się przystosowują. Intuicja podpowiada nam, iż zawsze istnieją alternatywy. Homeostaza to nie skostnienie, lecz równowaga sił żywotnych.

Wielkie ekosystemy sawanny stworzyli prymitywni łowcy, którzy podpalali Icisy, by zdobyć pożywienie. Cybernetyczny system sterowania Gai ożywia zasada zmienności.

Nad Helikonią powiewał szary płaszcz Pramatki. Ludzie akceptowali go lub buntowali się przeciw niemu zgodnie z własną naturą.

Poza granicami ludzkiego świata tworzyły swoje prawa dzikie zwierzęta. Rrassimipy zapobiegliwie gromadziły głęboko pod ziemią zapasy substancji odżywczych, by móc nadal rosnąć. Niewielkie skorupiaki lądowe, grzbietokręty, roiły się tysiącami pod bryłami alabastru, drążąc w nich żrącymi wydzielinami tunele mieszkalne i czerpiąc przez przejrzystą skałę światło potrzebne do życia. Rogate owce górskie, dzikie asokiny, flambergi grasujące na równinach, toczyły szalone walki godowe. Łączyły się w coraz to nowe pary, a liczba żywego potomstwa zależała od temperatury, dostępności pokarmu, odwagi i zręczności młodych.

Istoty te, których nie można nazwać częścią ludzkości, a które, z utęsknieniem kierując wzrok w stronę ognisk obozowych, pozostawały wskutek kaprysu ewolucji na jej obrzeżach, także stanowiły własne prawa.

Driatowie, posiadający dar mów i potrafiący świetnie w niej przeklinać, klęli i schodzili r gór na kamieniste wybrzeża kontynentu, gdzie istniała obfitość pożywienia. Koczowniczy Madisi opuszczali swoje więdnące puszcze, podążali na zachód i nawiedzali zrujnowane miasta opuszczone przez ludzi. Nondadzi drążyli tunele między korzeniami wielkich drzew, prowadząc nieuchwytny swój żywot podobnie jak w skwarnych dniach lata.

Kolejne pokolenia fagorów obserwowały, jak warunki na planecie zbliżają się stopniowo do panujących pierwotnie, nim na niebie pojawił się Freyr. W ich pozbawionych poczucia czasu umysłach wyobrażenia przyszłości przypominały coraz bardziej wyobrażenia przeszłości. Na bezkresnych równinach Kampannlatii dwurożce stawały się rasą dominującą, żywiąc się mięsem coraz liczniej występujących jajaków i bijaków i coraz śmielej atakując Synów Freyra. Ze zorganizowanym oporem ludzi spotykały się jedynie w Sibornalu, gdzie zresztą nigdy nie było ich wiele.

Wszystkie owe istoty w pewnym sensie współzawodniczyły ze sobą, lecz w szerszym kontekście stanowiły jedność. Ich liczebność zmniejszała się wskutek zaniku roślinności, lecz gatunki istniały nadal. Egzystencja wszystkich istot żywych zależała od anaerobów w mule dennym oceanów Helikonii, które pochłaniały dwutlenek węgla i utrzymywały stałe stężenie tlenu w atmosferze, tak że na lądzie i w morzu trwały wielkie procesy respiracji i fotosyntezy.

Wszystkie owe organizmy tworzyły niezbędne elementy biosfery planety. Jednakże połowa żywych istot Helikonii zamieszkiwała głębiny oceanów. Były to głównie jednokomórkowce. Stanowiły one zwierciadło życia i nie obchodziło ich, czy Freyr znajduje się blisko, czy daleko.

Wszystkie siły żywe utrzymywała w równowadze Pramacierz. Skąd wzięło się życie? Samo z siebie. Co stałoby się bez niego? Przestałoby istnieć. Pramatka była duchem unoszącym się nad wodami: nie posiadała umysłu, lecz stanowiła ogromną współzależną całość sterującą rozsiała burzą chemiczną. I była z konieczności jeszcze bardziej wynalazcza niż jej siostra Gaju z pobliskiej Ziemi.

Ludzie Helikonii egzystowali w pewnym oddaleniu od innych istot żywych, od alg, parzących się owiec i grzbietokrętów. Chociaż zależeli w taki sam sposób od homeostatycznej równowagi biosfery, uznali samych siebie za gatunek wyższy. Stworzyli mowę. W niemym kosmosie pojawił się świat słów. Układali pieśni, poematy, dramaty, kroniki, treny i proklamacje, powołując do życia wzorce wyrażania się. Słowa stymulowały zdolności wynalazcze. Wraz z narodzinami języka pojawiła się historiografia. Historiografia była dla słów tym, czym dla Ziemi Gaja, a dla Helikonii Pramatka. Żadna planeta nie miała historii, dopóki nie pojawił się gadatliwy rodzaj ludzki i nie wynalazł słów, by opisywać to, co kolejne pokolenia uznają za rzeczywistość.

Na Helikonii pojawili się wizjonerzy, którzy w epoce wojen i konfliktów odgadli istnienie Pramatki. Jednakże mistycy żyli w każdej epoce, często nie wyrażając niczego słowami, gdyż wychodzili zawsze poza granice języka. Dostrzegali we wszechświecie jedność, coś istniejącego poza życiem, a zarazem stanowiącego oś, wokół której obraca się wszelkie życie, coś jednocześnie żywego i martwego.

Wizję tę niełatwo oddać słowami. Istnienie języka powoduje ponadto, że słuchacze nie są w stanie powiedzieć, czy jest ona prawdziwa, czy fałszywa. Słowa ważą mniej niż atomy. Wszechświat słów nie zawiera absolutnych kryteriów dotyczących życia i śmierci w niemym kosmosie. Właśnie dlatego potrafi dawać początek światom wyobrażonym, które nie są ani żywe, ani martwe.

Jeden z owych światów wyobrażonych stanowiło doskonale funkcjonujące państwo Sibornalu wedle wizji Oligarchy. Inny był doskonale funkcjonujący wszechświat Boga Azoiaxica wedle wizji duchownych Kościoła Krwawego Pokoju. Kiedy wystąpiono przeciwko dekretem Oligarchy i spalono najwyższego kapłana Chubsalida, oba wyobrażone ideały przestały do siebie pasować. Po długim okresie prawie zupełnego braku różnic kościoł i państwo zdały sobie ze zgrozą sprawę, iż istnieje między nimi sprzeczność interesów.

Wielu wybitnych duchownych, takich jak Asperamanka, było zbyt zależnych od państwa, by zaprotestować. Uderzyli na alarm szeregowi członkowie kościoła, prości mnisi najbliżsi ludowi.

Jeden z członków Tajnej Rady grzmiał przeciwko "wszędobylskim klechom w sutannach, rozsiewającym fałszywe pogłoski wśród pospólstwa", powtarzając nieświadomie słowa Erazma z Rotterdamu, który powiedział to samo wiele wieków wcześniej na Ziemi. Jednakże Oligarcha nie był obrońcą humanizmu. Prześladowanych spotykały tylko nowe prześladowania.

Znów zaczęło działać prawo sprzeczności. Kiedy próbowano zwierać szyki, pojawiała się szczelina; kiedy jedność znajdowała się w zasięgu ręki, nasilały się podziały.

Oligarcha obracał wszystko na swoją korzyść. Niepokoje w podległych krajach stały się pretekstem dla coraz surowszych represji. Zwycięską armię powracającą z Bribahru rozkwaterowano w

miastach i wsiach Uskutoshk. Zastraszone pospólstwo przyglądało się ponuro egzekucjom swoich kapłanów.

Niepokoje dotarły nawet do Kharnabharu.

Aby porozmawiać o zamieszkach, do dworu Shokeranditów przybył Ebstok Esikananzi i jak zwykle unikał wzroku Luterina, który doradzał ostrożność. Pojawili się także inni dygnitarze reprezentujący obie strony. Luterin debatował długie godziny z sekretarzem Evanporilem i jego podwładnymi. Nie mogąc rozstrzygnąć własnego losu, nie był w stanie decydować o losach prowincji.

Spory dotyczyły także Wielkiego Koła. Chociaż pieczę nad nim sprawował kościół, jego obszar znajdował się pod zarządem świeckiego administratora mianowanego przez Dzierżyciela Koła. Poszerzała się przepaść między hierarchią świecką a duchowną. Nie zapomniano o losie Chubsalida.

Po dwudniowych debatach Luterin zrobił to, czego imał się poprzednio w sytuacjach bez wyjścia. Uciekł.

Zabrawszy ze sobą dobrego ogara i łowczego, zapuścił się w dzikie, bezkresne góry otaczające Kharnabhar. Panowała zamięć, lecz Luterin nie zważał na nią. W dolinach i na przesiekach w borach kaspianowych znajdowały się tu i ówdzie domki myśliwskie i kaplice, gdzie można było rozsiedlać wierzchowca, schronić się przed śnieżycą i wyspać się. Luterin zniknął ze świata wzorem ojca.

Miał często nadzieję, że go spotka. Widział ową chwilę oczyma wyobraźni. Rodzic jechał w środku pocztu grubo odzianych myśliwych, wokół których wirował śnieg. Na skórzanych rękawicach siedziały zamaskowane sokoły. Bijając ciągnął sanie z upolowaną zwierzyną. Z pysków ogarów buchały kłęby pary. Ojciec zsiadał sztywno z wierzchowca i podchodził do Luterina z otwartymi ramionami.

Syn opowiadał o swoim bohaterstwie pod Isturiacją, a rodzic chwalił go za uniknięcie śmierci pod Korianturą. Padali sobie w objęcia...

Luterin i łowczy nie spotkali żywej duszy i słyszeli tylko trzask pękających lodowców. Nocowali w domkach myśliwskich w głębi puszczy, nad która połyskiwała zorza polarna.

Luterina prześladowały nocą koszmary, niezależnie od tego, jak był zmęczony i ile zwierząt zabił. Śniło mu się, że wędruje nie po puszczy, tylko przez komnaty zagracone meblami i antykami. Panowała w nich atmosfera grozy, lecz nie potrafił odnaleźć ani zgubić tego, co go prześladowało.

Często budził się, wyobrażając sobie, że znów ogarnął go paraliż. Świadomość otoczenia wracała bardzo powoli. Starał się uspokoić myśli wspominając Toress, lecz przed oczami ciągle pojawiała mu się Insil.

Po uczcie wydanej na cześć Luterina matka położyła się spać, toteż wieść o zerwaniu zaręczyn jeszcze się nie rozeszła.

Luterin czuł, że Insil nadawałaby się świetnie na żonę w trudnych czasach: miała w sobie prawdziwego niezłomnego ducha Kharnabharu.

W odróżnieniu od niej Toress była wygnanką, cudzoziemką. Czyżby chciał ją poślubić tylko po to, by zamanifestować swoją niezależność?

Nienawidził siebie za niezdecydowanie, lecz nie potrafił się go wyzbyć przed rozstrzygnięciem własnej niepewnej sytuacji. Wymagało to konfrontacji z ojcem.

Leżąc nocami w śpiworze i słuchając bicia własnego serca, zrozumiał, na czym ma ona polegać. Mógł poślubić Insil tylko wówczas, gdyby ojciec nie próbował tego wymusić. Rodzic powinien uszanować jego decyzję.

Zostanie bohaterem lub wyrzutkiem. Nie ma innej możliwości. Musi stawić czoło gniewowi ojca. Koniec końców miłość to kwestia władzy.

Niekiedy, gdy do ciemnych leśniczówek wpadało światło zorzy polarnej, Luterin dostrzegał w mroku twarz Favina. Czyżby brat także rzucił wyzwanie ojcu i przegrał?

Luterin i łowczy wstawali wcześniej rano, gdy na niebie nadal krążyły stada nocnych ptaków. Spożywali posiłki jak równy z równym, lecz nigdy nie pozwalali sobie na najmniejszą poufałość.

Chociaż nocą dręczyły Luterina koszmary, dni były nieprzerwanym pasmem szczęścia. Każda godzina przynosiła zmianę tonacji światła i warunków pogodowych. Zmieniały się obyczaje tropionych zwierząt. Wraz ze zbliżającym się końcem roku dni stawały się coraz krótsze, a Freyr wisiał nisko nad horyzontem. Lecz wspiawszy się na grzbiet górski, dostrzegali niekiedy przez listowie odwiecznego

monarchę oświetlającego kolejną dolinę, której dno spowijały cienie, jakby ktoś beztrudnie napełnił kieliszek winem.

Otaczało ich stoickie milczenie natury, wzmagając poczucie nieskończoności. Skały, na które się wdrapywali, by napić się z lodowatych strumieni górskich, wydawały się nowe, nie tknięte ręką czasu. Ciszę wypełniała potężna muzyka, którą ciało Luterina odczuwało jako wolność.

Szóstego dnia wysłedzili sześć rogatych fagorów przemierzających lodowiec na grzbietach kaidawów. Pilotowały je szybujące wysoko kraki. Luterin tropił dwurożce przez półtora dnia, aż wreszcie wyprzedził je i urządził na nie zasadzkę w jarze.

Zabili wszystkie sześć. Kraki odleciały skrzecząc. Kaidawy były ładnymi okazami. Luterin i łowczy zdołali schwytać pięć i postanowili zapędzić je do majątku. Może stajniom Shokeranditów uda się wyhodować oswojoną odmianę kaidawa?

Wyprawa zakończyła się skromnym tryumfem.

Nim z niebieskawej mgiełki wynurzył się wreszcie dwór, przez długi czas docierały do nich posępne dźwięki dzwonu.

Luterin wrócił do domu, gdzie panowało zamieszanie. W stajniach szczotkowano jaki, wszędzie walały się stopy upolowanej zwierzyny, a pijani poczciwi ojca rzygali w zbrojowni świeżo warzonym bełtelem.

Wbrew marzeniom Luterina prawdziwe spotkanie ojca z synem nie zakończyło się padnięciem sobie w ramiona.

Luterin pośpieszył do sali bankietowej, zrzuciwszy tylko wierzchnie ubranie. Nie zdjął butów i pozostawił u pasa pistolet oraz dzwonek. Kiedy biegł w stronę ojca, trzepotały mu koło uszu długie zmierzwiłone włosy. Po sali snuły się laciaste ogary, sikając na zasłony. Koło drzwi stała grupa zbrojnych zwrócona tyłem do reszty obecnych, rozglądając się podejrzliwie wokół, jakby coś knuli.

Lobanster Shokerandita otaczali domownicy i przyjaciele: żona Louna, jej siostra oraz Ebstok Esikananzi wraz z małżonką, Insil i jej dwoma braćmi. Ojciec stał tyłem do Luterina, którego pierwsza zobaczyła matka. Zawołała go po imieniu.

Rozmowy ucichły. Wszyscy spojrzeli na młodego Shokerandita.

Coś w ich twarzach — nieprzyjemne zmieszanie — powiedziało mu, że rozmawiali o nim. Zawahał się w pół kroku. Nadal go obserwowali, a mimo to ich uwaga w dziwny sposób skupiała się na czarno odzianym mężczyźnie stojącym pośrodku.

Lobanster Shokerandit potrafił przykuć uwagę każdej grupy. Nie dzięki swej postawie, gdyż był zaledwie średniego wzrostu, lecz wskutek emanującego od niego spokoju. Cechę tę zauważali wszyscy, lecz nikt nie potrafił jej nazwać. Ci, co go nienawidzili, niewolnicy i słudzy, twierdzili, że mrozi spojrzeniem, przyjaciele zaś i sojusznicy utrzymywali, iż posiada niezwykle dar przywódczy i jest człowiekiem samotnym. Jego ogary milczały, kręcąc się wokół nóg pana z podwiniętymi ogonami.

Miał szczupłe, zgrabne dłonie zakończone spiczastymi paznokciami. Dłonie Lobanстера rzucały się w oczy. Poruszały się, gdy tymczasem reszta ciała pozostawała nieruchoma. Unosiły się często ku szyi owiniętej czarną jedwabną chustą, przypominając szczypce kraba szukającego ukrytej zdobyczy. Lobanster cierpiał na wole, które zasłaniała chusta, a zdradzały ręce. Wole owo czyniło kark Lobanстера solidną kolumną wspierającą wielką głowę.

Siwe włosy pokrywające tę niezwykłą głowę były zaczesane do tyłu nad wysokim czołem. Brwi brakowało, lecz bezbarwne oczy otoczone były gęstymi ciemnymi rzęsami — tak gęstymi, że podejrzewano go nawet o domieszkę krwi madyjskiej. Powieki miały sinawą barwę, podobnie jak worki pod oczyma, tak że źrenice spoglądały na świat jakby zza grubych obwałowań. Wargi, chociaż mięsiste, były prawie tak samo blade jak oczy, policzki zaś prawie tak samo blade jak wargi. Twarz, pokryta lśniąca warstwą łoju, którą pocierały od czasu do czasu ruchliwe dłonie, błyszczała, jakby dopiero co wynurzyła się z wody.

— Zbliź się, Luterinie — rzekło oblicze. Głos był głęboki i pełen namysłu, jakby podbródek starał się nie urazić wola na szyi.

— Cieszę się, że wróciłeś, ojcze — rzekł Luterin podchodząc. — Jak się udały łowy?

— Nieźle. Tak się zmieniłeś, że ledwo cię poznałem.

— Szczęśliwcy, którzy przeżyli zarazę, tyją, by przygotować się do zimy Weyra. Czuję się znakomicie, zapewniam cię, ojcze. Ujął smukłą dłoń rodzica.

— Fagory także czują się znakomicie, a jednak dowiedziono, iż przenoszą mór — rzekł Ebstock Esikananzi.

— Wyzdrowiałem i nie mogę nikogo zarazić.

— Mamy nadzieję, że to prawda, mój drogi — wtrąciła matka. Luterin spojrział na nią, a ojciec odezwał się surowo:

— Synu, życzę sobie, byś poczekał na mnie w sieni. Przyjdę tam niebawem. Musimy porozmawiać o pewnych kwestiach prawnych.

— Czy coś się stało?

W Luterina uderzyło spojrzenie rodzica. Skłonił się i odszedł.

Znalazłszy się w sieni, zaczął spacerować tam i z powrotem, nie zważając na dźwięki dzwonu. Nie potrafił odgadnąć, dlaczego ojciec jest taki oziębły. Co prawda czcigodny rodzic był postacią odległą, nawet jeśli przebywał w pobliżu: była to jedna z jego stałych cech, równie niezmienna jak ukryte wole.

Luterin zawołał niewolnika i kazał przyprować Toress do swoich komnat.

Przyszła z pytaniem na twarzy. Kiedy się zbliżała, jej tęgość wydała się Luterinowi kusząca. Odmrożenia na twarzy dziewczyny wygoiły się.

— Dlaczego tak długo cię nie było? Co robiłeś?

Choć uśmiechnęła się i wzięła go za rękę, w jej głosie zabrzmiał wyrzut.

— Pojechałem na polowanie — powiedział całując ją. — Nasz ród ma to we krwi. Posłuchaj: niepokoję się o ciebie. Ojciec wrócił wyraźnie niezadowolony. Może dotyczyć to ciebie, bo rozmawiały z nim matka i Insil.

— Szkoda, że nie powitałeś go w domu, Luterinie.

— Nie ma rady — odrzekł wymijająco. — Chodź, chcę ci coś dać.

Wprowadził ją do alkowy w sieni, gdzie stała drewniana szafa. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. W szafie wisiały tuziny ciężkich żelaznych kluczy, każdy z napisem objaśniającym. Zmarszczywszy brwi, przesunął po nich palcem.

— Twój ojciec ma manię zamykania rzeczy — powiedziała Toress, śmiejąc się cicho.

— Nie bądź niemądra. Jest Dzierzycielem Koła. Ten budynek to nie tylko dwór, lecz także twierdza.

Znalazłszy właściwe miejsce, wyjął zardzewiały klucz długi prawie na stopę.

— Nikt nie zauważy jego braku — powiedział, zamykając szafę. — Weź go i schowaj. To klucz do kaplicy zbudowanej przez twojego rodaka, króla i świętego. Tam, w lesie, pamiętasz? Możemy mieć kłopoty, choć nie wiem jeszcze jakie. Może coś w związku z paukiem. Nie chcę, żeby cię skrzywdzono. Jeśli cokolwiek mi się przytrafi, tobie będzie grozić co najmniej aresztowanie. Idź i ukryj się w kaplicy. Weź ze sobą niewolnicę: wszystkie marzą o ucieczce. Wybierz kobietę znającą Kharnabhar, najlepiej chłopkę.

Toress wsunęła klucz do kieszeni nowego ubrania i chwyciła Luterina za rękę.

— Co ci się może stać?

— Pewnie nic, ale... Po prostu czegoś się lękam...

Usłyszał otwierające się drzwi. Do sieni wbiegły ogary, szorując pazurami po posadzce. Luterin wepchnął Toress w mroczne zagłębienie za szafą i wyszedł na środek hallu. Nadchodził ojciec. Podzwaniając dzwoneczkami, podążało za nim sześciu zbrojnych.

— Musimy pomówić — rzekł Lobanster unosząc palec. Skierował się do niewielkiej drewnianej komnaty na parterze. Luterin ruszył za nim. Z tyłu podążali tajemniczy mężczyźni, z których ostatni zamknął drzwi od wewnątrz. W podkręconej lampie zasyczał gaz.

Jedynie umeblowanie pokoju stanowiła drewniana ława i stół. Odbywały się tu przesłuchania. Były także zamknięte drewniane drzwi wzmocnione żelaznymi sztabami. Wiodły one do podziemi, gdzie znajdowała się studnia, w której nigdy nie zamarzała woda. Legenda głosiła, iż w najzimniejszych stuleciach trzymano tam cenne zwierzęta szlachetnej krwi.

— O czymkolwiek będziemy rozmawiać, ojcze, powinno się to odbywać bez świadków — rzekł Luterin. — Nie wiem, kim są ci panowie, choć czują się swobodnie w naszym domu. To nie członkowie .twojej świty.

— Wracają z Brihahru — stwierdził Lobanster, wypowiadając owe słowa z chłodną przyjemnością. — W naszej epoce wybitni obywatele potrzebują straży przybocznej. Jesteś zbyt młody, by rozumieć, że zaraza może doprowadzić do upadku państwa. Najpierw niszczy społeczności małe, później wielkie. Lęk przed nią powoduje rozpad narodów.

Zbrojni przybrali śmiertelnie poważne miny. W ciasnym pomieszczeniu trudno się było od nich odsunąć. Tylko Lobanster stał osobno, nieruchomy, bębniąc palcami w blat stołu.

— Ojcze, to uwłaczające, byśmy rozmawiali przy obcych. Nie podoba mi się to. Jednakże powiadam ci (a także owym ludziom, jeśli posiadają zmysł słuchu), że chociaż to, co mówisz, zawiera źródło prawdy, zapominasz o prawdzie większej. Są rzeczy gorsze od moru, które mogą doprowadzić do rozpadu narodów. Okrutne represje skierowane przeciwko paukowi, ludowi i kościołowi wywołają większe zniszczenie niż tłusta śmierć.

— Milcz, chłopcze! — Dłonie ojca podążyły do szyi. — Okrucieństwo to składnik natury. Wszak tylko ludzie potrafią okazywać miłosierdzie, prawda? Ludzkość wynalazła litość, lecz przedtem w naturze istniało okrucieństwo. Natura przypomina prasę. Rok po roku ściska nas coraz mocniej. Możemy z nią walczyć tylko stając się okrutniejsi od niej. Mór to ostatnie okrucieństwo natury, z którym trzeba walczyć jej własną bronią.

Luterin nie mógł wykrztusić słowa. Czując na sobie chłodne, beznamienne spojrzenie ojca, nie potrafił znaleźć słów, by wytłumaczyć, że chociaż okoliczności mogą być okrutne, czynienie z okrucieństwa zasady moralnej jest wynaturzeniem. Robiło mu się słabo, gdy słyszał takie opinie z ust własnego ojca. Zdołał tylko powiedzieć:

— Powtarzasz wiernie myśli Oligarchy.

— To obowiązek każdego z nas — odezwała się szorstko jedna z tajemniczych postaci.

Dźwięk głosu nieznanego, zamknięte pomieszczenie, napięcie, chłód ojca, wszystko to dręczyło Luterina. Usłyszał własny krzyk dobiegający jakby z daleka:

— Nienawidzę Oligarchy! Oligarcha to potwór! Wymordował armię Asperamanki! Jestem zbiegiem, a nie bohaterem! Teraz zniszczy kościół! Ojcze, walcz z tym złem, nim pochłonie cię zupełnie!...

Mówił jeszcze więcej, jakby dostał szału. Prawie nie zdawał sobie sprawy, że mężczyźni wyprowadzili go na dwór. Poczul na twarzy szczypanie chłodnego wiatru. W oczy prószył mu śnieg. Przepchnięto go przez dziedziniec, gdzie znajdował się zbiornik metanu, i wprowadzono do składu uprzęży.

Odesłano stajennych, odesłano tajemniczych mężczyzn. Luterin został sam na sam z ojcem. Nadal nie był w stanie podnieść na niego wzroku. Siedział, jęcząc i ściskając dłońmi głowę. Po chwili zaczął do niego docierać potok słów rodzica.

— Jedyne dziecko, jaki mi pozostał!... Muszę cię przygotować, byś przejął urząd Dzierżyciela Koła. Czekają cię szczególne zadania i musisz im sprostać. Musisz być silny...

— Jestem silny! Nienawidzę Oligarchy!

— Jeśli zabroniono pauku, należy go wykorzenieć. Jeśli nakazano zabić wszystkie fagory, należy je zabić. Niewykonanie dekretu oznaczałoby słabość. Nie możemy żyć bez władzy, bo inaczej zapanuje anarchia.

Słyszałem od matki, że ma na ciebie wpływ pewna niewolnica. Jesteś Shokeranditem, Luterinie, i musisz być silny. Trzeba ją zabić, a ty poślubisz Insil Esikananzi, jak postanowiłem w twoim dzieciństwie. Musisz być posłuszny nie przez wzgląd na mnie, tylko na wolność i Sibornal. Luterin roześmiał się.

— Co to za wolność? Insil mnie nienawidzi, lecz ciebie zupełnie to nie obchodzi. Przy takich prawach, jakie się obecnie wprowadza, wolność nie może istnieć.

Lobanster poruszył się, jakby po raz pierwszy. Prostym gestem odsunął dłoń od szyi i skierował ją błagalnie w stronę Luterina.

Dekrety są surowe. To zrozumiałe. Lecz bez nich nie będzie wolności ani życia. Zginie, jeśli nie wcielimy w życie twardych praw. Kampanlat zginie wskutek bezprawia, choć klimat sprzyja mu bardziej niż Sibornalowi. Kampanlat już się rozpada wraz ze zbliżaniem się zimy Weyra. Sibornal przetrwa.

Pozwól sobie przypomnieć, synu, że każdy Wielki Rok składa się z tysiąca ośmiuset dwudziestu pięciu małych lat. Minie jeszcze pięćset szesnaście lat, nim nadejdą największe mrozy i nastąpi przesilenie zimowe, a Freyr znajdzie się najdalej.

Do tego czasu musimy żyć niczym ludzie z żelaza. W końcu mór ustąpi, a klimat znów się poprawi. Wiemy o tym od urodzenia, bo dźierzimy Kharnabhar. Przez ową trudną epokę przeprowadzi nas Wielkie Koło, które przywiedzie nas z powrotem ku światłu i ciepłu... Luterin spojrzął na ojca i rzekł spokojnie:

— Zgadzasz się, że Wielkie Koło spełnia właśnie taką rolę. Dlaczego wobec tego popierasz (a tak zdaje się jest) nikczemną zbrodnię popełnioną na najwyższym kapłanie Chubsalidzie i represje wobec kościoła?

— Ponieważ Koło jest anachronizmem. — Lobanster wydał gardłowy dźwięk przypominający śmiech, aż pod ciasną chustą zatrzęsło się wole. — To anachronizm bez znaczenia. Koło nie może ocalić Helikonii ani Sibornalu. To sentymentalna mrzonka. Funkcjonowało dobrze jedynie wtedy, gdy więziono tam morderców i dłużników. Kłóci się z naukowymi prawami Oligarchy. Tylko one mogą przeprowadzić nas przez zimę Weyra, którą przeżyją nasze dzieci. Dlatego trzeba zniszczyć kościół. Dekret o zakazie pauku to wstęp do zniszczenia kościoła.

Luterin znów nie był w stanie znaleźć właściwych słów.

— Czy przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby mi to powiedzieć? — spytał w końcu.

— Nie chciałem rozmawiać przy obcych. Niepokoi mnie, że naruszyłeś dekret o pauku i eksterminacji fagorów, o czym doniósł mi Evanporil. Gdybyś nie był moim synem, wydałbym na ciebie wyrok śmierci, rozumiesz?

Luterin potrząsnął głową i wbił wzrok w podłogę stajni. Podobnie jak w dzieciństwie, nie był w stanie wytrzymać spojrzenia ojca.

— Czy rozumiesz?

Nadal nie mógł mówić. Przerazało go to, że ojciec zupełnie go nie pojmuje.

Lobanster otarł lśniące czoło i podszedł do stołu, gdzie między uprzążami leżały juki. Szarpnął za klamrę, aż wypadły z nich pliki plakatów. Wręczył synowi jeden z nich.

— Przeczytaj to, skoro jesteś takim miłośnikiem prawa.

Luterin z westchnieniem wziął plakat. Spojrzął na niego i wypuścił z ręki. Arkusz poszybował w róg stajni. Głosił on czarnymi literami, że osoby, które przeżyły tłustą śmierć i uległy metamorfozie fizycznej, zostaną uśmiercone w celu zapobieżenia rozszerzaniu się morowi. Z rozkazu Oligarchy. Luterin milczał.

— Nie będę w stanie cię chronić, jeśli nie spełnisz mojej woli — rzekł Lobanster. — Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Luterin spojrzął żałośnie na rodzica.

— Służyłem ci, ojcze. Całe życie słuchałem twoich rozkazów. Wstąpiłem bez szemrania do wojska i dobrze się sprawowałem. Byłem twoją własnością i nie chciałem być niczym innym. Niewątpliwie to samo czuł Favin, gdy rzucił się w przepaść. Ale teraz muszę ci się przeciwstawić. Nie ze względu na siebie. Nawet nie ze względu na religię czy państwo. Czyż nie są to w końcu tylko abstrakcje? Muszę ci się przeciwstawić dla twojego własnego dobra. Albo klimat, albo Oligarcha spowodował, że postradałeś rozum.

Na twarzy ojca zapłonął straszliwy ogień, choć oczy pozostały nieprzeniknione jak zawsze.

Chwycił długi czarny nóż do strugania kopyt leżący na stole i skierował go w stronę syna.

— Weź to, głupcze, i chodź ze mną na dwór. Przekonasz się, kto postradał rozum.

Wydawało się, że gęsty śnieg wirujący koło szarego narożnika dworu zamierza czym prędzej wypełnić dziedziniec aż po szczyty murów. Na ganku czekała grupka tajemniczych mężczyzn, którzy wcisnęli ręce za pasy i przytupywali dla rozgrzewki. Z boku stały jajaki, nadal osiodłane, a między nimi kulili się

załęcznieni stajenni. W pobliżu piętrzył się stos trupów fagorów. Musiały być od pewnego czasu martwe, gdyż osiadający na nich śnieg już się nie topił.

Koło bramy wiodącej na zewnątrz tkwił w murze na wysokości człowieka rząd zardzewiałych żelaznych haków. Dyndały na nich ciała czterech mężczyzn i jednej kobiety.

Lobanster popchnął syna w plecy. Jego dotknięcie paliło jak ogień.

— Odetnij te trupy i przyjrzał im się. Przyjrzyj się dobrze ich ohydzie; powiedz, czy Oligarcha nie jest sprawiedliwy. No, jazda!

Luterin podeszedł bliżej. Zwłoki wydawały się świeże. Wykrzywione twarze /ahinch były złane potem. Wszyscy przeżyli tłustą śmierć i ulegli metamorfozie fizycznej.

Praw należy przestrzegać, Luterinie. To prawa tworzą społeczeństwo, bez społeczeństwa ludzie są tylko zwierzętami. Schwytałeś dziś tych ludzi na drodze do Kharnabharu i powiesiłeś ich tutaj, bo takie jest prawo. Umarli, by społeczeństwo przetrwało. Czy nadal uważasz Oligarchę za szaleńca?

Luterin zawahał się, ale ojciec polecił surowo:

Jazda, odetnij ich, popatrz na ślady męki na ich obliczach, a potem zadaj sobie pytanie, czy wolisz żyć, czy stać się takimi jak oni. Kiedy znajdziesz odpowiedź, możesz paść przede mną na kolana.

Chłopiec spojrzał błagalnie na ojca.

- Kochałem cię jak pies. Czemu każesz mi to robić? Dłoń rodzica dotknęła konwulsyjnie szyi.

- Odetnij ich.

Krzusząc się Luterin zrównał się z pierwszym trupem. Uniósł nóż i spojrzał na wykrzywioną twarz.

Znał tego człowieka.

Zawahał się. Jednakże twarzy nie można było pomylić nawet bez wąsów. Wyraźnie pamiętał ją siną z wysiłku w tunelu Noonat. Zamaszystym ruchem noża odciął doczesne szczątki kapitana Harbina Fashnalgida. Jednocześnie rozjaśniło mu się w głowie. Stał się na chwilę chłopcem, który wolał roczny paraliż od prawdy. Spojrzał na ojca.

— Dobrze. To pierwszy. Teraz następny. Ażeby władać, sam musisz się nauczyć posłuszeństwa. Twój brat był słaby. Ty możesz być silny. Kiedy przebywałem w Askitosh, mówiono mi o twoim zwycięstwie pod Isturiachą. Możesz zostać Dzierżycielem, Luterinie, ty i twoi potomkowie. Możesz być czymś więcej niż Dzierżycielem Koła...

Z ust ojca bryzgały kropelki śliny, które pochłaniał wirujący śnieg. Wyraz twarzy syna kazał mu przerwać. Jego postawa zmieniła się w okamgnieniu. Spojrzał w stronę tajemniczych postaci i zadzwęczał mu niespokojnie dzwonek u pasa.

— To ty jesteś Oligarchą, ojcze! — wyrwało się Luterinowi. — To ty! Favin to odkrył, prawda?

— Nie!

Lobanster zmienił się nagle. Opuściła go władczość. Kiedy uniósł szponiaste dłonie, każda linia jego ciała wyrażała lęk. Chwytał syna za przedramię, a Luterin wbił mu nóż między żebra, prosto w serce. Z rozdartego ubrania trysnęła krew i splamiła złączone dłonie.

Na dziedzińcu zapanował chaos. Pierwszy zareagował siodlarz, który wydał okrzyk przerażenia i wybiegł przez bramę. Dobrze wiedział, co spotyka ludzi z gminu, którzy są świadkami morderstwa. Tajemniczy mężczyźni mieli gorszy refleks. Ich przywódca klęknął na śniegu, a później przewrócił się powoli na ciało Fashnalgida, osłoniwszy wole zakrwawioną ręką. Tajemnicze postacie patrzyły na to jak sparaliżowane.

Luterin nie czekał. Był przerażony, lecz rzucił się natychmiast ku jajakom i wskoczył na jednego z nich. Kiedy opuszczał galopem dziedziniec, rozległ się strzał i tupot mężczyzn zrywających się do biegu. Zmrużył oczy dla ochrony przed śniegiem i wbił ostrogę w bok zwierzęcia. Przejechał przez tylny dziedziniec. Słyszał krzyki. Nadal rozkubaczano wierzchowce świty ojca. Rozległ się pisk biegnącej kobiety, która pośliznęła się i upadła. Jajak przesadził ją jednym susem. Przy bramie usiłowano go zatrzymać, lecz próba była źle przygotowana. Luterin zamachnął się kolbą rewolweru, usiłując trafić w twarz strażnika próbującego wyrwać mu wodze, i znalazł się wreszcie poza obrębem majątku.

Kiedy galopował w stronę szpaleru drzew i gościńca, w głowie dźwięczało mu jedno zdanie. Utracił zdolność racjonalnego myślenia. Dopiero po chwili dotarło do jego świadomości znaczenie własnych słów.

— Ojcobójstwo to największa zbrodnia — powtarzał w kółko.

Zdanie to wyznaczało rytm ucieczki.

Nie zdecydował świadomie, dokąd jedzie. W Kharnabharze było tylko jedno miejsce, gdzie nie groził mu pościg. Po obydwu stronach drogi umykały rozmazane drzewa, które dostrzegał przez zaciśnięte powieki. Jechał z głową na szyi jajaka, wdychając parę buchającą z jego nozdrzy i oznajmiając mu krzykiem, jaka jest najcięższa zbrodnia.

W rozpedzonym mroku pojawiła się brama majątku Esikananzich. Błysnęła lampa i ze stróżówki wybiegł mężczyzna, który zniknął mu po chwili z pola widzenia. Ponad tętentem jajaka, ponad wyciem wichury dawały się słyszeć odgłosy pościgu.

Luterin nagle znalazł się w wiosce. Mijając pierwszy klasztor, usłyszał bicie dzwonów. Wokół kręcili się ludzie, słabo widoczni w półmroku. Z krzykiem rozpierzchli się pielgrzymi. Luterin zauważył przewrócony stragan z opłatkami. Później to także zniknęło i pozostały tylko strażnice, aż wreszcie z półmroku wynurzyły się zbocza góry Kharnabhar. Przed Luterinem wznosił się wielki portal ozdobiony płaskorzeźbami.

Nie czekając, zwolniwszy tylko bieg jajaka, zeskoczył z siodła i rzucił się naprzód. Gdzieś w górze bił wielki dzwon. Jego uroczyste tony oznajmiały winę Luterina. Jednakże gnał go do przodu instynkt samozachowawczy. Popędził wzdłuż rampy. Skądś wynurzyły się sylwetki kapłanów.

— Żołnierze! — wyrzucił z siebie.

Zrozumieli. Wojsko nie było już ich sprzymierzeńcem. Odprowadzili go czym prędzej w mrok, gdy tymczasem zatrzasnęły się za nim ciężkie metalowe wierzeje.

Przyjęło go Wielkie Koło.

XV. W WIELKIM KOLE

Geonauci, pierwsze istoty ziemskie nie składające się z komórek, byli tym samym niezależni od bakterii. Zerwali z poprzednimi formami życia, między innymi z ludźmi, zdumiewającymi budowlami złożonymi z genów.

Być może Goja zwróciła kciuk w dół na znak śmierci ludzkości. Człowiek okazał się przekleństwem, a nie pożytecznym elementem biosfery. Może wycofywano go teraz z obiegu lub łączono z czymś większym?

W każdym razie białe wielościany rozpełzły się po wszystkich kontynentach. Na pozór nie czyniły nikomu szkody. Ich obyczaje były tak niepojęte, jak królikom wydają się niepojęte obyczaje królów. Jednakże emitowały one energię.

Różniła się ona od tej, którą ludzkość posługiwała się od wieków i zwała elektrycznością. Nowy rodzaj energii ohrzczone egonicznością, może na pamiątkę dawnych czasów.

Egoniczości nie dawało się uzyskać sztucznie. Była to siła wytwarzana jedynie przez duże białe wielościany, gdy miały się podzielić lub o czymś medytowały. Odczuwano ją jako łagodne mrowienie w podbrzuszu. Nie można jej było zmierzyć za pomocą żadnego instrumentu, jaki zdołali wynaleźć ludzie, którzy przeżyli zimę nuklearną.

Ludzie epoki polodowcowej byli nomadami. Nie chcieli posiadać ziemi, lecz woleli sami do niej należeć. Zniknął na zawsze dawny świat barier.

Poruszali się pieszko. Okazało się, że najłatwiejszą rzeczą jest podążanie za wybranym geonautą. Ludzkość nie straciła swojej dawnej wynalazczości ani zręczności. Po kilku pokoleniach grupa ludzi z

jednego z kontynentów odkryła sposób wykorzystywania egoniczności do napędu niewielkiego pojazdu. Niebawem pojawiły się one wszędzie, posuwając się z turkotem przed geonautami. Kiedy geonautą ulegał podziałowi i wyrzucał z siebie potok malutkich wielościanów przypominających arkusiki papieru niesione przez wiatr, egoniczność znikła, a pasażerowie pojazdu musieli pchać go w poszukiwaniu nowego źródła energii.

Jednakże był to dopiero początek. Późniejsze udoskonalenia zmieniły całą sytuację.

Ludzkość, znacznie mniej liczna niż poprzednio, wędrowała po Ziemi i w miarę upływu pokoleń uzależniała się coraz bardziej od geonautów.

Nikt nie pracował tak jak ongiś, zgarbiony przy uprawie ryżu czy kartofli. Ludzie sadzili niekiedy warzywa, lecz jedynie dla przyjemności, owoce ich pracy bowiem spożywali inni, skoro oni sami opuszczali miejsce uprawy — choć w ciągu dnia rzadko przebywali więcej niż mile. Geonauci nie stanowili silnego źródła energii.

Nikt nie pracował przy biurkach. Przestały one istnieć.

Można by pomyśleć, iż ludzie przebywają na wiecznych wakacjach lub że żyją w spartańskiej odmianie rajy. Było inaczej. Zajmowali się intensywną pracą, którą określano mianem medytacji.

Radioaktywność szalejąca po wojnie nuklearnej zmieniła genetyczną charakterystykę ludzkości. Natura coraz bardziej faworyzowała tych, którzy posiadali nowe połączenia między drogami nerwowymi w mózgu. Kora mózgowa stanowiła wynalazek pośpieszny w sensie ewolucyjnym. W zwykłych okolicznościach funkcjonowała dobrze, lecz w chwilach krytycznych ustępowała miejsca emocjom. W epoce przed wynalezieniem broni jądrowej uważano to za coś normalnego, a może nawet godnego pochwały. Przemoc uważano za możliwe do przyjęcia rozwiązanie wielu problemów, które nigdy by się nie pojawiły, gdyby nie sama przemoc.

W owej bardziej pokojowej epoce przestano się nią posługiwać. Uważano ją za oznakę słabości, a nie rozwiązanie. Z pokolenia na pokolenie kora mózgowa komunikowała się coraz lepiej z innymi częściami mózgu. Ludzkość zaczęła poznawać samą siebie.

Egonidzi czuli się jak na wakacjach. W taki oto sposób Gaja wpływa na przebieg ewolucji. Ludziom sprawiało przyjemność dokładnie to, co ulepszało ich genetycznie, przodowały zaś pary, których dzieci osiągały najlepsze rezultaty w medytacji.

Poszukiwano przede wszystkim głębokich struktur ludzkiej osobowości. Śledząc podstawowe czynniki determinujące dzieje Ziemi, sięgnięto do historii Helikonii. Świadczenia dziejów ludzkości przed katastrofą nuklearną uległy niemal kompletnej zagładzie, a spod ruin wydobyło zaledwie kilka pomników minionej kultury. Jednakże przyjmowano, że Helikonii stanowi dobrą ilustrację warunków, jakie istniały ongiś na Ziemi.

Ziemia, obawiający się swojej gwałtowności, otaczający się murami, bronią i surowymi prawami, nie różnili się zbytnio od udręczonego młodego człowieka, który zabił własnego ojca. Agresja i zbrodnia stanowią ucieczkę przed bólem, a to właśnie ból spowodował, że Ziemia padła ofiarą własnych synów.

Chociaż o Wielkim Kole Kharnabharu słyszeli prawie wszyscy mieszkańcy Helikonii, pielgrzymkę do niego odbyli tylko nieliczni. W całości nie widział go nikt. Znajdowało się ono w samym sercu gór Kharnabhar. Stworzyli je Budowniczości, których nie zdołała prześcignąć żadna z późniejszych generacji.

O Budowniczych Kharnabharu wiadomo było tylko jedno: odznaczali się pobożnością. Uważali, że wiara może czynić cuda. Postanowili zbudować kamienną maszynę, która przeprowadzi Helikonie przez mrok i chłód, póki glob nie znajdzie się z powrotem w cieple, otoczony łaską Boga Azoiaxica. Maszyna działała jak dotąd niezawodnie.

Napędzała ją wiara mieszkająca w sercach ludzi.

Od wieków nie zmienił się sposób, w jaki dostawano się do wnętrza Koła. Po wstępnej ceremonii przy bramie przybysza prowadzono w dół szerokimi schodami biegnącymi w głąb góry. U stóp schodów znajdowała się lejąca komora, której tylna ściana stanowiła część samego Koła. Zależnie od stanu umysłu przybysza, wprowadzano go wówczas lub wpychano do celi widocznej w Kole. Po chwili zaczynało się ono obracać. Świat zewnętrzny zniknął z pola widzenia, odcięty przez ścianę

skalną. Przybysz zostawał sam, choć towarzyszyli mu mieszkańcy innych cel w pobliżu, niewidoczni podczas pobytu w Kole.

Przyczyna, jaka skłoniła Luterina Shokerandita do wstąpienia do wnętrza Koła, nie należała do rzadkości. Szukali tam azylu i inni. Niektórzy byli świętymi, inni grzesznikami.

Na początku kościół postępował zgodnie z planem Budowniczych. Nie brakowało ochotników, którzy zajmowali miejsca w Wielkim Kole i wiosłowali przez firmament do wymarzonego portu u boku Freyra. Ale kiedy powróciły wreszcie długie wieki światłości, gdy Sibornal pławił się w słońcu, wiara zaczynała słabnąć. Coraz trudniej było skłonić wyznawców do wyrzeczeń i wstąpienia w ciemność.

Koło zatrzymałoby się, gdyby kościołowi nie dopomogło państwo. Do Kharnabharu zsyłano przestępców, by odbywali wyroki w Kole i ciągnęli siebie oraz planetę ku światłu, zamknięci w podziemnej skalnej ciemnicy. W ten sposób rozpoczęła się bliska współpraca kościoła i państwa, dająca Sibornalowi moc od kilku Wielkich Lat, dłużej, niż sięgała ludzka pamięć.

W ciągu lata i nie kończącej się leniwej jesieni Koło poruszali nie tylko przestępcy, lecz także kapłani. Dopiero gdy życie stawało się trudniejsze, gdy spadał śnieg i zmniejszały się plony, stara religia znów przybierała na sile. Do Koła pielgrzymowały wówczas tłumy wiernych, którzy błagali, by przyznano im przyobiecane miejsce między sprawiedliwymi. Przestępców skazywano na galery, wcielano do wojska lub bezceremonialnie wyrzucano za burtę w Zatoce Prześladowań.

Ojczy ojczy co to za wody źródlane

Skala żarząca się czerwono jak czoło

A ja w gorączce w rozżarzonej ciemności

Czyś nade mną pode mną Wierzącym że nie umrę

O śmierci Energia jej

To ty w ścianach krzyczysz

O mym istnieniu u mojego boku

Światła płyną Płyną i niktą a ja w rozedrganej Skale

Przeklinam się

Owej rzeczy Nigdy w duchu nie czynił lecz nagle Twym nożem przecinając naszą wspólną

Przysięgam że to była nasza wspólna tętnica

Krzyczy to miejsce przeraźliwe

Gdzie po wsze czasy będę krwawił jak lawa

Zamknięty w mrocznej rozżarzonej skale

Luterin miał wrażenie, że jego myśli, zataczające dziwaczne kręgi, płyną przezeń od wieków. W jego odrętwiałej duszy upływ czasu odmierzali jedynie długie piski skały szorującej o skałę i ohydne świsty. Stopniowo zwróciły one jego uwagę. Zaczął się w nie wsłuchiwać i nieco się uspokoił.

Nie wiedział, gdzie się znajduje. Wyobrażał sobie, że jest w podziemnym legowisku olbrzymiej rannej bestii. Była bliska śmierci, lecz tropiła go nadal, rozglądając się to tu, to tam. Jeśli go znajdzie, rzuci się nań i zmiażdży, wijąc się w mękach agonii.

Zbudził się w końcu. Słyszał wycie wichru. Świszczał on harmonijnie, wiejąc przez otwory w skale. Piski towarzyszyły obrotom Koła.

Usiadł. Nim zaprowadzono go do celi, kapłani Koła, którzy wpuścili go do środka ratując przed śmiercią z rąk mścicieli ojca, odpuścili mu wszystkie grzechy. Była to rutynowa praktyka. Więźniowie, którym nie odpuszczono grzechów, częściej popadali w szaleństwo.

Pojawiła się żywność. Słysząc było, jak zjeżdża z loskotem rynną w skale nad głową. Składała się z kolistego bochenka chleba, gomółki sera i porcji pieczonego stungebaga zawiniętej w płótno. Na zewnątrz był więc akurat świt Bataliksy. Niebawem rozpocznie się mała zima i Bataliksa zajdzie na kilka kwadr. Jednakże w trzewiach góry Kharnabhar nie miało to żadnego znaczenia. Luterin żuł kawałek chleba i krążył po celi, oglądając ją z uwagą człowieka wiedzącego, że ciasna klitka stanie się całym jego światem.

Budowniczoie Kharnabharu zadbali o to, by wymiary pomieszczenia odpowiadały faktom astronomicznym rządzącym życiem na Helikonii. Wysokość celi wynosiła dwieście czterdzieści

centymetrów, co odpowiadało sześciu tygodniom kwadry pomnożonym przez czterdzieści minut godziny lub sześciu tygodniom pomnożonym przez osiem dni tygodnia pomnożonym przez pięć.

Zewnętrzna ściana celi miała dwa i pół metra szerokości, czyli dwieście pięćdziesiąt centymetrów, co odpowiadało dziesięciu kwadrom małego roku pomnożonym przez liczbę godzin dnia.

Cela miała czterysta osiemdziesiąt centymetrów długości, co równało się liczbie dni małego roku. Pod ścianą stała prycza, stanowiąca jedyny mebel pomieszczenia. Znajdowała się nad nią pochylnia, którą zjeżdżała żywność. Na krańcu celi widać było otwór służący za latrynę. Fekalia spływały rurą do zbiorników biogazu pod Kołem, wypełnionych także odpadkami roślinnymi i zwierzęcymi z klasztoru na górze i dostarczających metanu do lamp gazowych oświetlających Koło.

Celę Luterina oddzielał od sąsiednich mur o grubości sześćdziesięciu czterech tysięcy stu pięćdziesięciu dziewięciu stutysięcznych metra, co po dodaniu do szerokości pomieszczenia dawało wartość liczby pi. Luterin siedział na pryczy oparty plecami o ścianę działową i patrzył na mur po lewej. Była to lita nieruchoma skała, tworząca czwartą ścianę. Między nią a sąsiednimi znajdowały się tylko wąskie szczeliny. W skale wykuto dwa rzędy nisz: pierwszy wysoki, gdzie stały lampy gazowe dostarczające światła oraz ciepła, i drugi, niższy, dwakroć liczniejszy, w którym znajdowały się łańcuchy przytwierdzone klamrami do skały.

Nadal żując chleb, Luterin podszedł do ściany zewnętrznej i podniósł ciężki łańcuch. Miał wrażenie, że poci mu się on w dłoniach. Upuścił go. Łańcuch wpadł z powrotem do wąskiej niszy. Składał się z dziesięciu ogniów, z których każde symbolizowało mały rok.

Shokerandit stał bez ruchu, wpatrując się jak zahipnotyzowany w łańcuchy. Czuł zgrozę na myśl o swojej zbrodni, lecz teraz zaczęła go ogarniać także zgroza na myśl o uwięzieniu. Za pomocą owych łańcuchów o dziesięciu ogniwach poruszało się w przestrzeni Wielkie Koło.

Nie pracował jeszcze przy łańcuchach. Nie miał pojęcia, jak długo leżał w delirium, gdy przez głowę przelatywały mu skrzydlate słowa przypominające ptaki. Pamiętał tylko ostry dźwięk trąb mnichów gdzieś na górze, a później gwałtowne ruchy samego Koła, które obracało się przez pół dnia.

Widok ściany zewnętrznej przeraził Luterina. W przyszłości miał zmienić zdanie. Ściana ta była jedynym zmiennym elementem jego świata. Napisy znajdujące się na niej tworzyły mapę podróży przez czas i granit: studiując je, doświadczony więzień potrafił się zorientować, na jakim etapie drogi się znajduje.

Wewnętrzne ściany celi, pozostające w bezruchu, pokrywała skomplikowana mozaika inskrypcji wyrytych przez poprzednich więźniów. Wizerunki świętych i podobizny genitaliów świadczyły o różnorodnym pochodzeniu ludzi poruszających Koło. Znajdowały się tam wiersze, kalendarze, wyznania, obliczenia, diagramy. Mury utrwaliły ślady dawno zmarłych ludzi. Były to palimpsesty cierpienia i nadziei.

Zdarzały się także hasła rewolucyjne. Jedno z nich wyryto nad żarliwą modlitwą do boga imieniem Akha. Wcześniejsze napisy były często zatarte przez późniejsze, tak jak nowe pokolenia zacierają poprzednie. Niektóre z dawnych inskrypcji, choć niewyraźne, były nadal czytelne i odznaczały się piękną kaligrafią. Część wyryto dekoracyjnymi alfabetami, które uległy później zapomnieniu. Jeden z najbardziej zatartych i najozdobniejszych napisów zawierał dane techniczne Koła. Liczby te rządziły losem jego więźniów.

Koło stanowiło w istocie pierścień obracający się wokół granitowej osi.

Miało ono wysokość sześciu metrów sześćdziesięciu centymetrów, czyli dwanaście pomnożone przez pięćdziesiąt pięć, co odpowiadało szerokości geograficznej machiny. Grubość wraz z podstawą wynosiła trzynaście metrów dziewiętnaście centymetrów, ponieważ na pięćdziesiątym piątym równoleżniku szerokości północnej zachód Freyra, czyli Myrkwyr, rozpoczął się tysiąc trzysta lat po apastronie. Koło miało średnicę tysiąca ośmiuset dwudziestu pięciu metrów, co odpowiadało liczbie małych lat w Wielkim Roku. Na jego obwodzie znajdowało się także tysiąc osiemset dwadzieścia pięć cel. Nie opodal owych liczb widniała skomplikowana płaskorzeźba przedstawiająca we właściwych proporcjach Koło osadzone w skale. Nad machiną znajdowała się jaskinia na tyle duża, że mnisi z klasztoru mogli chodzić po powierzchni Koła i zrzucać żywność więźniom w celach poniżej. Do jaskini można się było dostać tylko przez klasztor Bambekk, położony nad Kołem na stokach góry Kharnabhar.

Ktokolwiek wyźłobił w granicie ów rysunek, był najwyraźniej dobrze zorientowany. Przedstawiono także rzekę płynącą pod Kołem i wspomagającą jego ruch. Symboliczne linie łączyły oś Koła z Freyrem, Batalikszą i konstelacjami dziesięciu znaków Zodiaku: Nietoperzem, Wozem Wutry, Głazem, Raną Nocy, Złotym Statkiem i innymi.

— Abro Hakmo Astab! — wykrzyknął Luterin, pierwszy raz wypowiadając zakazane przekleństwo. Nienawidził owych fikcyjnych linii. Kłamały. Nie istniały żadne połączenia. Był tylko on, uwięziony w skale, nie lepszy od byle mamika. Rzucił się na pryczę.

Znów zaklął. Miał do tego prawo jako potępiony.

Im mglistsze obrazy, tym donośniejsze dźwięki. Luterin podejrzewał, że gdy Koło się nie obraca, pozostali więźniowie śpią. Leżał nie mogąc zasnąć, spoglądając pustym wzrokiem na ponurą celę, w której się znalazł.

Do korytka koło nóg pryczy chlusnęła kolejna porcja wody. Plusk i kapanie powtarzały się regularnie jak bicie zegara.

Rzeka, która płynęła pod ruchomą podłogą, szumiała jednostajnie, a jej głęboki dźwięk, przywodzący na myśl mamrotanie pijaka, koił nerwy Luterina.

Z jeszcze większej odległości dochodziło ciurkanie wody, przypominające o naturze, wolności, łowach. Luterin wyobrażał sobie, że włóczy się samotnie po borach kaspiarnowych. Jednakże złudzenia nie mogły trwać długo. Od czasu do czasu stawała mu przed oczami twarz ojca w przedśmiertnych mękach. Z wyobraźni Luterina zniknęły strumienie, wodospady i bystrzyny, ustępując miejsca krwi.

Letarg uległ przerwaniu tylko raz, gdy otworzył codzienną porcję żywności i znalazł list.

Zaniósł skrawek papieru do niebieskawe lampy w ścianie zewnętrznej i przyjrzał mu się. “Wszystko w porządku. Kocham cię” — nagryzmołono drobnym maczkiem.

Nie było podpisu ani nawet inicjału. Matka? Toress Lahl? Insil? Któryś z przyjaciół?

Otuchy dodawała sama anonimowość listu. Istniał na świecie ktoś, kto się o niego troszczył i potrafił nawiązać z nim kontakt.

Tego dnia, gdy rozległy się trąby kapłanów, Luterin zerwał się z pryczy i chwycił za łańcuch wiszący w niszy w ścianie zewnętrznej. Pociągnął za niego, oparłszy stopy o ścianę działową. Ciała poruszyła się: Koło zaczęło się obracać.

Kolejne szarpnięcie. Ruch nabierał płynności. Skąła posunęła się o kilka centymetrów.

— Ciągnijcie, łotry! — zawołał Luterin.

Zachęcające dźwięki trąb rozlegały się w równych odstępach przez dwanaście i pół godziny, a następnie milkły na taki sam czas. Pod koniec dnia pracy Luterin posunął się do przodu o sto dziewięćdziesiąt centymetrów, prawie połowę szerokości celi. Płomień oświetlający pomieszczenie znalazł się tuż przy ścianie działowej. Nazajutrz zostanie zasłonięty i znajdzie się w następnej celi, po czym pojawi się nowy.

Należało wprawić w ruch bryłę o wadze miliona dwustu osiemdziesięciu czterech tysięcy pięciuset pięćdziesięciu jeden ton stu trzydziestu siedmiu kilogramów. Było to brzemień nałożone przez pobożność na barki więźniów Koła. Praca miała na pozór charakter jedynie fizyczny, jednakże w miarę upływu dni Luterin czuł coraz mocniej, iż jest to także wysiłek duchowy. Stało się dlań oczywiste, że niewidzialne linie łączą jego serce oraz oś Koła z Freyrem, Batalikszą i odległymi konstelacjami. Zaczął rozumieć legendy głoszące, że Koło to nie tylko harówka, lecz także źródło mądrości.

— Ciągnijcie! — wykrzyknął znowu. — Ciągnijcie, święci i grzesznicy!

Stał się odtąd fanatykiem i zrywał się ochoczo z pryczy, gdy tylko rozległ się wyczekiwany dźwięk trąb. Przeklinał tych, którzy nie wstawali równie szybko lub w ogóle nie ciągnęli za łańcuchy, jak ongiś on sam. Nie był w stanie pojąć, dlaczego dzień pracy nie jest dłuższy.

Nocą — choć w podziemiu istniała jedynie noc — kładł się spać, wyobrażając sobie olbrzymie Koło, obracające się powoli i mielące żywoty ludzkie niczym kamień młyński. Koło poruszało się codziennie, odkąd stworzyli je Budowniczo wie Kharnabharu.

Jego obrotom towarzyszyła gorzka ironia. Więźniowie, wegetujący jak robaki w osobnych celach na jego obrzeżu, musieli podążać ku sercu granitowej góry. Jedynie godząc się na ową okrutną wędrówkę i aktywnie w niej współuczestnicząc, mogli liczyć na wydostanie się na zewnątrz. Jedynie wspólnym

wysiłkiem mogli wprawić Koło w ruch i odzyskać swobodę. Jedyne zapuściwszy się w trzewia gór, mogli wrócić do świata jako wolni ludzie.

— Ciągnijcie, ciągnijcie! — krzyczał Luterin, napinając wszystkie mięśnie. Myślał o tysiącu ośmiuset dwudziestu czterech towarzyszach, każdym w osobnej celi, każdym zmuszonym do ciągnięcia, jeśli mieli się kiedykolwiek uwolnić.

Nie wiedział, jakie kataklizmy miotają światem zewnętrznym. Nie wiedział, jakie wydarzenia wywołała jego zbrodnia. Nie wiedział, kto żył, a kto umarł. W miarę upływu kwadr ogarniała go coraz silniejsza nienawiść do innych więźniów — może chorych albo martwych? — którzy nie ciągnęli z całego serca. Czuł, że sam jeden dźwiga ciężar skał, że sam jeden ciągnie Koło po granitowym firmamencie w stronę światła.

Mijały kwadry i małe lata. Zmieniały się tylko napisy wydrapane na zewnętrznej ścianie celi. Wszystko poza tym pozostawało takie samo.

Monotonia przytłaczała Luterina. Ogarnęło go ośpienie, rezygnacja. Kiedy nad głową rozbrzmiewały trąby kapłanów, przytłumione przez grubą sufit, nie zawsze wstawał z pryczy. Zaczął zapominać o ojcu. Pogodził się ze swoją winą i doszedł do przekonania, że rodzica również gnębiło poczucie winy, że wręczył synowi nóż i sztych z niego, chcąc sprowokować go do samobójstwa. Jego oblicze, lśniące od łoj, było twarzą człowieka nieszczęśliwego.

Minęło dużo czasu, nim zaczął się zastanawiać, czy nie odwiedzić ojca w stanie pauku. Nie mógł się uwolnić od owej myśli. W drugim roku uwięzienia położył się płasko na pryczy. Prawie nie wiedział, co robić. Zapadł stopniowo w pauk i odplynał w mrok czarniejszy od serca góry.

Nigdy przedtem nie przebywał w melancholijnym świecie mamików, gdzie wszystkie żywe istoty w przeraźliwej ciszy podążały z wolna ku niebytowi. Z początku nie potrafił utonąć w obsydianie, a później nie mógł się powstrzymać od tonięcia. Płynął ku mglistym skrom przypominającym mrugające gwiazdy, zawieszonym w równych rzędach w krainie śmierci.

Dusza Luterina dryfowała wolno, spoglądając bez oczu na szeregi mamików, które płynęły w dół ku sercu Pramacierzy. Z bliska przypominały oskubane kurczęta schnące na hakach. Między żebrami widać było przejryste żołądki i cząsteczki ciała krążące powoli jak muchy w butelce. W pustych oczodołach ledwo zarysowanych głów mrugały światelka. Dusza Luterina podążyła w kierunku, którego nie wyznaczyłby żaden kompas, i znalazła się przed mamikiem Lobanстера Shokerandita.

— Powiedz tylko słowo, a odejdę, ojcze. Kochałem cię najmocniej i skrzywdziłem najokrutniej.

— Czekam na ciebie, Luterinie. Podążam ku nicości jedynie w nadziei, że cię jeszcze zobaczę. Czyj widok mógłby być miłszy moim oczom? Jakże się miewasz, synu, który spędzasz nadal krótką chwilę wśród żywych?

Kiedy mamik wypowiedział ostatnie słowo, z jego ust wydobyła się chmura iskier.

— Nie pytaj o mnie, ojcze. Mów o sobie. Nie przestaję myśleć o swojej zbrodni. Prześladowaj mnie obrazy owych straszliwych chwil na dziedzińcu.

— Musisz sobie wybaczyć, jak wybaczyłem ci ja, gdy się tu znalazłem. Należymy do innych pokoleń. Jeszcze się nie ustatkowałeś, nie potrafisz spojrzeć na ludzkie sprawy z pewnej perspektywy. Postąpiłeś zgodnie ze swoim sumieniem, podobnie jak ja. To szlachetne.

— Chciałem zabić Oligarchę, a nie ciebie, ukochany ojcze.

— Oligarcha nigdy nie umiera. Zawsze pojawia się następny.

Kiedy mamik umilkł, z otworu, gdzie znajdowały się ongiś usta, wydobyła się chmura świetlistych drobin. Zawisły one w przestrzeni i rozpląnęły się powoli niczym śnieg padający na miał węglowy.

Lśniący duch Lobanстера opisał, jak objął urząd Oligarchy, gdyż wierzył, że w Sibornalu istnieją ideały godne przetrwania. Długo mówił o owych cnotach, często gubiąc wątek.

Wspomniał o tym, jak ukrywał przed własną rodziną prawdę o swojej godności. Długie wyprawy łowieckie służyły zupełnie innym celom. W głębi dzikich gór miał tajemną kryjówkę. Trzymano tam sfory ogarów myśliwskich, a tymczasem on sam podążał z nieliczną świtą do Askitosh. W drodze powrotnej zabierał psy do domu. Pewnego razu ogary odkrył starszy syn i domyślił się prawdy. Favin nie chciał rozmawiać o swoim odkryciu i popełnił samobójstwo rzucając się w przepaść.

Łatwo możesz sobie wyobrazić mój żal, synu. Lepiej znaleźć się tutaj, w bezpiecznym obsydianie, wiedząc, że żadne gorzkie wstrząsy nie spotkają już ciała i duszy.

Retoryka ta rozczuliła, lecz niezupełnie przekonała Luterina.

— Dlaczego nie wyjawileś mi tajemnicy, ojcze?

— Kiedy doszedłem do wniosku, że nadeszła właściwa pora, pozwoliłem ci odgadnąć prawdę. Trzeba powstrzymać mór, a lud musi się nauczyć posłuszeństwa. Inaczej stulecia mrozów doprowadzą do zagłady kultury. Rozumiałem to wszystko, co pozwalało mi uparcie kroczyć obraną drogą.

— Czcigodny ojcze, nie mogłeś reprezentować kultury mając na rękach krew tysięcy ludzi.

Dusza Lobantera wydała z siebie coś na kształt krzyku.

— Są tu dziś ze mną żołnierze z armii Asperamanki, synu! Czy wyobrażasz sobie, że coś mi zarzucają? A twój brat, który tu również przebywa? Po śmierci wszystko się zmienia. Prawdziwe uczucia znikają i zostaje tylko wyrozumiałość.

— A co powiesz o niepotrzebnej wojnie, jaką wydałeś naszym sąsiadom z Bribahru? Czemu zniszczono starożytne miasto Rattagon? Czy nie był to akt czystego okrucieństwa?

— Tylko o tyle, o ile okrucieństwem jest konieczność. Kiedy chciałem się jak najszybciej przedostać z Kbarnabbaru do odległego Askitosh, skręcałem w Noonat na zachód i płynąłem w dół rzeką Jerddal w Bribahrze, znacznie łatwiejszą do żeglugi niż nasz kapryśny Venj. Docierałem do wybrzeża, gdzie czekał na mnie statek, i pozostawałem nie rozpoznany, jak miałoby to miejsce w Rivenjk. Czy rozumiesz, synu? Mówię tylko po to, byś znalazł spokój.

Najważniejsze, by Oligarcha pozostał anonimowy. Zmniejsza to groźbę skrytobójstwa i łagodzi zazdrość wśród plemion. Ale rozpoznali mnie moi z Rattagonu płynący rzeką Jerddal. Z uwagi na spory między naszymi krajami postanowili mnie zabić. Dlatego musiałem się ich pozbyć w obronie własnej. Musisz postępować podobnie, drogi synu, gdy przyjdzie pora. Chroń swoje życie i ciesz się z niego.

— Nigdy, ojcze.

— Cóż, masz jeszcze mnóstwo czasu, by zmądrzeć — rzekł protekcyjnie cień rodzica.

— Ojcze, uderzyłeś także w kościół. — Luterin umilkł. Zmagał się ze sobą, czując jednocześnie szacunek i nienawiść do mglistej postaci. — Muszę cię spytać... spytać, czy wierzysz, że Bóg słucha i przemawia.

Kiedy duch odpowiadał, jego usta nie poruszały się.

— My, mamiki przebywające w zaświatach, posiadamy dar odgadywania, skąd przybywają nasi goście. Dobrze wiem, synu, że twoje ciało znajduje się w najświętszym sanktuarium naszego kontynentu. Pytam cię tedy: czy słyszysz w owym czyścicu głos Boga? Czy czujesz, że cię słucha?

W pytaniach wyczuwało się zło, ciężkie jak ołów, jakby nieszczęście doznawało satysfakcji tylko czyniąc innych nieszczęśliwymi.

— Gdyby nie moje grzechy, Bóg mógłby słuchać i przemówić. Wierzę w to.

— Gdyby Bóg istniał, chłopcze, czy nie sądzisz, że my, niezliczone rzesze duchów, wiedzielibyśmy o nim? Rozejrzyj się. Nie ma tu niczego prócz obsydianu. Bóg to największe kłamstwo ludzkości, chroniące ją przed ponurą prawdą o świecie.

Luterin poczuł, że jego duszę porywa ku nieznanemu gwałtowny prąd. Był bliski utraty świadomości.

— Muszę odejść, ojcze.

— Zbliź się, bym cię uściskał.

Luterin, nawykły do posłuszeństwa, podpłynął do świetlistego szkieletu. Już wyciągał dłoń w geście miłości, gdy z mamika wytrysnął obłok lśniącego pyłu i spowił go jakby ogniem. Odsunął się pośpiesznie. Poświata zniknęła. W samą porę przypomniał sobie opowieści o tym, że mamiki, mimo pozornego pogodzenia się ze śmiercią, potrafią pochwytać żywą duszę i zamienić się z nią miejscami.

Znów przekazał ojcu wyrazy miłości i popłynął powoli w górę przez obsydian, aż rzesze mamików i mamunów stały się tylko polem pełgających gwiazd. Wrócił do swego ciała leżącego w celi i poczuł powoli jego ciepło.

Miał spędzić w zamknięciu jeszcze osiem lat, zanim cela zatoczy krąg i dotrze do wyjścia, a trzy lata, nim przebędzie zaledwie połowę drogi w sercu góry boleści.

Otoczenie nigdy się nie zmieniało. Jednakże Luterin stopniowo przestał czuć odrazę do samego siebie i zaczął myśleć o czymś nowym. Dumał o narastających podziałach między państwem a kościołem. Przypuścmy, że podziały się pogłębią i z jakiegoś powodu zabraknie ludzi do poruszania Koła. Przypuścmy, że więźniowie odsiadujący dziesięcioletnie wyroki będą wychodzić na wolność, lecz nie znajdą się ich następcy. Koło zacznie zwalniać. Mniejsza liczba ludzi nie zdoła go poruszyć. Wreszcie stanie, pomimo wszystkich trąb świata. Luterin znajdzie się w grobowcu w środku góry. Nie będzie ucieczki.

Myśl ta prześladowała go niczym mucha w żółte paski, nawet we śnie. Nie miał wątpliwości, że dręczy ona wielu innych więźniów. Oczywiście odkąd Budowniczości Kharnabharu zakończyli dawno temu swoje dzieło, Koło nigdy się nie zatrzymało, lecz przeszłość nie stanowi gwarancji przyszłości. Luterin zapadł w letarg, który prawie nie był życiem, wspominając z rezygnacją stare przysłowie: "Sibornalczyki tyrają przez całe życie, chowają dzieci przez całe życie i tęsknią przez całe życie". Gdyby nie dzieci, przysięgłby, że przysłowie powstało w Kole.

Dręczyła go myśl o kobietach i brak ludzkiego towarzystwa. Próbował porozumieć się z najbliższymi współtowarzyszami niedoli pukając w skałę, lecz nikt nie odpowiedział. Nie otrzymywał także nowych wiadomości ze świata. Zapomniano o nim.

W okresach pracy i ciszy zaczęła go prześladować pewna zagadka. Z tysiąca ośmiuset dwudziestu pięciu cel Koła tylko dwie miały jednocześnie dostęp do świata zewnętrznego: jedna, służąca do wpuszczania więźniów, i sąsiednia, którą ich wypuszczano. Jak wobec tego dostali się do środka pierwsi pielgrzymi? Jak wprawili Koło w ruch jego gigantyczni twórcy?

Luterina dręczyły wizje lin, klamer, wielokrążków i wartkich rzek podziemnych wspomagających obroty Koła. Jednakże nie potrafił rozwiązać zagadki w zadowalający sposób.

Nawet jego myśli pozostawały uwięzione w świętej górze.

Na podłodze celi wędrował niekiedy grzbietokręt. Luterin podnosił go z radością i trzymał łagodnie, patrząc na krucho odnóża, gdy zwierzę próbowało się uwolnić. Grzbietokręt wiedział, czym jest wolność, i szukał jej bez wahania. Ludzie, nieskończenie bardziej złożeni, reagowali mniej szablonowo. Jakież transcendentny ból powodował, że zamykali się na dużą część życia w Wielkim Kole? Czyż naprawdę była to droga do samoświadomości?

Luterin zastanawiał się, czy grzbietokręt pojmuje samego siebie. Próba utożsamienia się z niewielką istotą, by cieszyć się częścią jej swobody, pozostawiła po sobie złe samopoczucie. Leżał długie godziny na podłodze celi, patrząc na poruszające się żyjątka, niewielkie białe mrówki, mikroskopijne robaczki. Czasami spostrzegał, że obserwują go czerwonoookie szczury i myszy. Gdybym umarł, byłyby one jedynymi świadkami mojej śmierci, pomyślał. Nie obchodził ich.

Podczas uwięzienia w kazamatach Koła musiało umierać wielu ludzi. Niektórzy znaleźli się w środku z wyboru, tak jak inni trwali z wyboru w celibacie. Może pragnęli uciec w niezmiennosc, z dala od zgiełku świata, który, jeśli wierzyć astronomom, stanowi część szerszego gwaru Kosmosu? Jednakże monotonia była dla Luterina rodzajem śmierci. Nie istniał dzień wczorajszy ani jutrzejszy. Jego dusza buntowała się przeciwko obumieraniu.

Rozległy się codzienne trąby. Zwlókl się z pryczy, pobiegł do zewnętrznej ściany celi i chwycił najbliższy łańcuch. Jedyłą sensowną czynnością pozostało ciągnięcie Koła przez skałę. Machina posuwała się przez mrok wraz z więźniami z prędkością stu dziewiętnastu centymetrów dziennie.

Luterin nie zapadał więcej w pauk. Jednakże spotkanie z mamikiem ojca zdjęło mu z barków brzemie winy. Po pewnym czasie zauważył, że przestał wspominać rodzica, a jeśli już o nim myśli, to jako o iskerce w krainie cieni.

Ojciec stanowiący dla Luterina postać rzeczywistą — nieustraszony łowca tropiący wraz z męznymi druhami zwierzynę w dzikich borach kaspiarnowych — zniknął, nigdy nie istniał. Zamiast tego pojawił się człowiek, który pogardził wolnym życiem i zamknął się z własnej woli na górze Icen, w kamiennym zamczysku w Askitosh.

Między życiem zmarłego a życiem Luterina istniały zdumiewające podobieństwa. Syn także został więźniem z własnej woli.

Życie zamarło po raz trzeci. Po rocznym paraliżu u progu dorosłości, po szaleństwie tłustej śmierci i późniejszej metamorfozie znalazł się w Kole. Czyżby przestał być w końcu konformistą, jak to nazwał Harbin Fashnalgid? Czy czekała go ostateczna przemiana?

Musiał się jeszcze przekonać, czy zdoła się uwolnić od wpływu rodzica. Ojciec, choć stał na czele państwa, był także ofiarą systemu, podobnie jak cały ród Shokeranditów. Luterin pomyślał o swojej matce, zawsze zamkniętej w dworze: mogłaby równie dobrze zamienić się z nim miejscami.

Wraz z upływem lat zapominał, jak wygląda Toress Lahl. Zgasł blask jej obecności. Stała się zaledwie niewolnicą: jak zauważyła matka, przywiązanie dziewczyny było przywiązaniem niewolnicy, samolubnym, obliczonym na doraźne korzyści, nie płynącym z serca. Ludzie pozbawieni pozycji społecznej — martwi dla społeczeństwa, jak mawiano o niewolnikach — nie potrafili się zdobyć na odruchy serca. Stać ich było tylko na udawanie. Luterinowi wydawało się, że rozumie, dlaczego niewolnik musi zawsze nienawidzić swojego pana.

Wraz z mijaniem kwadr i centymetrów coraz wyraźniej stawała mu przed oczyma Insil Esikananzi. Uwięziona we dworze, zamknięta razem z bliskimi w grobowcu rodzinnym, kultywowała w sobie iskrę buntu: pod aksamitnymi sukniemi biło mocno serce. Przemawiał do niej w mroku. Odpowiadała szyderycznym tonem, naigrawając się z jego konformizmu, jednakże pocieszała go jej troska i sposób widzenia świata.

Kiedy tylko rozlegały się trąby, ciągnął za łańcuch.

Wysoko nad Wielkim Kołem szybowała machina trochę do niego podobna. Działanie stacji obserwacyjnej "Awernus" również opierało się na wierze.

Wiara zawiodła. Rozdrobnione społeczności matriarchalne całkowicie oddały się odtwarzaniu wielorakich osobowości. Ceremonialnie zabito gigantyczne organa seksualne, często dokonując tego w perwersyjny sposób. Odraza do wszystkiego, co mechaniczne lub związane z techniką, spowodowała, że mieszkańcy stacji ulegli bezdusznemu hedonizmowi, w którym dominowały motywy erotyczne.

Doszło do zupełnego pomieszania płci. Ludzie stawali się w dzieciństwie kobietami lub mężczyznami, tworząc niekiedy aż pięć różnych osobowości naraz. Mogły one w ogóle się nie znać, mówiąc innymi językami i prowadząc odrębne życie; mogły też toczyć gwałtowne spory albo kochać się w sobie bez wzajemności.

Niektóre umierały, gdy tymczasem ich właściciel żył nadal.

Stopniowo doszło do ogólnego rozpadu, jakby chaos zapanował także w genotypach, na których opiera się dziedziczność.

Zmniejszająca się populacja nadal oddawała się skomplikowanym grom, ale czuło się już nadchodzący kres. Urządzenia mechaniczne także zaczęły się psuć. Roboty wymieniające uszkodzone obwody same wymagały napraw. Były one niemożliwe bez nadzoru ludzi, których brakowało. Sygnały wysyłane na Ziemię stały się niekompletne, mniej skoordynowane. Niebawem miały zupełnie zamknąć. Potrzeba było na to jeszcze tylko kilku pokoleń.

XVI. ŚMIERTELNA NAIWNOŚĆ

Był rok, który by kiedyś nazwano siedem tysięcy pięćset osiemdziesiątym trzecim. Na ziemskiej półkuli północnej panowało lato.

W wolno poruszającym się wehikule znajdowała się grupa kochanków. Nie opodal jechały inne maszyny, równie powolne. Sunęły przed olbrzymim geonautą przemierzającym tropiki. Niekiedy jeden z pasażerów przechodził ze swojego pojazdu do innego. Koło geonauty zgromadziło się ich siedemdziesiąt. Istota miała się niebawem podzielić.

Perorował mężczyzna nazwiskiem Trockern, jak zwykle po południu, gdy kończyła się poranna sesja medytacji. Podobnie jak wszyscy obecni, kobiety i mężczyźni, odziany był jedynie w zwiewną woalkę na głowie.

Był szczupłym mężczyzną o oliwkowej cerze, wyrazistych rysach i nieodpartym uśmiechu, który błąkał mu się na wargach, nawet gdy mówił poważnie.

— Jeśli dobrze pojmuję rezultaty dzisiejszej medytacji, dziwacznymi ludźmi żyjącymi przed wojną jądrową nie zdawali sobie sprawy z pewnego faktu, który wydaje nam się dziś oczywisty. Nie rozwinęli się wystarczająco, by uwolnić się od pragnienia posiadania własnego terytorium, jakie cechuje nadal ptaki i zwierzęta.

Zwracał się do dwóch sióstr, Shoyszal i Ermine, które dzieliły z nim obecnie pojazd. Siostry były bliźniaczko podobne, ale Shoyszal, przywódczyni, odznaczała się większym zdecydowaniem.

— Część z nich potępiała własność ziemi — odezwała się Ermine.

— Uważano ich za wariatów — rzeki Trockern. — Posłuchajcie. Moja teoria, nad którą, jak sądzę, możemy się zastanowić, głosi, że posiadanie było dla tych ludzi wszystkim. Nawet miłość stanowiła dla nich akt polityczny.

— Posuwasz się za daleko — wtrąciła Shoyszal. — Zgoda, w owym czasie prawie na całej Ziemi jedna płeć panowała nad drugą...

— Utrzymywała ją w stanie niewolnictwa.

— Nie przesadzaj. Wystarczy powiedzieć, że panowała. Ale istniały także społeczeństwa, gdzie seks był czystą rozrywką pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia duchowego czy związku z posiadaniem, gdzie kluczem stało się słowo „wyzwolenie”...

Trockern pokręcił głową.

— Potwierdzasz tylko to, co mówię, moja droga. Mniejszość, która buntowała się przeciwko obowiązującemu etosowi, z konieczności również traktowała miłość jako akt polityczny. Właśnie taki sens miały slogany o wyzwoleniu i wolnej miłości.

— Myślę, że ludzie sądzili inaczej.

— Ich poglądy nie były dostatecznie skryształizowane. Stąd ich ciągły niepokój. Uważam, że nawet wojny stanowiły ucieczkę przed nieszczęściami osobistymi... — Widząc, że Shoyszal zamierza zaprzeczyć, Trockern dodał pośpiesznie: — Tak, wiem, że wojny służyły także walce o terytoria. Poczucie własności przenosiło się z ziemi na jednostkę. Mężczyzna miał być dumny z ojczyzny i walczyć w jej obronie; to samo odnosiło się do kochanki albo żony, jak je wówczas nazywano. Czy wyobrażacie sobie, że jestem z was dumny albo że się o was biję?

— Czy to pytanie retoryczne? — spytała Ermine z uśmiechem.

— Rozważmy dla przykładu obsesję posiadania, na jaką cierpieli starożytni. Aż do zakończenia rewolucji przemysłowej niewolnictwo było na Ziemi zjawiskiem powszechnym. W wielu miejscach przetrwało i później. Było równie złe jak to istniejące na Helikonii. Dawało człowiekowi prawo posiadania drugiej osoby, w co trudno nam wręcz uwierzyć. Dla nas byłoby to jedynie źródłem nieszczęść. Rozumiemy, że właściciel niewolników sam staje się niewolnikiem.

Kiedy dla podkreślenia swoich słów Trockern uniósł lewą rękę i zaczął mówić głośniejszym głosem, starzec drzemiący na pobliskiej pryczy wymamrotał coś z irytacją, prychnął i przewrócił się na drugi bok.

— Mimo to wiele społeczeństw nie znało niewolnictwa — rzekła Shoyszal. — Brzydzono się nim.

— Oficjalnie się nim brzydzono, lecz jeśli było to możliwe, trzymano służbę, stanowiącą do pewnego stopnia własność swoich panów. Później posługiwano się androidami. W społeczeństwach rzekomo pozbawionych niewolnictwa występowało ono w istocie w formie ukrytej. Posiadanie, posiadanie... Była to swoista mania.

— Starożytni nie byli obłąkani — powiedziała Shoyszal. — Po prostu różnili się od nas. Prawdopodobnie to my wydalibyśmy im się dziwacznymi. Ponadto żyli w epoce, gdy ludzkość była jeszcze młoda. Słuchałam wielu twoich kazań, Trockern, i dość mi się podobały, nie przeczę. Teraz posłuchaj, co ja mam do powiedzenia.

Powstaliśmy wskutek zdumiewającego zbiegu okoliczności. Nie chodzi mi o palec Boży, którym wiecznie się dręczą mieszkańcy Helikonii. To po prostu szczęście. Mam na myśli nie tylko to, że kilku ludzi przetrwało dzięki szczęściu zimę nuklearną — choć to także. Szczęście rozumiem jako serię przypadków, jakie spotkały naszą planetę. Pomyślmy o tym, jak bakterie zaczęły wydzielać tlen do atmosfery, która nie nadawała się przedtem do oddychania. Pomyślmy o tym, jak u ryb wykształcił się kręgosłup. O tym, że u ssaków rozwinęło się łożysko, znacznie lepsze niż jajo, choć w swoim czasie jajo także stanowiło tryumf ewolucji. Pomyślmy o roju meteorytów, który tak nagle zmienił warunki panujące na Ziemi, że wyginęły dinozaury i ssaki uzyskały szansę rozwoju. Mogłabym wyliczać dalej.

— Zawsze byłaś elokwentna — wtrąciła jej siostra z nutką podziwu.

— Nasi starożytni przodkowie obawiali się przypadków. Lękali się szczęścia. Stąd bogowie, bariery, małżeństwa, broń nuklearna i cała reszta. To nie żądza posiadania, jak twierdzisz, lecz obawa przed przypadkiem, który w końcu się zdarzył. Może takie przepowiednie same się sprawdzają?

— To prawdopodobne. Tak, zgadzam się, że żądza posiadania mogła stanowić symptom lęku przed przypadkiem.

— Dobrze, Trockern, skoro przyznajesz mi rację, wróćmy do erotyki.

Wszyscy się roześmieli. Za oknami widać było nieforemne miasto ssące egonizm z białych wielościanów i toczące się powoli naprzód. Ermine objęła siostrę za szyję i pogłaskała po głowie.

— Mówisz, że jedna osoba posiadała drugą. Przypuszczam, że mniej więcej tak zdefiniowałbyś prawną instytucję małżeństwa. Mimo to małżeństwo wydaje mi się jednak dość romantyczne.

— Romantyczna wydaje nam się większość okropności, jeśli nas bezpośrednio nie dotyczą — rzekła Shoyschal. — Wszystko, co widzimy jak przez mgłę... Ale małżeństwo to ekstremalny przykład miłości jako aktu politycznego. Sama miłość była tylko udawaniem, a co najwyżej złudzeniem.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. Mężczyźni i kobiety musieli przecież zawierać małżeństwa, prawda?

— Owszem, mieli poniekąd możliwość swobodnego wyboru, lecz istniała także presja społeczna. Czasami była to presja tradycji, kiedy indziej presja ekonomiczna. Mężczyzna potrzebował kogoś, kto pomagałby mu w pracy i sypiał z nim. Kobieta potrzebowała kogoś, kto by ją utrzymywał. Łączyły ich interesy.

— Jakie to wstrętne!

— Wszystkie te sentymentalne pozy — ciągnęła Shoyschal ze swadą — uniesienia, pieśni miłosne, ekliwne melodyjki, podziwiane utwory literackie, wspólne samobójstwa, łyzy i zaklęcia były tylko wyrazem chuci, przynętą w pułapce, którą nieświadomie zastawiano lub w którą wpadano.

— W twoich ustach brzmi to okropnie.

— A było jeszcze gorzej, zapewniam cię, Ermine. Nic dziwnego, że tyle kobiet wybierało prostytutkę. Rzecz w tym, że małżeństwo stanowiło formę walki o władzę, a mąż i żona dążyli do supremacji w rodzinie. Mężczyzna walczył za pomocą portfela, a kobieta sekretną bronią ukrytą między nogami.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Starzec śpiący na pryczy, mężczyzna imieniem Sartorilrwrasz, zaczął chrapać.

— Twoja broń już od dawna nie jest sekretna — rzekł Trockern.

Kiedy miasto stawało się dla kogoś za ciasne, nietrudno było zmienić geonautę i pojechać w nowym kierunku. Istniało wiele innych miast, wiele innych możliwości. Niektórzy lubili podążać za długimi jasnymi dniami, innych ogarniało nagle pragnienie ujrzenia morza lub pustyni. Każde środowisko dostarczało odmiennych przeżyć.

Miały one charakter inny niż niegdyś. Ludzie przestali żądać. Pogodzili się emocjonalnie z rolą dzieci Gai, ducha Ziemi, dzieci skromnych, posłusznych, lecz nie potulnych. Gaja nie chciała ich posiadać, jak pragnęli tego ongiś fikcyjni bogowie. Ludzie sami stanowili część ducha biosfery. Posiadali wizję.

W rezultacie śmierć przestała pełnić rolę Wielkiego Inkwizytora spraw ludzkich. Okazała się po prostu jednym z elementów życia. Gaja stanowiła wspólny grób, na którym nieustannie rozkwitały świeże kwiaty.

Istniał także wymiar troski o Helikonię. Widzowie spektaklu zmienili się w jego uczestników. Kiedy z „Awernusa” przestały docierać obrazy, gdy zgasły ekrany w muszlowatych amfiteatrach, kontakt telepatyczny nabral jeszcze większej mocy. Ludzkość — duch ludzkości — przekroczyła w pewnym sensie przestrzeń kosmiczną, by stać się okiem Pramacierzy i dodać sił odległym braciom na innej planecie.

Przyszłe losy owego kontaktu duchowego pozostawały w sferze domysłów.

Godząc się na słuszną i wygodną rolę, Ziemianie znów wstąpili w magiczny krąg życia. Wyrzekli się dawnych żądz. Świat należał do nich, a oni do świata.

Kiedy zaczął zapadać zmrok, Ermine powiedziała:

— Mówimy o miłości jako o akcie politycznym. Niełatwo to zrozumieć. Jak się nazywała formuła prawna, którą stosowali starożytni, gdy małżeństwo ulegało rozpadowi? Czy nie spotkało to JandolaAnganola? Ach, tak, rozwód. Był to spór o własność, prawda?

— I o posiadanie dzieci — dodała Shoyszał.

— Oto przykład miłości wplątanej w ekonomię i politykę. Starożytni nie rozumieli, że nie można uciec przed przypadkiem. To jeden z kaprysów Gai, który czyni ją zawsze nowoczesną.

Trockern wyjrzał przez okno i wskazał geonautę.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby stworzyła te istoty, by zajęły nasze miejsce — powiedział, udając posępny ton. — Geonauci są przecież piękniejsi i funkcjonalniejsi od ludzi, z wyjątkiem tu obecnych.

Kiedy na niebie pojawiły się gwiazdy, troje ludzi zeszło na ziemię i ruszyło obok sunącego wolno pojazdu. Ermine wzięła siostrę i Trockerna pod rękę.

— Przykład Helikonii poucza nas, że pragnienie posiadania ziemi i kochanych osób zniszczyło życie wielu ludzi. Zabijało także samą miłość, ale to nieważne. Zima nuklearna uwolniła ludzkość od żądz posiadania. Osiągnęliśmy wyższy poziom rozwoju.

— Ciekawe, czy popełniamy jakiegokolwiek błędy? — spytał Trockern i roześmiał się.

— Ty z pewnością tak — rzekła zaczepnie Ermine. Trockern ugryzł ją w ucho. Tymczasem w pojeździe Sartorilrwrasz poruszył się na pryczy i chrząknął z aprobatą, jakby sam rozkoszował się smakiem różowej małżowiny. Zbliżała się pora, gdy zazwyczaj budził się, by cieszyć się godzinami tropikalnej ciemności.

— Coś mi się przypomniało — powiedziała Shoyszał, spoglądając w gwiazdy. — Jeśli moja teoria przypadku jest prawdziwa, tłumaczy ona, dlaczego starożytni odkryli żywe istoty tylko na Helikonii. Helikonii i Ziemia miały szczęście. Rządzi nimi przypadek. Na innych planetach wszystko przebiegało zgodnie z planem geofizycznym. W rezultacie nic się nigdy nie zdarzyło i nie ma o czym mówić.

Stali, wpatrując się w niezmierną otchłań nieba. Trockern westchnął.

— Kiedy patrzę na galaktykę, ogarnia mnie zawsze głębokie poczucie szczęścia. Zawsze. Z jednej strony gwiazdy przypominają, że cudowna złożoność świata organicznego i nieorganicznego opiera się na kilku przeraźliwie prostych prawach...

— I jesteś oczywiście szczęśliwy, że gwiazdy dostarczają ci tematu do kazań... — wtrąciła Ermine, małpując Trockerna.

— Aż drugiej strony, kochanie, z drugiej strony... Wiesz, ogarnia mnie szczęście na myśl, że jestem bardziej skomplikowany niż dżdżownica czy bławatek, dzięki czemu dostrzegam piękno kilku przeraźliwie prostych praw fizyki.

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że starożytne opowieści o Bogu zawierają żdźbło prawdy — powiedziała Shoyszał. — Może tak naprawdę Bóg to po prostu stary nudziarz?...

— Pograżony w wieczystej zadumie nad planetami pokrytymi tylko piaskiem...

— I liczący ziarno po ziarnku... — dokończyła Ermine. Roześmieli się i pobiegli, by dogonić swój pojazd.

Mijały lata. Wszystko było proste. Należało tylko ciągnąć za łańcuchy, poruszając Koło po rozgwieżdżonym firmamencie.

Rozpacz ustąpiła miejsca rezygnacji. Po rezygnacji przyszła nadzieja, podobna do cichego świtu wstającego bez fanfar.

Zmieniały się napisy na ruchomej ścianie zewnętrznej. Pojawiły się rysunki nagich kobiet, słowa nadziei, przechwałki na temat wnuków, wyrazy troski o żony. W skale wyryto kalendarze odmierzające ostatnie lata; ich liczby stawały się kwadra za kwadrą coraz większe.

A mimo to nadal zdarzały się maksyminy religijne, niekiedy powtarzane obsesyjnie co kilka metrów, dopóki autor się nie znużył. Jedna z nich, która wprowadziła Luterina w zadumę, głosiła: CAŁA MĄDROŚĆ ŚWIATA ISTNIAŁA WIECZNIE: CZERP Z NIEJ GŁĘBOKO, ABY SIĘ POWIĘKSZAŁA.

Pewnego razu, gdy wraz z resztą niewidzialnej rzeszy ciągnął za łańcuchy, kiedy rozlegały się trąby i słychać było piski obracającej się maszyny, spostrzegł w celi delikatną jasność. Pracował dalej. Koło poruszało się z prędkością dziesięciu centymetrów na godzinę, lecz jasność rosła z każdą chwilą. Do celi wpełzł żółtawy brzask.

Luterin był w siódmym niebie. Zrzuciwszy futra, ze wzmożonym wigorem ciągnął za łańcuch o dziesięciu ogniach, zagrzewając krzykiem nie słyszających towarzyszy. Pod koniec dnia pracy, trwającego dwanaście i pół godziny, przednia ściana celi posunęła się do przodu, odsłaniając wąską smugę bieli. Cella wypełniła się migotliwą światłością, która zalewała najdalsze kąty pomieszczenia. Luterin upadł na kolana i zakrył oczy, śmiejąc się i płacząc.

Nim skończył pracę, w ścianie zewnętrznej ukazało się okno o szerokości dwustu czterdziestu milimetrów. Do chwili, gdy cella Luterina miała się znaleźć przy wyjściu pod klasztorem Bambekk, brakowało zaledwie pół roku. Na granitowej ścianie widniał wyryty prostymi literami napis: ZOSTAŁO CI TYLKO PÓŁ ROKU Z DALA OD ŚWIATA. WYKORZYSTAJ TEN CZAS Z POŻYTKIEM.

Okno wykuto w litej skale. Trudno było się zorientować, jaką ma długość. Na odległym krańcu znajdowały się grube żelazne pręty. Widać było za nią odległe drzewo, kaspiarn kołyszący się w podmuchach wichury.

Luterin spoglądał długo na zewnątrz, po czym usiadł na pryczy i zaczął podziwiać otoczenie. Szczelina, przez którą wpadało światło, była zasypana gruzem. Jasność wypełniająca całą celę emanowała fluidami piękna. Luterinowi zdawało się, że błogosławi go cała światłość świata. Patrzył na rozjarzone powietrze i delikatne światłocienie pokrywające kąty skromnego pomieszczenia. Rozkoszował się pocuciem, że jest znowu żywa istota.

— Wróć, Insil! — zawołał w stronę jasności.

Nazajutrz nie pracował, tylko śledził życiodajne okno przesuujące się po ścianie zewnętrznej. Następnego dnia znowu próżnował, a tymczasem okno poruszyło się i prawie zniknęło. Nawet wąska szczelina napępiała celę cudowną perłową jasnością. Czwartego dnia, gdy zapanował z powrotem półmrok (okno zaś oczarowało więźnia sąsiedniej celi), Luterin był niepocieszony.

Zaczął się okres wątpliwości. Tęsknota za światem ustąpiła miejsca obawie, co zostanie po wyjściu na wolność. Co zrobiła Insil? Czy opuściła zniechęcony dwór?

Myślał o matce. Może już nie żyła? Oparł się pragnieniu zapadnięcia w pauzę porozumienia się z nią.

Wspominał Toress Lahl. Cóż, wyzwolił ją. Może wróciła do Borldoranu?

A sytuacja polityczna? Czy nowy Oligarcha wykonuje edykty poprzedniego? Czy nadal morduje się fagory? Jak rozwiązano spór państwa z kościołem?

Zastanawiał się, co go czeka po wyjściu na wolność. Może powitają go płatni mordercy? Nadal dręczyło go pytanie, które pozostało bez odpowiedzi przez dziesięć małych lat: czy jest świętym, czy grzesznikiem? Bohaterem czy zbrodniarzem? Stracił z pewnością wszelkie prawo ubiegania się o urząd Dzierżyciela Koła.

Zaczął rozmawiać z wyobrażoną kobietą, perorując z większą swadą niż w obecności jakiegokolwiek żywej istoty.

— Jakimż labiryntem jest ludzkie życie! O ileż łatwiej być fagorem! Dwuroźców nie dręczą wątpliwości ani nadzieje. Kiedy jesteśmy młodzi, ludzimy się, że prędzej czy później zdarzy się coś wspaniałego, że wyrwiemy się z ograniczeń nałożonych przez pochodzenie, że spotkamy wspaniałą kobietę, a ona także uzna nas za wspaniałych.

Jednocześnie mamy pewność, że gdzieś w gąszczu możliwości, w matecznikach sprzecznych poglądów kryje się kwintesencja dająca się poznać i zrozumieć. Że odkryjemy ją w końcu, a tajemnica

stanie się spoistą opowieścią. Że nasze prawdziwe życie — istota wszystkiego — wynurzy się wówczas z mgły i wypełni jasnością, my zaś osiągniemy pełnię zrozumienia.

Jest jednak zupełnie inaczej. A skoro tak, skąd wzięła się ta dręcząca nas idea? Wszystkie lata, jakie tutaj spędziłem, wszystkie myśli, które minęły...

Ciągnął mocno za łańcuchy pojawiające się stale w niszy w ścianie. Zmniejszała się liczba dni na kamiennym kalendarzu. Wkrótce nadejdzie niewyobrażalny dzień odzyskania wolności. Cokolwiek miało się stać, modlił się do Azoiaxica, by pozwolił mu znów kochać kobietę. Insił nie wydawała się już Luterinowi odległa.

Wiał północny wiatr znad wiecznej czapy lodowej. W jego powiewach mogło żyć niewiele istot. Kiedy się zrywał, nawet odporne liście kaspiarnów zwijały się przy pniach niczym żagle.

Doliny wypełniały się padającym śniegiem. Światło stawało się rok po roku coraz słabsze.

Do niewielkiej kaplicy króla JandolAnganol wiódł teraz wąski tunel. Oszalowano go uschniętymi konarami, które nie dopuszczały śniegu do niskich drzwi.

Pierwszy raz od wielu stuleci kaplica była zamieszкана. Koło piecyka w rogu kulili się kobieta i mały chłopiec. Kobieta zamknęła drzwi i osłoniła ogień, by światło pozostawało niewidoczne z zewnątrz. Nie miała prawa przebywać w świątyni.

Rozstawiła wokół kaplicy rdzewiejące siódła, które znalazła w przedsionku. Chwytała w nie niewielkie zwierzęta, dostarczające pożywienia. Bardzo rzadko ośmielała się pokazać w Kharnabharze, choć miała w wiosce przyjaciółkę, która otworzyła kramik z rybami z wybrzeża: szlak przebyty niegdyś przez Toress był przejezdny niezależnie od pogody.

Nauczyła syna czytać. Rysowała mu w kurzu litery lub pokazywała napisy na ścianach. Mówiła, że litery i słowa to obrazy rzeczy idealnych, które istnieją lub mogłyby istnieć, choć czasami nie powinny. Próbowwała uczyć go moralności z inskrypcji religijnych, lecz wymyślała także niemądre historyjki, z których oboje się zaśmiewali.

Kiedy dziecko spało, oddawała się lekturze.

Nieustannym zdumieniem napełniało ją to, że patronem świątyni jest mieszkaniec jej rodzinnego Oldorando. Ich losy, odległe o mile i stulecia, tworzyły przedziwną jedność. JandolAnganol zamknął się samotnie w kaplicy, by odpokutować za swoje grzechy. Kiedy się zestarzał, przyłączyła się doń obca kobieta z Dimariam, dalekiej krainy w Hespagoracie. Oboje pozostawili po sobie rękopisy, które Toress godzinami przeglądała. Czasami czuła w pobliżu ducha udręczonego króla.

Z czasem opowiadała dorastającemu synowi ich dzieje.

— Brzydki król JandolAnganol uczynił wiele złego w kraju, gdzie się urodziła twoja matka. Był wierzący, a jednak zniszczył swoją religię. Ten straszliwy paradoks sprawił, że nie mógł dłużej żyć spokojnie. Przybył więc do Kharnabharu i pracował dziesięć małych lat w Wielkim Kole, podobnie jak twój tata.

JandolAnganol pozostawił w Oldorando dwie żony. Musiał być bardzo niegodziwy, choć Sibornalczycy uważają go za świętego.

Kiedy opuścił Koło, przyłączyła się doń kobieta z Dimariam, o której ci opowiadałam. Była lekarką, tak samo jak ja. Cóż, miała się w życiu wielu różnych zajęć, a przez pewien czas zajmowała się kupiectwem. Nazywała się Immya Muntras i odszukała króla, poczuwszy powołanie religijne. Może opiekowała się nim na starość. Wspierała go. To nic złego.

Muntras posiadała wiedzę, która wydawała jej się cenna. Widzisz, spisała ją dawno temu w porze Wielkiego Lata, gdy ludzie myśleli, że nadchodzi koniec świata, podobnie jak teraz.

Muntras uzyskała pewne informacje od człowieka, który przybył do Oldorando z innej planety. Brzmi to fantastycznie, lecz widziałam w życiu tyle niezwykłych rzeczy, że wierzę we wszystko. Kości Muntras leżą teraz w przedsionku wraz z kośćmi króla. Oto jej rękopis.

Dziwny mężczyzna z innego świata wytłumaczył Muntras naturę zarazy. Powiedział jej, że tłusta śmierć jest konieczna i że metamorfizie fizycznej towarzyszy przemiana metabolizmu, która pozwala przetrwać zimę Weyra. Bez niej ludzie nie przeżyliby okresu największych mrozów.

Wielki temu Muntras próbowała nauczać tego w Kharnabharze. Mimo to nadal zabija się fagory, a państwo usiłuje powstrzymać zarazę wszelkimi możliwymi środkami. Byłoby lepiej, gdyby rozwijano medycynę, by przeżywało więcej ofiar moru.

Tak oto przemawiała Toress, patrząc w półmroku na twarz chłopca.

Syn słuchał. Jego zabawkami były skarby ze skrzyń należących ongiś do nikkemnego króla. Pewnego wieczoru, gdy się nimi bawił, a matka czytała przy ogniu, rozległo się pukanie do drzwi kaplicy. Powoli zmieniały się pory roku. Wielkie Koło Kharnabharu nie zatrzymywało się nigdy.

Dla Luterina Shokerandita wykonało w końcu pełny obrót. Cella, w której przebywał, znalazła się przy wyjściu. Od następnej oddzielał ją tylko mur grubości sześćdziesięciu czterech centymetrów. Do sąsiedniej celi wstępował akurat w tej chwili ochotnik, by rozpocząć dziesięcioletni pobyt w mroku i ciągnąć Helikonę ku światłu.

W ciemności czekali strażnicy. Pomogli Luterinowi wyjść z miejsca uwięzienia. Zamiast go uwolnić, poprowadzili go w górę kręconymi schodami. Światło stawało się powoli coraz jaśniejsze; zamknął oczy i wstrzymał oddech.

Wprowadzono go do niewielkiej komnaty w klasztorze Bambekk. Na chwilę został sam.

Nadeszły dwie niewolnice, które obserwowały go kątem oka. Po nich pojawili się niewolnicy niosący balię, dzbany z gorącą wodą, srebrne zwierciadło, ręczniki, przybory do golenia i świeżą odzież.

— Oto dary Dzierżyciela Koła — rzekła jedna z kobiet. — Nie każdy z wioślarzy jest tak traktowany, możesz być pewien.

Kiedy Luterin poczuł zapach gorącej wody i ziół, zdał sobie sprawę, jak straszliwie śmierdzi, jak przesiąkł zgniłym odorem Koła. Pozwolił kobietom rozebrać się z poszarpanych futer. Pomogły mu wejść do balii. Kiedy go myły, odczuwał nieziemską rozkosz. Miał wrażenie, że lada chwila straci przytomność. Był jak martwy.

Upudrowano go, osuszono i przebrano w nowe grube ubranie.

Niewolnice zaprowadziły go do okna, by wyjrzał na dwór. Z początku oślepiło go światło. Spoglądał z wielkiej wysokości na miasteczko Kharnabhar. Widział domy, zasypane śniegiem po dachy. Poruszały się tylko sanie ciągnięte przez trójkę jajaków oraz dwa ptaki, które krążyły wysoko na niebie, tworząc nieśmiertelne widmo Koła.

Widoczność była dobra. Zamięć przycichła, a chmury odpłynęły z wiatrem na południe, odsłaniając skrawki czystego błękitnego nieba. Wszystko było zbyt świetliste. Luterin musiał osłonić oczy i odwrócić wzrok.

— Jaki dziś dzień? — spytał jedną z kobiet.

— Mamy rok tysiąc trzysta dziewiętnasty. Jutro Myrkwyr. Czy ściąć ci brodę, żebyś wyglądał parę tysięcy lat młodziej?

Broda Luterina przypominała grzyb wyrosły w mroku. Była poprzetykana siwizną i sięgała mu do pasa.

— Zetnijcie ją — odparł. — Nie mam jeszcze dwudziestu czterech lat. Młodzik ze mnie, prawda?

— Doprawdy, słyszałam o starszych — rzekła kobieta, zbliżając się z nożycami w rękę.

Luterina czekała teraz wędrownica przed oblicze Dzierżyciela Koła.

— Będzie to tylko audyencja oficjalna — rzekł przewodnik, który prowadził go labiryntem korytarzy klasztoru. Luterin miał niewiele do powiedzenia. Przytłaczały go nowe wrażenia. Ponadto nie mógł się powstrzymać od refleksji, iż uważał się ongiś za dziedzica urzędu Dzierżyciela.

Kiedy pozostawiono go w końcu na progu olbrzymiej komnaty, nie odezwał się. W przeciwległym końcu siedział na drewnianym tronie Dzierżyciel, obok którego stali dwaj chłopcy w strojach liturgicznych. Dostojnik skinął na gościa, by się zbliżył.

Luterin ruszył niepewnie przez oświetloną przestrzeń, przerażony liczbą kroków potrzebną, by dojść do podwyższenia.

Dzierżyciel był otyłym mężczyzną w purpurowych szatach. Wydawało się, że jego twarz za chwilę pęknie. Była również purpurowa, pokryta żyłkami pnącymi się po policzkach i nosie niczym winorośl. Oczy miał wodniste, a wargi wilgotne. Luterin zapomniał, że istnieją takie twarze, i patrzył na nią jak na dziwoląga odwzajemniając spojrzenie Dzierżyciela.

— Skłonił się — syknął jeden z chłopców. Luterin spełnił rozkaz.

— Wróciłeś do nas, Luterinie Shokerandicie — odezwał się władca gardłowym głosem. — Przez ostatnie dziesięć lat znajdowałeś się pod opieką kościoła. Inaczej zostałbyś prawdopodobnie otruty przez swoich wrogów, pragnących pomścić ojcobójstwo.

— Kim są moi wrogowie?

Wodniste oczy kryły się za grubymi fałdami powiek.

— Zabójca Oligarchy ma wrogów wszędzie, otwartych i skrytych. Jednakże większość z nich okazała się także wrogami kościoła. Będziemy nadal się o ciebie troszczyć. Mamy poczucie, że coś ci zawdzięczamy... — Zaśmiał się. — Możemy ci pomóc opuścić Kharnabhar.

— Nie zamierzam opuszczać Kharnabharu. To moja ojczyzna. Otyła postać spoglądała na usta, a nie na oczy mówiącego Luterina.

— Może zmienisz jeszcze zdanie. Tymczasem powinienes się zgłosić do Pana Kharnabharu. O ile pamiętasz, urzędy Pana Kharnabharu i Dzierżyciela Koła znajdowały się ongiś w jednym ręku. Odkąd doszło do schizmy między kościołem a państwem, zostały one rozdzielone.

— Czy mógłbym cię o coś spytać, panie?

— Pytaj.

— Muszę tylko zrozumieć... Czy kościół uważa mnie za świętego, czy za grzesznika?

Dzierżyciel odchrząknął.

— Kościół nie wybacza ojcobójstwa, więc przypuszczam, że oficjalnie jesteś grzesznikiem. Jakżeby inaczej? Chyba mogłeś się tego domyślić podczas dziesięciu lat pod ziemią... Jednakże ja sam, jako Dzierżyciel Koła, uważam, że uwolniłeś świat od łotra i że jesteś świętym.

Roześmiał się.

Oto jeden z moich skrytych wrogów, pomyślał Luterin. Skłonił się i chciał odejść, lecz Dzierżyciel zawołał go.

Władca z wysiłkiem wstał z miejsca.

— Nie poznajesz mnie? Jestem Ebstok Esikananzi, Dzierżyciel Koła i twój stary druh. Ongiś pragnąłeś poślubić moją córkę Insil. Jak widzisz, doszedłem do wielkich godności.

— Gdyby żył mój ojciec, nie zostałbyś nigdy Dzierżycielem.

— Kogo należy za to winić? Bądź mi wdzięczny, że jestem ci wdzięczny.

— Dzięki ci, panie — rzekł Luterin i opuścił majestatyczną postać, zastanawiając się nad uwagą dotyczącą Insil.

Nie miał pojęcia, gdzie szukać Pana Kharnabharu, jednakże Dzierżyciel Esikananzi zadbał o wszystko. Na Luterina czekał niewolnik w liberii, sanie oraz futra dla ochrony przed mrozem.

Odurzył go pęd sań i brzęk dzwoneczków przy upręży zwierząt. Kiedy pojazd zaczął się poruszać, Luterin przymknął oczy i chwycił się mocno poręczy. Słyszał krzyki ptactwa i zgrzyt płóz, który coś mu przypominał, choć nie wiedział, co to takiego.

Powietrze wydawało się kruche. Rozejrzał się. Z Kharnabharu zniknęły tłumy pielgrzymów. Okiennice domów były pozamykane. Miasteczko wydawało się mniejsze i obskurniejsze niż niegdyś. Na wyższych piętrach oraz w sklepach, które pozostały otwarte, błyskało tu i ówdzie światło. Jasność nadal raziła Luterina w oczy. Odchylił się do tyłu, przywołując wspomnienie Ebstoka Esikananzi. Od dzieciństwa znał przyjaciela ojca i nigdy go nie lubił: to Ebstok był przyczyną zgorzknienia Insil.

Sanie grzechotały i podskakiwały, a dzwoneczki brzęczały wesoło. Ponad ich blaszanym dźwiękiem rozlegało się bicie większego dzwonu.

Przejechali pędem przez ogromną bramę. Luterin poznał stojącą obok stróżówkę. Tutaj się urodził. Po obydwu stronach drogi wznosiły się trzymetrowe zaspy śniegu. Jechali przez Winnicę. Z przodu ukazał się dach znajomego budynku. Niezapomniany dzwon odezwał się jeszcze donośniej.

Shokeranditowi stanęło na moment przed oczami szczęśliwe wspomnienie z dzieciństwa. Był małym chłopcem i biegł ku bramie dworu, ciągnąc niewielkie sanki. Na schodach stał uśmiechnięty ojciec, przynajmniej raz obecny w domu, czekając na niego z otwartymi ramionami.

Przy drzwiach czuwał teraz uzbrojony wartownik, pełniący straż w niewielkiej budce zasłaniającej wejście z trzech stron. Żołnierz kopnął drewniane drzwi. Otworzył je niewolnik, który wprowadził Luterina do środka.

W pozbawionej okien sieni płonęły na ścianach lampy gazowe, które odbijały się od wypolerowanych marmurów. Luterin natychmiast spostrzegł zniknięcie wielkiego pustego fotela.

— Czy moja matka jest we dworze? — spytał niewolnika, który popatrzył nań w tępy milczeniu i poprowadził go schodami na górę. Luterin bez emocji rzekł sobie w duchu, że to on powinien być teraz Panem Kharnabharu i Dzierżycielem Koła.

Niewolnik zapukał do drzwi i rozległo się zaproszenie do wejścia. Luterin znalazł się w dawnym gabinecie ojca, gdzie poprzednio tak często nie miał prawa wstępu.

Koło kominka leżał stary siwy ogar, który warknął niemrawo na wchodzącego Luterina. Na kominku syczały i dymiły świeże zielone gałęzie. Komnata pachniała spalenizną, psią szczyną i czymś kojarzącym się z pudrem do twarzy. Za grubymi szybami okiennymi rozciągały się pola śniegu i nieskończony milczący wszechświat.

Do Luterina podszedł sekretarz, siwy jak gołąb i cierpiący na lumbago, które uczyniło go podobnym do zagiętej laski. Wymamrotał słowa powitania i bez zbędnych przejawów serdeczności wskazał Luterinowi krzesło.

Luterin usiadł. Obrzucił okiem pokój nadal wypełniony przedmiotami należącymi do ojca. Zauważył skałkówki i rusznice z dawnych lat, obrazy, zastawę stołową, kolumny w oknach, łukowate sklepienie, astrolabia i globusy. W komnacie krzątały się rybiki i korniki. Świeższej daty był tylko kawałek pokruszonego ciasta na biurku sekretarza.

Sekretarz usiadł, kładąc łokieć koło talerzyka.

— Pan Kharnabharu jest obecnie zajęty, gdyż zbliżają się obchody Myrkwyru — rzekł. — Powinien niebawem nadejść. — Po chwili milczenia dodał, patrząc podejrzliwie na Luterina: — Zdaje się, że panicz mnie nie poznaje?

— Trochę mnie razi światło.

— Jestem Evanporil, dawny sekretarz ojca waszej wielmożności. Służę teraz nowemu Panu Kharnabharu.

— Tęsknisz za ojcem?

— Trudno mi powiedzieć. Zarządzani tylko majątkiem. Zaczął przekładać papiery na biurku.

— Czy moja matka nadal tu mieszka? Sekretarz zerknął szybko na Luterina.

— Tak, jest we dworze.

— A Toress Lahl?

— Nie znam tego imienia, panie.

Ciszę panującą w pokoju zakłócał tylko suchy szelest papierów. Luterin zamknął się w sobie i ocknął dopiero, gdy otworzyły się drzwi. Do komnaty wszedł wysoki, chudy mężczyzna z wąską twarzą i krótkimi bokobrodami. Miał na sobie czarno-brązowy hedrant i dzwoneczek u pasa. Przystanął na progu, patrząc z góry na Luterina, który odwzajemnił spojrzenie, próbując odgadnąć, czy to wróg otwarty, czy skryty.

— No cóż, wróciłeś wreszcie do świata, gdzie spowodowałeś tyle zamętu. Witaj. Oligarcha mianował mnie Panem Kharnabharu, co stanowi uzupełnienie moich obowiązków duchownych. Reprezentuję tu państwo. W miarę jak pogoda się pogarsza, coraz trudniej porozumieć się z Askitosh. Dbamy o to, aby dostarczano nam żywność z Rivenjk, lecz inne związki stopniowo słabną...

Wyrzucił z siebie zdanie po zdaniu, lecz Luterin nie odpowiadał.

— Cóż, spróbujemy się tobą zaopiekować, choć nie wydaje mi się, byś mógł zamieszkać we dworze.

— To mój dom.

— Nie, nie masz domu. To od wiek wieków dwór Pana Kharnabharu.

— W takim razie mój czyn przysporzył ci wiele korzyści.

— Owszem, skorzystałem na nim. To prawda.

Zapadło milczenie. Nadszedł sekretarz z dwoma kieliszkami bełtelu. Luterin przyjął jeden z nich. oślepiiony przepięknym lśnieniem rubinowoczerwonego trunku, lecz nie był w stanie pić.

Pan Kharnabharu przełknął łyk bełtelu, stojąc sztywno wyprostowany i zdradzając pewne zdenerwowanie.

— Wiem, że długo żyłeś z dala od świata — rzekł. — Czyżbyś mnie nie poznawał?

Luterin nie odpowiedział.

— Pramatko, ależ jesteś milkliwy! — zawołał Pan Kharnabharu z irytacją. — Jestem arcykapłan wojny Asperamanka i byłem ongiś twoim dowódcą. Myślałem, że żołnierze nie zapominają dowódców, pod którymi służyli!

— Ach, Asperamanka... — odezwał się Luterin. — “Niechaj się trochę wykrwawią...” Tak. teraz sobie przypominam.

— Nie sposób zapomnieć, jak twój nikczemny ojciec. Oligarcha, rozkazał wymordować moją armię, by ocalić Sibornal przed morem. Ty i ja jesteśmy nielicznymi, którzy uniknęli śmierci.

Wypił w zadumie łyk bełtelu i jał krążyć po komnacie. Luterin poznał go teraz po groźnych zmarszczkach na czole.

Luterin wstał.

— Chciałbym zadać ci jedno pytanie. Czy państwo uważa mnie za świętego, czy za grzesznika?

Pan Kharnabharu zaczął bębnić paznokciem w szkło kieliszka.

— Kiedy umarł twój ojciec, wśród plemion Sibornalu wybuchły niepokoje. Dziś przyzwyczailiśmy się już do surowych praw, które pozwolą nam przetrwać zimę Weyra, lecz wówczas było inaczej. Szczerze mówiąc, Torkerkanzlag Drugi miał wielu wrogów. Jego dekrety nie cieszyły się popularnością...

Dlatego nowy Oligarcha rozpuścił pogłoskę (był to mój pomysł), że to członkowie Tajnej Rady namówili cię do zamordowania ojca, nad którym nie mogli już zapanować. Sugerowano, że przeżyłeś masakrę pod Korianturą tylko dlatego, że służyłeś Tajnej Radzie. Plotki te przysporzyły nam popularności i pozwoliły przetrwać trudny okres.

— Ja popełniłem zbrodnię, a wy upiększyliście ją kłamstwem.

— Wykorzystaliśmy po prostu twój bezużyteczny czyn. Doprowadziło to między innymi do tego, że państwo uznało cię oficjalnie za bohatera. (Dlaczego mówisz “świętego?” Skąd ci to przyszło do głowy?) Stałeś się postacią legendarną. Chociaż muszę powiedzieć, że osobiście uważam cię za grzesznika pierwszej wody. Nadal wyznaję w takich sprawach poglądy religijne.

— Czy to one kazały ci objąć urząd Pana Kharnabharu? Asperamanka uśmiechnął się i poglądził po brodzie.

— Bardzo tęsknię za Askitosh. Ale miałem możliwość zostać władcą tej prowincji, więc z niej skorzystałem... Jako żywa legenda, postać z kronik historycznych, musisz spędzić u mnie noc. W charakterze gościa, nie więźnia.

— A moja matka?

— Mieszka z nami. Jest chora. Pewnie cię nie pozna, tak jak ty mnie. Ponieważ uchodzisz w Kharnabharze za bohatera, chciałbym, abyś towarzyszył mi i Dzierżycielowi Koła w jutrzejszym święcie Myrkwyru. Ludzie powinni zobaczyć, że nie zrobiliśmy ci nic złego. Będzie to dzień twojej rehabilitacji. Odbędzie się uczta.

— Niechaj się trochę odżywią...

— Nie rozumiem. Po uroczystości załatwimy wszystko zgodnie z twoim życzeniem. Może zechcesz opuścić Kharnabhar i żyć bliżej stolicy?

— Dzierżyciel Koła też miał taką nadzieję.

Luterin poszedł spotkać się z matką. Lourną Shokerandit, krucha i nieruchoma, leżała w łożu. Jak przewidział Asperamanka, nie poznała Luterina. Owej nocy przyśniło mu się, że jest znowu w Wielkim Kole.

Nazajutrz zaczął się harmider. Biły dzwony. Do komnaty, gdzie spał Luterin, napływały dziwne zapachy. Poznał smakowite wonie potraw, o których ongiś marzył. Jednakże teraz tęsknił za prostą strawą zsuwającą się rynienkami w Kole, choć dawniej wydawała mu się ona obrzydliwa.

Przybyli niewolnicy, by umyć go i odziać. Poddał się biernie ich zabiegom.

W wielkiej sieni zebrał się tłum gości. Luterin patrzył na nich przez poręcz schodów, nie mogąc się zdecydować, by do nich dołączyć. Przytłaczała go atmosfera podniecenia. Po schodach wszedł Asperamanka, ujął go za ramię i powiedział:

— Masz nieszczęśliwą minę. Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić? Ważne, by widziano cię dziś zadowolonego w moim towarzystwie.

Dostojnicy wylewali się z sieni na dwór, gdzie brzęczały dzwonki sań. Luterin nie odezwał się. Słyszał wycie wichury podobne do świstu wiatru w Kole.

— Doskonale. Wobec tego przynajmniej pojedziemy razem, by lud myślał, że jesteśmy przyjaciółmi. Udamy się do klasztoru, gdzie spotkamy się z Dzierżycielem Koła, moją małżonką i wielu miejscowymi dygnitarzami.

Asperamanka mówił z ożywieniem, lecz Luterin nie słuchał, skupiwszy się na schodzeniu, co wymagało niezwykłej koncentracji. W końcu wyszli przed drzwi frontowe. Zajechały sanie i Asperamanka spytał ostro:

— Masz przy sobie broń?

Luterin potrząsnął przecząco głową. Weszli do sań, otulili się futrami podanymi przez niewolników i pojechali w zamec drogą między wałami śniegu.

Skręciwszy na północ ruszyli prosto pod wiatr. Zrobiło się jeszcze zimniej, choć temperatura wynosiła i tak minus dwadzieścia stopni.

Jednakże niebo było czyste. Kiedy jechali przez miasteczko i mijali domy z zamkniętymi okiennicami, z chmur wyłoniła się wielka nieforemna bryła wznosząca się nad górą Kharnabhar.

— Shivenink, trzeci co do wielkości szczyt globu — objaśnił Asperamanka, unosząc rękę. — Co za miejsce! — Cmoknął z niesmakiem.

Na moment ukazały się nagie żebrowane zbocza góry, po czym znowu zniknęły jak duch panujący nad Kharnabharem.

Sanie wspięły się krętą drogą do bramy klasztoru Bambekk. Po wjechaniu do środka pasażerowie wysiedli z sań. Niewolnicy zaprowadzili ich do sali o łukowatych sklepieniach, gdzie zebrało się już wielu dygnitarzy.

Na dany znak goście podążyli do góry długimi krętymi schodami. Luterin nie zwracał uwagi na otoczenie. Słuchał łoskotu dobiegającego z dołu i przenikającego cały klasztor. Obsesyjnie usiłował przypomnieć sobie każdy kąt swojej celi, każdy napis na otaczających go ścianach.

Goście dotarli wreszcie do wysokiej kolistej sali w głębi gmachu. Na podłodze leżały dwa kobierce — biały i czarny. Biegła pomiędzy nimi żelazna taśma dzieląca komnatę na pół. Płonęły ciemne lampy biogazowe. Jedyne okno, wychodzące na południe, zasłaniała gruba kotara.

Wyhaftowano na niej symboliczny wizerunek Wielkiego Koła płynącego po niebie. Każdy z wioślarzy, odziany w błękitne szaty, siedział w niewielkiej celi na obrzeżu, uśmiechając się błogo.

Nareszcie rozumiem te błogie uśmiechy, pomyślał Luterin.

Na krańcu sali znajdowali się muzykanci, którzy grali uroczyste i harmonijne melodie. Lokaje roznosili napoje na tacach.

Pojawił się otyły Dzierżyciel Koła Esikananzi i uniósł łaskawie dłoń na powitanie. Uśmiechając się i kłaniając lekko obecnym, podążył ku miejscu, gdzie stali Pan Kharnabharu i Luterin.

Kiedy się przywitali. Esikananzi spytał Asperamankę:

— Czy nasz przyjaciel jest dziś usposobiony bardziej towarzysko? Usłyszawszy odpowiedź przeczącą, zwrócił się do Luterina. — siląc się na dobroduszość:

— Cóż. może rozwiąże ci język to, co dziś ujrzysz.

Mężczyzn otoczyła grupka gości, a Luterin przepchnął się stopniowo na bok. Jego rękawa dotknęła czyjaś dłoń. Odwrócił się i napotkał spojrzenie pary wielkich oczu. Z prawdziwym lub udanym zdumieniem przyglądała mu się szczupła kobieta o wyniosłej postawie. Miała na sobie rdzawą krynolinę z wielką koronkową krezą. Była w średnim wieku i twarz miała szczuplejszą niż kiedyś, ale Luterin poznał ją natychmiast.

Wypowiedział jej imię. Insił skinęła głową, jakby jej podejrzenia się sprawdziły.

— Mówią, że trudno nawiązać z tobą kontakt i że nie poznajesz ludzi. Jak oni uwielbiają kłamstwa! Przykro mi, Luterinie, że zostałeś wyrwany spomiędzy umarłych, by znaleźć się w tym tłumie kłamców. Są starsi, zachłanniej i bardziej przerażeni. A jaka ja jestem, Luterinie?

Prawdę rzekłszy, jej głos wydał mu się ochryply, a usta ponure. Zdumiewała go ilość biżuterii w jej uszach, na szyi i na palcach.

Największe wrażenie zrobiły na nim jej oczy. Zmieniły się. Tęczówki wydawały się olbrzymie, może wskutek wytężonej uwagi. Nie potrafił dostrzec białek oczu i pomyślał z podziwem: Te źrenice wyrażają głębię duszy Insil.

— Dwa profile poszukujące twarzy? — spytał tkliwie.

— Już o tym zapomniałam. Życie w Kharnabharze stało się przez te lata nędzniejsze: sprośne, ponure i sztuczne. Można się było tego spodziewać. Wszystko staje się nędzne. Nie wyłączając duszy. Zatarła dłonie gestem, którego nie pamiętał.

— Nadal żyjesz. Insil. Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek.

Zmusił się do tego kłamstwa, świadom wymogów konwenansu. Chociaż rozmowa przychodziła mu z trudem, odżywały w nim dawne nawyki, w tym obowiązek grzeczności wobec kobiet.

— Nie oszukuj mnie. Luterinie. Podobno mężczyźni zmieniają się w Kole w świętych, prawda? Zważ, że nie pytam cię o dawne czasy.

— Nie wyszłaś za męż. Sil? Wpatrzyła się weń jeszcze przenikliwiej.

— Oczywiście, że wyszłam, głupcze! — rzekła jadownicę, znizywszy głos. —

Ród Esikananzich traktuje stare panny gorzej od niewolników. Jakaż kobieta zdołałaby przeżyć w tym bagnie nie sprzedając się temu, kto da najwięcej? — Tupnęła nogą. — Dyskutowaliśmy na ten wspaiały temat, gdy byłeś jednym z konkurentów.

Rozmowa przebiegała za szybko dla Luterina.

— Sprzedałaś się, Sil? Co masz na myśli?

— Wypadłeś z przedbiegów, kiedy wbiłeś nóż w swojego uwielbianego papę... Nie winie cię zresztą zważywszy, że zabiłeś mordercę twego brata Favina, który pozbawił mnie mojego cennego dziewictwa.

Słowa Insil, wypowiedziane z fałszywym uśmiechem, którym obdarzyła otaczających gości, przypomniały Luterinowi dawne czasy. W Kole myślał często o wodospadzie i śmierci brata. Dręczyło go pytanie, dlaczego Favin, obiecujący młody oficer, rzucił się w przepaść: wyjaśnienie mamika ojca nie zadowoliło Luterina. Zawsze uciekał przed możliwą odpowiedzią.

Chwycił Insil za ramię, nie troszcząc się o to, czy obserwuje go ktoś z bladolicego tłumu.

- Co mówisz?! Przecież wiadomo, że Favin popełnił samobójstwo!

Odsunęła się gniewnie.

— Nie dotykaj mnie, na miłość boską! — syknęła. — Patrzy na nas mój mąż. Nic już teraz nie może być między nami. Odejdź, Luterinie! Boli mnie patrzenie na ciebie.

Rozejrzał się, omiatając spojrzeniem tłum. Z drugiego krańca sali spoglądały nań z otwartą wrogością oczy osadzone w pociągłej twarzy.

Wypuścił z ręki kieliszek.

— O Pramatko, tylko nie Asperamanka, ten oportunist!... Czerwony płyn wsiąkał w biały dywan. Insil pomachała ręką do arcykapłana wojny.

— Ja i Pan Kharnabharu tworzymy dobraną parę — rzekła. — Chciał się wżenić w arystokrację. Ja chciałam przeżyć. Jesteśmy jednakowo szczęśliwi. — Kiedy Asperamanka skinął ręką i odwrócił się do swoich przyjaciół, dodała jadowitym tonem: — Ci wszyscy mężczyźni w skórzanych kubrakach, jeżdżący po lasach... Dlaczego tak się dobrze czują w swoim smrodzie? Spiskują pod drzewami, zawierają krwawe przymierza... Twój ojciec, mój ojciec, Asperamanka... Favin był inny.

— Rad jestem, że go kochałaś. Czy nie moglibyśmy wyjść i porozmawiać?

Odrzuciła propozycję pocieszenia.

— Po krótkim szczęściu nastąpiła rozpacz... Favin nie jeździł po borach kaspiarnowych z tłustymi dojeżdżaczami. Jeździł tam ze mną.

— Mówisz, że zabił go ojciec. Jesteś pijana?

W zachowaniu Insil było coś szalonego. Rozmowa z nią okazała się udręką jak za dawnych czasów. Luterin miał wrażenie, że otwarto starą zatechłą szufladę: jej banalna zawartość wydawała się uświęcona przez tajemnicę. Insil lekko potrząsnęła głową.

— Favin miał dla kogo żyć... Na przykład dla mnie.

— Nie tak głośno!

— Favin! — zawołała, aż w ich stronę zwróciły się głowy gości. Ruszyła przez tłum, a Luterin podążył za nią. — Favin odkrył, że wasz ojciec nie jeździ na łowy, lecz do Askitosh i że jest Oligarchą. Favin był wcieleniem uczciwości. Zaczął robić ojcu wyrzuty, a ten zastrzelił go i strącił w przepaść koło wodospadu.

Rozdzieliła ich natrętna kobieta pełniąca rolę mistrzyni ceremonii. Luterin przyjął nowy kieliszek bełteli, lecz musiał go odstawić, gdyż drżały mu ręce. Po chwili znów zdołał przemówić do Insil, przerywając duchownemu, który prowadził z nią konwersację.

— Co za straszliwe odkrycie, Insil! Jak się dowiedziałas, że to ojciec zabił Favina? Czy byłaś przy tym? A może kłamiesz?

— Oczywiście, że nie. Później, gdy byłeś sparaliżowany, dowiedziałam się o tym swoją zwykłą metodą: podsłuchując. Mój ojciec wiedział o wszystkim. Był rad, bo śmierć Favina przysporzyła mi cierpień... Nie wierzyłam własnym uszom. Kiedy powiedział o tym mojej matce, wybuchnęła śmiechem. Wątpiłam we własny rozum. Jednakże w przeciwieństwie do ciebie nie straciłam przytomności na cały rok.

— Niczego nie podejrzewałam!..1 Byłem śmiertelnie naiwny... Insil spojrzała podejrzliwie na Luterina. Jej tęczyki wydawały się większe niż kiedykolwiek.

— Ciągłe jesteś śmiertelnie naiwny. O, mogę ci powiedzieć...

— Broń się przed pokusą nienawiści do całego świata, Insil! Spojrzała na niego nienawistnie.

— Nigdy mi nie pomogłeś! — wybuchnęła. — Wierzę, że dzieci znają intuicyjnie naturę swoich rodziców, różną od masek, jakie noszą oni na co dzień. Znałeś prawdę o swoim ojcu i udawałeś umarłego, żeby uniknąć jego zemsty. Ale tak naprawdę to ja jestem martwa.

— Zbliżał się Asperamanka.

— Spotkajmy się za pięć minut na korytarzu — rzekła pośpiesznie, odwracając się i unosząc radośnie dłonie.

Luterin odsunął się. Oparł się o ścianę, miotany sprzecznymi uczuciami.

— O Pramatko... — jęknął.

— Zapewne tłum wydaje ci się przytłaczający po długich latach samotności — rzekł uprzejmie jeden z przechodzących dygnitarzy.

Luterinowi ziemia usuwała się spod nóg. Wszystko było inne, niż sobie wyobrażał. Nawet męstwo na polu bitwy wydawało się skutkiem uwolnionej agresji, a nie odwagi. Czyżby wojna nie była aktem celowej przemocy, tylko ucieczką przed lękiem? Zrozumiał, że niczego nie wie. Niczego. Uporczywie czepiał się nieświadomości w obawie przed zrozumieniem.

Przypomniał sobie, że odczuł autentyczny moment śmierci brata. Byli sobie bardzo bliscy. Pewnego wieczoru odczuł jego śmierć jako wstrząs psychiczny — a przecież ojciec oznajmił, że syn popełnił samobójstwo dopiero naajutrz. Owa drobna sprzeczność zatruwała świadomość młodego Luterina. Przewidywał, że nadejdzie kiedyś radosny dzień, gdy uwolni się spod wpływu trucizny. Jednakże chwila ta była jeszcze daleko.

Zadrżał.

Miał mętlik w głowie i prawie zapomniał o Insil. Lękał się o nią z powodu jej dziwnego nastroju. Pośpieszył do korytarza, o którym wspomniała, choć nie miał bynajmniej ochoty na dalsze rewelacje.

Zatarasowali mu drogę wystrojeni dostojnicy, którzy wygłaszali frazesy o uroczystym charakterze święta i z góry uskarżali się na straszliwe warunki, jakie zapanują w przyszłości. Rozmawiając pożerali niewielkie paszteciki mięsne w kształcie ptaków. Luterin miał wrażenie, że zupełnie nie interesują się ceremonią, w której uczestniczą.

Rozmowy ucichły, a wszystkie oczy zwróciły się ku końcowi sali.

Ebstok Esikananzi i Asperamanka wspinali się krętymi schodami na galeryjkę.

Luterin skorzystał ze sposobności i wymknął się na korytarz. Po chwili dołączyła doń Insil, która kroczyła spiesznie, smukłym ciałem pochylona do przodu. Białą dłonią podtrzymywała rąbek spódnicy, a jej biżuteria błyszczała jak sople lodu.

— Muszę się streszczać — rzekła bez wstępów. — Nieustannie mnie śledzą, chyba że piją lub odprawiają swoje śmiechu warte ceremonie, tak jak teraz. Co za różnica, czy świat pograży się w mroku? Posłuchaj: kiedy goście zaczną się rozchodzić, idź do handlarza ryb w miasteczku. Ma kram na końcu Ulicy Świętości, rozumiesz? Nikomu o tym nie wspominaj. „Cnota to sprawa kobiet, tajemnica to sprawa mężczyzn”, jak mówią. Zachowaj wszystko w sekrecie.

— Co dalej, Insil? — Znów zadawał jej pytania.

— Mój drogi tatuś i mężulek chcą się ciebie pozbyć. Nie zabiją cię, jak się domyślasz, bo mogłoby to zrobić złe wrażenie, a ponadto zawdzięczają ci pozbycie się Oligarchy w stosownym momencie. Wymknij im się po ceremonii i idź na Ulicę Świętości.

Spojrzał niecierpliwie w jej hipnotyczne oczy.

— Co to za sekretne spotkanie?

— Pełnię role posłańca, Luterinie. Czy pamiętasz jeszcze Toress Lahl?

XVII. ZMIERZCH

Trockern i Ermine spali. Shoyszał gdzieś wyszła. Geonauta sunący za pojazdem zatrzymał się, łagodnie wydmuchując strumienie swoich białych sześciobocznych potomków.

Sartorilrwrasz zbudził się, przeciągnął i ziewnął. Usiadł na pryczy i podrapał się po siwej głowie. Zwykle drzemał po południu i wstawał po północy, by medytować w mroku, jednocząc się duchowo z pędzącą Ziemią. O świecie zaczynał nauczać. Był mistrzem Trockerna. Przyjął imię groźnego starożytnego mędrca żyjącego ongiś na Helikonii, z którego mamikiem nawiązał kontakt telepatyczny. Po chwili wstał i wyszedł na dwór. Patrzył długo w gwiazdy, rozkoszując się nocnym chłodem. Wreszcie podreptał z powrotem do pojazdu i zbudził Trockerna.

— Śpię — powiedział Trockern.

— Gdybyś nie spał, nie mógłbym cię obudzić.

— Tsss...

— Coś mi ukradłeś, Trockern. Żeby zaimponować dziewczętom, ukradłeś moją teorię przyczyn zagłady cywilizacji na Ziemi.

— Jak widzisz, zaimponowałem tylko połowie dziewcząt. Trockern wskazał śpiącą spokojnie Ermine, która wydeła wargi, jakby czekała na okazję pocałowania kogoś w letnim śnie.

— Niestety, źle zrozumiałeś moje argumenty. Żądza posiadania, stanowiąca ongiś szczególną cechą ludzkości, nie wzięła się z lęku, który nazwałeś „wieczny m niepokojem”. To skutek wrodzonej agresji. Starożytni lękali się zbyt mało, w przeciwnym razie nie stworzyliby nigdy bronii, o której wiedzieli, że ich zniszczy. Wszystkiemu winna agresja.

— Czyż agresja nie bierze się z lęku?

— Chcesz być jajkiem mądrzejszym od kury? Na Helikonii każda generacja zmienia agresję i zbrodnię w rytuał. Starożytni Ziemianie, o których mówiłeś, chcieli posiadać coś więcej niż nowe terytoria i siebie nawzajem.

— Chyba nie spałeś smacznie po południu, Sartorilrwrasz.

— Naprawdę spaleni, tak jak naprawdę się obudziłem. — Starzec objął młodszego mężczyznę za szyję. — Naszą dyskusję można przenieść na wyższy poziom abstrakcji. Starożytni chcieli osiąść Ziemię, pokryć ją warstwami betonu i przemienić w niewolnicę. Ich ambicja sięgała jeszcze dalej. Politycy usiłowali zawładnąć kosmosem, gdy tymczasem zwykli ludzie tworzyli fantazje, w których podbijali galaktykę i panowali nad wszechświatem. Wyrażała się w tym agresja, nie lęk.

— Może masz rację.

— Nie wyrzekaj się tak łatwo swojego punktu widzenia. Skoro mogę mieć rację, mogę też się mylić. Powinniśmy poznać prawdę o swoich przodkach, którzy mimo swej nikczemności pozwolili nam wkroczyć na scenę.

Trockern zszedł z pryczy. Śpiąca Ermine westchnęła i przewróciła się na drugi bok.

— Jest ciepło — rzekł Sartorilrwasz. — Przejdźmy się trochę. Wyszli z pojazdu. Nad ich głowami lśniło wygwieżdzone niebo.

— Czy myślisz, że medytacja nas ulepsza, mistrzu? — spytał Trockern.

— Zawsze pozostaniemy tacy sami w sensie biologicznym, lecz możemy ulepszać swoje infrastruktury społeczne. Mam na myśli pracę, jaką zajmują się obecnie nasi specjaliści: rewolucyjną integrację podstawowych praw fizyki, antropologii, socjologii i filozofii. Oczywiście jako istoty biologiczne jesteśmy przede wszystkim częścią biosfery. Będziemy w tej roli niezmiernie użyteczni, o ile się nie zmienimy, co może się stać jedynie wtedy, gdy zmieni się sama biosfera.

— Ależ zmienia się ona nieustannie. Lato różni się od zimy nawet tutaj, tak blisko tropików.

Sartorilrwasz spoglądał w stronę widnokręgu.

— Lato i zima to oznaki zdrowia biosfery, wdychy i wydechy maszerującej Gai — powiedział z roztargnieniem. — Ludzkość musi funkcjonować w wyznaczonych granicach. Osobniki skłonne do agresji uważały to zawsze za pesymistyczny punkt widzenia, choć nie jest on nawet wizjonerski, tylko po prostu zgodny ze zdrowym rozsądkiem. Przeczą temu tylko ci, którym przez całe życie wbijano do głowy, że, po pierwsze, człowiek to pan stworzenia, a po drugie, że możemy polepszyć swój los cudzym kosztem. Jak widzimy na przykładzie naszej biednej siostrzanej planety, takie poglądy prowadzą do oplakanych rezultatów. Jeżeli wyzbędziemy się aroganckiego przekonania, że świat i przyszłość należą do nas, nasze życie natychmiast się zmieni.

— Myślę, że każdy musi do tego dojść na własną rękę — rzekł Trockern. Po zmroku stawał się pokorny, znajdując w tym ogromną przyjemność.

— To niestety prawda — powiedział Sartorilrwasz z nagłą rozpaczą. — Musimy się uczyć na gorzkich doświadczeniach, a nie miłych przykładach. To śmiechu warte. Nie wyobrażaj sobie, że uważam tę sytuację za ideał. Przede wszystkim Goja postąpiła jak fujara, pozostawiając nas sobie samym. Na Helikonii istnieją przynajmniej fagory, stworzone przez Pramatkę, by utrzymać ludzi w ryzach! Roześmiał się. Trockern mu zawtórował.

— Wiem, że uważasz mnie za lekkomyślnego — rzeki miody człowiek — ale czy sama Gaja nie postępuje lekkomyślnie pniąc się bujnie na wszystkie strony? Starszy mężczyzna zerknął nań z ukosa.

— Natura musi się pnieć, żeby nie zabrakło pożywienia. Nie jest to może najlepsze rozwiązanie: powstało spontanicznie w gęstej zupie chemicznej. Nie znaczy to, że nie powinniśmy naśladować Gai i tworzyć własnej homeostazy.

Na niebie świecił księżyc w ostatniej kwadrze. Sartorilrwasz wskazał czerwoną gwiazdę tuż nad horyzontem.

— Widzisz Antaresa? Tuż na północ leży gwiazdozbiór Wężownika. Znajduje się w nim wielka ciemna mgławica odległa o mniej więcej siedemset lat świetlnych, która zasiana skupisko młodych gwiazd. Jest wśród nich Freyr. Gdyby nie mgławica, byłby jedną z dwunastu najjaśniejszych gwiazd nieba. To tam żyją fagory.

Dwaj mężczyźni spoglądali milcząc w dal.

— Czy nie sądzisz, mistrzu, że fagory przypominają nieco demony i diabły, które nawiedzały wyobraźnię starożytnych chrześcijan? — spytał wreszcie Trockern,

— Nie przyszło mi to do głowy. Zawsze myślałem o jeszcze starszym pierwowzorze. Minotaurze z mitu greckiego, połączeniu człowieka i byka zagubionym w labiryncie własnych żądz.

— Pewnie uważasz, że Helikończycy powinni tolerować fagory, by utrzymać równowagę biosfery?

— „Pewnie...” Stawiamy zbyt wiele hipotez.

Zapadła długa cisza. W końcu Sartorilrwrasz rzeki z ociąganiem:

— Przy najgłębszym szacunku dla Gai i jej siostry z gwiazdozbioru Wężownika, są one czasem starymi fujarami. Ludzie wysysają agresję z mlekiem matki. Aby posłużyć się inną starożytną analogią, ludzie i fagory przypominają Kaina i Abła, prawda? Ktoś musi przegrać: nie ma innego wyjścia...

Nad głowami zgromadzonych rozległy się trąby. Ich głosy, przytłumione i słodkie, nie kojarzyły się nikomu z podziemnymi trębami zagrzewającymi do pracy, z wyjątkiem Luterina Shokerandita.

Dostojnicy w wielkiej sali przełknęli ostatnie pierożki w kształcie ptaków i przybrali uroczyste miny. Luterin czuł się jak niedźwiedź między tyłoma chudzielcami. Stracił z oczu Insil.

Dzierżyciel Koła i Pan Kharnabharu, ojciec i mąż Insil, wracali na dół krętymi schodami. Założyli na zwykłe ubrania karminowo-błękitne szaty z jedwabiu i przywdziali kapelusze o dziwnym kształcie. Ich twarze wydawały się odlane z ołowiu.

Podeszli razem do zasłoniętych okien. Później odwrócili się i skłonili zgromadzonym. Goście zamilkli, a muzycy oddalili się chyłkiem po skrzypiącym parkiecie.

Najpierw przemówił Ebstok Esikananzi, Dzierżyciel Koła.

— Znacie powody wzniesienia klasztoru Bambekk wiele wieków temu. Stanowi on zaplecze Koła, stworzonego przez Budowniczych Kharnabharu z powszechnie znanych przyczyn. Powołali oni do życia największy cud Kharnabharu. Ale pozwólcie mi sobie przypomnieć, dlaczego nasi czcigodni przodkowie wybrali miejsce uważane niekiedy za odległą część Sibornalu.

Zwróćcie uwagę na żelazną taśmę biegnącą pod waszymi stopami i dzielącą salę na pół. Pokrywa się ona z równoleżnikiem, na którym wzniesiono klasztor. Znajdujemy się dokładnie pięćdziesiąt pięć stopni na północ od Równika. Jak wiadomo, na pięćdziesiątym piątym stopniu szerokości geograficznej zaczyna się Koło Podbiegunowe.

Skinął na sługę, który rozsunął zasłony.

Okna wychodziły na południową część miasteczka Kharnabhar. Widoczność była na tyle dobra, że w dali ukazał się odległy horyzont, nagi, z cienką linią drzew dennissowych.

— Mamy szczęście. Rozpogodziło się. Będziemy świadkami uroczystego zdarzenia, które święcić będzie także reszta Sibornalu.

W tej chwili wystąpił Pan Kharnabharu Asperamanka i przemówił archaicznym dialektem:

— Niechaj mi będzie wolno powtórzyć słowo „szczęście”, użyte przez mego druha i towarzysza. Zaiste, mamy szczęście. Kościół i państwo utrzymały jedność ludów Sibornalu. Prawie wykorzeniono zarazę i zabito większość fagorów na naszym kontynencie.

Jak wiadomo, nasza flota panuje nad morzami. Ponadto wnosimy obecnie Wielki Mur porównywalny ze straszliwym Wielkim Kołem.

Zbliża się początek nowej wspaniałej epoki. Wielki Mur przetnie północną część przesmyku Chalce. Mieć on będzie wysokość siedmiu metrów, z wieżami strażniczymi co dwa kilometry. Mur oraz flota nie dopuszczą wrogów na nasze terytorium. Myrkwyr to zwiastun zimy Weyra, lecz zdołamy ją przetrwać, podobnie jak nasze wnuki i wnuki naszych wnuków. Kiedy nadejdzie następna Wielka Wiosna, staniemy się mocarstwem i podbijemy Helikonię.

Mowę przerywały oklaski i okrzyki. Teraz aplauz stał się powszechny. Asperamanka spuścił oczy, by ukryć zadowolenie malujące się na jego twarzy.

Ebstok Esikananzi unióś rękę.

— Przyjaciele, jest za pięć dwunasta. Nadszedł uroczysty dzień. Obserwujcie widnokrąg. Ponieważ mamy małą zimę, Bataliksa kryje się pod horyzontem. Za cztery kwadry znów wszędzie, jednakże...

Jego słowa utonęły w zgiełku, gdyż wszyscy cisnęli się do okien.

Na placu na dole rozpalono ognisko. Wieśniacy, okutani w wełniane płaszcze lub futra, biegali wokół niego z uniesionymi ramionami.

Gościom zebranych w kopule podano nową kolejkę trunków. Większość natychmiast je wypila i wyciągnęła puste kieliszki po dolewkę. W tłumie dygnitarzy zapanowała nerwowość, a ich ponure oblicza kontrastowały z wesołością ludzików w dole.

Rozległy się mosiężne tony dzwonu obwieszczającego południe. Jakby w odpowiedzi na południowym horyzoncie zaszła pewna zmiana.

W dali widać było drogę wijącą się przez miasteczko. Wokół rozciągały się pola nieskalanej bieli z sylwetkami oszronionych drzew i budynków. Śnieg, zwiewany nieustannie z dachów, przypominał snujący się dym zgaszonych świec. Sam widnokrąg był czysty i rozświetlony wschodzącym słońcem. Nad jego nierówną linią lśnił czerwony łuk, górna część tarczy Freyra o barwie zakrzepłej krwi.

— Freyr! — wykrzyknęli uczestnicy ceremonii, jakby mogli zapanować nad gwiazdą wypowiadając jej imię.

Nad widnokregiem rozblysło światło, zalewając różową luną pasmo odległych wzgórz, aż zalśniły na tle szarego nieba. Twarze gości w kopule pokryły się czerwienią. W cieniu pozostało jedynie miasteczko w dole, gdzie krążyły mrówki.

Dostojnicy wpatrywali się w lśniący skrawek tarczy, który się nie poruszał. Najbystrzejsze oko nie zdołałoby odróżnić momentu, gdy zaczął się kurczyć miast powiększać. Wschód słońca przeszedł w swoje przeciwieństwo i stał się zachodem.

Światło zniknęło. Dalekie pasmo wzgórz przybladło, pochłonięte przez gęstniejący mrok.

Freyr kurczył się coraz bardziej. Słońce w istocie już zaszło, lecz nad widnokregiem pozostała jego luna, odległe odbicie niewidocznej gwiazdy. Nikt nie potrafił odróżnić obrazu od rzeczywistości. Zaczął się Myrkwyr, choć patrzący jeszcze o tym nie wiedzieli.

Czerwona poświata przybladła.

Podzieliła się na snopy światła. Pękła.

Wreszcie zniknęła.

W ciągu kilku następnych stuleci Freyr miał pozostać niewidoczny, skryty pod horyzontem niczym kret w podziemnym tunelu. Podczas małego lata Bataliksa będzie świecić jak dotychczas, a w okresie małej zimy zapanuje mrok, cień Wielkiej Zimy. Na niebie nad górami pojawią się tajemnicze smugi zorzy polarnej. Na moment zabłyśnie meteoryt. Niekiedy ukaże się kometa. Gwiazdy będą świecić nadal. Jednakże najjaśniejsze ciało niebieskie, ogromne palenisko, które dało życie Synom Freyra, przejdzie do legendy na następnych dziewięćdziesiąt obrotów Wielkiego Koła.

Myrkwyr stanowił straszliwe przeżycie dla wszystkich swoich świadków. Anonimowy duch opiekuńczy biosfery był bezsilny i nie mógł interweniować, licząc może na to, że krótkowzroczność ludzi oraz ich zaabsorbowanie własnymi sprawami osłabią wstrząs psychiczny. Pramatka uległa swojemu światu. Oczywiście Freyr nadal płonął gdzieś w przestrzeni kosmicznej, tak jak zawsze, póki nie upłynie względnie niedługi okres jego życia: mrok był zaledwie krótkotrwałym zjawiskiem lokalnym.

Większość natury musiała pogodzić się z losem. Sadzonki i nasiona przetrwają zimę, zagrzebane w ziemi. W oceanie trwać będą nadal złożone procesy pokarmowe. Tylko ludzkość zdoła się wznieść ponad bezpośrednią konieczność, ponieważ posiada nie uświadomiony zapas sił, z którego może czerpać w sytuacjach krytycznych.

Dostojnicy, którzy obserwowali zachód Freyra, byli dalecy od takich myśli. Ogarnął ich lęk. Zastanawiali się, czy przeżyją i czy przeżyją ich rody. Stanęli wobec najbardziej podstawowego pytania egzystencji: Jak zapewnić sobie strawę i ciepło?

Lęk to potężne uczucie. Jednakże łatwo ustępuje miejsca gniewowi, nadziei, rozpacz czy buntowi. Strach nie trwa długo. Wielki Rok Helikonii zmierzał powoli ku apastronowi i przesileniu zimowemu. Punkt zwrotny miał nadejść dopiero za wiele pokoleń. Przez ten czas w północnych rejonach Sibornalu panować będzie wieczysty mrok zimy Weyra. Majestatyczny wschód słońca na początku Wielkiej Wiosny wywoła taki sam lęk jak zachód. Jednakże nadzieja przetrwa dłużej niż strach.

Losy ludzkości w stuleciach zimy Weyra zależą od jej sił umysłowych i psychicznych. Dzieje mają charakter cykliczny, lecz nie są niezmiennie. Determinacja pozwala ulepszać świat i wiosłować w stronę światłości po wzburzonych wodach Myrkwyru.

— Ci, co pokładają ufność w Bogu Azoiaxicu, który istniał przed życiem i wokół którego obraca się wszelkie życie, nie obawiają się długiej nocy — rzekł uroczyście Dzierżyciel Koła Esikananzi. — Pomoże on nam przeprowadzić nasz wspaniały glob przez mrok, aż wypłyniemy na ocean jasności.

— Niech żyje Sibornal, zjednoczony w nadchodzącej zimie Weyra! — zawołał z uniesieniem Pan Kharnabharu Asperamanka.

Zebrani powtórzyli gromko jego okrzyk. Jednakże w głębi serca wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie zobaczą nigdy Freyra, podobnie jak ich dzieci oraz dzieci ich dzieci. Na równoleżniku przecinającym Kharnabhar jaśniejsze słońce wszędzie dopiero po upływie czterdziestu dwu pokoleń. Żaden z obecnych nie mógł mieć nadziei ujrzenia go ponownie.

Rozległy się głosy dalekiego chóru śpiewającego hymn: „Obyśmy wreszcie odnaleźli światło”. Zebranych ogarnął ponury nastrój. Wszyscy czuli piekący żal jak po stracie dziecka.

Służący zaciągnął z namaszczeniem zasłony, zakrywając pejzaż za oknami.

Część gości została, by napić się jeszcze bełteli. Mieli sobie niewiele do powiedzenia. Grający muzykanci nie byli w stanie rozproszyć atmosfery posępnej rezygnacji. Dostojnicy wychodzili pojedynczo lub grupkami, unikając swojego wzroku.

Przez klasztor wiły się w dół do wyjścia kamienne schody. Z okazji uroczystości wyłożono je dywanem. Zimny przeciąg wiejący do góry unosił jego brzegi. Kiedy Luterin schodził po schodach, z lukrowanych drzwi na podeście wypadło dwóch mężczyzn i pochwyciło go.

Walczył i krzyczał, lecz wykręcili mu ręce i zaciągnęli do kamiennej umywalni. Czekał tam Asperamanka. Zdjął szaty liturgiczne i założył płaszcz i skórzane rękawice. Jego ludzie, ubrani w skórzane kubraki, mieli pistolety za pasem. Luterinowi przypomniały się słowa Insil: „Ci wszyscy mężczyźni odziani w skórę i zajmujący się sekretnymi sprawami...”

Asperamanka mówił jowialnym tonem.

— Wszystko skończone, prawda, Luterinie? Nie możemy pozwolić, żebyś chodził wolno po takim uporządkowanym kraju jak Kharnabhar. Będziesz wywierał na ludzi zbyt destruktywny wpływ.

— Czy bronisz czegoś oprócz samego siebie?

— Na przykład honoru żony. Uważasz to najwyraźniej za coś złego. Rzecz w tym, że musimy walczyć o życie. Oczywiście przetrwa w nas i dobro, i zło. Większość ludzi to rozumie. Ty nie.

Lubisz odgrywać rolę świątobliwego niewiniątka, a tacy zawsze przysparzają kłopotów. Dlatego damy ci szansę poświęcenia się dla społeczeństwa. Helikonię należy dociągnąć do światła. Spędzisz w Kole następne dziesięć lat.

Luterin wyrwał się i rzucił ku drzwiom. Jeden z mężczyzn dobiegł do nich pierwszy i zatrzasnął mu je przed nosem. Luterin uderzył go w szczękę, lecz znów go obezwładniono.

— Zwiążcie go — rzekł Asperamanka. — Nie pozwólcie mu się wyrwać.

Mężczyźni nie mieli sznura. Jeden z nich zdjął z ociąganiem szeroki pas od kubraka i związał Luterinowi ręce na plecach.

Asperamanka otworzył drzwi, a mężczyźni zeszli z Luterinem na dół, prowadząc go między sobą. Pan Kharnabharu wydawał się wielce zadowolony z siebie.

— Pożegnaliśmy Freyra godnie i uroczyście. Podziwiam władzę, Luterinie. Podziwiałem twego ojca za jego bezwzględność w roli Oligarchy. Naszemu pokoleniu przypadł w udziale niezwykle los. Albo zginiemy, albo zmienimy bieg dziejów.

— Albo zadławisz się ością — dodał Luterin.

Zeszli do sieni. Przez szeroką lukrowaną bramę widać było rynek. Do gmachu wpadło zimno i gwar tłumu wieśniaków. Prości ludzie tańczyli dokoła rozpalonych ognisk z twarzami lśnącymi w świetle płomieni. Wokół kręcili się handlarze opłatków i ryb z różna.

— Chociaż wierzą w Azoiaxica, wydaje im się, że pałac ogniska sprowadzą Freyra z powrotem — rzekł Asperamanka. Przystanął koło bramy. — W istocie rzeczy zużywają przed czasem cenne drewno...

Cóż, mech tańczą. Niech uprawiają pauk i robią, co chcą. Dzięki ich harówce elita przetrwa następne kilka stuleci...

Z tyłu powstało zamieszanie. Rozległy się krzyki i tłum rozstąpił się przed grupą żołnierzy. Prowadzili wyrywającą się istotę.

— O, złapali kolejnego fagora. Dobrze. Popatrzmy na to — rzekł Asperamanka, zmarszczywszy gniewnie brwi.

Dwurożca przywiązano do pala do góry nogami. Szamotał się gwałtownie, gdy niesiono go do jednego z ognisk.

Z tyłu pojawił się mężczyzna, który unosił ręce i krzyczał. Luterin nie słyszał w zgiełku jego słów, lecz poznał go po długiej brodzie. Był to preceptor, który uczył go przed laty, gdy leżał sparaliżowany w łożu. Miał wrażenie, że działo się to w innym życiu. Starzec trzymał niewolnika fagora, gdyż nie stać go było na człowieka. Zwierzę wpadło teraz w ręce żołnierzy.

Dwurożca ciągnięto w stronę ognia. Tłum przestał tańczyć i zaczął krzyczeć z podniecenia. Kobiety podjudzały żołdaków wraz z mężczyznami.

— Spalcie go! — zawołał Asperamanka, powtarzając jak echo okrzyk gawiedzi.

— To tylko fagor domowy — rzekł Luterin. — Nieszkodliwy jak pies.

— Mimo to roznosi tłustą śmierć.

Chociaż dwurożec próbował stawiać opór, dowleczono go w końcu do największego z ognisk. Jego sierść zajęła się ogniem. Kolejny cał, ryk tłumu, szarpnięcie, gdy wtem po drugiej stronie placu zabrzmiały żałobne dźwięki rogów. W dali rozległy się krzyki. Na rynek wtargnął oddział ancipitów na kaidawach.

Fagory, odziane w prymitywne skórzane zbroje i kołpaki, jechały na rudych kaidawach, skulone za garbem, skąd mogły kłuć w biegu włóczniami.

— Freyr umrzeć! Syny Freyr umrzeć! — krzyczały chrapliwie.

Tłum zafalował i rzucił się do ucieczki. Na placu boju pozostali tylko żołnierze. Schwytyany fagor leżał koło ogniska z bladymi szlejami gotującymi się z bólu w czaszce, lecz zdołał wstać i odejść. Jego futro nadal się tliło.

Asperamanka popędził naprzód, krzyząc do żołnierzy, by strzelali. Luterin, obserwujący całą scenę, spostrzegł, że napastników jest tylko ośmiu. Niektórych porastała czarna sierść, oznaka starości ancipitów. Wszystkie oprócz jednego miały spiłowane rogi, pewny znak, iż nie jest to atak z gór, przyprowadzający o palpitacje serca lękliwych mieszkańców Kharnabharu, lecz jedynie kilku zbiegłych niewolników, którzy utworzyli zbrojną bandę w tym szczególnym dniu, gdy w Sibornalu zapanowały warunki podobne do pierwotnych, jakie istniały, nim wiele eonów temu na niebie Helikonii pojawił się Freyr.

Luterin widział, jak dwurożce dźgają włóczniami tych, którzy mogli biec dostatecznie szybko: handlarzy z tacami, kobiety z małymi dziećmi, kaleki, chorych. Kilku zginęło pod kopytami kaidawów. W powietrze wyleciało niemowlę i spadło w środek ogniska.

Kiedy Asperamanka i dwaj jego pomocnicy wyciągnęli pistolety i zaczęli strzelać, rogaty fagor zatoczył łuk i zaszarżował na Pana Kharnabharu. Galopował prosto przed siebie, pochylony nad masywnym łbem rudego wierzchowca. W jego tępych czerwonych ślepiach nie płonął ogień bitewny: wykonywał po prostu prawieczny nakaz zakodowany w mózgu nie znającym pojęcia czasu.

Asperamanka dał ognia. Kule utonęły w grubym futrze bestii. Kaidaw zachwiał się w biegu. Dwaj mężczyźni odwrócili się i uciekli. Strzelający i krzyżący Asperamanka dotrzymał pola. Kaidaw ukląkł nagle na jedno kolano. Fagor zamachnął się włócznią, która trafiła obracającego się duchownego. Ostrze weszło przez oczodół do mózgu arcykapłana wojny i wepchnęło go do bramy klasztoru.

Luterin rzucił się do ucieczki. Uwolnił ręce z więzów. Biegł po udeptanym śniegu pokrywającym ulicę. W pobliżu pędzili inni, zbyt zajęci ratowaniem własnej skóry, by się nim interesować. Schował się za węglem i rozejrzał, dysząc ciężko.

Mroczny rynek był usłany ciałami. Na granatowym niebie lśniła jasna gwiazda, Aganip. Na południu kładły się cienie. Panoowało przenikliwe zimno.

Motłoch otoczył kaidawa i zaczął ściągać jeźdźca na ziemię. Pozostali ratowali się ucieczką, odjeżdżając galopem: kolejny znak, że nie był to regularny oddział dwurożców, który nie ustąpiłby tak łatwo pola.

Luterin dotarł bez przeszkód na Ulicę Świętości, gdzie miał się spotkać z Toress Lahl.

Wzdłuż wąskiej Ulicy Świętości stały wysokie budynki. Większość wzniesiono w cieplejszej epoce jako zajazdy dla pielgrzymów, którzy przybywali do Koła. Obecnie okiennice były zamknięte, a wiele drzwi zabito deskami. Na ścianach namalowano hasła: "Boże, chroń Dzierży cielą!" albo "Oligarcho, prowadź!", co było zapewne swoistą polisą ubezpieczeniową na życie. Na tyłach domów i zajazdów piętrzyły się zasypy śniegu sięgające okapów.

Luterin ruszył ostrożnie ulicą. Czuł uniesienie na myśl o ucieczce. Spoglądał poza kraniec miasteczka, gdzie z pozoru zaczynała się wieczność. Rozciągała się tam niezmiernie płaszczyna śniegu, której rozmiary podkreślały rzadko rozsiane drzewa. W dali widać było smugę cudownie delikatnego różu, południowy skraj czapy polarnej oświetlony przez Freyra skrytego pod horyzontem. Widok ów, sugerujący, że poza sferą małych spraw ludzkich na planecie istnieje nieskończona gama możliwości, jeszcze bardziej podniósł Luterina na duchu. Świat istniał nadal pomimo okrucieństwa, niewyczerpanie bogaty w kształtach i barwach. Luterinowi zdawało się, że spogląda prosto w oblicze Pramacierzy.

Wszedł do bramy, gdzie czaiła się jakaś postać. Zawołał ją po imieniu. Postać odwróciła się. Zobaczył w mroku kobietę okutaną w futra.

— Jesteśmy prawie na miejscu. Denerwujesz się? — spytała. Podeszedł i uściśnął ją, czując pod futrami smukłe ciało.

— Czekają, Insil!

— Tylko częściowo na ciebie. Handlarz ryb ma coś, co mi jest potrzebne. Mdli mnie po ich błazeńskich przemowach. Zdaje im się, że podbijają naturę kilkoma pustymi słowami. I ten mój kretyński mąż wycierający sobie gębę chwałą Sibornalu... Mdli mnie od tego i muszę się odurzyć. Jak brzmi ohydne przekleństwo używane przez gmin i oznaczające zbezczeszczeniu obydwu słońc? Powiedz mi.

— Masz na myśli Abro Hakmo Astab?

Z rozkoszą powtórzyła zakazaną klątwę. Potem ją wykrzyknęła. Na dźwięk jej słów Luterina ogarnęło podniecenie. Objął ją i pocałował siłą. Zaczęli się zмагаć. Luterin usłyszał swój głos:

— Oddaj mi się, Insil, natychmiast! Zawsze tego pragnąłem. Nie jesteś oziębła, wiem o tym. Tak naprawdę jesteś kurwą, zwykłą kurwą, pragnę cię!

— Odsuń się, odsuń, jesteś pijany. Czekam na ciebie Toress Lahl.

— Ona mnie nie obchodzi! Jesteśmy sobie przeznaczeni już od dzieciństwa. Niech tak się stanie. Obiecałaś. Przyszedł czas, Insil! Miał przed sobą jej wielkie oczy.

— Przerażasz mnie. Co cię naszło? Daj mi spokój!

— Nie, nie, nie dam ci spokoju, Insil. Asperamanka nie żyje. Zabiły go fagory. Możemy się teraz pobrać, tylko mi się oddaj, proszę! Wyrwała mu się.

— Nie żyje? Nie żyje?! Nie, to niemożliwe. O psiakrew!

Zaczęła krzyczeć i pobiegła ulicą, podtrzymując długą suknię wlokącą się po wydeptanym śniegu.

Próbował ją zatrzymać, lecz wrzeszczała coś, czego nie mógł z początku zrozumieć. Domagała się occhary.

Tak jak powiedziała, kram handlarza ryb znajdował się na końcu ulicy. Przed drzwiami zbudowano niewielki korytarzyk nie dopuszczający mrozu do środka. Nad wejściem wisiał szyld: ZNAKOMITE RYBY ODIMA.

Znaleźli się w ciemnej sali, gdzie stało kilku mężczyzn przemienionych fizycznie po przejściu tłustej śmierci. Na hakach wisiały foki i duże ryby, a na kontuarze leżały w lodzie mniejsze ryby, kraby i węgorze. Luterin prawie nie zwracał uwagi na otoczenie, niepokojąc się o Insil, która wpadła w histerię. Mężczyźni poznali ją.

— Wiemy, czego chce — odezwał się jeden z nich z szerokim uśmiechem i zaprowadził ją do pomieszczenia na tyłach.

— Pamiętam pana — rzekł jeden z mężczyzn, wystąpiwszy naprzód. Był młody i wyglądał jakby na cudzoziemca.

— Nazywam się Kenigg Odium — przedstawił się. — Płynęliśmy razem statkiem z Koriantury do Rivenjk. Byłem wtedy małym chłopcem, ale może zapamiętał pan mego ojca, Eedapa Muna Odiuma.

— Ależ oczywiście, oczywiście — odparł z roztargnieniem Luterin. — Był, zdaje się, kupcem. Handlował kością słoniową, prawda?

— Porcelaną, panie. Ojciec mieszka nadal w Rivenjk i co tydzień wysyła do Kharnabharu ładunek ryb. To intratny interes, a w dzisiejszych czasach nie ma popytu na porcelaną. Nie ukrywam, że w Rivenjk żyje się łatwiej. Szlachetność jest tu w równej cenie jak dobra porcelana.

— Tak, tak, to niewątpliwie prawda.

— Handlujemy także occharą, gdyby miał pan ochotę na fajeczkę. Tamta dama jest naszą stałą klientką.

— Dobrze, daj mi fajkę, człowieku, dziękuję. A kobieta imieniem Toress Lahl? Czy jest tutaj?

— Spodziewamy się jej.

— W porządku.

Luterin przeszedł na zaplecze sklepu. Na sofie leżała Insil Esikananzi, paląc fajkę z długim cybuchem. Wyglądała zupełnie spokojnie i w milczeniu spojrzała na Luterina.

Usiadł bez słowa koło niej, a niebawem młody Odium przyniósł zapaloną fajkę. Luterin z lubością zaciągnął się dymem i natychmiast ogarnął go dziwny nastrój rezygnacji i uniesienia. Czuł się równy bogom. Zrozumiał, dlaczego Insil ma powiększone źrenice, i wziął ją za rękę.

— Mój mąż nie żyje — powiedziała. — Wiesz o tym? Mówiłam ci, co mi zrobił w noc poślubną?

— Wysłuchałem już zbyt wielu twoich zwierzeń jak na jeden dzień, Insil. Ten epizod twojego życia należy do przeszłości. Jesteśmy ciągle młodzi. Możemy się pobrać i uczynić szczęśliwymi lub nieszczęśliwymi, zależnie od tego, co nam jest pisane.

— Jesteś zbiegiem — rzekła przez chmurę dymu. — Ja potrzebuję domu i opieki. Nie miłości, tylko occhary. Potrzebuję obrońcy. Chcę, żebyś sprowadził z powrotem Asperamankę.

— To niemożliwe. On nie żyje.

— Skoro uważasz to za niemożliwe, Luterinie, zamilknij na chwilę i daj mi pomyśleć. Jestem wdową. Zimą wdowy nie żyją długo...

Siedział koło niej, ćmiąc occharę i pozwalając myślom przygasnąć.

— Gdybyś zabił jeszcze mojego ojca, Dzierzyciela Koła, ten prowincjonalny kraik powróciłby do natury. Koło zatrzymałoby się. Przyszedłby mór, który zdziesiątkowałby ludność. Pozostali przeżyliby zimę Weyra.

— Zawsze ktoś przeżywa. To prawo natury.

— Mój mąż nauczył mnie już praw natury, dziękuję bardzo. Nie potrzeba mi nowego męża.

Umilkli. Wszedł młody Odium i oznajmił, że w pokoiku na piętrze czeka Toress Lahl. Luterin podążył za handlarzem po połamanych schodach, klnąc i potykając się. Nie obejrzał się na Insil, pewien, że pozostanie w miejscu przez jakiś czas.

Wprowadzono go do malutkiej klitki z kotarą zamiast drzwi. Jedyne meble stanowiło łóżko, koło którego stała Toress. Luterina zdumiała jej tusza, lecz przypomniał sobie, że wygląda tak samo.

Z pewnością się postarzała. Posiwiała nieco, choć czesała się tak samo jak dziesięć lat temu. Policzki miała szorstkie i rumiane od mrozu. Jej oczy były smutne, choć na widok Luterina zapłonęło w nich światło. Pod każdym względem różniła się od Insil, zwłaszcza z powodu spokojnego stoicyzmu, z jakim pozwalała na siebie patrzeć.

Nosiła wysokie buty. Sukienkę miała skromną i połataną. Nagle zdjęła futrzaną czapkę. Luterin nie potrafił powiedzieć, czy na powitanie, czy na znak szacunku.

Zrobił krok w jej stronę. Natychmiast ruszyła do przodu, objęła go i pocałowała w obydwa policzki.

— Jesteś zdrowa? — spytał.

— Widziałam cię wczoraj. Czekałam przed Wielkim Kołem, gdy cię wypuszczali. Wołałam do ciebie, lecz nawet nie spojrzałeś w moją stronę.

— Światło razilo mnie w oczy. — Nie potrafił znaleźć właściwych słów, nadal odurzony occharą. Chciał, żeby Toress żartowała jak Insil. Nie doczekawszy się, spytał: — Znasz Insil Esikananzi?

— Zaprzyjaźniłam się z nią. Wspierałyśmy się na różne sposoby. Minęło wiele długich lat, Luterinie... Jakie masz plany?

— Plany? Słońce zaszło.

— Plany na przyszłość.

— Naiwny młodzian znów stał się uciekinierem... Mogą mnie nawet obwinić o śmierć Asperamanki. Usiadł ciężko na łożu.

— Asperamanka nie żyje? To znak łaski... — Toress zamyśliła się i rzekła: — Gdybyś mi zaufała, Luterinie, zabrałabym cię do swojej małej kryjówki.

— Naraziłbym cię tylko na niebezpieczeństwo.

— To nie na tym opiera się nasz związek. Nadal należę do ciebie, Luterinie, jeśli mnie zechcesz.

— Zawahał się, a Toress dodała błagalnie: — Potrzebuję cię. Myślę, że mnie kiedyś kochałeś. Czy masz jakiś wybór, otoczony przez wrogów?

— Zawsze mogę z nimi walczyć — rzekł i roześmiał się.

Zeszli wąskimi schodami, wspierając się w ciemności. Znalazłszy się na dole, Luterin zajrzał na zaplecze sklepu. Ku jego zdumieniu sofa okazała się pusta. Insil zniknęła.

Pozegnali się z młodym Odimmem i odeszli w ciemność.

W gęstniejącym mroku pędził po niebie „Awernus”, przypominający teraz martwą skorupę.

Wspaniała maszyna uległa w końcu zepsuciu. Działała tylko część systemu obserwacyjnego. Wiele innych, z wyjątkiem najważniejszych, funkcjonowało nadal. Trwało krążenie powietrza. Korytarzami pełzały roboty czyszczące. Tu i ówdzie wymieniały informacje komputery. Podajniki napojów okresowo podgrzewały kawę do stanu wrzenia. Automatyczne stabilizatory utrzymywały stację na kursie. Urządzenie w służbie wyjściowej na lewej burcie spuszczało regularnie wodę w toalecie niczym istota niezdolna powstrzymać napadów płaczu.

Jednakże sygnały ze stacji nie docierały do Ziemi.

Ziemia przestała ich potrzebować, choć wielu jej mieszkańców żałowało, że urwał się barwny film z innego świata. Ludzkość osiągnęła wyższy etap rozwoju, pozostawiając za sobą okres, gdy poziom kultury mierzono stanem posiadania. Nadeszła epoka, gdy magia przeżyć osobistych stała się wspólną własnością, a nie pilnie strzeżoną tajemnicą. Natura ludzka upodobniła się mimochodem do natury Gai: różnorodnej, wiecznie zmiennej, wiecznie gotowej na nowe przygody.

Kiedy szli w mroku, pozostawiając za sobą miasteczko, Toress próbowała prowadzić banalną rozmowę. Padał śnieg, przywiewany z północy.

Luterin milczał. Po chwili Toress wyznała, że urodziła syna, który ma już dziesięć lat, i zaczęła opowiadać o nim anegdotki.

— Ciekawe, czy zabije swego ojca, jak dorośnie? — odezwał się Luterin.

— Odziedzyczył po nas tuszę. To zdrowy chłopiec, Luterinie. Miejmy nadzieję, że przeżyje, on i jego potomkowie.

Dreptał za nią, nadal się nie odzywając. Minęli opuszczoną chatę i skierowali się w stronę lasu. Luterin zerkał od czasu do czasu za siebie.

Toress podążała za tokiem swoich myśli.

— Twój znenawidzony Oligarcha nadal morduje fagory. Gdyby tylko znał prawdziwą naturę tłustej śmierci, zdawałby sobie sprawę, że zabija w ten sposób własnych ziomeków.

— Dobrze wie, co robi.

— Nie, Luterinie. Dałeś mi wspaniałomyślnie klucz do kaplicy JandolAnganola i spędziłam tam całe dziesięć lat. Pewnego wieczoru rozległo się pukanie do drzwi i pojawiła się Insil Esikananzi.

Na twarzy Luterina odmalowało się zaciekawienie.

— Skąd wiedziała, że tam jesteś?

— Trafiała do kaplicy przypadkiem. Uciekła od Asperamanki. Byli świeżo po ślubie. Zgwałcił ją pederastycznie. aż prawie oszalała z bólu i rozpacz. Przyszła jej do głowy myśl o ukryciu się w kaplicy: w szczęśliwszych czasach zabrał ją tam raz twój brat Favin. Zaopiekowałam się nią i zostałyśmy dobrymi przyjaciółkami.

— Cóż, rad jestem, że miała kogoś bliskiego.

— Pokazałam jej zapiski JandolAnganola i kobiety imieniem Muntras. Dowodzą one, że ludzkość nie przetrwałaby najzimniejszej pory roku, gdyby nie kleszcz żyjący w sierści fagorów. Insil usiłowała później przekazać ową wiedzę ojcu i Asperamance, lecz nie chcieli jej słuchać. Luterin zaśmiał się krótko.

— Nie chcieli słuchać, bo dobrze o wszystkim wiedzieli. Nie chcieli, żeby wtrącała się w ich sprawy. Rządzą państwem, prawda? Znali całą prawdę, podobnie jak mój ojciec. Czy wyobrazasz sobie, że te stare kościelne szpargały to sekret? Ich treść jest powszechnie znana.

— Czy Oligarcha mógł wydawać swoje edykty wiedząc, że zabijanie fagorów oznacza zabijanie ludzi? — spytała Toress. — To nie do wiary.

— Nie bronię Ojca ani Asperamanki. Ale prawda im nie odpowiadała. To proste. Czuli, że pomimo wiedzy muszą coś zrobić.

Otoczyła ich woń listowia kaspiarnów, podobna nieco do zapachu octu. Pojawiła się niczym wspomnienie innego świata. Luterin wciągnął ją z rozkoszą w płuca. W lesie czekały dwa jajaki przywiązane do pni. Toress podeszła do nich i głaskała je po pyskach, słuchając Luterina.

— Mój ojciec nie wiedział, co się stanie, gdy Sibornal pozbędzie się fagorów. Uważał to po prostu za konieczność, niezależnie od konsekwencji. My także ich nie znamy, wbrew rękopisowi. Muntras zapewne sądził, że potrzebne jest drastyczne zerwanie z przeszłością, bez względu na cenę — dodał jakby do siebie. — Akt buntu, jeśli wolisz. Może któregoś dnia się okaże, że miał rację? Natura zatroszczy się o nas. Potem okrzykną go świętym, jak twojego niczemnego JandolAnganola.

— Akt buntu... To zgodne z naturą ludzką. Nie można tylko leżeć i palić occhary, bo inaczej nie istniałby postęp. Klucz do przyszłości leży w przyszłości, nie przeszłości. Znowu zerwał się wiatr. Padał coraz gęstszy śnieg.

— Pramatko! — zawołała Toress, podnosząc rękę do swej szorstkiej twarzy. — Stałeś się twardym człowiekiem, Luterinie. Czy pojedziesz ze mną? — spytała. -- Potrzebuje cię — rzekła, gdy nie odpowiedział.

Luterin wskoczył na siodło, rozkoszując się znajomą reakcją zwierzęcia. Poklepał jajaka po ciepłym boku.

Był wygnańcem we własnym kraju. Musiało to ulec zmianie. Asperamanka zginął. Należało ukarać ohydneho Ebstoka Esikananzi. Luterin nie zazdrościł mu urzędu: pragnął tylko sprawiedliwości. Z ponurą miną wpatrywał się w grzywę zwierzęcia.

— Jesteś gotów, Luterinie? W kaplicy czeka nasz syn.

Spojrzał na słabo widoczną twarz i skinął głową. Na powiekach osiadały mu płatki śniegu. Kiedy jechali wolno między drzewami, zerwał się wiatr ze zboczy góry Shivenink. Z gałęzi nad głowami spadały kaskady śniegu. W miarę zbliżania się do ukrytej kaplicy stok stawał się coraz bardziej stromy. Przejechali koło słupa lodu będącego ongiś wodospadem.

Luterin obrócił się w ostatniej chwili w siodle, by raz jeszcze spojrzeć na miasteczko. Nisko płynące obłoki odbijały światła ognisk.

Chwyciwszy silniej wodze, popędził jajaka w dół, ku gęstniejącemu mrokowi. Kobieta zawołała go z niepokojem, lecz Luterin poczuł rozpierającą go radość.

Uniósł nad głowę zaciśniętą pięść.

— Abro Hakmo Astab! — krzyknął w głąb dalekiego boru. Przekleństwo, porwane przez wiatr, przytłumił padający śnieg.

Wiek bowiem całej natury zmienia na świecie osnowę,
Jeden stan wszystko zbiera po swym poprzednim stanie,
Wszystko się zmienia w świecie, wędrując nieustannie,
I wszystkiemu natura każe się wciąż przeobrażać.
Co więc murszeje z wiekiem, na zgubę się naraża,
A inna rzecz tymczasem na to miejsce powstanie.
Tak więc zmienia się świata natura z czasu mijaniem,

Nowy stan z poprzedniego wyrasta, który nie stworzy
Tego, co tamten, lecz wyda coś, czego tamten nie dożył.

Lukrecjusz O naturze wszechrzeczy, 55 p.n.e.
W przekładzie Edwarda Szymańskiego, PWN, 1957 (Księga V, 828—836).

Podziękowania

Za bezcenne dyskusje wstępne pragnąłbym podziękować doktorowi J.M. Robertsowi, historykowi, oraz Desmondowi Morrisowi, antropologowi. Chciałbym także wyrazić wdzięczność dla doktora B.E. Juella-Jensena, specjalisty w zakresie patologii, oraz doktora Jacka Cohena, biologa. Wszystko, co można uznać za filologicznie poprawne, pochodzi od profesora Thomasa Shippeya, którego entuzjazm pomógł mi bardzo w trakcie pracy.

Planetę Helikonię, poczynając od geologii, a na klimacie kończąc, skonstruował doktor Peter Cattermole. Konsultantem kosmologicznym i astronomicznym był doktor Iain Nicolson, który zasługuje na szczególną wdzięczność ze względu na wieloletnią cierpliwość.

Od doktorów Micka Kelly'ego i Normana Myer są uzyskałem najświeższe dane o ochłodzeniach klimatu nie wywołanych przyczynami naturalnymi. Wielkie Koło pomógł mi skonstruować doktor Joern Bambeck. James Lovelock łaskawie pozwolił wykorzystać koncepcję Gai w formie literackiej. Od pierwszych dni pisania powieści szczególna rolę odegrało zainteresowanie ze strony Wolfganga Jeschkego.

Mam oczywisty dług wdzięczności wobec dzieł swojego przyjaciela doktora J. T. Frasera. Swojej ukochanej żonie, Margaret, pragnąłbym podziękować za to, że pozwoliła Helikonii zawładnąć mną na tak długo i że pracowała nad nią razem ze mną.

Drogi Clive!

Oto moje dzieło. Minęło siedem lat, odkąd zacząłem się zastanawiać nad tymi problemami. Książka ukaże się za rok, gdy obaj wkroczymy w nową dekadę i gdy będę dwakroć starszy od Ciebie.

Kiedy spaceruję po ogródku Hilary'ego, zastanawiając się nad doborem słów, wydaje mi się, że powinniśmy zadać sobie pytanie: „Dlaczego ludzie pragną wzajemnej bliskości, a mimo to tak często pozostają dalecy? Czyżby dzieliło nas to samo, co powoduje, że jako gatunek nie czujemy się częścią natury? Może Matka Ziemia, którą spotkałeś na tych stronicach, jest w istocie niedoskonała i podobnie jak prawdziwe matki, miewa swoje kłopoty — na skalę kosmiczną?”

Winni nie jesteśmy wyłącznie my ani wyłącznie ona. Musimy się pogodzić z niedoskonałością bytu, pogodzić z muchą w żółte paski. Czas, stanowiący scenę dramatu, to wedle J.T. Frasera „hierarchia nie rozwiązanych konfliktów”. Musimy przyjąć owo ograniczenie ze stoicyzmem Lukrecjusza i gniewać się tylko na to, na co można się gniewać, jak na przykład szaleństwo tworzenia arsenałów nuklearnych.

Nareszcie skończyłem pracę. Masz przed sobą nieforemną budowlę o nazwie Helikonion i liczę na to, że Ci się spodoba.

Twój kochający

Ojciec

Boars Hill, Oksford